

# JEFF ABBOTT

AUTOR **W**ESTSELLERÓW **PANIKA I STRACH**

*Jedno z najgorętszych nazwisk współczesnej powieści sensacyjnej*

*Horror Cabin*

*Stracił wszystko: miłość, pracę, dobre imię.  
Teraz może już tylko odzyskać się od dła.*

## ADRENALINA

 Fabryka  
sensacji

# Abbott Jeff

## *Sam Capra 01*

### Adrenalina

**Sam Capra jest agentem operacyjnym CIA, stacjonuje w Londynie i zajmuje się rozpracowywaniem międzynarodowych organizacji przestępczych. Wraz z żoną Lucy pracują w londyńskim biurze CIA, a mieszkają w luksusowym apartamencie. Lucy jest w siódmym miesiącu ciąży, bardzo się kochają.**

**Pewnego słonecznego poranka Lucy dzwoni do Sama do pracy i wywołuje go z budynku. W chwilę po jego wyjściu następuje eksplozja, w której giną wszyscy pracownicy biura. Lucy znika, a Sam budzi się w celi tajnego więzienia Agencji, „najprawdopodobniej w Polsce”. Jako jedyny ocalały z zamachu bombowego uznany zostaje przez CIA za mordercę i zdrajcę.**



Beth i Emmettowi Richardsonom,  
którzy wciągnęli mnie w świat zbrodni.  
Wielkie dzięki, szelmy.

## CZEŚĆ PIERWSZA

### 14 LISTOPADA – 10 KWIETNIA

„W kłębowskiu, jakim jest świat bezprawia,  
początki okazują się często końcami i *vice versa*...  
Po świecie, poza legalnym obiegiem, krążą tryliony  
dolarów...  
jednym rujnują życie, innym przynoszą krociowe  
fortuny”.

– Carolyn Nordstrom, *Global Outlaws*

# 1

Żona spytała mnie pewnego razu: Gdybyś wiedział, że to nasz ostatni wspólnie spędzony dzień, że jutro nasze drogi się rozejdą, to co byś mi powiedział?

Byliśmy niespełna rok po ślubie. Leżeliśmy w łóżku wpatrzeni w zaciągnięte zasłony, przez które zaczynało prześwitywać wschodzące słońce. Na pewno nie „żegnaj”, odparłem z całym przekonaniem. Słowa „żegnaj” nigdy ode mnie nie usłyszysz.

Dwa lata później ten ostatni dzień zaczął się tak, jak większość moich dni. Wstałem o piątej, pojechałem do Vauxhall i zaparkowałem przy stacji metra. Miałem stamtąd parę kroków do upatrzonego pustostanu, w którym lubiłem poćwiczyć rankami.

Zacząłem od długiej rozgrzewki na wybetonowanym placu przed tą opuszczoną rudera. Na początek wolny trucht w miejscu, stopniowe podkręcanie tempa, żeby temperatura ciała wzrosła o tych kilka stopni, uelastyczniły się mięśnie i ścięgna, i start. Pierwsza przeszkoda – ceglany mur przewyższający mnie o dobry metr. Wybicie, dosięgam szczytu, chwyt oburącz, płynne, wypraktykowane podciągnięcie, i jestem po drugiej stronie. Bez jednego stęknienia, jednego trzasku w stawie. Staram się poruszać cicho. To świadczy o klasie. Teraz krótki sprint przez podwórko i kolejny, o wiele niższy murek. Podpórka jedną ręką i przesadzam go, nie gubiąc tempa.

Wpadam do budynku. Przede mną klatka schodowa cuchnąca uryną. Odbicie lewą stopą od upstrzonej czarno-białymi bohomazami ściany i błyskawiczna zmiana kierunku o pełne dziewięćdziesiąt stopni w prawo. To trudna ewolucja, już nieraz kończyłem ją upadkiem, ale dzisiaj wychodzi mi bezbłędnie, ląduję pewnie na poręczy balustrady schodów i utrzymuję równowagę. Serce wali, umysł mam jasny. Potężny adrenalinowy kop. Podskakuję do odsłoniętego stalowego pręta zbrojeniowego, który przebiega przez dziurę wybitą w suficie, swing z wykorzystaniem momentu pędu i już jestem na zdewastowanym piętrze. Budynek został rozszabrowany, ogołocony ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. Ja niczego nie niszczę, nie zostawiam po sobie żadnego śladu. Może i jestem tu intruzem, ale nie wandal. Przebiegam na drugi koniec piętra, wyskok do kolejnego pręta zbrojeniowego, swing, puszczam się i lecę w dół. Ląduję na podwórku miękko, płynnie przechodząc w kontrolowaną roladę. Cała energia zderzenia z betonem rozplywa się po plecach i pośladkach, do kolan nic z niej nie dociera. Zrywam się i wbiegam z powrotem do budynku, szukać dalszych wyzwań. Parkour, sztuka przemieszczania się, podbija mi na jakiś czas poziom adrenaliny, a jednocześnie spływa na mnie z wolna spokój. Jeden fałszywy krok i nieszczęście gotowe. To podniecająca, a zarazem ucząca pokory perspektywa.

Zrobiłem jeszcze trzy takie przełaje przez intrygujący

labirynt przestrzeni budynku – zarwane podłogi, zrujnowane klatki schodowe, elementy wyposażenia, których nie udało się wypruć z murów szabrownikom – sprinty pełne podskoków, skoków i zeskoków w poszukiwaniu trasy – najkrótszej, najprostszej drogi przez na wpół zburzone ściany, kupki cegieł i zawalone gruzem, puste klatki schodowe. Mięśnie buzowały mi energią, serce waliło, ale przez cały czas starałem się zachowywać dystans i niezmałony spokój. Skupiać się na wyborze trasy i tylko na tym. Z oddali docierały do mnie narastające odgłosy ruchu ulicznego, niebo wokół jaśniało, wstawał nowy dzień.

Brytyjskie budownictwo komunalne uznawane jest powszechnie za skansen architektonicznej brzydoty. Wszystko zależy od tego, jak się na nie patrzy. Dla traceura uprawiającego parkour te stare budynki są po prostu piękne. Obfitują w płaszczyzny i ściany do wbiegania na nie i odbijania się, poręcze i gzymsy do balansowania na nich i zeskakiwania, a lokatorzy nie należą do panikarzy, którzy z byle powodu wzywają policję.

Ostatnia trasa. Z piętra na parter przemieściłem się swingiem na jakimś pręcie i zeskokiem zakończonym kontrolowaną roladą.

– Hej! – wrzasnął ktoś, kiedy wychodziłem z przewrotki do postawy stojącej. Zrobiłem jeszcze trzy kroki i zatrzymałem się.

To nie był stróż. Przyglądał mi się jakiś wyrostek z

przyklejonym do wargi niedopałkiem porannego papieroska.

– Jak ty to robisz, stary?

– Kwestia treningu – odparłem. – Długiego zmudnego treningu.

– Jak pajak – rzekł z uśmiechem. – Obserwujemy od jakiegoś czasu z mamuszką twoje wyczyny. Ona chciała już wzywać gliniarzy, ale jej nie pozwoliłem.

– Dziękuję. – Byłem mu naprawdę wdzięczny, bo z policją nie chciałem mieć do czynienia. Pora poszukać sobie nowego miejsca do ćwiczeń. Pomachałem swojemu dobroczyńcy i już zwyczajnym, nieśpiesznym tempem joggingowca na porannej przebieżce ruszyłem w drogę powrotną do samochodu. Dwadzieścia minut później wyjeżdżałem z parkingu. Większość Amerykanów mieszkających w Londynie nie ma samochodu. Nie jest im do niczego potrzebny.

Mnie zmuszały do jego posiadania względy bezpieczeństwa.

Mieszkaliśmy przy Charlotte Street, niedaleko British Museum. Otworzyłem cicho drzwi i wśliznąłem się do środka, żeby nie obudzić Lucy, gdyby jeszcze spała.

Nie spała. Siedziała ze szklanką soku przy kuchennym stole, wpatrując się w skupieniu w ekran laptopa. Zerknęła na mnie.

– Dzień dobry, małpoludzie – powiedziała, przenosząc wzrok z powrotem na ekran. – Baraszkowało się?



Zapomniałem ściągnąć ochronne rękawiczki, które zakładałem na parkourowe eskapady, żeby nie pokaleczyć dłoni. Wychwyciłem w jej tonie nutkę dezaprobaty.

– Cześć.

– Nie poturbowałeś się za bardzo? – spytała z przekąsem.

– Nie, Lucy. – Nalałem sobie soku do szklanki.

– Miło to słyszeć. Jak kiedyś źle obliczysz odległość między budynkami, nie doskoczysz, spadniesz i zostanie z ciebie mokra plama, to powiem dziecku, że tatuś miał rankami napady małpiego rozumu i zginął śmiercią tragiczną podczas jednego z nich.

– Nie ćwiczę na takich wysokościach. Nie ryzykuję bezmyślnie.

– Spodziewam się dziecka, Sam, i bezmyślnością z twojej strony jest podejmowanie w tej sytuacji jakiegokolwiek ryzyka.

– Przepraszam. To w większości był zwyczajny jogging. – Ściągnąłem ochraniacze i schowałem je do kieszeni. Podszedłem do lodówki i wyjąłem butelkę schłodzonej wody, żeby poszukać w niej ratunku przed kontynuowaniem tej rozmowy. Piłem powoli, odmierzonymi łykami. Teraz prysznic, kawa i długi dzień w biurze. Tak, na dzisiaj koniec przygody z adrenaliną.

– Sam?

– Tak?

– Kocham cię. Chcę, żebyś o tym wiedział.

– Wiem. Ja ciebie też. – Odwróciłem się od lodówki i

spojrzałem na nią. Wpatrywała się wciąż w ekran laptopa, trzymając dłoń na rysującej się już wyraźnie wypukłości brzucha. Była w siódmym miesiącu i to chyba świadomość, że niebawem zostaniemy rodzicami, sprawiła, że ostatnio oboje spowaźnieliśmy. No, w każdym razie ona spowaźniała. Ja nie dojrzałem jeszcze do rezygnacji z parkourowych przełajów.

– Nie mógłbyś sobie znaleźć bezpieczniejszego hobby?

– Jest bezpieczniejsze od mojej pracy.

– Nie żartuj – fuknęła. Teraz na mnie spojrzała. W tym stanie porannego rozmamłania była dla mnie piękna – burza kasztanowych włosów przetykanych jaśniejszymi pasemkami, poważne brązowe oczy, twarz w kształcie serca z pełnymi, czerwonymi wargami. Najbardziej kochałem jej oczy. – Wiem, że w pracy nie masz sobie równych. A boję się, że podczas tych swoich biegów nieszczęśliwie upadniesz i skręcisz sobie kark. Nie chcę zostać samotną wdową z dzieckiem na rękę.

– Dobrze. Nauczę się grać w golfa.

Skrzywiła się, najwyraźniej nie potraktowała mojej obietnicy poważnie.

– Dziękuję – powiedziała mimo to. – I nie zapomnij, że jemy dziś kolację z Carstairami i Johnsonami.

Uśmiechnąłem się. Carstairowie i Johnsonowie byli bardziej jej niż moimi przyjaciółmi, ale lubiłem ich, a poza tym miałem świadomość, że kiedy na świecie pojawi się dziecko, nasze regularne kolacje na mieście staną się o

wiele rzadsze. No i może znali jakiegoś instruktora gry w golfa.

– Pamiętam, będę w domu o piątej.

– Jesteśmy umówieni na szóstą w barze przekąskowym w Shoreditch. Ciężki masz dziś dzień?

– Zatrzęsienie powerpointowych prezentacji – poskarżyłem się. – Od rana do wieczora odprawy z Brandonem i garniturkami z ojczyzny. – Patrzyłem, jak wstaje i przeciąga się z dłońmi złożonymi na wydatnym brzuchu. – Ale mógłbym się wymigać. I pójść z tobą do lekarza.

– Nie.

– Błagam, pomóż mi się wykręcić od tego PowerPointa. Powiem, że muszę zawieźć żonę i Pociękę na badania prenatalne. – Nie wybraliśmy jeszcze imienia, nadałem więc będącemu w drodze dzieciaczkowi pseudonim.

– Pocięka. – Poklepała się po brzuchu.

– Nie jestem pewien, czy po pracy dam radę wpaść jeszcze do domu. Może się zdarzyć, że przyjadę od razu do baru. Zachodzi obawa, że po tych spotkaniach będę musiał wyskoczyć z garniturkami na szybkie piwko.

Roześmiała się.

– Och, jak ty ciężko harujesz – zakpiła z uśmiechem. Dzięki Bogu, pomyślałem, że w małżeństwie układa mi się lepiej niż rodzicom. Nie kłóciliśmy się z Lucy, nie spoglądaliśmy na siebie spode łba, nie było między nami tych upiornych cichych dni.

– Włóczyć się tak po barach bez ciężarnej żony. –  
Uśmiechnęła się i zamknęła laptopa. – Jak ci nie wstyd.

Podeszła i objęła mnie. Kobiety w ciąży są pełne niespodzianek; przypominają wiatr, który nie może się zdecydować, czy wiać w tę stronę, czy w inną. Uwielbiałem to. Pocałowała mnie z zaskakującym łaknieniem, z pożądaniem prawie, napierając swoim wydatnym brzuchem.

– Jestem zgrzany, spocony i śmierdzący – mruknąłem. –  
Odrażający ze mnie mąż.

– Fakt – odmruknęła. – Jesteś odrażający,  
małpoludzie. A ja jestem wielka.

– Fakt – przyznałem. – Jesteś wielka. – I  
pocałowałem ją.

Kiedy najśłodszy początek tamtego ostatniego dnia był już za nami, przyrządziłem śniadanie składające się z tostów, kawy i soku, potem wzięłem prysznic, ubrałem się i wyszedłem do pracy. W progu obejrzałem się jeszcze na siedzącą przy kuchennym stole Lucy.

– Jesteś moją miłością – powiedziałem.

– Kocham cię.

Pamiętne ostatnie słowa.

Niebo nad Londynem zachwycało tamtego dnia czystym błękitem – słoneczny dzień po dwóch szaroburych, pochmurnych tygodniach to w listopadzie rzadkość. Stacjonowałem w Londynie od niespełna roku. Kiedy tamtego ostatniego poranka wsiadałem w ciemnym garniturze do metra w kierunku Holborn, wyglądałem pewnie na jednego z młodych prawników zdążających do swojej kancelarii albo do sądu. Odróżniało mnie od nich tylko to, że w neseserze niosłem glocka kalibru 9 mm, laptopa nabitego informacjami na temat finansów siatek przestępczych, które aktualnie rozpracowywaliśmy, oraz kanapkę z szynką i serem. Lucy jest sentymentalna; skoro ja robiłem jej śniadania, to ona odwdzięczała się przygotowywaniem mi lunchu. Tamtego dnia miała zjawić się w biurze później, po wizycie u lekarza. Pracowaliśmy razem od blisko trzech lat, najpierw w kraju, w Wirginii, gdzie się poznaliśmy i pobraliśmy, a potem tutaj. Lubiłem Londyn, lubiłem swoją pracę, rad byłem, że Pocięcha urodzi się właśnie tutaj i pierwsze lata życia spędzi w tym wspaniałym mieście, zamiast tłuc się po świecie jak niegdyś ja. Niektóre dzieci rozpoczynają każdy rok szkolny w innej szkole; ja często rozpoczynałem go na innej półkuli.

Holborn jest konglomeratem nowego ze starym. Nasz biurowiec stał niedaleko miejsca, w którym ulica zmienia nazwę z High Holborn na zwyczajne Holborn. Była to

nowoczesna budowla ze szkła i chromu, i z pewnością kłuła w oczy architektonicznych purystów; sąsiedni budynek przechodził właśnie remont kapitalny i rusztowania przystawione do jego fasady zawężyły chodnik tak, że z trudem mogły się na nim wyminąć dwie osoby. Do normalnej szerokości powracał dopiero przed naszym budynkiem.

Większość powierzchni biurowca wynajmowały małe firmy – notariusze, doradcy do spraw marketingu, agencja pracowników tymczasowych – wyjątkiem była firma zajmująca całe ostatnie piętro. Tabliczka na drzwiach windy informowała KFK Consulting. Akronim wybrano pewnego wieczoru, rzucając strzałką do przypiętej do tarczy gazety. Żartowaliśmy sobie z Lucy i moim szefem Brandonem, że KFK to skrót od Klasyczna Firma Krzak.

Wmaszerowałem do pomieszczenia, w którym stało tylko jedno biurko. Siedział za nim ochroniarz imieniem John, podtatusiały emigrant z Brooklynu, na oko nieuzbrojony, ale siła ognia arsenału, jaki trzymał dyskretnie w szufladzie, wystarczyłaby do przerobienia mnie na sito. Studiował ze zmarszczonym czołem podręcznik krykieta. Jeśli o mnie chodzi, to już dawno dałem sobie spokój z wgryzaniem się w zasady tej gry. Minałem bez słowa Johna, zatrzymałem się przed wewnętrznymi drzwiami i przyłożyłem do skanera swoją kartę identyfikacyjną; drzwi odblokowały się, wszedłem. Z pozoru po spartańsku urządzone pomieszczenia KFK miały zbrojone stalą ściany i kuloodporne szyby w

oknach; sieci komputerowe zabezpieczono najefektywniejszymi z efektywnych firewallami. Biuro składało się z kilku małych pokoików i pracowało nas w nim w sumie ośmioro. Pachniało tu jak we wszystkich biurach: tuszem, paloną kawą i spirytusem z markerów dry-erase.

Spotkanie, które w moim przekonaniu miało się rozpocząć o dziesiątej, już trwało. Brandon siedział w salce konferencyjnej z trzema garniturkami z Langley i ze ściągniętymi brwiami patrzył na ekran, na którym wyświetlała się nieaktualna już, przygotowana w PowerPoincie, prezentacja sprzed trzech dni.

O kurde.

Wszedłem.

– Nie o dziesiątej?

– O ósmej. Spóźniłeś się dwadzieścia minut. – Brandon posłał mi wymuszony uśmiezek.

– Przepraszam.

Dwaj faceci w garniturach byli starsi ode mnie i z ich min można już było wyczytać, że coś im tu nie gra. Przed trzecim, młodszym ode mnie, leżała kartka papieru, a on skrzętnie coś na niej notował. Typowy nadgorliwiec.

– Jeśli Lucy złapały bóle, to jesteś usprawiedliwiony – powiedział Brandon. Pochodził z Karoliny Południowej i chociaż tyle już lat spędził poza granicami kraju, nadal mówił z charakterystyczną dla tego stanu rozwlekłą kadencją.

– Nie, tatusiem jeszcze nie jestem – odparłem. – Ale

przyniosłem bardziej aktualną prezentację. Dajcie mi pięć minut.

Faceci w garniturach kiwnęli głowami, wstali, przedstawili się, wymienili ze mną uściski dłoni i wyszli dolać sobie kawopodobnej lury, którą amerykański rząd zatwierdził do użytku w swoich placówkach, a ja czym prędzej włączyłem laptopa.

– Nie lubię spóźnień, Sam – burknął Brandon, ale bez gniewu.

– To tak jak ja. Jeszcze raz przepraszam.

– Mam nadzieję, że przynajmniej masz tam coś ciekawego. Ci goście są z komisji budżetowej. Zarzucają nam, że zbijamy tu baki. Przekonaj ich, że nie mają racji.

Nic tak nie mobilizuje umysłu człowieka do wyętej pracy, jak perspektywa utraty stałego zajęcia.

Kiedy goście z Langley wrócili ze swoimi dolewkami niby-kawy, przeskoczyłem serię slajdów przedstawiających drastyczne, mogące przyprawić o bezsenność sceny, i rozpocząłem prezentację od niewyraźnej fotografii. Ekran wypełniła rumiana, trochę toporna twarz mężczyzny o małych uszach. Włosy miał ciemne, rozwichrzone, jakby przed chwilą je wycierał.

– Panowie. Jesteśmy myśliwymi. A zwierzyna, na którą polujemy, to międzynarodowe gangi działające bezkarnie ponad granicami, ponieważ zdołały zapuścić swoje macki głęboko w kręgi władzy wielu państw na całym świecie. – Wskazałem na fotografię. – Wyobraźmy sobie, że jesteśmy lwami polującymi na antylopy, a ten



człowiek to najślabszy osobnik w stadzie. Podchodzimy go. Niewykluczone, że jest w tej chwili najważniejszym celem CIA.

– Kto to? – spytał jeden z garniturków.

– Takich jak on nazywamy „czyścioszkami” – nie wiadomo, jak się naprawdę nazywa, jakie właściwie ma obywatelstwo, chociaż z materiału dowodowego, który do tej pory zebraliśmy, wynikałoby, że to Rosjanin. Podejrzewamy, że przerzuca i rozprowadza między tymi globalnymi organizacjami przestępczymi ogromne ilości wypranej gotówki. Nazywam go Carem Kasjerem.

– Opowiedz nam o samych organizacjach, Sam – wtrącił Brandon.

– Już się robi. Mafia jest organizacją przestępczą starej daty – wyraźnie określony przywódca mający pod sobą piony siłowy i prania pieniędzy. Współczesne organizacje są wysoce wyspecjalizowane. Każdy z ich pionów, czy to siłowy zajmujący się ochroną, zastraszaniem i mordowaniem, czy finansowy, który pierze brudne pieniądze, czy w końcu logistyczny odpowiadający za szmuglowanie towaru – jest autonomiczny. Każdy jest uaktywniany tylko do wykonania konkretnego zadania i za każdym razem może to być inna grupa ludzi. To sprawia, że taką organizację o wiele trudniej rozpracować, o wiele trudniej zebrać szczegółowe informacje o tym, jak funkcjonuje jako całość.

– Wiem, że zwracamy szczególną uwagę na siatki,

które mogą mieć powiązania z rządami – odezwał się najmłodszy z garniturków. – Jest taki chorwacki gang handlarzy bronią, który moglibyśmy infiltrować, jest rodzina przemytnicza Ling z Holandii, jest szajka Barnhill z Edynburga...

Młodego garniturka miałem więc po swojej stronie. Uznałem to za dobry znak.

– Federalnym udało się rozbić mafię, bo była zhierarchizowana – bandziory z dołów mogły zeznawać przeciwko bonzom. Ale w tym wypadku jedyne słabe ogniwo, na jakie możemy liczyć, to elementy wspólne dla poszczególnych organizacji. – Postukałem palcem w ekran wyświetlający szpetną facjatę Cara Kasjera. – Ten gość jest spoiwem wiążącym kilku bardzo złych ludzi. To już nie jest zwyczajna działalność przestępcza, to zaczyna zagrażać nie tylko naszym sprzymierzeńcom, ale i samym Stanom Zjednoczonym. Ten tutaj człowiek jest być może naszą wielką szansą na wykrycie i zneutralizowanie jednego z najpoważniejszych zagrożeń, jakie wiszą nad światem Zachodu.

– Nie wygląda na takiego zakapiora – zauważył Brandon i wszyscy się roześmieli. Wszyscy, prócz mnie. I nie miałem wątpliwości, że im też przestanie być do śmiechu, kiedy podzielę się z nimi swoją wiedzą.

– Pytanie tylko, jak znaleźć tego Cara Kasjera i... – Zapiszczała moja komórka. Kiedy ma się żonę w siódmym miesiącu ciąży, jest się upoważnionym do odbierania telefonów w trakcie spotkań.

Rzuciłem Brandonowi przepaszające spojrzenie.

– Moja żona jest w ciąży – wyjaśniłem garniturkom i wyszedłem na korytarz. Nie znałem numeru, który mi się wyświetlał. – Halo?

– Małpolud? – To był głos Lucy. – Zejdź do mnie.

– Hmm, mam teraz spotkanie.

– Zejdź. Natychmiast, Sam. – I nagle wychwyciłem to: straszny podtekst w tych słowach, coś jak cień przesuwany się tuż pod powierzchnią wody latem.

Ruszyłem do drzwi.

– Masz nowy telefon?

– Zgubiłam stary dziś rano. Właśnie kupiłam sobie nowy. Fatalny miałam dzisiaj poranek.

Głos jej trochę drżał, wyczuwałem w nim napięcie.

– Źle się czujesz?

– Błagam, o nic nie pytaj, tylko schodź.

Znacząco złe wieści, które można przekazać jedynie w cztery oczy. W biurze ktoś mógłby podpatrzeć towarzyszące temu emocje. Ścisnęło mnie w dołku. Pocięcha. Lucy była dziś u lekarza. Coś nie w porządku z ciążą.

Wybiegłem z biura do recepcji, minąłem ochroniarza Johna, który dał sobie spokój z podręcznikiem krykieta i czytał teraz jakiś brytyjski tabloid, i już byłem na klatce schodowej.

– Gdzie jesteś?

– Na Holborn.

– Wszystko w porządku?

– Nie... zejź tu do mnie, błagam.

Siódme piętro. Nie czekając na windę, z komórką przy uchu, rzuciłem się w dół schodami. Z duszą na ramieniu wpadłem do holu na parterze.

Lucy tu nie było.

– Wyjź na ulicę – usłyszałem. – Błagam, Sam. Błagam.

– Co tu jest grane? – Wyszedłem na rojną ulicę. Urzędnicy, kurierzy, zakupowicze, turyści. Dwie młode kobiety w modnych płaszczach opierają się o ścianę budynku, palą, popijają herbatę z dużych kartonowych kubków, rozmawiają, wybuchając co chwila śmiechem. Rozejrzałem się. Ani śladu Lucy.

– Gdzie jesteś?

– Szybciej, Sam. Błagam. Uciekaj.

Wystartowałem, zanim jeszcze Lucy skończyła, bo to wszystko było jakieś nie takie, wyczuwałem każdą komórką ciała, że dzieje się coś bardzo złego. Wbiegłem pod rusztowania sąsiedniego budynku – tam przechodniów było mniej niż na zwężonym trotuarze obok. Potrąciłem po drodze jakiegoś mężczyznę w garniturze, potem kobietę w bluzie z kapturem, zatrzymałem się u wylotu tego tymczasowego tunelu i znowu rozejrzałem. Gdzie ona jest?!

W komórce rozległ się płacz mojej ciężarnej żony.

– Lucy?! Lucy?! – Ścisnąłem telefon z taką siłą, że jego krawędzie wrzynały mi się w palce.

Usłyszałem jej szloch:

– Puść mnie.

Gorączkowo przeszukiwałem wzrokiem okolicę. Jakaś ciężarówka, trąbiąc gniewnie, ominęła audi stojące po drugiej stronie ulicy, dziesięć kroków ode mnie. W fotelu pasażera siedziała Lucy. Na Holborn nie wolno się zatrzymywać, przemknęło mi przez myśl. Auto było srebrnoszare jak niebo chwilę przed deszczem. Siedzący za kierownicą mężczyzna nachylał się do Lucy. Po chwili wyprostował się i zobaczyłem go lepiej. Pod trzydziestkę. Ciemne włosy. Ciemne okulary. Kwadratowa szczęka. Mignęło mi coś białego, kiedy odwracał głowę – blizna w kształcie znaku zapytania na skroni.

Lucy spojrzała w moim kierunku.

I w tym momencie nastąpiła eksplozja.

### 3

Potworny huk, zaćmienie słońca, zupełnie jakby sam Pan Bóg zasłonił mi dłonią niebo. Odwróciłem się na pięcie, spojrzałem w górę. Ostatnie piętro naszego biurowca wylatywało w powietrze, strzelały płomienie, nad budynkiem puchł skłębiony tuman pyłu nafaszerowanego okruchami hartowanego szkła i odłamkami stali, które zaraz posypią się na ulicę. Ziemia drżała. Na chodnik, tuż obok popijających herbatę dziewcząt, spadł płonący ludzki tułów. Dziewczyny odskoczyły przerażone i chowając głowy w ramiona, wbiegły do budynku, szukając tam schronienia przed lecącymi z nieba szczątkami.

Moje biuro rzekomych konsultantów przestało istnieć. Brandon, wizytatorzy, notujący gorliwie nowy, moi przyjaciele i koledzy... Odeszli. Gruz sypał się na ulicę i przechodniów, na samochody, taksówki i autobusy, a sam Londyn krzyczał dudniącymi echami eksplozji, tłukącymi się jeszcze między ścianami okolicznych kamienic, wyciem klaksonów i wrzawą gęstniejącą w miarę otrząsania się świadków dramatu z pierwszego szoku.

Audi znikło mi z oczu w kłębowisku autobusów i samochodów, które utknęły na zasłanej grudami betonu, zwałami cegieł i pogiętym metalem Holborn.

Nie widziałem go. Niewiele myśląc, podciągnąłem się na rękach na pierwszy pomost rusztowania i jak małpa

wspinałem się dalej po rurach, z których było skręcone, żeby czym prędzej znaleźć się ponad chmurą kurzu wiszącego nad ulicą. W pewnej chwili mignęło mi przed oczami coś srebrnoszarego. Audi z moją żoną w środku przyśpieszało. Widziałem przez szyberdach tył jej głowy, przekrzywionej lekko. Zwykła tak czynić, kiedy dopadały ją poranne nudności. Opuszczała wtedy szybę i wystawiała twarz na powiew powietrza. Idiotyczne skojarzenie.

– Lucy! – wrzasnąłem. – Lucy!

Podjąłem wspinaczkę. Nie mogłem stracić jej z oczu, zgubić w tym chaosie samochodu. W mgnieniu oka byłem na kolejnym pomoście rusztowania i stamtąd znowu zobaczyłem audi. Zator gęstniał jak dym z pożaru, każdy chciał jak najszybciej znaleźć się byle dalej od miejsca eksplozji.

Kierowca audi, widząc przed sobą korek, skręcił ostro, na pełnym gazie, w odchodzącą w prawo uliczkę. Mało brakowało, a potrąciłby dwie przebiegające przez jezdnię kobiety.

Rusztowanie zajęczało na złączach i ten jęk przeszedł w przeraźliwy zgrzyt. Obejrzałem się. Spadający gruz uszkodził konstrukcję od strony mojego biurowca. Waliała się teraz z łoskotem na biegnący dołem chodnik.

Przeskoczyłem szczupakiem z uciekającej mi spod stóp rury na remontowaną kondygnację. Krztusząc się, spadłem na beton. Spróbowałem zrobić roladę, ale byłem w niedobrych butach i przewrotka nie bardzo mi wyszła.

Zrywając się do biegu, zerknąłem przez ramię. Rusztowanie skręcało się, odpadało od ściany i waliło na ulicę. Budynek drżał w posadach. On następny, przemknęło mi przez myśl.

Przemknąłem przez piętro na tyły budynku i poprzez gmatwaninę rur nietkniętego od tej strony rusztowania spojrzałem z wysokości jakichś dziesięciu metrów na równoległą do Holborn ulicę. Audi omijało korek, jadąc po chodniku. Jakiś mężczyzna w garniturze odskoczył w ostatniej chwili, pociągając za sobą towarzyszącą mu kobietę. Kopnął ze złością w drzwiczki.

Moja żona spojrzała w górę. Przez zasunięty szyberdach. Zobaczyła mnie. Oczy stanęły jej w słup, usta rozwarły się do niemego krzyku. Zaczęła unosić rękę i w tym momencie oberwała pięścią w twarz od mężczyzny z blizną. Głowa odskoczyła jej w bok, uderzając o słupek drzwi.

Krew w moich żyłach zmieniła się w czystą adrenalinę. Skoczyłem. Nigdy w życiu tak się nie bałem. Nie o siebie. O Lucy i Pocięchę. Nie mogę stracić z oczu tego samochodu. Jego kierowca uprowadził moją żonę; zabił niewinnych ludzi. Byłem już na ziemi i roztrącając przechodniów, wpadłem na jezdnię.

Drogę zajechał mi mini cooper. Nie zwalniając, bez zastanowienia, przeskoczyłem nad nim szczupakiem. Przewrotka przez bark na asfalcie, płynne wyjście na równe nogi. Bólu nie czułem, on przyjdzie później.

Audi skręcało właśnie na skrzyżowaniu. Ruszyłem za



nim, przedzierając się z trudem przez gęstniejące rzesze ludzi wylegających z biur i sklepów, klucząc między stojącymi w korku samochodami i autobusami. Dotarłem wreszcie do narożnika i w głębi ulicy zobaczyłem audi wlokące się za jakąś ciężarówką dostawczą. W pewnej chwili przyśpieszyło i z piskiem opon skręciło znowu w prawo. Kierowca z blizną wypatrzył niezakorkowaną boczną uliczkę, w którą nie wlała się jeszcze fala spanikowanych ludzi. Kiedy tam dobiegłem, samochodu nie było już w zasięgu wzroku.

Trzęsącymi się ze zdenerwowania rękami wyszarpnąłem z kieszeni komórkę i wybrałem numer, spod którego dzwoniła do mnie Lucy. Nikt nie odbierał.

Nie było Lucy. Nie było mojego biura. Niczego już nie było. Do głosu doszła rutyna. Odruchowo wybrałem numer alarmowy do Langley. Słowa cisnęły mi się na usta, ale nie mogłem ich z siebie wydusić.

*Pomóżcie.* Błagałem samym ruchem warg.

Zabrano mi ją, nie miałem już nikogo. W samym sercu Londynu, patrząc na dym unoszący się jak chmura nad stosem pogrzebowym życia, które dla mnie właśnie się skończyło, słysząc narastające wycie syren, potrącany przez tysiące biegnących ludzi, byłem zupełnie sam.

Po tygodniu, w zimnej, zawilgoconej celi odwiedził mnie nowy gość. Kolejny spec od przesłuchań, któremu uda się może mnie złamać. No i dobrze. Na jego poprzednika nie mogłem już patrzeć.

– Moje nazwisko Howell. Na wstępie jedno pytanie, panie Capra. Jest pan zdrajcą czy głupcem?

Byłem akurat w trakcie deseru.

– Już mówiłem – wymamrotałem z pełnymi ustami.

– Chciałbym to usłyszeć jeszcze raz. – Nowy śledczy odchylił się na oparcie krzesła i założył nogę na nogę, podciągnąwszy uprzednio nogawkę idealnie odprasowanych spodni, żeby się, broń Boże, nie wygniotły. Nie spodobało mi się to; było jak przykry dla ucha zgrzyt. Miało mi uświadomić, kto tu rozdaje karty.

Od trzech dni właściwie nie spałem. Cuchnąłem potem. Jeśli ból po stracie bliskiej osoby ma jakiś zapach, to właśnie nim ode mnie zalatywało. Nowy śledczy był Afroamerykaninem po czterdziestce, z siwiejącą hiszpańską bródką i stylowymi okularami w drucianych oprawkach. Powiedziałem mu to samo co śledczemu numer jeden i śledczemu numer dwa. Szczerą prawdę.

– Nie jestem zdrajcą. I mojej żony też nie uważam za zdrajczynię.

Howell zdjął okulary. Przypominał mi pewnego profesora historii, na którego wykłady uczęszczałem na Harvardzie. Bił od niego chłodny spokój.

– Skłonny jestem panu uwierzyć.

Jakiś podstęp?

– Pan pierwszy.

Howell przyłożył sobie do warg zauszniok okularów. Przypatrywał mi się przez dłuższą chwilę w milczeniu. Lubiłem taką ciszę. Nikt mi w czasie jej trwania nie ubliżał, nie oskarżał mnie o zdradę. W końcu otworzył teczkę i znowu się zaczęło. Litania tych samych pytań zadawanych w tej samej kolejności, obliczona chyba na to, że na którymś wreszcie się potknę.

– Nazywasz się Samuel Clemens Capra. – Przeszedł na ty.

– Tak.

Uniósł brew.

– Samuel Clemens to prawdziwe nazwisko Marka Twaina.

– Był ulubionym autorem mojego taty – wyjaśniłem.  
– Na imiona Huckleberry Finn i Tom Sawyer mama się nie zgodziła. – Normalnie ta dykteryjka wywoływała śmiech, ale nic już nie było normalne. Zmieniłem temat. – Zanim zacznę odpowiadać na pańskie pytania, chciałbym zadzwonić do ojca. – No i co bym mu powiedział? Ale w tym momencie bardzo chciałem usłyszeć ciepły, schrypnięty od nikotyny głos taty. Chciałem szukać żony. Chciałem się wydostać z tej okropnej, ciemnej, kamiennej celi bez okien. Głupio było o coś takiego prosić. Ale nie przychodziła mi do głowy żadna inna forma odreagowania tego niekończącego się maglowania oprócz

choćby takiej namiastki buntu.

– O ile się orientuję, nie żyjesz za dobrze ze swoimi rodzicami.

Milczałem. Firma, a jakżeby inaczej, wiedziała o mnie wszystko.

– Nie mieli nawet pojęcia, że wkrótce zostaną dziadkami, prawda?

– Nie mieli – przyznałem zażenowany. Takie rodzinne zawirowania powinny być sprawą prywatną.

– Od trzech lat nie utrzymujesz z rodzicami kontaktów, nie licząc krótkich telefonów na Boże Narodzenie. Żadna z tych rozmów nie trwała dłużej niż dwie minuty.

– To prawda.

– Trzy lata. Zdaniem niektórych właśnie od tych trzech lat pracujesz przeciwko nam. Zerwałeś stosunki z rodzicami, żeby cię przypadkiem nie przejrzeni, żeby nie mieszać ich w swoją zdradę.

– Powtarzam, nie jestem zdrajcą, a pan powiedział przed chwilą, że jest skłonny mi uwierzyć.

– Przytaczam tylko opinię, jaka krąży o tobie w Firmie. – Pochylił się. – Emocjonalne zdystansowanie się od wielopokoleniowej rodziny i przyjaciół to klasyczny objaw nieczystego sumienia.

– Nie odciąłem się od rodziny. Nie zerwałem kontaktów z rodzicami, to oni przestali się do mnie ni stąd, ni zowąd odzywać. Miałem nadzieję, że po przyjściu na świat dziecka wszystko wróci do normy. Będę mógł

zadzwoić do ojca? Umożliwi mi to pan?

– Nie, Sam. – Howell, postukując zausznikiem okularów o dolną wargę, przeglądał moją teczkę, zapewne szukając tam czegoś, czym mógłby mnie jeszcze przyszpilić. Ciekaw byłem, co też wyczyta z tych paru kartek, które składały się na jej zawartość. – Przed wybuchem bomby żona zadzwoniła do ciebie do biura z prośbą, żebyś do niej zszedł.

– Została uprowadzona. Widziałem, jak ten facet ją uderzył.

– A dlaczego wcześniej pozwolił jej zadzwonić?

– Nie wiem. Może nie było go wtedy w samochodzie.

– Ale nie powiedziała ci, że została uprowadzona.

– Próbowwała ratować mi życie. Jak najszybciej mnie stamtąd wywołać.

– Ale reszty pracowników biura już nie. Nie powiedziała „Uciekajcie stamtąd wszyscy, Sam”, prawda?

Zamknąłem oczy; chłód kamiennej posadzki celi wnikał mi w bosc stopy.

– Nie. – Byłem pewien, że nie znajduję się już w Wielkiej Brytanii. Przez trzy dni Firma – tak nazywaliśmy z kolegami CIA – i brytyjski wywiad przesłuchiwały mnie w Londynie. Nie przydzielono mi adwokata ani radcy prawnego. Czwartego dnia do celi weszło czterech drabów o byczych karkach ze strzykawką, przytrzymali mnie i obudziłem się w samolocie. Domyślałem się, że przebywam obecnie w jednym z rzekomo nigdy nieistniejących więzień Firmy gdzieś we wschodniej

Europie, najprawdopodobniej w Polsce.

– Wywołała ciebie i tylko ciebie. I to jest właśnie zastanawiające. Zaraz po twoim wyjściu biuro ze wszystkimi, którzy się w nim znajdowali, wyleciało w powietrze.

– Może Lucy, dzwoniąc do mnie, nie wiedziała jeszcze o bombie. To pewnie ten facet z blizną kazał jej mnie wywołać. – Już na pierwszym przesłuchaniu opisałem dokładnie mężczyznę z blizną, ale nikt nie przyniósł mi dotąd do identyfikacji żadnych fotografii ewentualnych podejrzanych. Niepokoiło mnie to bardziej niż ich przesłuchania.

– Dlaczego miałyby mu zależeć na tym, żebyś przeżył?

– Nie wiem.

I tu mnie zaskoczył. Następne powinno paść pytanie o bezimiennego człowieka, o którym mówiłem na spotkaniu z Brandonem i garniturkami. Tak było na poprzednich przesłuchaniach. Ale on rzekł:

– Opowiedz mi teraz o pieniądzach.

## 5

– O jakich pieniądzach?

Podsunał mi arkusz papieru. Wyciąg z angielskiego banku, w którym ani ja, ani Lucy nie mieliśmy nigdy konta. Przestudiowałem historię transakcji. Zawierała między innymi przelewy z banku na Wielkim Kajmanie. W sumie ćwierć miliona dolarów.

– To nie nasze pieniądze.

– Z tego kajmańskiego konta korzystała w ubiegłym roku Firma podczas jednej ze swoich operacji. Lucy była wówczas jego dysponentem; po zakończeniu operacji miała je zamknąć. Nie zrobiła tego. Te pieniądze wpłynęły na tamtym rzekomo martwe konto Firmy, leżakowały na nim przez jakiś czas, po czym zostały przelane na to konto w angielskim banku, którego właścicielami oboje jesteście, a z niego do Szwajcarii na konto na hasło i zainwestowane w prywatne obligacje. Gdzie są teraz, nie wiemy. I dlatego tak trudno ludziom uwierzyć w twoje wyjaśnienia, Sam.

– Nie mam zielonego pojęcia, co to za pieniądze! – Było źle. Bardzo źle. – Nie miałem dostępu do kont, o których pan mówi. Mało tego, nic o nich nie wiedziałem.

– Panuje powszechna opinia, że w małżeństwie jedno ze współmałżonków zawsze wie o zdradzie drugiego, Sam. Zawsze – powiedział Howell cicho, tonem nauczyciela o niewyczerpanych pokładach cierpliwości. Dwaj jego poprzednicy krzyczeli na mnie. Spokój

Howella był straszniejszy, był jak przyłożona do gardła brzytwa, która w każdej chwili może je poderznąć. – Zawsze. Zazwyczaj zdrajcą jest mąż i żona o tym wie, ale trzyma język za zębami. Bo albo lubi pieniądze, albo nie chce, żeby mąż trafił do więzienia. Które z was zostało zwerbowane pierwsze? Lucy czy ty? A może oboje za jednym zamachem?

– Nic z tych rzeczy. Żadne z nas nie zdradziło. – Nie wierzyłem, żeby Lucy mogła się dopuścić zdrady. Nie mieściło mi się to w głowie. Wszyscy, tylko nie moja żona. Nie przekonywały mnie niezbite dowody, które mi przedstawiano, mogły być sfabrykowane. Uznając je, zdradziłbym kobietę, którą kochałem. Przeciążony mózg pulsował; ścisnęło mnie w piersiach. Powietrze szorowało płuca jak piasek.

– Beznadzieja. Znasz to określenie, Sam?

– Obiło mi się o uszy.

– Opisuje stan ducha współmałżonka zdrajcy. Stara się żywić nadzieję, że to drugie jest niewinne, a jeśli rzeczywiście coś jest na rzeczy, to tam na górze nie wiedzą jeszcze, że zdradziło swój kraj. Jednak zdrowy rozsądek podpowiada, że to oszukiwanie samego siebie, że najprawdopodobniej ta zdrada została już wykryta. Że trzeba porzucić wszelką nadzieję. W tym stanie ducha znajdujesz się teraz ty, Sam. Ale ja mogę ci pomóc. Wyznaj mi prawdę.

– Nie zrobiłem niczego złego. Nic nie wiem o tych pieniądzach.



– Ułatwiam ci sprawę, Sam. – Pokazał mi kartkę. – To przyznanie się do winy, krótkie i treściwe. Musisz tu tylko wpisać, dla kogo pracowałeś. Potem podpis i załatwione.

– Nie zrobię tego. Przenigdy.

Odłożył kartkę.

– Jedno z was zdradziło, Sam. Albo ona, albo ty. Opowiedz mi o tych pieniądzach. Słucham.

Przeszedł mnie zimny dreszcz.

– Nic o nich nie wiem.

– Z całego personelu biura przeżyliście tylko Lucy oraz ty, bo cię stamtąd w ostatniej chwili wywołała.

– Tamten człowiek z blizną ją uderzył. Nie była z nim z własnej woli. Zaręczam.

– Od kogo były te pieniądze? Od Chińczyków czy od Rosjan? A może od którejś z tych przestępczych organizacji, które rozpracowujesz? Zdemaskowali cię i odwrócili? Dla kogo teraz pracujesz?

– Dla nikogo. Nikogo.

– Prowadziłeś dla wizytatorów z Langley prezentację z postępów swojego dochodzenia.

– Tak.

– Opowiedz mi o nich.

Z trudem powstrzymałem śmiech. Notatki do swojego wystąpienia roztrząsałem wciąż w pamięci, dręczyło mnie bowiem straszne podejrzenie, że może właśnie to dochodzenie doprowadziło do zamachu bombowego na nasze biuro.

– Poszukujemy rosyjskiego przestępcy, którego nazywam Carem Kasjerem. Pierze pieniądze dla rozmaitych organizacji. Przez kilka miesięcy ubiegłego roku, pracując pod przykrywką, nawiązywałem w tych organizacjach kontakty. Podawałem się przeważnie za byłego kanadyjskiego wojskowego mieszkającego obecnie w Pradze, który podejmuje się przecierania nowych szlaków przemytniczych dla każdego towaru, od lewych papierosów poczynając, na broni dla afrykańskich watażków kończąc. W rezultacie naszemu tajnemu współpracownikowi z Budapesztu zlecono przerzut gotówki i złota od Cara Kasjera dla pewnego rosyjskiego naukowca. W sumie pięć milionów w przeliczeniu na dolary.

– Za co płacono temu naukowcowi?

– Nie wiemy. Wykopano go z rosyjskich programów badawczych na rzecz wojska, bo był uzależniony od heroiny; otworzył potem interes w Budapeszcie i pracował jako mózg do wynajęcia. Właśnie od tego współpracownika, któremu zlecono przerzut, wiemy, że Car Kasjer ma rosyjski akcent. – Zawiesiłem na chwilę głos. – Tydzień później znaleziono ciała naszego współpracownika i naukowca.

– W jakiej dziedzinie specjalizował się ten naukowiec?

– W nanotechnologii.

– Nanotechnologii?

– Tak. To gałąź nauki zajmująca się

materiałoznawstwem na poziomie atomowym i cząsteczkowym. Większość prowadzonych w jej ramach badań zaowocowała już zastosowaniami komercyjnymi – takimi jak efektywniejszy sposób rozprowadzania leków po organizmie albo dostarczanie ich do określonych narządów. Zapowiada to prawdziwy przełom, na przykład w walce z rakiem piersi albo guzami mózgu. Prowadzone są też prace nad indywidualnym dostosowywaniem leków dla konkretnych osób na podstawie ich DNA, tworzeniem sensorów, które będą wykrywały na wczesnym etapie poważne schorzenia, oraz zwiększaniem wydajności baterii zasilających komputery przenośne.

– A jakieś zastosowania w wojskowości i przemyśle zbrojeniowym?

– Naturalnie – odparłem. – Nanotechnologia umożliwia konstruowanie maszyn oraz eksperymentowanie z materiałami na niewyobrażalnie niskim poziomie i wzbogacanie ich w niespotykane dotąd właściwości. Na razie teoretycznie. W perspektywie możliwe będzie tworzenie nowego rodzaju pancerzy odpychających pociski, niezniszczalnych czołgów, skuteczniejszych dział. Tworzenie pocisków samokorygujących swoją trajektorię już po wystrzeleniu. Małych głowic jądrowych z nieprawdopodobnymi systemami naprowadzania i praktyczną eliminacją radioaktywnego skażenia środowiska. Albo niech pan sobie wyobrazi bombę, która wybuchając, rozsiewa rój zminiaturyzowanych robotów zaprogramowanych tak, że

wykrywają temperaturę ludzkiego ciała, lgną do niego i wstrzykują śmiertelną truciznę każdemu, kto znajdzie się w promieniu pięciu kilometrów.

– Czyli chyba można powiedzieć, że ten Car Kasjer finansował badania nad nowymi rodzajami broni?

– Tak.

– I niewykluczone, że ten, kto zamordował naukowca i naszego współpracownika, by chronić Cara Kasjera, chciał również zlikwidować ciebie.

– Niewykluczone.

– Albo, co bardziej prawdopodobne, zostałeś odwrócony przez tych, których tropiłeś. Jesteś dobry w tym, co robisz, Sam. Kto wie, czy nie dopadłeś tego Cara Kasjera, a on zaproponował tobie i Lucy okup, który przelał na tamto kajmańskie konto.

– Nie.

– Może wzięli teraz Lucy na zakładniczkę, żeby mieć pewność, że będziecie trzymali język za zębami, a ty nabrałeś wody w usta, bo chcesz ją chronić. Czytam to z twojej zmęczonej, udręczonej twarzy, Sam.

– Nie. – Najchętniej wyrzuciłbym Howella z jego niestworzonymi teoriami za drzwi.

– Twoja jedyna nadzieja, Sam, to zawrzeć ze mną układ. Wyznaj mi wszystko. – Howell pochylił się i położył mi wielką dłoń na ramieniu. – Pomyśl tylko, jak ci to ulży. Kamień z serca, Sam. Zaraz potem zabierzemy się do poszukiwań twojej żony. Twojego dziecka. Chciałbyś być obecny przy jego narodzinach, prawda? A to już za

sześć tygodni. Powiedz mi, gdzie szukać ludzi, dla których pracujesz, a znajdziemy i Lucy. Zobaczysz żonę, weźmiesz na ręce noworodka.

Odchylił się na oparcie krzesła.

– Rozmawialiśmy z jej lekarzem. Nie chcieliście z Lucy poznać płci, ale my już ją znamy. To chłopczyk, Sam. Nie chcesz zobaczyć swojego synka?

Mojego synka. Będę miał syna, o ile Lucy jeszcze żyje. Howell brutalnie, jeden po drugim, wykladał na stół swoje atuty: te pieniądze niewiadomego pochodzenia, dziecko. Może jednak Lucy... Nie. Nie wolno mi tak o niej myśleć.

– Nie mogę niczego panu wyznać, bo nie jestem zdrajcą. – Każde z tych słów było jak wypluwany z ust kamyk.

Howell przypatrywał mi się przez dłuższą chwilę w milczeniu.

– Toś głupi, bo twoja żona zdradziła, teraz cię porzuciła, a ty ponosisz wszystkie konsekwencje.

– Nie. Nieprawda. Ona by tego nie zrobiła. Kocha mnie. – Nawet w moich uszach nie zabrzmiało to przekonująco, ale przecież pamiętałem dobrze tamten ostatni poranek z Lucy, pamiętałem, jak leżąc na mnie, drżała, a ja gładziłem dłońmi krągłości jej pośladków, czułem na szyi jej gorący oddech. Pamiętałem, jak wyrzuca mi, że tak ryzykuję, uprawiając parkour, jak mówi, że mnie kocha, i przypomina o kolacji z dwoma sympatycznymi parami. Jak nazywa mnie małpoludem i

łagodzi swój krytycyzm do mojego biegania. Tak nie zachowuje się kobieta planująca zniknięcie bez śladu.

Howell patrzył na mnie jak nauczyciel niezadowolony z odpowiedzi wywołanego do tablicy ucznia.

– Ona cię nie kocha. Zostawiła cię na lodzie. Miłego Dnia Dziękczynienia. – Wstał i wyszedł. Światło zgasło i zostałem sam w kompletnych ciemnościach.

Mijał czas, a ja straciłem zupełnie jego poczucie. Gardło miałem suche, spieczone, obolałe. Żołądek kurczył mi się z głodu i czułem, że mam gorączkę.

Zsunąłem się z krzesła i wyciągnąłem na zimnej posadzce. Pojadłem suchego chleba, który mi przyniesiono, popiłem resztką wody i zasnąłem. Obudziłem się, drżąc z zimna, niepewny, ile czasu upłynęło. Minuty, godziny? Śniło mi się, że biegnę, przesadzając murki, przeskakując z budynku na budynek, rozgrzane mięśnie płoną, umysł mam czysty, otwarty, jasny. Nagle ściana, na której miałem wylądować, znika, a ja bezradny spadam na zasłany płonącym śmieciem chodnik.

Światło znowu rozbłysło i zobaczyłem na krześle Howella. Można by pomyśleć, że przez cały ten czas siedział tu ze mną w ciemnościach. Ale nie, był teraz w innym garniturze. Zaświtała mi nadzieja, że może przyniósł coś do picia. Niestety.

– Pomóż mi, Sam.

Gapiałem się na niego tępo.

– Jak?

– Pomóż mi zrozumieć tę niezwykle interesującą informację, którą właśnie uzyskałem – powiedział.

– Znaleźliście Lucy? – Nie wybudziłem się jeszcze do końca. – Niedługo ma rodzić. Musicie ją znaleźć – wychrypiałem przez zaschnięte gardło.

– Chodzi o bombę, Sam – ciągnął Howell tak, jakby mnie w ogóle nie słyszał. – Mam tu analizę rozkładu siły eksplozji sporządzoną przez laboratorium kryminalistyczne. – Wyciągnął fotografię londyńskiego biura po wybuchu, wykonaną z lotu ptaka, pewnie z helikoptera. Tam, gdzie był pokój operacyjny, naniesiono rozkład naszych biurek, każde opisane nazwiskiem. S. Capra. Brandon. Gomez. McGill. Na tym, co zostało z salki konferencyjnej, widniały nazwiska trzech gości z Langley. Na gruzowisku pokoju komputerowego – nazwisko L. Capra. Tu pracowała Lucy. Moi martwi przyjaciele. Ze zdjęcia wiało grozą: plamy krwi, fragmenty wnętrzości poprzyklepane do ścian, ziejące pośrodku podłogi, poczerniałe dziury.

Najmniejszym, zamalowanym na czerwono kółeczkiem zaznaczono moje biurko pośrodku pokoju operacyjnego.

– Ładunek został podłożony pod twoim biurkiem. Wyglądał na mały zewnętrzny dysk twardy podłączony do twojego komputera.

Patrzyłem na tę mapę zniszczeń.

– Wszystkie dyski twarde w biurze instalowała Lucy.

– Nie.

– Gdzie było jej najłatwiej podłożyć tę bombę? Pod nosem twojego szefa, pod nosem Jamesa, pod nosem Victorii? Czy pod twoim nosem?

Każde z tych słów było jak nóż wbijany w serce.

– Bomba zostaje podłożona tam, gdzie Lucy



najłatwiej ją ukryć bez zwracania czyjejś uwagi. Czyżby w ostatniej chwili dopadły ją wyrzuty sumienia, uświadomiła sobie, że skazuje męża, ojca swojego dziecka, na pewną śmierć? Być może. W każdym razie dzwoni do ciebie i wywołuje z biura tuż przed wybuchem.

Nie chciałem tego dalej słuchać, rozumiałem implikacje.

– Zamknij się – warknąłem. Do żadnego z nich tak się do tej pory nie odzywałem. Starłem się trzymać nerwy na wodzy i spokojnie tłumaczyć, że jestem niewinny. Ale teraz nie wytrzymałem. – Zamknij się, zamknij, do jasnej cholery.

– Pomóż mi dowieść, że ta kobieta jest zdrajczynią. Pomyśl. Zastanów się. Musiałeś coś zauważyć. Spróbuj sobie przypomnieć. – Ta kobieta. Nie powiedział Lucy, nie powiedział twoja żona. Odwoływał się do mojej podświadomości. Próbował mi zasugerować, że mowa o kimś obcym, z kim nic mnie nie łączy. O, nie.

– Lucy jest niewinna! – krzyknąłem. Wiadomość, że bomba została podłożona pod moim biurkiem, zupełnie wyprowadziła mnie równowagi.

– To może ty grałeś tutaj pierwsze skrzypce – powiedział. – Sam podłożyłeś ładunek, a teraz wrabiasz w to ją. No jak, wynajęłeś kogoś, żeby się nią zajął? Sprzątnął, a razem z nią twoje dziecko?

Zagotowało się we mnie. Najchętniej wtłoczyłbym mu te słowa z powrotem do gardła. Dłonie zaczęły mi drżeć. Pociemniało mi w oczach. Ale nie mogłem stracić

nad sobą kontroli. On właśnie na to liczył. Niedoczekanie.

– Musi być jakieś inne wyjaśnienie – powiedziałem, siląc się na spokój.

– Tym wyjaśnieniem jest Lucy. Pieniądze. Bomba. Wszystko wskazuje na Lucy. Miała dostęp do konta. Mogła bez trudu wnieść tę bombę do biura – wyliczał beznamiętnie cichym głosem, z którego przebijał wyraźnie południowy akcent. – Masz we mnie jedyne przyjaciela, jaki ci pozostał, Sam. Reszta Firmy i nasi brytyjscy przyjaciele chcą cię widzieć na stosie. Pomogę ci, ale pod warunkiem że ty pomożesz mnie.

Tak, widziałem w ich oczach, że wydali już na mnie wyrok. Dowód w postaci konta. Bomba podłożona w sposób sugerujący, że zrobiło to któreś z nas, Lucy albo ja. Więcej nie było im trzeba. Miałem przesrane, nawet jeśli byłem niewinny.

– Nigdy nie wyjdiesz z tego więzienia, jeśli nie powiesz mi, co wiesz. Przestań osłaniać Lucy czy może raczej trzymać się kurczowo tego, co o niej myślałeś.

Chciał, żebym uznał Lucy za zdrajczynię. Żebym przyznał mu rację, zaakceptował tę urojoną teorię.

– Nie. Ona jest niewinna. Ten człowiek ją uprowadził.

– Wywołała cię stamtąd i zostawiła. Zdradziła swój kraj i zdradziła ciebie.

– Nie.

Howell wymierzył mi policzek. Siarczysty. Nie spodziewałem się tego, bo przypominał mi profesora, a

profesorowie nie biją.

– Oto brutalna rzeczywistość, obudź się, Sam, przejrzyj na oczy. Mów, co wiesz.

– Nie rźnij głupa. – Teraz i ja przeszedłem na ty. – Gdybym chciał wysadzić budynek, nie byłoby mnie tam. Dawno bym się zmył. Wiesz, że to nie ja, a uczepliłeś się mnie, bo to łatwiejsze od tropienia zbirów, którzy naprawdę się tego dopuścili. Nie dobiję z tobą żadnego targu, bo nie mam nic do sprzedania.

– Widzę, że mam do czynienia z kompletnym idiotą. – Wyszedł i po pięciu minutach wrócił z plastikową butelką zimnej wody. Na szyjce perliły się kropelki rosy. Ależ chciało mi się pić. Postawił butelkę przed mną, nie sięgnąłem jednak po nią.

– Mam do ciebie prośbę – podjął. – Zechciej rozważyć możliwość, że wszystko, co wiedziałeś o Lucy Caprze, nie jest prawdziwe.

Łzy napływały mi do oczu. Tego by tylko brakowało, żeby je zobaczył, pomyślałem. Ale przez cały czas skierowane były na mnie kamery monitoringu. Zobaczy, że płaczę, przeglądając kasety. Zachowałem kamienną twarz; powstrzymałem łzy. Odtąd ciemność będzie moją przyjaciółką, a zgięcie ramienia moim schronieniem. Nie dam im po sobie poznać, do czego mnie doprowadzili.

Obserwował mnie jak gracz, który przebił moją kartę.

– Wiem, że jesteś spragniony. Od trzech dni nie dostajesz świeżej wody. Dajesz wiarę? Napij się, Sam. Przepłucz gardło. Masz mi wiele do powiedzenia.

Sięgnąłem po wodę. Wypiłem. A kiedy skończyłem, nałożył mi na głowę słuchawki i przygotował przepaskę na oczy. Dwie kobiety wtoczyły wózek z medykamentami.

Tiopental sodowy, skopolamina, jakieś inne wynalazki. Tyle zdążyłem zobaczyć, zanim przewiązał mi przepaską oczy. Wstrzyknęli mi chyba po trochu tego wszystkiego – czułem ukłucia więcej niż jednej igły. Howell znowu zaczął zadawać cichym głosem pytania i tym razem słyszałem też inne głosy pytające mnie o to samo, a ja odpowiadałem im szczerze, jak na spowiedzi: Nie wiem. Nie jestem zdrajcą. Nigdy niczego złego nie zrobiłem. Wypaplałem wszystkie intymne szczegóły mojego współżycia z Lucy. Opisałem im bez zahamowań, jak się kochaliśmy, opowiedziałem o naszych londyńskich przyjaciółach, o naszych podróżach do kraju, o jej samotnych wypadach na kontynent. Nie wiedziałem, co robiła, kiedy przez kilka tygodni pracowałem w terenie, podając się w Pradze za szmuglera gotowego przerzucić przez granicę obojętnie jaki trefny towar. Powiedziałem im – wyśpiewałem jak z nut – wszystko, co mi było wiadomo.

Ale pozostawała jeszcze bomba i konto na Kajmanach, i to wystarczało. Uznali, że muszę wiedzieć coś więcej. Że na pewno powzięłem jakieś podejrzenia. Howell powtarzał, że chce mi uwierzyć, ja, że powiedziałem już wszystko, co wiem.

Tak więc odstawili chemię i spróbowali innych

metod.

Z przepaską na oczach – nic kompletnie nie widząc – czułem się jak zrzucony do dziury bez dna. Słuchawki tłoczyły mi do głowy ogłuszającą muzykę: piekielną składankę ckliwych ballad, dołującego psychodelicznego rocka, którego nie rozpoznawałem, rapu, od którego cierpły zęby. Przerwy między kawałkami wypełniał świdrujący uszy pisk, od którego każdy mój nerw iskrzył jak naderwany kabelek. Straciłem poczucie czasu, miejsca, wszelkiej więzi ze światem.

Kuracją na to był ból. Howell wyszedł, do celi wkroczyli strażnicy i tłukli mnie przez dobre dziesięć minut. Okładali pięściami i kopali. Była to fachowa obróbka. Twarzy mi nie przefasonowali, ale resztę mojego ciała pokrył jeden wielki, granatowy siniec. Leżałem zwinięty w kłębek. Dali mi wody, pozwolili wypluć pacynę krzepnącej krwi. Oglądali tę pacynę z uwagą, tak jakby próbowali z niej wyczytać, ile jeszcze zdołam znieść, zanim stracę przytomność. Potem znowu posypał się na mnie jeszcze gęstszy grad ciosów. Bałem się, że przetrącą mi kręgosłup, połamią nogi. Ale to byli wysokiej klasy fachmani, niczego mi nie połamali – ani żeber, ani szczęki, ani nóg.

Zadawali mi te same pytania co wcześniej. Udzielałem im tych samych odpowiedzi co wcześniej.

Nie wiem, jak długo to trwało. W ogłuszającym jazgocie i ciemnościach minuty wydają się czasem rozciągającymi się w nieskończoność godzinami.

Lucy. Pocięcha jest chłopcem. Uczępiłem się kurczowo tej myśli, tej iskierki nadziei, że w końcu mi uwierzą. Na pewno jej szukają. Prędzej czy później znajdą, a wtedy będą mieli swoje odpowiedzi. Wyjaśni się, dlaczego ktoś zrobił w to mnie i Lucy, dlaczego Lucy została uprowadzona, dlaczego wysadzono w powietrze nasze biuro przy Holborn. Najważniejsze to uchwycić właściwy trop, a potem już tylko podążać nim niezłomnie, jak w parkourze, do prawdy. Byle go tylko uchwycić.

Zostawili mnie skatowanego na kilka godzin, potem wrócili i zawlekli do jakiegoś innego pomieszczenia. Przywiązali mnie tam do deski. Deska zaczęła się przechylać. Czułem, jak moje stopy wędrują w górę, a głowa opada ku kamiennej posadzce.

Nie, nie, tylko nie to. Szarpnąłem się. Bicie do utraty przytomności było jeszcze dozwolone. Prawem. To już nie.

Ktoś nade mną stanął, ale nie był to Howell. Na głowie miał kaptur, w jednej ręce trzymał szmatę, w drugiej wiadro z wodą. Wrzasnąłem, że chcę rozmawiać z Howellem.

– Pana Howella tu nie ma – warknął zakapturzony typ. Nie znałem tego głosu.

– Proszę, nie. Błagam. – Przechodziłem już przez to w ramach szkolenia, wiedziałem, jaki horror mi gotują. Szarpnąłem się w więzach, panika eksplodowała mi w piersiach jak mina. Bo kiedy leją człowiekowi wodę na twarz, powie im wszystko, co mu wiadomo. A jeśli nic nie

wie, naprawdę nic, to będzie bełkotał, co mu ślina na język przyniesie, byle tylko przestali. Przyzna się do wszystkiego.

Przemknęło mi przez myśl, że nie wyjdę już stąd żywy.

– Przyszła kolej na prawdziwe nieprzyjemności, Sam. Czekaj na moją odpowiedź.

– Błagam, nie rób tego – wykrztusiłem łamiącym się głosem, który mnie samemu brzmiał obco. – Błagam. Bądź człowiekiem.

Nie wiem, co mnie naszło, żeby odwoływać się do człowieczeństwa tego durnego sukinsyna. Zdawałem sobie przecież sprawę, że jest tylko pozbawionym ludzkich uczuć narzędziem. Nie zasługiwał na miano człowieka. Gdybym nie był przywiązany do tej deski, zerwałbym się i udusił go własnymi rękami.

– Powiedz nam, dla kogo z Lucy pracujecie?

– Dla Firmy. Tylko dla niej.

Zaczął z innej beczki:

– Od kogo dostaliście pieniądze, które Lucy przelewała potem z konta na konto?

– Nic nie wiem o żadnych pieniądzach.

– Dlaczego podłożyliście bombę w biurze? Kto czuł się zagrożony jego działalnością?

Pomyślałem o organizacjach, które staraliśmy się rozpracować, o bezimiennym Carze Kasjerze, którego twarz pojawiła się na prezentacyjnym ekranie kilka chwil przed eksplozją.

– Ja tego nie zrobiłem! To nie ja!

– Gdzie jest twoja żona? Odpowiesz na chociaż jedno z tych pytań, a nie będziemy musieli ruszać w te tany.

– Ja nic nie wiem. Litości. – Nienawidziłem się za to skamlanie.

– Dlaczego biuro przy Holborn stanowiło zagrożenie dla twoich mocodawców?

– Nie mam żadnych mocodawców! Jezu, uwierz mi. Błagam!

Z tonu, jakim to z siebie wydusiłem, wywnioskował pewnie, że jestem bliski załamania. Bardzo bliski.

Zarzucił mi na twarz szmatę.

– Nie wyjdiesz już stąd, Capra, nie zobaczysz swojego dzidziusia.

– Nie! – wrzasnąłem. – Nie!

Zaczął lać mi wodę na twarz. Czuję, jak ta woda wdziera mi się do płuc. Szarpnąłem się na desce, ale więzy trzymały mocno. Ciurkający zrazu strumyczek przeszedł w rwący potok.

Topiłem się.

Zacząłem bełkotać. Bez ładu i składu. Lucy. Pocięcha. Boże, nie. Mężczyzna z blizną. Niewinny. Niewinny. Wałąc potylicą o deskę do podtapiania, o mało sam nie pozbawiłem się przytomności. Nie przywiązali mnie, jak trzeba. Ściągnął mi powoli przemoczoną szmatę z twarzy. Chwytałem łapczywie powietrze, jak ryba wyciągnięta z wody. Potem zarzucił mi z powrotem ten mokry gałgan na nos i usta.



I znowu się zaczęło. I znowu wrzeszczałem i bełkotałem od rzeczy.

Byłem im wdzięczny, kiedy w końcu odwiązali mnie od deski i zrzucili na zimną posadzkę celi, i rad byłem, że nie słyszałem ani nie pamiętam, co im nabredziłem. Są rzeczy, o których lepiej zapomnieć.

Nastał grudzień. Któryś ze strażników napomknął pewnego dnia, że to już Boże Narodzenie. Świątecznych życzeń mi nie złożył. Skończył się grudzień, zaczął styczeń. Nadszedł dziesiąty, termin rozwiązania. Może mój synek jest już na świecie, wciąga pierwsze hausty powietrza, rozgląda się za tatusiem. A ja siedzę w tej zasyfionej celi.

Tego dnia odwiedził mnie Howell.

– Dzidzius ma ci się dzisiaj urodzić.

Spojrzałem na niego sponad kartoflanki i czarnego chleba, które zaserwowano mi na lunch.

– Pójdź na współpracę, a my ze swej strony postaramy się ją odnaleźć. Mamy pod obserwacją wszystkie szpitale w Europie. Jeśli do któregoś się zgłosi, dadzą nam znać. Zobaczyłbyś swojego synka, Sam. Nie chcesz go zobaczyć?

Serce mi się ścisnęło, ale zachowywałem kamienną twarz.

– Chcę. Ale wszystko już wam powiedziałem. Wypuście mnie, Howell. Zwróćcie mi wolność. Pomogę wam ją znaleźć.

– Jak chcesz mu dać na imię?

Nie miałem ochoty rozmawiać z Howellem o moim synku. W ogóle nie chciało mi się z nim gadać.

– Wal się – warknąłem. – Gównu cię to obchodzi!

– Widzę, że humorek nie dopisuje.

– Rzygać mi się chce na twój widok. Na widok was wszystkich. Wasza głupota zwala z nóg.

Howell przyglądał mi się przez chwilę, potem wstał.

– Coś ci powiem. Walczyłem o ciebie. Uwierzyłem w twoje zapewnienia, że o niczym nie wiesz. Uważam cię za niewinnego. O ile to coś wnosi.

Upuścił na posadzkę arkusz papieru. Zdjęcie z ultrasonografu. Pociecha w całej swej okazałości. I wyszedł.

Wpatrywałem się w zdjęcie. Moje dziecko.

Jestem ojcem? Urodziło się? Muszę stąd wyjść. Mój synek mnie potrzebuje.

Ale siedziałem nadal zamyślony na zimnej kamiennej posadzce.

## 8

Cała zima nieustającego przypierania do muru. Zarzekając się, że jestem niewinny, dotrwałem do lutego. Nie było dnia bez kwestionowania, rozbierania na czynniki pierwsze, prześwietlania każdego aspektu mojego życia. Nie było dnia bez podważania moich zaprzeczeń.

Wiecie, jakie to uczucie? Kiedy człowiekowi nie wierzą? Nie wierzą mu jego znajomi, przyjaciele, partnerzy. Kiedy znika jego rodzina? Kiedy dotychczasowi koledzy są przekonani, że jest zdolny zdradzić i mordować z zimną krwią?

Okrutniejsze więzienie trudno sobie wyobrazić.

Przyszedł marzec. Howella już nie widywałem; skończyło się podtapianie. Czterej śledczy zadawali mi te same pytania i wysłuchiwali mojej litanii niewinności. Któregoś dnia do celi wmaszerowało dwóch byłych marines o byczych karkach. Jeden mnie przytrzymał, drugi wbił igłę w ramię, a we mnie obudziła się cicha nadzieja, że to już, wieczna ciemność, koniec. Że robią ze mną porządek.

Ocknąłem się w Ameryce.

Grał telewizor zamontowany w kącie, pod sufitem, nastawiony na kanał Comedy Central. Rozejrzałem się. Pomieszczenie bez okna. Gołe białe ściany, szpitalne łóżko, krzesło i ten telewizor, a w nim program rozrywkowy z komikiem miotającym się po scenie,

wywrzaskującym do mikrofonu swój monolog o świeżo upieczonych żonkosiach, jacy to oni zahukani i sztywni. Byłem przypięty pasami do łóżka. W powietrzu unosił się zapach środków dezynfekcyjnych i lawendowego odświeżacza. Po raz pierwszy od tygodni byłem umyty i w czystej piżamie. Pod pośladkami czułem basen, miałem założony cewnik; byłem podłączony do kroplówki.

Zastygłem, nadstawiając ucha, ale słyszałem tylko cichy, usypiający szum szpitalnej aparatury i klimatyzacji. Nie wołałem pielęgniarki. Czysty, w wygodnym łóżku, a nie w zawilgoconej, zapomnianej celi, przez nikogo nie kopany – niczego więcej do szczęścia nie potrzebowałem.

Komik w telewizorze psioczył na żonę. Nabijał się z kretyńskich wymagań swoich dzieci. Gdybym mógł, udusiłbym go za tę ślepą niewdzięczność. Nawet nie wiedział, jakim jest szczęściarzem. Zamknąłem oczy i znowu zasnąłem w czystości i wygodzie, w pościeli zamiast na kamieniu.

Obudziłem się z niesmakiem i suchością w ustach. Byłem nadal przywiązany. Basen i cewnik. Do salki weszła pielęgniarka, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Skrzętnie unikała mego wzroku.

– Dzień dobry – odezwałem się.

Nie zareagowała.

– Gdzie jestem? – wychrypiałem.

Nadal żadnej reakcji. Spisała wskazania przyrządów, podregulowała kroplówkę i wyszła. Sprawdziłem, jak mocno trzymają pasy. Nie uwolniłbym się z nich... Na

stoliku pod ścianą stała zielona butelka boylan bottleworks ginger ale, mojego ulubionego napoju. Jest wytwarzany w New Jersey i nie wszędzie można go kupić. I butelka heinekena, chociaż od kiedy zacząłem uprawiać parkour, nie sięgałem po niego często. Na obu butelkach połyskiwały kropelki zimnej rosy. Obok leżał stosik książek moich ulubionych autorów. I torebka pekanowych pralinek, za którymi przepadam. Nowoorleański placek od Hubiga, przysmak z dzieciństwa, którym zajadałem się, ilekroć wracaliśmy z rodzicami na jakiś czas do Stanów. Po plecach pociekł mi strumyczek potu. To pewnie jakaś nowa tortura.

Do pokoju wszedł mężczyzna. Barczysty, w eleganckim szarym garniturze, szarym krawacie, błękitnej koszuli. Włosy miał ostrzyżone na zapałkę, w hiszpańskiej bródce srebrzyły się pasemka siwizny. Howell.

– Witaj, Sam. Jak tam samopoczucie? Długo spałeś, ale to dobrze, postawi cię na nogi. – Mówił to z zatroskaniem, tak jakby naprawdę obchodziło go, jak się czuję. Cicho, spokojnie, a ja od razu znowu go znienawidziłem. Ostatnie miesiące nauczyły mnie, że nie mam żadnych przyjaciół ani cierpliwości do ludzi, którzy ich udają.

Dostrzegł płomień w moich oczach i na moment odwrócił wzrok.

– Gdzie jestem? – spytałem.

– W Nowym Jorku. Będę twoim łącznikiem.

– Jakim znowu łącznikiem?

– Wychodzisz na wolność. – Posłał mi rozbijający uśmiech.

Nie uwierzyłem. Wietrzyłem podstęp. Odetchnąłem głęboko.

– Znaleźliście moją żonę?

– Nie.

– To dlaczego...

– Potwierdziło się, że jesteś niewinny. – Teraz głos Howella stwardniał nieco, stracił na naturalności. – Przepraszamy za niedogodności.

Nie wiedziałem, czy śmiać się, czy płakać. Żałosny był sentymentalizm tych trzech słów, ich zupełna nieadekwatność do piekła, które przeszedłem.

– Jak do tego doszliście?

– Nieważne, Sam. Wiemy, że jesteś niewinny.

Zamknąłem oczy.

– Czyli mnie okłamujesz. Znaleźliście Lucy.

– Niestety – odparł. – Przysięgam, że nie wiemy, gdzie ona jest.

Milczenie, jakie zapadło, mąciła jedynie paplanina produkującego się w telewizorze komika. Chciałem wyłączyć odbiornik, ale nie mogłem ruszyć ręką. Howell odgadł mój zamiar, sięgnął po pilota i zrobił to za mnie.

– Nie wierzę.

– To nie jest żaden podstęp, Sam – zapewnił mnie Howell. – Wiemy, że jesteś niewinny. Bądź wdzięczny, że odzyskujesz wolność.

*Wdzięczność. Wolność.* Zgrzytały mi w uszach te słowa.

– Torturowaliście mnie. Przetrzymywaliście w więzieniu bez prawnika, bez sądu.

– Było, minęło, Sam. – Howell zaczął bez pośpiechu odpinać pasy, którymi byłem unieruchomiony. Robił to ostrożnie, tak jakby zdejmował wieko z kosza, w którym wije się jadowita kobra. W pewnej chwili spojrzął na mnie i wyraźnie się zmieszał. Chyba zdał sobie sprawę, że nie powinien okazywać lęku. – Wracasz teraz do życia w społeczeństwie. A mnie uważaj za kogoś w rodzaju swojego kuratora.

– Niewinnym nie przydziela się kuratora.

– Firma mnie poprosiła, żebym się tego podjął. Ja jeden ci uwierzyłem, pamiętasz? Utrzymywałem, że jesteś niewinny. Byłem twoim jedynym adwokatem, Sam.

– Jeśli nawet, to gównianym.

Howell westchnął przeciągle i przysiadł na brzegu łóżka.

– Powtarzałem dyrektorom, że moim zdaniem nie kłamiesz. Uwierzyli mi w końcu, kiedy... – Urwał.

– Kiedy co? – ponagliłem.

– Nie mogę tego powiedzieć.

– Macie wobec mnie dług.

– Nie, nie jesteśmy tobie nic dłużni – zachnął się Howell. – Byłeś zaślepiony do tego stopnia, że nie dostrzegałeś, co się dzieje pod twoim nosem.

– Ustaliliście, że winna jest Lucy? No, mów. – Boże,



a więc to jednak prawda, moja żona zdrajczynią.

– Chcesz wyjść na wolność, Sam?

– Chcę.

– No to siedź cicho. I o nic nie pytaj, zwłaszcza o Lucy. – Odchrząknął. – Porozmawiajmy o twojej najbliższej przyszłości.

Usiadłem powoli na łóżku.

– Mam już własne plany na najbliższą przyszłość. Odnaleźć żonę. I dziecko.

– Nic z tego. Nią zajmują się w tej chwili ci od bezpieczeństwa narodowego. Ty masz inne zadania.

Nie zapytałem jakiego. Przemknęło mi przez myśl, że jeśli nie będą kolidować z tym, co sobie zamierzyłem, mogę na to pójść. Podjąć tę grę.

– Moi rodzice...

– Twoi rodzice myślą, że nie chcesz z nimi utrzymywać kontaktów. I pozwólmy dalej im tak myśleć.

Milczałem. Było mi wstyd. Normalni ludzie mają normalne relacje z rodzicami. Nasze nie były całkiem normalne, przynajmniej z mojej strony.

– Naturalnie twoi rodzice zostali dokładnie prześwietleni. Są trochę... oryginalni.

– Zostawcie ich w spokoju.

– Och, bardzo by mi ich brakowało. Są przesympatyczni; lubimy przesiadywać w ogródku przy herbacie. Od jakiegoś czasu jestem ich częstym gościem. Wydział Operacji Specjalnych Firmy kupił w Nowym Orleanie dom w sąsiedztwie; jestem teraz ich sąsiadem, z

zawodu zaopatrzeniowcem w ciągłych rozjazdach. Od miesięcy inwigilujemy ich dom, telefony na podsłuchu, całodobowa obserwacja. Na wypadek gdyby skontaktowała się z nimi ciężarna synowa albo próbowali dociekać, co się dzieje z tobą. Na razie cisza. Nie odzywałeś się od Bożego Narodzenia, martwią się więc, że przepaści, jaka między wami powstała, nie da się już zasypać. – Wzruszył ramionami. – Nie bierz sobie tego tak do serca. Kto się czubi, ten się lubi. – Powiedział to jak prawdę objawioną.

– Moi rodzice... odczepcie się od nich.

– Jeśli zgodzisz się z nami współpracować, odstąpimy od inwigilacji. – Uniósł ręce. – Nie chcę w to mieszać twoich rodziców. To wspaniali ludzie, Sam.

A zatem mały szantaż. Świetnie. Czegóż nie robi się dla rodziców.

– Zgoda. – Odchrząknąłem.

– To twój szczęśliwy dzień. Praktycznie rzecz biorąc, nie zostałeś wydalony ze służby. Jesteś nadal pracownikiem Firmy. Przydzielono cię do mojej grupy. Od tej chwili jestem twoim szefem.

– Cieszę się, pomogę wam jej szukać – powiedziałem, chociaż na usta cisnęła mi się formułka „składam rezygnację”.

Howell uniósł brew.

– Naprawdę chcesz z nami współpracować, Sam?

– Naprawdę. – Było to pierwsze od miesięcy kłamstwo, jakie z całą premedytacją wypowiedziałem.

Tych, które wykrztuszałem podczas podtapiania, nie liczę. Najwyraźniej Firma zorientowała się, że informacje uzyskiwane ode mnie w ten okrutny sposób nie są nic warte.

– No to pora na instrukcje. Zostajesz tutaj, w Nowym Jorku. Masz konto bankowe otwarte na twoje nazwisko, a na nim pokaźny wkład początkowy. Wystarczy, żeby się z niego utrzymać, ale radziłbym ci podjąć pracę. Choćby tylko po to, żeby się czymś zająć.

– Pracę? Przed chwilą mówiłeś...

– Figurujesz nadal na naszej liście płac. Ale nie masz już uprawnień, Sam. A więc poszukaj sobie pracy. Jakiejś prostej, niewymagającej podróżowania.

– Nie mogę siedzieć z założonymi rękami, kiedy moja rodzina ma kłopoty – zaoponowałem.

Nie zrobiło to na Howellu żadnego wrażenia.

– Chcesz nam pomóc w odnalezieniu Lucy? To rób, co mówię. Nie ruszaj się stąd. Podejmij jakąś pracę, do której nie potrzeba specjalnych kwalifikacji.

– Całe życie pracowałem tylko dla Firmy. Trafiłem do niej prosto z college'u.

– Ale w college'u dorabiałeś sobie jako barman. Nalewaleś piwo, mieszałeś martini. O tego rodzaju posadę nietrudno. – Wzruszył ramionami. Ten gest mógł sugerować, że za nic ma moje wykształcenie, doświadczenie, jakie zdobyłem, pracując dla Firmy w terenie.

Z trudem opanowałem wściekłość, jaka we mnie

wzbierała. Przed uduszeniem Howella powstrzymywała mnie tylko świadomość, że wróciłbym za to do celi. Wstałem powoli z łóżka i zakręciło mi się w głowie. Howell mnie podtrzymał. Leki, jakie mi aplikowano, i długa bezczynność zrobiły swoje.

– Powiem bez owijania w bawełnę. Będę szukał swojej żony i dziecka.

– Zastosujesz się do instrukcji albo gorzko pożałujesz, Capra.

– Nie możecie mi zabronić...

– Jeśli złamiesz warunki, na których zostajesz zwolniony, wrócisz do więzienia. Wszelkie przesłanki przemawiające za twoją niewinnością ulegną anulowaniu i pójdziesz pod sąd z całą litanią zarzutów, od prania brudnych pieniędzy poczynając, a na zdradzie kraju kończąc. – Mocne to było. Wypowiedziane stanowczym tonem. Uznałem, że lepiej nie przeciągać struny, i w milczeniu czekałem na wyliczenie tych warunków.

Od nich zależała reszta mojego życia.

– Przywarujesz, zajmiesz się czymś, żeby z nudów głupie myśli nie chodziły ci po głowie, nie będziesz próbował kontaktować się z mediami ani z kolegami z Firmy – o ile masz tam jakichś. Nie wszyscy jeszcze wiedzą, że zostałeś oczyszczony z zarzutów. Szukanie Lucy pozostawisz nam i nie będziesz nam wchodził w drogę.

– To czym ja teraz jestem? Bezwartościowym śmieciem?

Po raz pierwszy od miesiący ujrzałem w jego oczach ten straszny błysk, błysk współczucia.

– A jaką ty możesz mieć dla nas po tym wszystkim wartość, Sam? Albo wiedziałeś, że ona zdradziła i nic nie zrobiłaś, co degraduje cię w oczach Firmy jako współwinnego; albo nie zorientowałeś się, że jest zdrajczynią, co też cię degraduje jako skończonego idiotę.

Patrzyłem na niego przez chwilę, potem spuściłem wzrok na idealnie czyste kafelki posadzki. I tak wróciliśmy do pierwszego pytania, jakie mi dawno temu zadał. Tyle cierpień mnie to kosztowało.

– Dojdiesz tutaj do siebie, odzyskasz siły, a za jakiś czas wyślemy cię znowu w teren – podjął Howell. – Trochę wychudłeś. Przyniosłem ci trochę ubrań. Przymierz, coś z tego na pewno będzie na ciebie pasowało, i zejdziemy na dół. – Wstał i odkapslował mi butelkę zimnego piwa. – Czekają tam same twoje przysmaki. Kukurydzianka na ostro, sałatka z pleśniowego sera, rostbef z chrzanem, tłuczone ziemniaczki, szparagi, ciasto z limonką, kawa. Kolacja marzeń, nieprawdaż?

Wstyd przyznać, ale ślinka napłynęła mi do ust.

– Coś mi się to kojarzy z ostatnią wieczerzą.

Howell zaryzykował kolejny nikły uśmiezek.

– Zastosuj się do instrukcji, a wszystko będzie dobrze.

– I mam puścić w niepamięć te miesiące cierpień?

– Udawajmy wszyscy, że to się nie zdarzyło.

– Nie zdarzyło? Boże.

Potrzebowali mnie znowu w terenie. Do czego?

– Poproszę zaraz pielęgniarkę, żeby cię od wszystkiego odłączyła, i ubierzesz się. Ubranie znajdziesz w szafie.

Zacząłem odrywać sobie od ciała czujniki aparatury medycznej.

– Mam do ciebie jedno pytanie, Sam – podjął. Dałem spokój czujnikom.

– Jakie?

– *Novem soles*. – Powiedział to tak cicho, że nie byłem pewien, czy dobrze usłyszałem.

– Co?

– Czy już gdzieś to słyszałeś?

– *Novem soles*? To chyba po łacinie. *Novem* znaczy „dziewięć”, a *soles*?

– Słońca. Dziewięć słońc. Czy Lucy wypowiedziała kiedyś przy tobie te słowa?

To nie było rzucone od niechcienia pytanie. Zastanowiłem się. Howell nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Nie. A co znaczą? – Trochę dziwacznie to brzmiało. Ale Firma nadawała generowane przez komputer kryptonimy każdemu zadaniu, operacji czy projektowi, i to na taki wyglądało. Dziewięć słońc? Żadnych skojarzeń.

Howell wciąż mi się uważnie przyglądał. Z tymi czujnikami na klatce piersiowej i pod tym jego spojrzeniem poczułem się nagle jak badany na wykrywaczu kłamstw. W końcu Howell się uśmiechnął.

– Znaczą, że idziemy na smaczną kolację.

Podszedł do drzwi i zawołał pielęgniarkę. Odłączyła mi cewnik, resztę czujników, których sam nie zdążyłem jeszcze oderwać, kroplówkę, i odłożyła to wszystko na wózek. Pomogła mi włożyć szlafrok. Chociaż osłabiony i wygłodzony, zżymałem się wewnątrz na myśl, że przyjmuję poczęstunek od tych sukinsynów. Posiłek na talerzu. Taki z prawdziwego zdarzenia, a nie breja, która mnie ostatnio karmiono. Zjem go. Muszę przecież nabrać sił.

Wstałem z łóżka. Howell podał mi ramię, ale je odtrąciłem. Dobrze, przyjmę ich zaproszenie, ubiorę się i zejdę tam, ale o własnych siłach. Nie miałem jednak złudzeń. Ta ich troska jest fałszywa. Nie byłem dla Howella przyjacielem, któremu chce pomóc w odbudowaniu życia osobistego i powrocie do pracy. W uszach rozbrzmiewały mi wciąż jego słowa: to się nie zdarzyło.

Przez tyle miesięcy nie udało im się znaleźć ani Lucy, ani mężczyzny z blizną w kształcie znaku zapytania. Wpadli więc na pomysł, żeby wykorzystać mnie. Howell i jego przełożeni natknęli się na jakieś Novem Soles, cokolwiek to było, i umyślili sobie, że wypuszczony z więzienia doprowadzę ich do tego czegoś.

Nie miałem wątpliwości: zostałem przynętą. Przynętą na tego, który wrobił w to wszystko mnie i Lucy.

August Holdwine dopił whisky, odstawił szklaneczkę na serwetkę leżącą przed nim na blacie dębowego baru i spojrzał na mnie.

– Nie przyszedłem tutaj na przeszpiegi – oświadczył.

– Mówię to na wypadek, gdybyś tak sobie pomyślał.

– Wiem – mruknąłem. – Jeżdżą już za mną vanem ludzie Howella, z oka mnie nie spuszczaają. Powtarzamy?

– Nie. – August pokręcił głową. – Jutro muszę być w pracy. – Ale nie wstawał jeszcze, nie zbierał się do wyjścia. Był potężnie zbudowanym blondynem o rumianych policzkach. Miał dobre metr dziewięćdziesiąt wzrostu oraz imponujące, wypracowane w studenckich czasach bicepsy, które nie zwiotczały jeszcze i nie obrosły tłuszczem, chociaż ten proces już się zaczynał. – Hmm, tego... – odchrząknął – ...może nie powinienem wspominać przy tobie o pracy.

– Jeśli krępuje cię, że ty masz wciąż pracę w Firmie, a ja tu serwuję drinki, to się odpręż – uspokoiłem go. – Fach barmana to dobry fach.

– Ja też bym chyba wolał pracować za barem. Mniejszy stres.

– To może się zamienimy?

Poznaliśmy się z Augustem na szkoleniu w Firmie, ja trafiłem tam prosto z Harvardu, on z Uniwersytetu Minnesoty. Był moim przeciwieństwem: chłopakiem ze wsi, który prawie całe życie spędził w jednym miejscu, na



farmie prowadzonej przez jego rodzinę od siedmiu pokoleń. Dla mnie taka stabilizacja była niewyobrażalna. Miał pospolitą, wzbudzającą zaufanie, szczerą twarz i tubalny baryton. Pracował w kraju, w biurze na Manhattanie. To on załatwił mi tę pracę barmana u Olliego. Firma wysmażyła mi CV przedstawiające mnie jako doświadczonego barmana pracującego wcześniej w znanych knajpach Chicago i Nowego Orleanu. Nie zapomniałem jeszcze tego, czego się nauczyłem, dorabiając sobie za barem podczas studiów, i dobrze się czułem z powrotem między kuflami i kurkami: byłem wśród ludzi, ale oddzielony od nich barem. Żaden z moich kolegów z Firmy nie raczył dotąd zadzwonić ani złożyć mi kondolencji. Byłem zapowietrzony. Howell miał rację, panowało powszechne przekonanie, że zdradę współmałżonka zawsze się wyczuwa. Czyli mój przypadek był beznadziejny. Jedynym, który nie odwrócił się ode mnie plecami, był August. No i dobrze. August był idealnym kompanem do przesiadywania w barze. Można mu się było zwierzyć z najmroczniejszego sekretu i mieć pewność, że cię nie osądzi, można też było w ogóle się nie odzywać i nie wymieniając żadnych uwag, gapić się razem z nim w telewizor włączony na kanał sportowy. Taki był August.

Chętnie porozmawiałbym z nim teraz szczerze. Ale coś mnie przed tym powstrzymywało. Nie miałem całkowitej pewności, czy naprawdę nie nasłał go na mnie Howell, a jeśli nie, to i tak lepiej będzie dla niego i dla

mnie, żeby za wiele nie wiedział, kiedy wprowadzę już w życie swój plan.

– No nic. Pora już na mnie – mruknął. – Muszę jutro wcześniej wstać.

– Wydoić krowy? – Lubilem mu wytykać jego wiejskie pochodzenie.

Nie wstawał od baru.

– Napijesz się jeszcze? – Czekałem.

Spojrzał na mnie swoimi wyblakłymi błękitnymi oczami.

– Czym ty wypełniasz czas, Sam?

– Głównie nalewaniem piwa. – Popatrzyłem wzdłuż baru: poza nami nikogo. W poniedziałkowe wieczory u Olliego ruch był zawsze najmniejszy. Dziwna sprawa, przecież poniedziałki są tak dołujące, że człowiek powinien odczuwać potrzebę przepłukania po nich ust, kiedy dobiegają końca.

– Milkliwy jakiś jesteś.

– Niewiele mam do powiedzenia, Auguście.

– Nie wiem, co ci powiedziano, ale nie wszyscy w Firmie wierzą, że dałeś się odwrócić. Większość twoich przyjaciół jest nadal twoimi przyjaciółmi.

– Większość? Miło to słyszeć.

Wzruszył ramionami. Chciał dobrze, ale chyba przesadził. Dla Firmy pracują dziesiątki tysięcy ludzi; zdrajców w jej historii jest garstka i nigdy im się nie wybaczają.

– Coś ich tu dzisiaj nie widzę. – Wytarłem czysty już

bar.

August uniósł szklaneczkę, ale zaraz ją odstawił, uświadamiając sobie, że jest już pusta.

– To akt odwagi z twojej strony, że nadal ze mną trzymasz, Auguście, czy po prostu robisz, co ci kazano? – Nie zamierzałem poruszać tego tematu, kończyła mi się jednak cierpliwość.

– Nikt mi niczego nie kazał. Howell powiedział, że zostałeś oczyszczony, ale na razie nie możesz jeszcze wrócić do pracy.

– Jestem wabikiem na tego, kto uprowadził Lucy. Wyszuto tezę, że miałem zginąć w tym wybuchu, a przez nią tak się nie stało.

– Wiem, wiem. Bądź więc tą przynętą. Ale nie myśl, że jesteś pozostawiony samemu sobie. Bo nie jesteś.

– Nasze londyńskie biuro wsadziło kij w mrowisko, Auguście. Ten Car Kasjer, ta organizacja siatek przestępczych. Gdybyś mógł mi pomóc... dowiedzieć się, czy mają już jakiś trop prowadzący do tego, kto stał za tym zamachem.

– Nie mogę, Sam. Nie mam takich możliwości.

– Ale mógłbyś zajrzeć do akt...

Uniósł rękę.

– Nie da rady. Koniec rozmowy. Dochodzenie zostaw im. Ciesz się, że oczyścili cię z zarzutów.

– Jeśli rzeczywiście to zrobili.

Odchrząknął.

– Musisz rozważyć ewentualność, że Lucy cię

zwodziła.

– Przez trzy lata? Niemożliwe.

– Może nie robiła tego przez całe te trzy lata. Może dała się odwrócić dopiero niedawno.

To istny koszmar prowadzić ze starym przyjacielem z pracy rozmowę obracającą się wokół tematu „moja żona nie jest zdrajczynią”.

– Tak, bo dowiedziono naukowo, że kobiety w ciąży notorycznie pakują się w awantury, za które grozi aresztowanie i długoletnia odsiadka.

August obracał w dłoniach pustą szklaneczkę.

– Tak tylko mówię.

– To w takim razie powiedz, po co miałyby mi ratować życie? – Musiałem przytoczyć ten argument.

– Nie bądź kretyńcem, Sam. Przeżyliście tylko wy, ale ona znika, a ty jesteś pod ręką, więc w pierwszej kolejności Firma zajmuje się tobą. Jej na razie odpuszczają, dzięki czemu ma szansę na dokładniejsze zatarcie za sobą śladów.

– W głowie mi się nie mieści...

– Że byłeś takim dobrym mężem?

Spojrzałem w te jego wyblakłe błękitne oczy.

– Jeśli nawet była umoczona, to przez te trzy lata małżeństwa dobrze mnie poznała i wiedziała, że jeśli zdradzi i zginą nasi przyjaciele, a ja ocaleję, to nie daruję, będę ją ścigał do skutku. Tak, gdyby była zamieszana w ten zamach, to raczej nie ratowałaby mi życia. – Wyrecytowałem to głosem opanowanym i chłodnym.

– Tyle w tobie energii, a siedzisz wciąż tutaj, na Brooklynie?

– Gdybym spróbował się stąd ruszyć, raz dwa by mnie dorwali i wsadzili z powrotem do mamra.

– Chyba żebyś nie dał się dorwać.

– Auguście, wyszedłem niedawno z firmowych kazamatów. Nie będę ryzykował powrotu. Nie było tej rozmowy.

August położył na blacie należność.

– Reszty nie trzeba – burknął, ruszając do wyjścia.

– Dzięki. – Odprowadzałem go wzrokiem. Głupio jakoś dostawać napiwek od przyjaciela i nie chciałem, żeby mi go dawał, ale wrzuciłem resztę do słoika na napiwki. Wróciłem do swoich zajęć, czyli do parzenia dzbanka kawy bezkofeinowej dla Olliego oraz obsługiwania grupki niedoszłych artystów, którzy pięć minut później wpadli na piwo.

Klienci Ollie's Bar zamawiali przeważnie piwo albo wino. Ale przynajmniej sześć razy na dzień podawałem martini z wódką; pięć razy na dzień whisky; a od przypadku do przypadku Margaritę z lodem. Nie mieliśmy automatu serwującego mrożoną Margaritę; nie ten rodzaj baru. Miałem paru stałych klientów, którzy zaglądali w przerwie na lunch i prosili zazwyczaj o Krwawą Mary. Przyrządzałem im ją po znajomości mocniejszą, a oni odwdzięczali mi się wyższymi napiwkami. Mieszałem te drinki, niewiele się odzywałem, odbudowywałem utraconą masę ciała i dużo sypiałem. August wpadał na

drinka, kiedy miałem wieczorną zmianę. Przepytałem kolegów z baru i żaden z nich go sobie nie przypomniał. To by znaczyło, że nie zaglądał tu, kiedy miałem wolne. Czułem, że odzyskuję siły, ale parkour zacząłem znowu uprawiać tylko na podstawowym poziomie – skoki na poręcz, przesadzanie niskich murków – bo wyszedłem z wprawy i nie chciałem się nabawić kontuzji. Udawałem, że nie dostrzegam śledzących mnie wywiadowców od Howella. A przecież nie dało się nie zauważyć trójki tych żółtodziobów – dwóch pieszo, jeden w furgonetce – którzy nie odstępowali mnie na krok. Pilnowali mnie, sprawdzali, jak się sprawuję, czy trzymam się instrukcji, jakie otrzymałem.

Albo, przeciwnie, czekali, aż ktoś mnie zabije.

Lubię bary. Nie piję dużo, ale odpowiada mi atmosfera dobrej knajpki – ten gwar wesołych przekomarzań przy stolikach, zapach dobrego alkoholu, te wybuchy śmiechu. Ollie’s był porządnym, zwyczajnym barem: szeroki dębowy kontuar, stołki z siedziskami obitymi skórą upstrzoną odciskami palców stałych klientów, trochę kiczu na ścianach – lustra od kompanii piwowarskich oraz kolekcja oprawnych w ramki fotografii ojca Olliego, pierwszego właściciela, każda przedstawiała go w towarzystwie innego bywalca. Tych ostatnich była cała gama, od starszych mieszkających od dawna po sąsiedzku, po młodszych z bohemiańskim zadęciem, którzy prawdopodobnie nie wyżyliby z uprawiania swojej dziedziny sztuki, gdyby nie wsparcie rodziców. Od czasu do czasu do Olliego przywiewało też japiszonów z Manhattanu. Ci pili importowane trunki i bardziej wyszukane koktajle i dawali większe napiwki. W sumie klientela była tu sympatyczna. Nikt mnie o nic nie pytał. Podawałem drinki, zamieniłem parę słów, kiedy było trzeba, i nikt nie wiedział, przez co przechodzę.

Firma wynajęła mi mieszkanie w Williamsburgu na Brooklynie, trzy przecznice od Olliego. Nie należało do tanich, ale to nie ja opłacałem czynsz, a w kamienicy lokali było tylko kilka, więc sąsiadów prawie nie widywałem. Howellowi zależało widocznie na wyizolowaniu mnie z otoczenia. Podejrzywałem, że

zarówno Ollie's, jak i moje mieszkanie są na podsłuchu, może nawet na podglądzie. Kamer u siebie nie znalazłem, ale pluskwy owszem, cztery, i nazajutrz, wychodząc z domu, zatrzymałem się przy furgonetce. Siedzący w środku mężczyźni patrzyli zdębiałi, jak układam je na dachu w równym rzędku. Następnego dnia jeździli już za mną innym samochodem, a ja nie znalazłem nowych pluskiew, co bynajmniej nie znaczyło, że ich nie podłożono.

Przypominało to życie w klatce. Ale nie była to przynajmniej kamienna cela. Zastanawiałem się, jak długo ludzie Howella będą za mną chodzili i czy wsadzą mnie z powrotem za kratki, jeśli nie przyciągnę porywaczy Lucy. Obmyślałem sposób ucieczki. Pośpiech nie był w tym wypadku wskazany. Znajdowałem się nadal w klatce, ale przynajmniej zapewniała swobodę ruchu. Nie uśmiechało mi się wracać do polskiego więzienia.

A w przerwach między serwowaniem drinków myślałem o Lucy i Pocieszce.

Pewnego dnia, pod koniec marca, przyszedłem do pracy trochę poturbowany. Na przejściu dla pieszych potrącił mnie kurier na rowerze, upadłem i obtarłem sobie skórę na przedramieniu. Moje cienie nie pośpieszyły mi z pomocą. Podwinąłem rękaw, żeby nie zaplamić krwią koszuli, i wszedłem do Ollie's od frontu; było wczesne sobotnie popołudnie i przy barze siedziała tylko jedna klientka.

Była trochę starsza ode mnie, około trzydziestki.



Ładna, ale z jakąś taką hardością w oczach i wąskimi, mocno zaciśniętymi wargami. Na widok jej kości policzkowych fotograf z miejsca zacząłby komponować w myślach kolejne wspaniałe ujęcie. Miała na sobie czarne spodnie i ciemny sweter. Jasne włosy koloru słomy sięgały ramion. Uniosła do ust szklaneczkę nierozcieńczonej whisky i upiła łyczek. Ruchy miała precyzyjnie odmierzone. Nie spojrzała na mnie, ale była chyba w pełni świadoma mojej obecności. Będzie z nią kłopot, przemknęło mi przez myśl.

– Masz apteczkę? – zwróciłem się do Olliego.

– W biurze – warknął Ollie wkurzony, że mu przerywam konwersację z klientką. Wskazał na mnie kciukiem. – Ten tutaj też lata jak nawiedzony, po schodach, po ścianach. Skręci sobie kiedyś kark i będę musiał szukać nowego barmana.

Kobieta zmierzyła mnie wzrokiem.

– *L'art du déplacement*? – Głos miała niski, chłodny jak powiew wietrzyku w cieniu drzew, i dziwny akcent, którego nie potrafiłem umiejscowić. Była piękna – co stwierdzałem nawet ja, zapatrzony w Lucy – ale nie podobała mi się.

No i użyła oryginalnego francuskiego określenia parkouru. Kiwnąłem głową.

– Pani jest traceuse? – spytałem. Tak nazywają siebie uprawiający parkour, to zaczerpnięty z francuskiego termin oznaczający pocisk smugowy.

– Nie, nie. Mieszkałam jakiś czas w Paryżu.

Widziałam tam młodzież biegającą po skrajach budynków, przeskakującą z dachu na dach i nie mogłam wyjść z podziwu, że jeden z drugim nóg sobie przy tym nie połamię. – Cień uśmiechu. – Zazdrościłam im odwagi, sprawności.

– Jak chce się poskakać przez przeszkody, to najlepszy jest parkur, no ten, dla koni – wtrącił Ollie i dolał kobiecie whisky, chociaż o to nie prosiła.

– Najbardziej wymagającym torem przeszkód jest samo życie – powiedziała. – Tu się dopiero można wykazać. – Spojrzała znowu na mnie. – Przypominali mi zawsze wilki.

Uniosłem brew.

– Swoją gracją. Wilki w mieście. Łowcy. Ci biegacze przywodzili na myśl watahę, która osacza ofiarę. – Pociągnęła łyczek whisky. – Mam słabość do wilków.

Była to uwaga z gatunku tych dziwacznych, wygłaszanych w barze, które w innych okolicznościach nie miałyby większego sensu, ale wydają się całkiem rozsądne w przytłumionym świetle, kiedy wargi piecze trunek. Ollie popatrzył na kobietę z niepewnym uśmiechem i postanowił zakończyć ten temat prezentacją:

– Aha, Sam, ta pani ma na imię Mila.

Mila podała mi rękę.

– Często tu bywasz, Mila? Jestem nowy i nie znam jeszcze wszystkich poddanych króla Olliego.

– Często to ona jest w podróży. Do nas wpada tylko,

jak zahaczy o Nowy Jork, czyli jakieś trzy razy do roku. A wtedy przez tydzień nie mogę się od niej odczepić. – Ollie uśmiechnął się. – Chce ode mnie odkupić ten bar, ale jak ci wiadomo, ani mi w głowie go sprzedawać.

– Mogę nad nim popracować, jeśli ci tak zależy – zwróciłem się do Mili z uprzejmym uśmiechem barmana. – Założę się, że marzy o przeniesieniu się na stare lata na Florydę.

– Jezu, tylko nie to – zaperzył się Ollie. – Urodziłem się i umrę w Nowym Jorku.

– Sprzedać, nie sprzeda, ale mojej oferty cierpliwie wysłuchuje i co chwila podlewa, bo ma z tego zysk. W tym tygodniu osuszyłam już całą butelkę glenfiddicha.

– Też chciałbym podróżować. – Westchnąłem.

– Świat się ostatnio skurczył. I to bardzo. – Milla wzruszyła nieznacznie ramionami. – Uważaj na swoich parkourowych trasach, Sam. Z barmana o kulach Ollie nie będzie miał żadnego pożytku.

– Ho, ho! Sam i o kulach byłby dobry. Bo ta cała reszta, Jezu, Milla, nie uwierzysz. Czy tak trudno napełnić szklankę zgrabnie, szybko i bez ubytków? Tak trudno? Większość załatwia grawitacja. Do tego nie trzeba ręki chirurga. A ten fajtłapa z dziennej zmiany wychłapuje całą moją marzę z zysku, a potem ściera ją z podłogi mopem...

Uniosłem obtartą rękę.

– Lepiej to zabandażuję.

Znalazłem apteczkę w zagraconej pakamerze Olliego.

Stało tam zavalone papierami biurko, na nim przedpotopowy komputer, którego Ollie do tej pory nie nauczył się obsługiwać (musiałem mu pomagać, kiedy chciał coś znaleźć w Internecie, a kiedyś nawet odzyskać arkusz kalkulacyjny, który niechcący wykasował), a obok sejf. Z włamaniem do tego sejfu nie byłoby chyba większych kłopotów; miał numeryczną klawiaturę, a zważywszy na awersję Olliego do nowoczesności, hasło nie było trudne do odgadnięcia.

Z obandażowanym przedramieniem, w służbowym stroju, wróciłem na salę. Mili już nie było, należność w banknotach, ze sporą górką, zostawiła pod szklanką.

– Wykończy mnie ta kobita – poskarżył się Ollie. – Jasny gwint. Lubię ją, ale co za dużo, to niezdrowo.

– Skąd ona jest?

– A cholera ją wie.

Gdyby Howell chciał, żeby oprócz zespołu, który już za mną chodził, śledził mnie ktoś jeszcze, albo przyszło mu do głowy, żeby mi kogoś podstawić, wybrałby chyba kogoś takiego jak Mila. Tak samo Car Kasjer, gdyby chciał zrobić ze mną porządek.

Jedno ale. Przecież Ollie ją zna, i to od dawna. Chyba że to nieprawda i Ollie tylko tak mówi, bo pracuje dla Howella i dostał takie instrukcje. Oszaleć można. Pierwsza oznaka paranoi: wszyscy wokół wydają się podejrzani. Porzuciłem te myśli i zabrałem się do wycierania baru.

– Hej, mam tu coś dla ciebie. – Ollie pchnął po

kontuarze opasłe tomiszczce.

Zatrzymało się przede mną. Spojrzałem na okładkę. Poradnik barmana. Sprawdziłem, ile ma stron – 508. No, istne kompendium wiedzy.

– Teoretyczne przygotowanie to podstawa. Barman musi wiedzieć, co z czym i w jakich proporcjach się miesza, żeby nie marnować alkoholu – ciągnął Ollie. – Zabierz to do domu.

– Większości tych drinków nigdy nie będę przyrządzał.

– Wyglądasz mi na człowieka, który lubi być przygotowany. – Ollie miał rację.

Mijał powoli tydzień. Dave i jego budweiser, Meg ze swoim pinot grigio, bracia Alton wpadający co piątek na wieczorną pintę guinnessa; ci ostatni śledzili proces napełniania szklanek browarem z taką fascynacją, jakbym, nie przymierzając, lał do nich płynne złoto. Pracowałem, biegałem, a dwa cienie od Howella nie odstępowały mnie na krok. Wieczorami kładłem się na łóżku i kartkowałem pięćsetstronicowy poradnik barmana. Odprężało mnie odkrywanie tych tysięcy koktajli, jakie wymyśliła do tej pory ludzkość; każdy stanowił idealną mieszankę tego, co akurat było pod ręką, a gwarantowało pożądany efekt. Tym torem powinny podążać moje myśli, jeśli chciałem skutecznie rozwiązać swój problem. Jakie składniki i w jakiej kolejności zmieszać, żeby uzyskać zamierzony rezultat.

Jak skombinować pistolet, skąd wziąć papiery, które

pozwoliłyby mi na przekraczanie granic, jak wymknąć się spod nieustającej obserwacji Howella.

Na początku następnego tygodnia Ollie wyrzucił barmana, który mu podpadł, i zatrudnił nowego, żeby mieć się na kim wyżywać. August pojawił się tylko dwa razy, obejrzał kawałek transmisji meczu koszykówki, do mnie prawie się nie odezwał. Sprawiał takie wrażenie, jakby zbierał się na odwagę, żeby coś mi powiedzieć, ale nie wiedział, jak zacząć.

Uroczą Mila wpadała przez cztery kolejne dni, zawsze wieczorem, wdawała się w dyskusje o polityce z Olliem, a mnie pytała o moje parkourowe przełaje, i to wszystko. Czuję jednak, że obserwuje mnie przy pracy, tak jakby mnie oceniała. W piątek Ollie, wyjeżdżając na dwa dni do New Jersey do chorej matki, prowadzenie baru pod swą nieobecność powierzył mnie; już pierwszego wieczoru obejrzałem klawiaturę sejfu w jego biurze i stwierdziłem, że odciski palców znajdują się tylko na czterech klawiszach. Z tymi samymi czterema cyframi co w adresie baru. Wystukałem ten czterocyfrowy szyfr; sejf się otworzył. W środku znajdowała się torba z gotówką, glock z trzema pełnymi magazynkami oraz paszport Olliego wykorzystany przez niego tylko raz, przed trzema laty, podczas podróży do Irlandii. Zostawiłem to wszystko i wytarłem klawiaturę. Dobrze wiedzieć, że broń, której wkrótce będę potrzebował, bo najwyższy czas przystąpić do działania, już praktycznie mam. Wywiadowcy Howella jakby trochę odpuścili, przede wszystkim nie wyrosli przy

mnie jak spod ziemi, kiedy zostałem potrącony przez rowerzystę. Albo się zagapili, albo Howell, nabrawszy przekonania, że nie mam w planach żadnego brzydkiego numeru, zdjął ze mnie ścisły nadzór. I o to mi właśnie chodziło.

Tak więc pistolet już miałem. Ale nie miałem paszportu. A musiałem wrócić do Europy. Tam brał swój początek trop Lucy.

Nie miałem zielonego pojęcia, skąd w Nowym Jorku można wytrzasnąć fałszywe dokumenty. Paszporty miały teraz cyfrowe znaki wodne, wtopione czipy i nie było ich już tak łatwo podrobić jak dawniej. Potrzebny był mi ktoś, kto jest w stanie zdobyć specjalny papier, na którym paszporty są drukowane – zazwyczaj od kogoś, kto rozsyła dokumenty kanałami dyplomatycznymi albo pracuje w rządowej drukarni. Nie musiał to być paszport amerykański; na dobrą sprawę prościej byłoby załatwić sobie belgijski, brytyjski albo kanadyjski. Powszechnie wiadomo, że najłatwiejsze do podrobienia są dokumenty belgijskie.

Musiałem więc znaleźć kogoś, kto załatwiłby mi dokument, który nie wzbudzi podejrzeń podczas kontroli paszportowej. Z tego, co wiedziałem, czarnorynkowa cena fałszywego paszportu oscylowała wokół ośmiu tysięcy dolarów. Musiałem zebrać albo ukraść tę sumę, a przed przystąpieniem do szukania kontaktu zgubić śledzących mnie agentów. W okolicach brooklyńskiego pchlego targu, znikając na parę minut z oczu psom gończym



Howella w przelewających się tam tłumach, kupiłem telefon komórkowy na kartę. W poszukiwaniu kogoś, kto mógłby mi pomóc w powrocie do Europy, wykonałem kilka dyskretnych telefonów do moich niepowiązanych z CIA kontaktów w Pradze, Paryżu i Londynie.

Żadna z osób, do których dzwoniłem, nie wiedziała, że mam cokolwiek wspólnego z Firmą. Znały mnie jeszcze z czasów, kiedy działałem pod przykrywką w Pradze, podając się tam za byłego kanadyjskiego żołnierza Samsona – prawie tak samo jak Sam, co eliminowało ryzyko, że kiedyś się przejęzyczę – teraz przemytnika i najemnika.

Przez trzy dni nie było żadnego odzewu. Czwartego zadzwonił znajomy z Londynu z informacją, że pewien broker z New Jersey nazwiskiem Kitter może mi zorganizować belgijskie dokumenty. Zadzwoniłem do tego Kittera i umówiłem się z nim na następny dzień w Bryant Park w centrum Manhattanu.

Urwałem się swoim ceniom, wchodząc do Olliego – nigdy tam nie przesiadywali, zawsze obserwowali bar z zewnątrz – i wychodząc od zaplecza, w zaułek, a następnie skręcając do delikatesów na jego rogu.

Na wypadek gdyby któryś z cieni zauważył jednak, jak tam wchodzę, a musiałem zakładać taką ewentualność, opuściłem sklep również tylnym wyjściem, przeciąłem jezdnię i skryłem się w hotelu po drugiej stronie ulicy. Zacząłem wypatrywać stamtąd znajomych twarzy – żadna sztuka przebrać się z garnituru w sportowe ubranie,

twarży tak łatwo się nie zmieni. Uznawszy, że jestem czysty, złapałem taksówkę i pojechałem godzinę wcześniej na Manhattan. Wysiadłem przy Grand Central. Nadal byłem czujny, wchodziłem do budynków i hotelowych holi, żeby po chwili z nich wyjść, zawracałem, zatrzymywałem się przed wystawami, nic jednak nie wskazywało na to, żeby szedł za mną ktoś od Howella.

Mężczyzna przypominający z wyglądu Kittera siedział na skraju ławki ze słuchawkami od iPod'a w uszach, przewody niknęły pod marynarką. Czytał „Wall Street Journal”. Przewiewne niebieskie dzinsy, flanelowa koszula. Usiadłem na drugim końcu ławki.

Wyjął słuchawki z uszu, ale na mnie nie spojrział.

– Przysłał mnie nasz wspólny znajomy – odezwałem się. – Potrzebne mi dokumenty. – Załaskotało mnie w gardle; najchętniej przerwałbym tę zabawę w konspirację i przeszedł do konkretów. Głupie uczucie. Ale już tyle miesięcy czekałem na szansę ruszenia tropem Lucy. Byłem jak pies szarpiący się na smyczy, gotowy rzucić się w pogoń. Nie mogłem dłużej zwlekać. Moja rodzina śniła mi się noc w noc.

– Zdjęcia i pieniądze są?

– Cztery tysiące i zdjęcia. Połowa z góry, reszta, kiedy dostanę gotowy paszport.

Wziął ode mnie kopertę.

– Za trzy godziny w Starbucksie, po północnej stronie Grand Central.

Wstał i oddalił się. Siedziałem jeszcze chwilę i myślałem: No, załatwione. Potem też podniosłem się z ławki i zmartwiałem. Dziesięć kroków ode mnie stał Howell z rękami w kieszeniach kurtki. Rozejrzałem się, Kitter rozplątał się bez śladu z moimi pieniędzmi.

Usiadłem z powrotem. Howell podszedł do mnie. Nie usiadł.

– Nie dziwię ci się – powiedział. – Żona, dziecko, na twoim miejscu zrobiłbym wszystko, żeby ich odnaleźć.

– Dostanę z powrotem swoje pieniądze?

– Nie. Niech to będzie dla ciebie naučka.

– To tobie przydałaby się naučka – warknąłem. – Potrafię odszukać porywaczy Lucy, muszę tylko wrócić do Londynu.

– Nie możemy ci zaufać. Nie zastosowałeś się do instrukcji.

– Powiedziałeś przed chwilą, że mi się nie dziwisz.

– Nie zostałeś zwolniony, Sam, przeniesiono cię tylko do innego wydziału, w związku z czym nie możesz złożyć wypowiedzenia bez zgody dyrektora. A nie masz tej zgody. Jesteś nasz. Rób, co ci kazano, i ciesz się, że nie odsiadujesz w celi dożywocia. Byliśmy dla ciebie wyrozumiali. Wracaj do tego przesympatycznego osiedlowego baru, uśmiechaj się do ludzi, dziękuj Bogu, że nie siorbiesz zimnej zupy z drewnianej miski i nie spuszcza ją ci co dzień łomotu.

Pokręciłem głową.

– Śni mi się po nocach mój synek. Macie to w swoich

aktach, Howell? Śnią mi się moja żona i dziecko, bo wiem, że ona jest niewinna, że gdzieś tam są, a... a wy stoicie mi na drodze. – Po raz pierwszy od długiego czasu usłyszałem w swoim tonie ten stalowy warkot.

Na Howellu nie zrobiło to wrażenia.

– Jesteś wolny, Sam. Wracaj do domu. I zachowuj się. Następnym razem nie będę taki wyrozumiały. W biurze odbyła się cała debata, czy cię aby nie odstrzelić za próbę zdobycia fałszywych dokumentów. Twój wybryk mógł świadczyć zarówno o zdesperowaniu, jak i nieczystym sumieniu. Ja optowałem za desperacją i dziękuj Bogu, że udało mi się przekonać do tego innych. Ale desperacja się wypala. Zrób to jeszcze raz, a marne twoje widoki.

– Nie aresztujecie mnie tylko dlatego, że służę wam za przynętę – odparłem. – A wsadzajcie mnie z powrotem. Bo ja z założonymi rękami siedzieć nie będę.

– Wracaj do siebie, a my udajemy, że to się nie zdarzyło.

– Nie zdarzyło się, w kółko to powtarzasz. Ale na mnie takie odzywki nie działają.

Howell odwrócił się bez słowa i ruszył przed siebie. Wyraźnie zdenerwowany przypalił w marszu papierosa i ze złością wydmuchnął kłęb dymu.

Mylił się. Desperacja się nie wypala. Wprost przeciwnie, przybiera na sile. Patrzyłem za nim przez chwilę, potem wstałem i ruszyłem w przeciwnym kierunku.

Do Brooklynu wróciłem autobusem. Nie zawracałem już sobie głowy gubieniem jakichś tam ogonów, dzięki czemu szybciej byłem na miejscu. Dzień pracy zaczął mi się od wysłuchiwania dyżurnych tekstów Olliego, nalewania lunchowych półpint harpa i budweisera, napełniania szklanek wodą mineralną, pochylania się nad problemami, jakie stali klienci mieli ze swoimi klientami, szefami tyranami, i żonami, które ich za cholere nie rozumieją, i kiedy Ollie zaczął utyskiwać, że nie dostarczono mu tylu kartonów glenfiddicha, ile zamówił – brakowało jednego – przyszedł mi do głowy sposób, w jaki mógłbym uciec z tego drugiego więzienia.

Wracając do domu, już z daleka zobaczyłem Augusta czekającego na mnie na schodkach przed moim budynkiem.

– Mam przechlapane, co? – powiedziałem tonem piątoklasisty przyłapanego na wagarach.

Popatrzył nieobecny wzrokiem na ulicę, tak jakby widział w niej przemiataną wiatrem prerię w swoich rodzinnych stronach.

– Z tego, co słyszałem, to się nie zdarzyło.

– Howell jest konsekwentny, trzeba mu przyznać.

– Po mojemu masz szczęście, że żyjesz. Podziękuj za to właśnie jemu.

– Ani myślę dziękować za cokolwiek temu facetowi.

– Dodam tylko, że ja nie miałem z tym nic wspólnego. – August wzruszył ramionami. – Postawisz piwo?

– Na piwo mogłeś wpaść do baru.

– Mam już po dziurki w nosie głędzenia Olliego – powiedział.

– Rozumiem. – Weszliśmy do mieszkania. Było urządzone po spartańsku paroma używanymi sprzętami, które wstawiła tu Firma, zanim się wprowadziłem. Otworzyłem lodówkę i podałem Augustowi zimnego heinekena.

– Nie uciekniesz im, Sam – rzucił, otwierając puszkę w kształcie małej baryłki.

– Trzeba mi to było powiedzieć rano – mruknąłem.

– Po twoim wyskoku w Firmie się zagotowało. Jedni chcieli cię z powrotem zapuszkować. Inni uznali to za niezbity dowód, że masz coś na sumieniu. Jeden Howell się za tobą wstawiał. Powinieneś to wiedzieć. Masz poza mną jeszcze jednego przyjaciela, i jest nim Howell.

– Howell pytał mnie o jakieś Novem Soles. Co to takiego? Jak się zorientowałem, ma jakiś związek z Lucy i tym zamachem bombowym w Londynie.

– Pierwsze słyszę. Lepiej nie zadawaj żadnych pytań. Przynajmniej nie teraz, kiedy szczęśliwie urwałeś się ze stryczka.

– Może to nazwa tej grupy, która ją uprowadziła. Dowiedz się czegoś na ten temat. Proszę cię.

– Przecież wiesz, że nie wolno mi z tobą rozmawiać o niczym, co ma klauzulę tajności.

– To po co tu przyszedłeś, Auguście? Wyżebrać piwo?

Poczerwieniał.

– Przyszedłem cię ostrzec. Straszny z tobą kłopot, Sam. Tuszowanie tego, co naprawdę zdarzyło się w Londynie, ukrywanie przed mediami, że był to zamach na placówkę CIA, wiele kosztowało. Zginęło ponad dwudziestu ludzi; mamy szczęście, że nie więcej. Brytyjczycy są wściekli i zabiją cię, jak tylko postawisz nogę na ich gruncie. A co do tych nielicznych, którzy skłonni są ci uwierzyć, to żaden nie nadstawi za ciebie karku. Mówię ci, uważaj na siebie. Góra naciska, żeby cię

wyeliminować, a oni zwykle dostają, czego chcą. Jakiś ambitny dupek dostrzeże w końcu szansę na awans w usunięciu cię z tego świata. A całą winę zwali się na Howella, który wykorzystywał cię jako przynętę, nie zapewniając należytej ochrony.

– To zlecenie zostało już wydane?

– Nie będzie żadnego zlecenia. Niczego na piśmie. Padnie sugestia i ktoś ją podchwyci. Król Henryk, mając na myśli Thomasa Becketa, też powiedział tylko: „Czy już nikt nie uwolni mnie od tego zbuntowanego klechy?”. – August dopił piwo. – A więc miej oczy i uszy otwarte.

– Dam sobie radę.

August wyjął z kieszeni dwa telefony komórkowe i jeden wręczył mnie.

– Trzymaj. Tylko ty masz ten numer. Gdyby ktoś próbował na ciebie nastawać – dzwoń do mnie. Pomogę ci.

Mój jedyny przyjaciel. Wzruszenie ścisnęło mi krtań.

– Dziękuję, Auguście.

Odprowadziłem go do drzwi, a potem położyłem się na łóżku. W łóżku najlepiej mi się myśli. Wyostrzyłem umysł, wertując podręcznik barmana, który pożyczył mi Ollie. Każdy sukces odnoszony w życiu jest jak koktajl: powstaje w wyniku mieszania odpowiednio dobranych składników dodawanych w ściśle odmierzonych proporcjach i w określonej kolejności.

Odłożyłem książkę, wyciągnąłem się na łóżku i wpatrzony w sufit zacząłem obmyślać plan działania.



Obudziło mnie jakieś skrzypnięcie. Leżałem bez ruchu. Najpierw krok, potem cichutkie kliknięcie zamykanych drzwi.

Byłem przynęta i ktoś połknął haczyk.

Mogłem dalej leżeć nieruchomo albo wstać i sprawdzić, kto to. Mogłem czekać, aż któryś z żółtodziobów Howella wparuje do mieszkania i ocali mi dupsko. Ale Howellowi, pomimo wszystkich tych ciepłych słów, których mi nie szczędził, nie zależało wcale na tym, żebym przeżył, kiedy przynęta zostanie już podjęta. Jeśli był to ktoś od człowieka z blizną, Howell mógł spisać mnie na straty, a zabójcę jego wywiadowcy zatrzymają, kiedy będzie już po wszystkim. Nie byłem nawet pewien, czy cienie słyszą, co się u mnie dzieje, bo przecież znalazłem i ostentacyjnie oddałem im pluskwy, które mi podłożyli.

Ewentualnie był to ktoś, kto, jak przewidywał August, przyszedł zdjąć Firmie kłopot z głowy.

Nasłuchiwałem kolejnego kroku. Cisza. Zsunąłem się ostrożnie z łóżka, przesunąłem poduszkę tam, gdzie przed chwilą leżałem i na palcach przeszedłem w kąt pokoju za drzwiami.

Niczego więcej nie słyszałem. Może mi się przyśniło? Stałem w ciemnościach, a w głowie rodziła mi się szalona myśl: To Lucy, wróciła, udało się jej w końcu uciec porywaczom i znalazła mnie. Czysty obłąd, ale tak

właśnie pomyślałem.

Włączyła się klimatyzacja. Jej cichy, usypiający szum skutecznie maskował ewentualne odgłosy powodowane przez intruza. Nie miałem przy sobie broni. Żadnej. Czekałem.

Spodziewałem się, że intruz otworzy kopniakiem drzwi i zasypie łóżko gradem pocisków.

Tak się nie stało.

Powoli – tak powoli jak w sennym koszmarze, który przejmuje człowieka zgrozą – drzwi otworzyły się bezszelestnie na dobrze naoliwionych zawiasach. Czekałem.

Przez zasłonięte okno nie przesączała się nawet smużka księżycowej poświaty, co nie ułatwiało zabójcy zadania; moja sypialnia pogrążona była w niemal całkowitych ciemnościach.

Po chwili przeciął je cieniutki promyk światła i poszukał łóżka. Ciche pacnięcie wygłuszonego przez tłumik strzału zlało się z drugim, podobnym, z jakim pocisk ugrzązł w materacu.

Pchnąłem drzwi jak najmocniej. Siła uderzenia odrzuciła zaskoczonych intruza do tyłu i usłyszałem, jak się przewraca. Wypadłem z sypialni. W sąsiednim pokoju było ciut jaśniej, bo nie zaciągnąłem tam zasłon w oknie. Gość leżał na wznak i unosił właśnie pistolet, biorąc mnie na muszkę. Kopnąłem go w nadgarstek, pocisk rozorał skrzydło drzwi, a jemu broń wyleciała z dłoni. Kopnąłem ją w głąb pokoju.

Intruz chyba był tak samo wyciszony jak jego pistolet. Na razie nawet nie stęknął, nie wyrwało mu się ani jedno sapnięcie. Był ode mnie wyższy i czułem jego krzepę, kiedy wpychał mnie z powrotem do sypialni. Padliśmy na łóżko, a on wprawnie, jedną ręką, zwinął w powróż kawał prześcieradła i zadzierzgnął mi go na szyi. Włożył w to sporo wysiłku, a nawet się specjalnie nie zasapał.

Zaczął mnie dusić, a ja chwyciłem pełną garścią poduszkę i docisnąłem mu ją do twarzy. Pozbawieni obaj dopływu powietrza mocowaliśmy się przez chwilę w milczeniu. Ciemności zgęstniały. Wypuściłem z rąk poduszkę, a on z odzyskaną energią zacisnął mi na szyi pętlę z prześcieradła. Walnąłem go obiema pięściami na raz, z obu stron, w klatkę piersiową. I jeszcze raz, mocniej. Za szóstym razem poczułem, jak pęka kość. Intruz jęknął i poluźnił pętlę. Miałem mdłości, zawroty głowy, z trudem łapałem powietrze, ale zerwałem się z pościeli i wymierzyłem mu potężnego kopniaka w twarz.

Spadł z łóżka, a ja zeskoczyłem mu na piersi i sięgnąłem na ślepo po lampkę nocną, lecz zamiast na nią, natrafiłem dłonią na podręcznik barmana. Rąbnąłem wijącego się po podłodze intruza w krtań grzbietem tej pięćsetstronicowej cegły w twardej oprawie i docisnąłem mocno. Usiłował zrzucić mnie z siebie, ale teraz mogłem swobodnie oddychać i rozpierała mnie dzika furia; drzemie w nas jakiś pierwotny instynkt kładący zabijać każdego, kto zakrada się do naszego domu z zamiarem

wyrządzenia nam krzywdy. Paskudny atawistyczny odruch. Czułem fale energii buchającej od nasady kręgosłupa, ze zwojów nerwowych, tego siedliska instynktu. Zazgrzytałem zębami.

Szamotał się coraz rozpaczliwiej. Klęcząc na nim, napierałem całym ciałem na przewodnik barmana. Zamierzałem pozbawić go przytomności, związać, a kiedy się ocknie, wziąć na spytki. I naraz wyczułem, jak pęka mu tchawica. Dreszcz obrzydzenia przepłynął mi po rękach do barków.

Przestał wierzgać, odjąłem książkę od jego szyi. Chciał chyba coś powiedzieć, ale z jego krtani wydobył się tylko gulgot. Może wołał swoją mamę; może wyzywał mnie od najgorszych; może przeklinał mocodawcę, który wysłał go na śmierć.

Żółtodzioby Howella, słysząc w swojej aparaturze podsłuchowej odgłosy szamotaniny, dawno już by tu wparowały. Wychodziło na to, że nie założyli mi nowych pluskiew w miejsce tamtych, które zdemontowałem. Odszedłem w kąt sypialni i patrząc stamtąd na rozciągnięte na podłodze ciało, dochodziłem powoli do siebie. Trochę to trwało, ale w końcu pozbierałem myśli.

Miałem trupa w mieszkaniu. Zaciągnąłem go do łazienki, zamknąłem za sobą drzwi i zapaliłem światło. Dźwignąłem bezwładne ciało i ułożyłem w wannie; łatwiej będzie potem posprzątać. Ze zwłok uchodzą rozmaite paskudztwa.

Nigdy dotąd nie zabiłem człowieka. Nigdy. Pod tym

względem zachowywałem do tej pory czyste konto. Wyciągałem z ludzi swoimi sposobami interesujące mnie informacje, a potem zostawiałem ich w spokoju. Nie zabijałem. Nie widziałem takiej potrzeby.

Teraz jestem zabójcą, pomyślałem, ale głos wewnętrzny w mojej głowie ofuknął mnie: Przestań. Zrobiłeś, co musiałeś. Rób dalej, co musisz.

Dopuszczenie się zabójstwa rozcina życie człowieka na przed i po. Ja przekroczyłem zdecydowanie tę granicę. Gdybym tego nie zrobił, sam leżałbym teraz w tej zimnej porcelanowej wannie.

Oparłem się o ścianę i skupiłem wzrok na twarzy intruza. Był mniej więcej w moim wieku, dwadzieścia kilka lat. Oliwkowa cera, ciemne, krótko ostrzyżone włosy. Duże uszy, szerokie usta, rzymski nos złamany moim kopniakiem. Był w czarnych dżinsach, czarnym T-shircie, czarnej denimowej kurtce. Na nogach miał ciemne, ciężkie buciory. Przeszukałem go. W cholewce buta znalazłem szwajcarski nóż sprężynowy, po który nie zdołał sięgnąć. Dodatkowy magazynek do pistoletu w kieszeni kurtki. Telefon komórkowy, mały, lekki, nieprzeładowany funkcjami, zwykły tani model, praktycznie jednorazówka. Paszportu ani żadnych innych dokumentów tożsamości przy nim nie znalazłem, pewnie gdzieś je zostawił. Na ramieniu miał niewielki, misterny tatuaż. Niebieską dziewiątkę stylizowaną na wyginającą się piękność. Górne zaokrąglenie dziewiątki stanowiło pomarańczowe słońce z krótkimi szpilkowatymi

promieniami.

Dziwiątka i słońce. Dziewięć słońc. Novem Soles. Zakręciło mi się w głowie.

Zajrzałem do jego portfela. Plik dolarów i drugi euro. W zagiętym rogu jednego z banknotów euro znalazłem wykorzystany bilet na pociąg z Paryża do Amsterdamu.

Bilet był sprzed trzech dni. Wynikałoby z tego, że przyjechał z Paryża do Amsterdamu, a stamtąd tutaj.

Człowiek przysłany z Europy z misją pozbawienia mnie życia.

Miałem problem. Ktoś połknął przynętę. Należałoby powiadomić o tym Howella. Biorąc jednak pod uwagę ostrzeżenie Augusta, ten gość nie musiał wcale działać na zlecenie człowieka z blizną. Mógł być stacjonującym w Europie agentem Firmy i wykonywał rozkaz kogoś z tych, którzy nadal uważali mnie za zdrajcę.

Włączyłem telefon. Ostatnio używano go przed sześcioma godzinami do wysłania SMS-a o treści: *Wylądowałem na JFK*. Kod strefowy wskazywał na Holandię.

A co mi tam, pomyślałem, wóz albo przewóz, i wysłałem pod ten numer kolejnego SMS o treści:

*Capra załatwiony. Ale jest problem. Śledzili mnie. Już im się urwałem, ale mogli widzieć moją twarz.*

Po minucie telefon zawibrował mi w dłoni.

Na ekraniku komórki wyświetliła się wiadomość tekstowa następującej treści: *Nie wracaj teraz. Przywaruj. Zniszcz ten telefon, a ja zniszczę swój. Za trzy dni za dzwoń pod numer awaryjny. Powodzenia.*

Cóż, niewiele mi to mówiło. SMS po angielsku przysłany z Holandii o niczym nie świadczył. W Holandii prawie wszyscy znają angielski; włączając w to działających tam agentów operacyjnych Firmy, którzy mogą mnie uważać za zdrajcę zasługującego na śmierć.

*Przyjąłem*, odpowiedziałem tekstem, licząc, że dowiem się czegoś więcej.

*Mam nadzieję, że cierpiał*, nadeszła odpowiedź.

O kurczę.

*I owszem*, odpowiedziałem tekstem.

SMS nie został odebrany. Tamten albo wyłączył, albo, tak jak zapowiedział, zniszczył swoją komórkę; nadawałem w próżnię.

Pozapalałem światła w całym mieszkaniu. Znalazłem pocisk na półce z książkami; utkwiał w tomie *Wielkich nadziei*. Schowałem go do kieszeni, a zniszczoną książkę wyrzuciłem do kubła na śmieci pod kuchennym zlewem.

Wróciłem do trupa. Jak go się stąd pozbyć? Chodziło nie tylko o sąsiadów, ale i o wywiadowców Howella, którzy mogli zajrzeć do mieszkania, kiedy będę w pracy, a nie chciałem, żeby Howell dowiedział się, że ktoś połknął przynętę, dopóki sam nie ustalę, kto to był.

Moje powiązania z Novem Soles, cokolwiek się pod tą nazwą kryło, sprowadzały się do tego, że ktoś z Amsterdamu chciał mnie wyeliminować i sądzi, że dopiął swego.

Mogłem zadzwonić do Augusta. Ale co on by poradził?

Wydłubałem pocisk z materaca, pościeliłem łóżko, posprzątałem, a potem przez godzinę krążyłem po mieszkaniu, zachodząc w głowę, co począć z ciałem.

O czwartej nad ranem rozległo się ciche pukanie do drzwi. Z pistoletem w dłoni przywarłem plecami do ściany obok drzwi wejściowych.

– Sam? – dobiegł zza nich przytłumiony głos Howella.

– Tak. – Nie miałem ochoty go wpuszczać.

– Wszystko w porządku? Zameldowano mi, że w twoich oknach pali się od jakiegoś czasu światło.

– Nie mogę zasnąć.

– Otwórz.

Zatknałem pistolet z tłumikiem za gumkę spodni od pizamy na plecach i obciągnąłem T-shirt, żeby go zakryć. Otworzyłem. W progu stał Howell w dżinsach i czarnym podkoszulku.

– Na pewno wszystko w porządku?

Wpuściłem go i zamknąłem drzwi. Miałem nadzieję, że nie będzie chciał korzystać z łazienki.

– Meldują ci, ilekroć zapalam światło?

– Tak. Zwłaszcza w taki dzień jak dzisiaj. Kiedy



próbowałeś prysnąć.

– Nie mogłem zasnąć.

– Chyba nie obmyślasz nowego sposobu ucieczki?

– Nie. To zwyczajna bezsenność prześladowająca oskarżanych o zdradę. Chyba zacznę brać coś na sen. – Staralem się panować nad głosem.

– Jesteś jakiś spięty.

– Twoja wizyta w środku nocy przypomniała mi, że w zasadzie wciąż jestem twoim więźniem. Spięcie to produkt uboczny. – Pokręciłem głową. – Szczerze mówiąc, nie chce mi się wierzyć, że zerwałeś się w nocy z łóżka tylko po to, żeby sprawdzić, jak się mam.

– Zależy mi na tobie, Sam. Wiem, ty myślisz, że cały świat jest przeciwko tobie, ale ja nie jestem.

Jak ja chciałbym mu uwierzyć. Mogłem mu oddać komórkę intruza i, no wiecie, obserwować jego reakcję. Pokazać mu ten tatuaż Novem Soles i powiedzieć: patrz, pytałeś, czy o tym czymś słyszałem i teraz usłyszałem. Zrobić mu przyjemność. Ale Howell i jego podglądacze tak długo skłonni byli podejrzewać mnie o najgorsze, że miałem uzasadniony powód, żeby nie do końca im ufać. A ten, kto dybał na moje życie, myśli teraz, że już nie żyję. Musiałem wykorzystać to chwilowe niedoinformowanie.

Musiałem działać. I to już.

– No nic, jeśli wszystko u ciebie w porządku... – Howell zawiesił głos.

– Wdzięczny ci jestem za troskę. – Nie patrzyłem na niego. Uzmysłowiłem sobie właśnie, że po szamotaninie z

intruzem mogły mi zostać ślady na szyi albo siniaki na twarzy. Nie przeglądałem się jeszcze w lustrze. – Chyba się już położę. Teraz, kiedy mam już pewność, że nade mną czuwacie, zasnę prędzej niż przy zapalonym świetle.

Wychwycił w moim tonie sarkazm i pokręcił głową.

Jeśli mieli mój budynek na podglądzie i rejestrowali każdego, kto do niego wchodzi i z niego wychodzi, to musieli mieć w swoich zapiskach faceta w ciemnym ubraniu, który w którymś momencie wszedł, a potem już nie wyszedł. Pewnie rano wezmą mnie w obroty. Nie miałem wiele czasu. Spojrzałem Howellowi w oczy.

Howell wytrzymał mój wzrok i zdobył się na politowania godny uśmiech.

– Wiem, że czujesz presję. Ale cierpliwości, Sam. Prawda w końcu wyjdzie na jaw.

– Jestem o tym przekonany, Howell. Czekam z utęsknieniem. – Prawda leżała w wannie. Uśmiechnąłem się do niego nieszczercze, jak ktoś, kto ma coś do ukrycia i nie jest pewien, czy się czymś nie zdradził.

Wyszedł. Wróciłem do łazienki i przez dobrą minutę przyglądałem się nieboszczykowi. Spojrzałem jeszcze raz na numer wyświetlający się na jego komórce, a potem rozebrałem ją na części. Lepiej, żeby ten, kto chciał mnie sprzątnąć, nie nabrał podejrzeń. Poszedłem do remontowanego mieszkania obok, otworzyłem drzwi wytrychem, po czym przeniosłem tam trupa i ułożyłem go w wannie. Klimatyzację nastawiłem na maksimum. Zwłoki zaczną cuchnąć nazajutrz, czyli w sobotę, ale

ekipy remontowe w weekendy nie pracują, żeby nie zakłócać sobotnio-niedzielnego odpoczynku lokatorom sąsiednich mieszkań, czyli przy odrobinie szczęścia miałem dwa dni, zanim je znajdą. Wystarczy. Wtedy już mnie tutaj nie będzie.

Wrzuciłem części rozmontowanej komórki do plastikowego woreczka, którego się pozbędę po opuszczeniu mieszkania. Lepiej, żeby Firma ich nie znalazła po moim zniknięciu; mogłyby naprowadzić na mój trop.

Wróciłem do łóżka przekonany, że wyrzuty sumienia i tak nie dadzą mi zasnąć. Zabiłem przecież człowieka. A jednak zasnąłem głębokim snem, który przychodzi po podjęciu trudnej decyzji.

Jak już wspomniałem, zainspirowało mnie narzekanie Olliego na trudności ze zdobyciem jakiegoś gatunku importowanej whisky. Co roku z Irlandii i Szkocji wysyła się statkami tysiące kontenerów z kartonami markowej whisky, a na całym świecie transportem morskim przewożonych jest w sumie blisko dziewięć miliardów ton wszelkiego rodzaju towarów, z czego większość w dwustu milionach kontenerów – długich stalowych trumnach, które można wyładować whisky, obuwem, komputerami, zamrożonym mięsem, czymkolwiek. Nawet moją osobą.

Wiele statków handlowych, zwłaszcza tych wyspecjalizowanych, tak zwanych kontenerowców, zabiera na pokład nawet sześć i więcej tysięcy kontenerów. Prawie żaden z tych kontenerów nie jest poddawany odprawie celnej. Do dużego portu dociera dziennie mniej więcej trzydzieści tysięcy kontenerów, które ładuje się następnie na wagony kolejowe i ciężarówki. Na statki zawijające z ładunkiem czy to do Nowego Jorku, czy Bostonu, czy Los Angeles, czy Houston, czekają całe floty ciężarówek. Żeby skontrolować kontener, trzeba go załadować na ciężarówkę, przewieźć pod skaner, sporządzić protokół kontroli, w razie stwierdzenia jakichś nieprawidłowości rozpakować go i ponownie spakować, a na koniec załadować z powrotem na ciężarówkę. To istny logistyczny i finansowy horror. Kontrola każdego

kontenera powoduje zwłokę, naprężenie ogniwa w nadzwyczaj delikatnym ekonomicznym łańcuchu. Ciężarówki przywożą załadowane albo puste kontenery do portu i zabierają z portu pełne. Kontrolowanie ich to tworzenie wąskiego gardła w drogowym i kolejowym transporcie surowców i wyrobów gotowych. W sklepach zaczyna brakować artykułów pierwszej potrzeby. Klienci psioczą, sklepy tracą zyski, wściekają się akcjonariusze, politycy słuchają.

To jedna ogromna wyrwa w naszym pancerzu.

Służby celne chwalać się, że kontroli poddawanych jest sześć procent kontenerów. Ale to nieprawda. Sześć procent to w dużym porcie około dwóch tysięcy kontenerów dziennie. Sprawdzenie tylu jest po prostu niemożliwe.

W kontenerze z łatwością przedostałbym się do Europy. Ryzyko, że mnie w nim podczas kontroli znajdą, było minimalne. Ukryć się w stalowej skrzyni na siedem do dziesięciu dni, wymknąć z niego w Londynie albo, co bardziej prawdopodobne, w Rotterdamie, największym europejskim porcie. Potem wsiąść na prom do Londynu. I stamtąd rozpocząć poszukiwanie Lucy i mojego synka.

Byle tylko udało mi się przesznuć samego siebie.

## Amsterdam

Edward kochał strach. Jego zapach na skórze, jego smak w ustach, ten łomot serca, który mu towarzyszy. Strach był najpotężniejszą siłą na świecie. Edward wiedział, że strach jest motorem napędowym religii, iskrą wywołującą wojny, nawet załącznikiem miłości – bo wszyscy ludzie boją się samotności.

Strach był kluczem do złamania ducha tej młodej kobiety.

Edward sączył kawę przy kuchennym stole i rozważał wypadki ostatnich trzech tygodni. Jego eksperyment udowodnił tym malkontentom i drobnym przestępcom, z których sformował luźny gang, że odpowiednie dozowanie przemocy, narkotyków i odosobnienia w połączeniu ze stałą dawką gwałtu i częstego grożenia egzekucją może prowadzić do pożądanых efektów. Każdego poranka mógł śmiało powiedzieć, że obiekcje grupy co do kidnapingu znowu się zmniejszyły: okupy płacono, a ta młoda kobieta zaczynała wtapiać się powoli w ich krąg. Nie różniło się to zbyt od tego, czego uczono go w szkole aktorskiej: tworzy się jakąś postać i w nią wciela. Teraz, wykorzystując zdobytą na studiach wiedzę, pracował nad tą młodą kobietą. Przetworzy ją w nową postać.

Edward dał reszcie wyraźnie do zrozumienia, że poza

nim nikt nie ma prawa jej tknąć; bez jego przyzwolenia nikomu nie wolno z nią rozmawiać. Była jego tworzywem. Wiedział jednak, że podsłuchują pod zamkniętymi drzwiami, kiedy z nożem przystawionym do jej gardła wciska się w nią i wylicza nieprawości, których dopuściła się sama bądź do spółki z ojcem. Wiedział, że podsłuchują, jak postępuje dezintegracja kolejnej ludzkiej istoty. I powiedział jej, że podsłuchują, co jeszcze bardziej spotęgowało jej strach.

Była pora lunchu i większa część grupy wyszła na spacer po Amsterdamie rozkoszować się pięknem słonecznego dnia. Reszta jadła w głównym pokoju.

Nadarzała się okazja porozmawiania z nią sam na sam. Tak było najlepiej. Otworzył plecaczek i obejrzał najbardziej interesujące urządzenie, jakie dla niego zmajstrowała. Dużo czasu zajęło zdobycie wszystkich materiałów, ale w końcu był gotowy i pozostał tylko ostatni krok. Martwił się jedynie o Simona, który po wyeliminowaniu Sama Capry przywarował na Brooklynie, ale z pewnością za kilka dni się odezwie.

Odstawił filiżankę i wszedł schodami na górę. Była przetrzymywana w małej komórce w rogu. Członkom gangu wyjaśnił, że boi się zamkniętych pomieszczeń i ta klaustrofobia odgrywa fundamentalną rolę w jej urabianiu. Badania były bardzo ważne. Przekręcił klucz w zamku i uchylił drzwi.

Leżała w ciemnościach skulona, trzymając się za brzuch i dygocząc na całym ciele. W komórce nie było

zimno, ale ona dygotała. I patrzyła na niego. Nie odsuwała się, po prostu leżała zobojętniała na wszystko i patrzyła.

– Dziś jest ważny dzień – powiedział. Nie położył się na niej, nie rozchylił jej ud, nie ściągnął spodni od dresu, które kazał jej nosić. Nie wykrzyczał jej w twarz, dlaczego wszystko w jej dawnym życiu było złe, odrażające i godne potępienia, dlaczego uwłaczało ludzkiej godności, i że oni walczą w imieniu tych, którym dzieje się krzywda. Nie puścił jej żadnego filmu wideo o płonących żywcem ludziach, o rozstrzeliwaniu całych rodzin, o rezultatach działalności jej ojca. Reszta gangu przepadała za tymi kazaniami; przyklejeni do drzwi słuchali z zapartym tchem, jak naucza dziewczynę. Z książki o tym, jak Symbiotyczna Armia Wyzwolenia zrobiła pranie mózgu Patty Hearst, zaczerpnął wiele przydatnych i fascynujących wskazówek co do sposobu, w jaki można przekształcić kobietę w bezwolnego pionka. Na razie wszystko wskazywało, że metody, które stosuje, przynoszą pożądany efekt: po kilkuset godzinach przemyślanych tortur dziewczyna była teraz cicha i uległa, stanowiła podręcznikowy przykład ofiary zastraszania i szantażu. Siłę wykuwa cierpienie, a Edward potrzebował jej silnej. – Co chcesz mi powiedzieć?

Zerknęła na drzwi.

– Nie ma ich tam – uspokoił ją. – Jesteśmy sami. – Uśmiechnął się; da jej tym do zrozumienia, że uśmiechanie się nie jest czymś zakazanym. – A zatem dzisiaj możesz wyszczotkować zęby i skorzystać z toalety.



A potem pójdziemy na spacer.

– Na spacer?

– Tak. Mam dla siebie bardzo ważne zadanie.

Pomógł jej wstać i zaprowadził ją do malutkiej łazienki. Cuchnęła potem; nie obejdzie się bez prysznic, jeśli ma wyjść między ludzi. Ważne, żeby nie rzucała się w oczy i nikt jej nie zapamiętał. Otworzył drzwi i kazał jej się umyć. Nie spoglądając na niego, kiwnęła głową.

Zszedł do swojej sypialni po nowe ubranie, które dla niej kupił: skromne spodnie, niebieska apaszka, którą w razie czego będzie sobie mogła zasłonić twarz, szary pulower. W tym stroju będzie praktycznie niewidzialna. Wracając, zajrzał do kuchni. Demi stała naburmuszona przy zlewie.

– Co jest? – spytał.

– Piet poszedł na górę – odburknęła Demi. – Powiedział, że jesteś za miękki dla tej kobiety. Że nie wiesz, jak ją do końca złamać. Że on cię w tym wyręczy.

Edward odwrócił się i wbiegł po schodach. Pchnął drzwi łazienki. Zamknięte. Wyważył je kopniakiem i zobaczył Pieta stojącego za pochyloną nad umywalką kobietą i ściągającego jedną ręką spodnie. Ostrzem trzymanego w drugiej ręce starego japońskiego miecza wakizashi wodził po plecach dziewczyny jak po osełce. Dziewczyna dygotała w milczeniu. Nie potrafiła już wzywać pomocy.

Edward wyszarpnął pistolet z za paska na plecach i przystawił Pietowi lufę do karku.

– Przepraszam – powiedział – ale to mój projekt naukowy.

– Trzeba ją w końcu złamać – warknął Piet. – A swoją drogą nieładnie tak wpadać bez zaproszenia.

Edwardowi zadrżała ręka.

– Wciągaj spodnie i na dół. Ona ma dzisiaj zadanie do wykonania. Bardzo ważne. Chcesz ją teraz zdekoncentrować?

– Gdybyś ją złamał jak trzeba, nic by jej nie mogło zdekoncentrować, to ci powiem. Byłoby jej wszystko jedno. – I patrząc na odbicie Edwarda w lustrze, dorzucił:

– Co to za zadanie?

– Takie, do jakiego tylko ona ma kwalifikacje. – Edward siłą woli powstrzymywał się od roztrzaskania temu durniowi łba o splewiałą lamperię łazienki. Pogroził Pietowi palcem. – Spróbuj do niej jeszcze raz się dobrać, a nie żyjesz.

– Czemu nie chcesz się tą gąską podzielić?

Edwardowi nie spodobał się błysk w oku Pieta. Piet był użyteczny, ale tylko do pewnego stopnia, ze względu na swoją nieobliczalność, która w takich jak obecna sytuacjach mogła w każdej chwili dojść do głosu.

– Bo nie muszę – warknął.

Piet odjął krótki miecz od pleców kobiety i skierował się do drzwi. Edward opuścił pistolet, ale go nie chował. Wychodząc, Piet obejrzał się jeszcze i uśmiechnął do młodej kobiety. Odwróciła wzrok, okrywając swą nagość. Edward zamknął za Pietem drzwi.

Kobieta zaczęła drżeć, otoczył ją więc ramieniem.

– Zrobił to? Zrobił? – Nie dokończył pytania.

Pokręciła głową. Obejrzał jej plecy; Piet lekko skaleczył ją wakizashi. – Pożąda ciebie, bo jesteś dla mnie taka ważna – powiedział.

– Czasami cię tu nie ma – zauważyła cicho.

– Jestem wszędzie. Zawsze – warknął chłodno. – Nawet tutaj. – Popukał ją w czoło. – No, myj się.

Zszedł na dół. Piet siedział sam w kuchni. Pomieszczenia, do których wchodził, ludzie czym prędzej opuszczali. Najwyższa pora go utemperować, żeby nie przysparzał dalszych kłopotów.

– Inspiruje mnie twoja inicjatywa – powiedział. – Chodź na tę robotę. Bo widzę, że ciekawość cię zżera.

– A dokąd? – W głosie Pieta pobrzmiwała lekka nieufność.

Edward uśmiechnął się.

– Na Centraal Station. – Był to główny węzeł kolejowy w północnej części Amsterdamu.

– Wypuszczasz ją? – spytał Piet. Do kuchni, z założonymi na piersiach rękami, wróciła Demi, chuda, jasnowłosa Holenderka.

– Nie wygaduj głupstw; ona by już teraz ode mnie nie odeszła. Pójdiesz z nami. Ty, Demi, też. Zabierz kamerę. Będzie co filmować.

Piet spojrzał na niego niezdecydowanie.

– Chcę, żebyś tam był. Bo ci ufam. A jak tam będziesz, ona na pewno zrobi, co jej się każe.

Kobieta zeszła powoli schodami. Rozejrzała się niepewnie, ręce jej drżały. Przywieziono ją do tego domu przed trzema tygodniami i od tamtego czasu tylko kilka razy była wypuszczana z komórki, ale zawsze ktoś jej wtedy pilnował. Dzisiaj Edward uznał, że nie będzie już sprawiała kłopotu. Uśmiechnął się do Pieta. Metody zastosowane wobec Hearst sprawdziły się: złamać, upokorzyć i zostawić nikły cień nadziei.

Zerknęła na Pieta i wargi jej zadrżały.

– Wypuszczacie mnie? – spytała, zwracając się do Edwarda.

– Ależ skąd, Jasmin. Należysz teraz do nas, a my do ciebie.

– Tak – przyznała cicho. Przez pierwsze trzy dni stawiała zaciekły opór. Wspomnienie tamtego wyzwania wydawało się teraz bardzo odległe.

– Dzisiaj chodzi o twojego ojca. – Edward pstryknął się w szyję. – On dla ciebie już nie żyje. Pamiętasz, Jasmin?

– Tak – odparła po dłuższej chwili milczenia. – On już dla mnie nie żyje.

– To zły człowiek, Jasmin. Twój dawny świat był bardzo zły, prawda? Wyrwaliśmy cię z tego bagna. Bo my jesteśmy ci dobrzy.

– Jest złym człowiekiem. Musi zapłacić za wszystko, co zrobił. – W jej głosie pojawiło się teraz większe przekonanie. – Jest zły. Tak jak powiedziałaś. Bardzo zły.

Edward posłał Pietowi i Demi triumfalny uśmiezek.

Potem uśmiechnął się do Jasmin.

– Dla niego jesteś niczym, dla nas – wszystkim. Tak? To prawda. Tu jest teraz twój dom. My jesteśmy twoją rodziną. Na zawsze.

Milczała.

– Wychodzimy z domu na spacer. Będiesz grzeczna, prawda, Jasmin? Bo jeśli nie, to będę zmuszony znowu zamknąć cię w komórce. Na tydzień, na miesiąc, może nawet na cały rok. Będę cię tam przez długi czas odwiedzał z moim nożem, zabawiał się z tobą. Może Piet też czasem wpadnie. – Przesunął palcem po linii jej szczęki. Popatrzyła ponad jego ramieniem na Pieta.

Po chwili kiwnęła głową. Pogładził ją po ramieniu poznaczonym śladami igieł po narkotykach, jakie jej aplikował.

– Nie musisz się bać – podjął. – Nie odstąpię cię na krok. Chcemy wykorzystać twoją fachową wiedzę. Powinnaś być dumna z tego, że zło, które czyniłaś, wykorzystujemy teraz do czynienia dobra.

Znowu kiwnęła głową.

– Tam, dokąd idziemy, przebywa mnóstwo złych ludzi, Jasmin – kontynuował Edward. – Sami bardzo źli ludzie.

– Bardzo źli ludzie – powtórzyła za nim.

– Idziemy na stację kolejową. – Edward uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Na oczach Pieta i Demi ujął jej dłoń. Czuł na sobie ich spojrzenia jak aktor spojrzenia widzów siedzących na zaciemnionej widowni. Ścisnął mocniej.

Z ust kobiety wyrwał się przeciągły jęk.

– Nie powiedziałem, że wolno ci się odzywać. –  
Ścisnął jeszcze mocniej.

Zdusiła w sobie ten jęk. Ścisnął dalej.

– Teraz już wolno.

– Kiedy wychodzimy? – wykrztusiła Jasmin. Co najciekawsze, przez cały ten czas nawet nie próbowała wyszarpnąć dłoni z jego uścisku. Była jego.

Stojący za nimi Piet roześmiał się.

Edward zwolnił uścisk i splótł palce z jej palcami.

– Za chwilę. Jeśli zrobisz, co każę, nie wrócisz do komórki. Zostaniesz tutaj. Przez całe dni. A dzisiaj będziesz mogła spać w moim łóżku, Jasmin. Ze mną. Jak żona z mężem.

Poruszyła wargami, ale nic nie powiedziała.

Edward nachylił się do jej ucha.

– Zrobisz, co ci każę, Jasmin?

Ale znał już odpowiedź.

– Tak – powiedziała cicho. – Zrobię, o co tylko poprosisz.

Przez chwilę wydawało mu się, że dostrzega w niej tę silną kobietę, którą była, zanim przeszła gehennę w piekielnej komórce, ale to wrażenie minęło, kiedy zerknęła na Pieta i Demi. Pokazywała tamtym, że jest zgniecioną, zrospaczoną skorupą, która pragnie tylko przeżyć następną godzinę. Tak jak to sobie zaplanował. Strach. Widział go w oczach mężczyzn, których zabił na Węgrzech, w ślepej panice Sama Capry usiłującego

szukać żony w dymie i zgiełku Holborn.

Strach robił swoje.

Puścił jej dłoń.

– Dzisiaj wszystko się dla ciebie zmienia, Jasmin.  
Dzisiaj jesteś najważniejszą lokatorką tego domu.

Uśmiechnął się. Zanosіło się na fajerwerk jeszcze  
bardziej spektakularny niż tamten w Londynie.

W sobotę miałem wolne. Dni wolne spędzałem w domu, oglądając telewizję albo czytając. Jeśli wychodziłem, to tylko na krótki jogging albo od czasu do czasu do biblioteki.

Podczas typowej wizyty w bibliotece przez godzinę wertowałem katalogi, zabijałem czas między półkami, kartkowałem książki o neutralnej tematyce (nic z literatury faktu, nic o Firmie; wybierałem zwykle opasłe powieści historyczne). Później logowałem się w sieci i szukałem tam czegokolwiek o Lucy; byłem niemal pewien, że Howell monitoruje biblioteczne łącze internetowe, bo tylko przez nie mogłem się łączyć z siecią. Nie natrafiłem nigdy na żadną wzmiankę o Lucy. Odwiedzałem jej od dawna nieuaktualnianą stronę na Facebooku i oglądałem zamieszczone tam zdjęcia; nasze pierwsze Boże Narodzenie w Londynie, ona na spacerze brzegiem morza podczas długiego weekendu na Majorce, my oboje na kawie w Kensington Park w przepiękny letni poranek. W domu nie miałem żadnych jej fotografii; w ogóle niczego z naszego mieszkania w Londynie. Firma skonfiskowała wszystko jako dowody rzeczowe.

Na jednych fotografiach była uśmiechnięta, na innych poważna. Patrzyłem na te stare fotki, szukałem jakiegoś śladu, jakiegoś znaku, że mogła zdradzić. Tak jakby można to było wyczytać z twarzy. Od czasu, kiedy zaszła w ciążę, nie pozwalała się fotografować; większość



znajomych na Facebooku stanowili jej koledzy i koleżanki z arizońskiego college'u, a ich wpisy od dawna pozostawały bez odpowiedzi.

Tak więc nie zaskoczyłem swoich obserwatorów, kiedy w sobotę po południu wpadłem na chwilę do Olliego, a potem udałem się do biblioteki. Wrzuciłem do zsuwni zwrotów wypożyczone, nieprzeczytane książki. Uśmiechnąłem się do bibliotekarki, która rozmawiała właśnie przez telefon i nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi. Przez pięć minut krążyłem między półkami, wyczekując momentu, kiedy będę mógł się dobrać niezauważony do czujnika systemu alarmowego przy drzwiach. Wreszcie nadszedł taki. Szybko zdjąłem z czujnika osłonę, przeciąłem nożyczkami przewód, którym do systemu podłączone były tylne drzwi, i założyłem osłonę na powrót. Nikt mnie na tym nie nakrył. W dziale dziecięcym ktoś czytał na głos małym słuchaczom *Gdzie mieszkają dzikie stwory*.

Wziąłem głęboki oddech i otworzyłem drzwi. Alarm się nie włączył. Z duszą na ramieniu wyszedłem w ciepły, słoneczny dzień, przygotowany, że lada chwila padnie ostrzegawczy strzał i pocisk zrykoszetuje od trotuaru przede mną albo strzaska mi kolano, że oberwę czymś ciężkim w głowę i upadnę, że drogę zastąpi mi jakiś facet, grożąc pistoletem, każe wsiadać do samochodu i zadzwoni do Howella z meldunkiem, że byłem niegrzeczny, a potem zapyta mnie o trupa w sąsiednim mieszkaniu.

Nic takiego nie nastąpiło. Cisza, spokój. Byłem o krok bliżej wolności.

Podszedłem do upatrzonego wcześniej samochodu, który co tydzień o tej porze parkował w bocznej uliczce, zawsze w tym samym miejscu, pod centrum handlowym. Był to stary model, łatwy do ukradzenia, niewyposażony w system śledzący GPS. Uruchomiłem go w mgnieniu oka, zwierając na krótko kabelki pod kolumną kierownicy. Żadnego ogona nie dostrzegłem w lusterku wstecznym; wywiadowcy, jeśli przyszli za mną do biblioteki, obserwowali teraz pewnie główne wejście albo monitorowali połączenia z Internetem.

Pojechałem na północ. Po drodze zatrzymałem się przy Walt-Marcie, żeby skompletować kamuflaż, a potem, pięćdziesiąt kilometrów przed Albany, skręciłem na postój dla ciężarówek. Zostawiłem wóz w najodleglejszym kącie parkingu i wszedłem do kafejki. Zamówiłem kawę i sącząc ją, obserwowałem wchodzących i wychodzących kierowców ciężarówek. W telewizorze zawieszonym nad barem leciały wiadomości: pięć ofiar śmiertelnych zamachu bombowego na dworcu w Amsterdamie, wczorajsze spadki na giełdach, kongresman oskarżony o korupcję...

W przerwach na reklamy przysłuchiwałem się pogwarkom kierowców; polowałem na jakiegoś gadułę. Gaduła o nic nie pyta, gaduła sam chce być słuchany. Ten drugi jest mu potrzebny tylko jako słuchacz. Jak inni zagajają rozmowę uwagami na temat pogody, tak oni

rozgłaszają wszem wobec, co wiozą. Po jakiejś godzinie przysiadł się do mojego stolika siwowłosy kierowca z hamburgerem i frytkami polanymi obficie keczupem. Pochłonał danie z wilczym apetytem, a kiedy talerz był już pusty, poinformował kierowcę siedzącego obok, że wiezie do portu flanelę i guziki, które mają popłynąć za ocean, gdzie zostaną przerobione na koszule.

– Ja tam nic z tego nie rozumiem. To u nas nie umieją już szyć koszul? – dziwował się gaduła. – Maszyny do szycia przecież mamy, nie?

– Mamy – odburknął tamten. – Japońskie. – Wzruszył ramionami, wstał i wyszedł.

Kierowca zamówił kawę.

Kiedy mu ją przyniesiono, nie czekając nawet, aż pierwszy kłęb pary z kubka rozplynie się w powietrzu, siorbnął łyk.

– Pan jedzie do portu? – spytałem.

Zmierzył mnie wzrokiem.

– No.

– Bo ja też tam. Ale samochód mi się zepsuł. Brat pracuje na statku, który wypływa jutro z New Jersey, i załatwił mi na nim robotę.

– Na tych statkach amerykańscy chłopcy raczej nie pływają.

– Wiem. Ale brat jest brygadzystą. Załatwił mi pracę.

– Przygryzłem dolną wargę, pozując na małomiasteczkowego prostaczka. – Nie wiem, co robić. Statek jutro odbija, a ja tu siedzę nad kawą i obgryzam

paznokcie. Pytałem już paru panów, czyby mnie nie podrzucili, ale chyba coś ze mną nie tak, bo wszyscy mnie spławiają. – Zrobiłem zrozpaczoną minę.

– Trudna sprawa. – Kierowca wpatrywał się w pusty, wymazany keczupem talerz jak w obraz.

– Wiem, proszę pana. Nie prosiłbym, ale bardzo mi na tej pracy zależy. Żeby się tylko dostać pod jakiś terminal portowy, to już stamtąd trafię na statek brata.

– Nie wolno mi zabierać łebków. Zrozum.

– Tak, rozumiem. Ale pan przecież nie jest taki. – Przygotowywałem sobie grunt pod wyciągnięcie najcięższego działka. – Ja też bym wolał, żeby te koszule szyli u nas. Miałbym wtedy pracę na suchym lądzie. A tak muszę brać, co podłeci. – Zacząłem z ostentacyjnym namaszczeniem wysupływać z kieszeni drobniaki dla kelnerki. Jak już grać jakąś rolę, to przekonująco. Kelnerka podsłuchująca, od kiedy w kafejce trochę się przerzedziło, podeszła i dołała mi kawy, chociaż o to nie prosiłem.

Kierowca odstawił kubek. Bił się z myślami. Większość ludzi to życzliwi, skorzy do pomocy innym obywatele.

– Bo ja wiem...

– Mógłbym się dorzucić do rachunku za benzynę.

– Jak się nazywasz?

– Sam. Sam Capra. – Nie udało mi się zdobyć żadnego podrobionego dowodu tożsamości, a więc kłamanie nie miało sensu. Poprosił mnie o prawo jazdy.

Podałem mu je.

– Capra jak ten reżyser filmowy?

Roześmiałem się, myślałby kto, że słyszę to pytanie po raz pierwszy w życiu.

– Nie mam z nim nic wspólnego, a szkoda. Z samych tantiem za *To cudowne życie* żyłbym sobie teraz jak panisko.

– Tak, to był dobry film – pochwalił, tak jakby mimo wszystko widział we mnie spadkobiercę tego najśłynniejszego Capry. – Tu stoi napisane, że mieszkasz w Nowym Jorku; to co robisz tutaj?

– Wracam z Albany. Szukałem tam pracy, ale nic nie znalazłem. – Czy można było sobie wyobrazić większego pechowca?

Oglądał jeszcze przez jakiś czas moje prawo jazdy z obu stron, potem oddał mi je i dopił kawę.

– Tak, Samie Capra, życie jest cudowne, złapałeś okazję – powiedział i zarechotał ubawiony własnym żartem. Ja też się roześmiałem.

I tak stałem się kropelką w rzece towarów płynących do Port of New York and New Jersey, skąd miały zostać wyekspediowane w szeroki świat. Poddając się biernie prądowi tej rzeki, mogłem tylko mieć nadzieję, że nie wessie mnie po drodze jakiś wir ani że nie osiadę gdzieś na mieliźnie.

Kierowca ciężarówki wiozącej flanelę i guziki, z kamienną twarzą okazując dokumenty przewozowe na kolejnych punktach kontrolnych i w komorach celnych, przez które musieliśmy przejechać, zatrzymał się wreszcie przed jednym z portowych terminali w Newark Bay. Podziękowałem mu, wsunąłem w dłoń bakszysz (który nazwaliśmy zwrotem za benzynę) i wyskoczyłem z kabiny.

Porty tętnią życiem. Pracujący w nich ludzie uwijają się jak w ukropie. W zakupionych w Wal-Marcie dżinsach, denimowej koszuli, roboczych buciorach i bejsbolówce Jankesów na głowie, taszcząc dwa worki marynarskie, wyglądałem na kogoś, kto zszedł właśnie ze statku na ląd albo wraca z jakiegoś magazynu na terenie portowego kompleksu. Miałem nadzieję, że nie przyciągam uwagi.

Obserwowałem kontenery przywożone z doków i ładowane przez portowe dźwigi na statki. Najpierw znikają w ładowniach, a kiedy te były już pełne, ustawiano je w stosy na pokładzie. Załadunek miał w

sobie coś z gracji tańca. Kolejka ciężarówek posuwała się powoli do przodu, te uwolnione już od brzemienia zawracały i ustawiały się na końcu drugiej kolejki po towary z Europy i Afryki, albo z amerykańskich portów na południu: Charlestonu, Miami, Nowego Orleanu, Houston.

Pomaszerowałem wzdłuż rzędu statków handlowych przycumowanych do nabrzeża. Minąłem strzeżoną bramę w wysokim ogrodzeniu z drucianej siatki, które mnie od nich oddzielało, jeszcze kilkadziesiąt kroków i budka strażnika znikła mi z oczu.

Wspiąłem się zwinnie po siatce, przerzuciłem nogi na drugą stronę i zeskoczyłem. Nikt nie krzyknął.

Zapuściłem się w labirynt wież ustawionych z kontenerów. Miałem do wyboru. Statek albo kontener. Próba dostania się bezpośrednio na pokład statku i ukrycia na nim odpadała, bo łatwo mógłby mnie tam znaleźć ktoś z załogi. Chowając się w kontenerze, też ryzykowałem; kontener mógł wylądować na samym dnie ładowni albo zostać obstawiony innymi kontenerami, tak że nie dałoby się otworzyć drzwi. Miałem co prawda narzędzia do wycięcia otworu wentylacyjnego, ale wolałem wybrać sobie trumnę, w której przyjdzie mi spędzić dziesięć następnych dni.

Chociaż nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, miałem się wciąż na baczności. Howell i jego ludzie zorientowali się już z pewnością, że im się urwałem, i mogli być na moim tropie.

– Hej! – krzyknął ktoś.

Obejrzałem się i stanąłem jak wryty. Biegł za mną facet w koszuli, jakie noszą pracownicy biura spedytora portowego. W ręku trzymał elektroniczny czytnik kodów kreskowych.

– Stary, gdzie tu najbliższy kłopot? – wysapał, dogoniwszy mnie. – Ja pierwszy dzień w pracy... a tu takie przestrzenie, że człowiek się, cholera, pogubić może.

Wskazałem głową najbliższy budynek. Miałem nadzieję, że naprawdę znajdzie tam toaletę.

– Dzięki. – I pognął w tamtym kierunku.

Czy mnie sobie zapamięta, jeśli jej nie znajdzie? Odprowadzałem go wzrokiem. Niewykluczone, że na wyszukanie tego, o co mi chodziło, miałem o wiele mniej czasu, niż myślałem. *Tak, pytałem jednego gościa, ale źle mnie skierował. Nie, nie zwróciłem uwagi, czy miał przy piętą plakietkę identyfikacyjną...*

Wiedziałem, jakiego rodzaju kontenera szukać. Na bokach każdego widnieje naniesiona przez szablon nazwa armatora linii żeglugowej powiązana z indywidualnym numerem. Firmy spedycyjne na ogół odsprzedają albo wypożyczają sobie kontenery; napisy na niektórych były nadpisane, spod krawędzi nowych numerów wyzierały cienie starej farby.

W wyobraźni laika kontener to taki przenośny sejf, do którego trudno się włamać, rodzaj szafy pancerniej, tylko większej, zamkniętej na mur i dodatkowo zaplombowanej.



Ja widziałem tutaj wiele zerwanych, luźno dyndających plomb. Zresztą taka plomba to nic pancernego, to często plastikowy pasek podobny do tych, które zakłada się na nadgarstek pacjentom szpitali. Numer na plombie odpowiada numerowi na boku kontenera, a sama plomba przewlekana jest po prostu przez wajchy do otwierania drzwi. Kilka kontenerów w ogóle nie miało plomb: podczas przemieszczania, ustawiania, opróżniania, ładowania i ponownego przemieszczania tysięcy kontenerów te plastikowe paski łatwo mogą się przerwać.

Ale podczas kontroli nikt się tym nie przejmuje. Rzekom towarów nie wolno położyć tamy.

Z nazwy armatora na wielkich kontenerach, przed którymi stałem, wynikało, że należą do holenderskiego towarzystwa żeglugowego z siedzibą w Rotterdamie. Trudno, niech będzie Rotterdam. Nie widziałem nigdzie neonu z napisem Londyn, który paliłby się nad kontenerami płynącymi do Wielkiej Brytanii. Ale przynajmniej w chaosie i labiryncie Rotterdamu, tego największego i najrojniejszego portu Europy, będę się mógł bez śladu rozpuścić. Z wysokiego stosu kontenerów wybrałem jeden z tych na samym spodzie – on będzie chyba ładowany ostatni. Stał drzwiami skierowanymi w stronę przeciwną niż dźwigi portowe i było mi obojętne, co znajduje się w środku – no, chyba że węże albo skorpiony. To była moja szansa.

Plomba była nienaruszona; przeciąłem ją nożem, pozostawiając krawędzie postrzępione, żeby wyglądało,

że przerwała się sama w trakcie transportu. Otworzyłem drzwi, wszedłem do środka i zatrzasnąłem je za sobą.

Zajęło mi to całe pięć sekund. Uklękłem przy drzwiach, nasłuchując, czy nikt nie nadbiega. Spokój, cisza, jeśli nie liczyć zgrzytania i pojękiwania kontenerów unoszonych powoli w powietrze przez dźwig z wierzchu mojego stosu. Wygrzebałem z worka latarkę. Zapaliłem ją i rozejrzałem się po kontenerze. Sterty kartonów. Miałem cichą nadzieję, że będzie pusty – no bo co takiego atrakcyjnego dla reszty świata może jeszcze produkować Ameryka. Lewarowane produkty finansowe, kredyty hipoteczne podwyższonego ryzyka?

Obejrzałem kartony. RĘCZNIKI PAPIEROWE CLEAN-PAK, przeczytałem na tych z jednej sterty, VERMONCKIE MYDEŁKA ZIOŁOWE WYRABIANE RĘCZNIE W USA informował napis na tle nowoangielskiego, sielskiego krajobrazu na tych z drugiej. Spędzę zamknięty w tej trumnie osiem do dziesięciu dni bez prysznic; przynajmniej będę mniej cuchnął.

Przykucnąłem z dala od drzwi i czekałem. W końcu poczułem, jak kontener unosi się, odrywa od ziemi, sunie w powietrzu w kierunku oceanu, a potem powoli osiada.

Opatulony kocem oparłem się o karton z vermonckim mydełkiem i zasnąłem.

Dziesięć dni w stalowej trumnie. Nudy na pudy, nic tylko rozmyślać i planować. Wyobraźcie sobie, że na dziesięć dni zostajecie pozbawieni wszelkiego kontaktu ze światem zewnętrznym; ani telefonu, ani sieci, ani telewizji. Odcięcie tej elektronicznej pępowiny wyrzuciło mnie poza nawias rozpaplanego współczesnego społeczeństwa. Niektórych cisza i spokój mogą doprowadzić do szaleństwa, ze mną jest na odwrót. Jedyne, co dobrze wspominam z pobytu w tamtym więzieniu CIA w Polsce, to długie okresy ciszy, jakie nastąpiły po kilku pierwszych tygodniach przesłuchiwań – tylko ja i kamienne ściany. Potęga czasu na myślenie to w dzisiejszym świecie zapomniana rozkosz. Znowu jakbym siedział w więziennej celi, tyle że tutaj nikt mnie nie torturował. Ale granica, którą przekroczyłem, ciążyła mi bardziej, niż myślałem, opracowując ten plan. Howell mógł wydać rozkaz zabicia mnie bez ostrzeżenia. Wyrwałem się z niewidzialnej klatki. Drugiej szansy mieć już nie będę.

Po przebudzeniu rozpakowałem się, przyświecając sobie latarką. W workach marynarskich miałem glocka i dwa zapasowe magazynki, które ukradłem z sejfu w pakamerze Olliego. Miałem cały asortyment wysokoproteinowych batonów i owoców. Butelki z wodą. Baterie do latarki. Szczoteczkę i pastę do zębów oraz papier toaletowy. Mały pojemnik na odpadki. Zestaw

pierwszej pomocy i pastylki nasenne. Naładowanego iPod'a z Mahlerem i Rolling Stonesami. Dwie zmiany ubrań: szare koszule, dżinsy. Całą gotówkę, jaką zdołałem uciuć po wpadce z załatwianiem paszportu, w sumie kilkaset dolarów.

Niewiele, jak na długie i niebezpieczne poszukiwania żony i dziecka. Spojrzałem na zegarek. Statek powinien już wychodzić w morze. Słyszałem monotonne buczenie maszyn. Ale drzwi wolałem na razie nie uchylać. Nawet wśród tych tysięcy kontenerów ktoś mógłby mnie zauważyć. Zaryzykuję, kiedy będziemy już o dzień drogi od Ameryki. Gdyby mnie wtedy przydybano, statek już by nie zawrócił, żeby wysadzić pasażera na gapę; aresztowaliby mnie po prostu i zamknęli w jakiejś kanciapie zaadaptowanej na pakę. Po przybyciu do Rotterdamu powiadomiliby władze portowe. Ale najlepiej nie dać się nakryć. Czułem się na siłach wytrzymać tych kilka dni bez widoku błękitnego nieba.

Mój kontener jest jak łono, wmawiałem sobie. Może wychodząc z niego, poczuję się jak nowo narodzony, gotowy przenosić góry.

Zamknąłem znowu oczy.

Nie czułem nic prócz bezbrzeżnego osamotnienia, o co nie tak łatwo w dzisiejszych czasach. Nic, tylko spać i śnić o tym, co straciłem. Nie, zbyt wiele snu nie wyszłoby mi na zdrowie.

Drzemałem, i to nie był sen: to było wspomnienie,

które nabrzmiewało w moim umyśle jak bąbel.

– Jak dałbyś mu na imię? – spytała Lucy. Stała przy oknie naszego mieszkania w Bloomsbury zapatrzona w siąpiący deszczyk. Nad miastem wisiały nisko ołowiane chmury i zegar już tykał, do końca normalnego życia pozostało mi jeszcze pięć dni.

– Jemu? Skąd wiesz, że to będzie on?

– Kopie jak ty. – Położyła dłoń na małej wypukłości brzucha.

– Nigdy cię nie kopnąłem.

Pogłaskała mnie po policzku.

– Przez sen. Kiedy coś ci się śni. O Dannym.

Na każde napomknienie o moim bracie Dannym zawsze zapadało milczenie. Trwało może kilka chwil, ale odciskało się zimnym piętnem na codzienności. I pojawiała się nieuchronne pieczenie. Za oczami, w krtani.

Odłożyłem czytaną książkę.

– Może Edwin, po twoim tacie? – Rodzice Lucy zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miała dziesięć lat, i pomyślałem, że może będzie chciała uhonorować w ten sposób ojca albo matkę. Po śmierci rodziców wychowywała ją ciotka. College, na którym studiowała elegancję baz danych, ukończyła z wyróżnieniem i prosto stamtąd, tak jak ja, z ciepłym jeszcze dyplomem, trafiła do Firmy. Ciotkę wspominała czule, rodziców rzadko, jak postaci, o których czytała w książce.

– Doceniam tę propozycję, małpoludzie, ale Edwin to moim zdaniem za staroświecko.

– Hmm, skoro tak... – Patrzyłem na nią z pustką w głowie.

– A co byś powiedział na Samuela juniora? – spytała.

– Nie chcę, żeby nosił imię po mnie. Każde, byle nie to.

– Zależałoby mi jednak, żeby uhonorować tym imieniem kogoś kochanego.

– Hmm. – Kochałem swoich rodziców, bardzo, ale ostatnio stosunki między nami ochłodły. – A może nadalibyśmy mu imię po tobie, Lucy? Lucian. Byłby z niego największy rozrabiaka na podwórku.

– Nie. Już się zdecydowałam. Daniel, po twoim bracie.

– Nie musisz tego robić. Nawet nie znałaś Danny’ego.

– Ale wiem, ile dla ciebie znaczył. To odjazdowe imię. Uhonorujmy go.

(I oni chcieli mi wmówić, że ta kobieta jest zdrajczynią).

– Niech ci będzie, wpisujemy Daniela na listę. – Sięgnąłem znowu po książkę.

– Daniel. Okay. A jeśli się mylę i to będzie dziewczynka?

– Capri, jak ta wyspa. Capri Capra. Zaskarbilibyśmy sobie jej dozgonną miłość.

Roześmiała się.

– Sam?

– Tak?

Milczała. Zerknąłem na nią. Śledziła wciąż strużki deszczu spływające wolno po szybie. A potem z jej ust padły słowa, których w realnym życiu nigdy nie wypowiedziała: *Myślisz, że pozwoliłabym ci umrzeć?*

Ocknąłem się gwałtownie w kompletnych ciemnościach. Dopiero po chwili przypomniało mi się, że leżę zagnieżdżony w kokonie kontenera.

Nastawiając ucha, zastanawiałem się, jak długo spałem. To był pierwszy od długiego czasu dzień, kiedy spałem jak wolny człowiek – żadnych podsłuchów, żadnej celi, nikogo, kto obserwowałby mnie albo moje sny w poszukiwaniu dowodów zdrady. Zasnąłem znowu, obudziłem się i ponownie zasnąłem. Ile to trwało, nie wiem.

Wyrwał mnie ze snu jakiś dźwięk. Narastający warkot, który zagłuszał powoli ciche, monotonne buczenie maszyn statku.

Znałem ten dźwięk. Helikopter.  
Nad pokładem.

Zaryzykowałem i uchylilem drzwi kontenera. Blask różowego świeżego brzasku poraził mi oczy. Czułem zapach powietrza wolnego od miejskich wyziewów, przesyconego solą morską, z leciutką nutką rdzy. Zamrugalem. Mój kontener stał w drugiej od góry warstwie stosu, od sąsiedniego dzieliły go centymetry. Drzwi dało się otworzyć na tyle, że ledwo się przez nie przecisnąłem. Musiałem się przytrzymać kontenera naprzeciwko. Spojrzałem w dół – jeden fałszywy krok i runąłbym z wysokości jakichś trzech pięter w wąski kanion między kontenerami. Podciągnąłem się na górną krawędź uchylonych drzwi, a stamtąd na szczyt wierzchniej warstwy kontenerów.

Po niebie sunęły postrzępione obłoczki. Wirniki helikoptera weszły na niższe obroty i warkot przycichł. Podkradłem się na sam skraj i spojrzałem w dół. Helikopter stał na pokładzie rufowym statku. Wyskakiwało z niego właśnie czterech uzbrojonych mężczyzn, wirniki obracały się coraz wolniej. W pewnej odległości od maszyny jakaś kobieta w kostiumie rozmawiała z grupką składającą się z kapitana i członków załogi.

Przybysze to jak nic ludzie Howella.

Jezu, tak szybko mnie namierzeli? Jak? Odnalezienie ludzi, którzy nie chcą zostać znalezieni, jest bardzo trudne; nie raz waliłem w ten mur głową. Mniejsza z tym,



Firma już tu była. Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi, ale zaraz pomyślałem: sześć tysięcy kontenerów, nie będą przecież otwierali wszystkich i zaglądali do każdego z osobna. Zajęłoby im to parę tygodni.

Z drugiej strony, jeśli Firma przejmie statek, to będzie miała na jego przeszukanie czasu, ile zechce. Może go zawrócić, skierować do Nowego Jorku albo Bostonu, a rozsierdzonych spedytorów spłacić. Jeśli znaleźli ciało intruza w sąsiednim mieszkaniu, to nie odpuszczą. Howell wyjdzie z założenia, że to ja zabiłem gościa i zbiegłem, najprawdopodobniej z bardzo cennymi informacjami.

Helikopter znowu uniósł się w powietrze. Wisiał przez chwilę nad rufą, potem zaczął sunąć powoli nad pokładem w kierunku dziobu. W jego otwartych drzwiach siedziało dwóch facetów wpatrzonych w laptopy. Z obu stron maszyny zwisała pajęczyna obiektywów ukształtowana w prostokąt.

Helikopter, nabierając nieco szybkości, przeleciał nad pierwszym stosem kontenerów. Nie śpieszyło im się. Szukali.

Serce podeszło mi do gardła. Skanery podczerwieni sprzężone z kamerami termowizyjnymi. Ciepłota mojego ciała odetnie się na ekranie żywym płomieniem od chłodu przewożonych przez statek towarów, tych vermonckich mydełek czy papierowych ręczników z New Jersey.

Musiałem poszukać sobie innej kryjówki. I to natychmiast.

Nie mogłem zejść na dół. Za długo by to trwało i

kamery termowizyjne wykryłyby mnie, zanim zdążyłbym postawić nogę na pokładzie. Musiałem zostać tu, na górze, i stąd szukać jakiegoś sposobu szybkiego przedostania się do wnętrza statku. Zobaczą mnie, ale i tak za parę minut zostałbym wykryty. Spuściłem się do swojego kontenera po pistolet, magazynki i pieniądze. Pieniądze i magazynki upchnąłem do saszetki przy pasku, pistolet wsunąłem za pasek na plecach. Tak wyposażony opuściłem kontener i znowu podciągnąłem się na górną krawędź drzwi, stamtąd sięgnąłem do górnej krawędzi kontenera nade mną uchwyciłem się jej obręcz i znowu podciągnąłem. Wyjrzałem ostrożnie. Helikopter wisiał nad statkiem jakieś sto metrów ode mnie. Statek zatrzymał się i rzucił kotwicę; szum maszyn ścichł.

Helikopter zwrócony był do mnie ogonem, a dziobem w kierunku miejsca, gdzie stali kobieta w kostiumie z – jak przypuszczałem – kapitanem. Wypelźłem na dach górnego, pomalowanego na niebiesko kontenera i przywarłem do zimnej stali. Kawałek ode mnie stos kontenerów opadał schodkowo, a potem ponownie piął się w górę. Ładujący je dokerzy nie popisali się dokładnością, ale dzięki temu miałem do dyspozycji parapety i ściany, zupełnie jak swego czasu w Vauxhall.

Helikopter zaczął się obracać. Poderwałem się, podbiegłem przygarbiony do przeciwległej krawędzi wierzchniej warstwy i zeskoczyłem na niższą.

Wylądowałem na niej miękko z cichym pacnięciem. Ci z helikoptera nie mogli tego usłyszeć. Ale członek

załogi stojący przy relingu pode mną obejrzał się. Albo usłyszał, albo coś mu mignęło na skraju pola widzenia.

Odwrócił się w stronę rufy, krzyknął i pokazał palcem. Wprost na mnie.

Podbiegłem do kolejnej krawędzi. Warkot helikoptera narastał. Odbiłem się od przeciwległej ściany dla spowolnienia upadku, wylądowałem na dachu kontenera poniżej, rolada i już byłem na nogach. Do następnej krawędzi miałem jakieś trzy metry, obejrzałem się przez ramię. Helikopter opuszczał się nade mną. Na stos kontenerów wyskoczył z niego facet z pistoletem.

Biegłem dalej. Zgrzyt metalu o metal – pocisk zrykoszetował od kontenera. Musiałem jak najszybciej zmyć się z tej hałdy kontenerów – helikopter wisiał nade mną, człowiek z pistoletem był coraz bliżej.

Dwa piętra nad pokładem, wzięty w dwa ognie – z jednej strony on, z drugiej maszyna – zauważyłem wąską szczelinę między dosuniętymi do siebie stosami wielokolorowych kontenerów.

Wcisnąłem się w nią. Miałem najwyżej trzydzieści sekund na ześlizgnięcie się tą szparą na pokład, zanim dopadnie do niej tamten z pistoletem. Miałby mnie jak na widelcu, gdybym się nie wyrobił. Strzał z góry w wierzch głowy i po herbacie.

Zsuwałem się, jak mogłem najszybciej, zahaczając czubkami butów o krawędzie kontenerów, żeby na moment wyhamować, kiedy czułem, że nabieram niebezpiecznej prędkości. Wczuć się w trasę, powtarzałem

sobie, złapać rytm. Przypominało to parkourowy bieg przez rurociąg; obijałem się boleśnie ramionami o stalowe ściany.

Jeszcze z pięć metrów. Pośliznąłem się, straciłem równowagę. Wyrznąłem w metalową ścianę, uchwyciłem się obiema rękami krawędzi kontenera przede mną. Dudnienie wiszącego mi nad głową helikoptera było jak ogłuszający stukot młota pneumatycznego.

Puściłem się i udało mi się spaść na pokład we w miarę kontrolowanym stylu. Wydostałem się spomiędzy kontenerów, z ich cienia, w rozmyty blask wstającego nad oceanem słońca. Kilka kroków przed sobą miałem reling, za nim rozpościerała się obojętna na wszystko szarość morza.

Pobiegłem wzdłuż kontenerów. Musiałem znaleźć szybko jakieś zejście pod pokład. Na statku pełnym ciepłych ciał, rozgrzanych pomp i potężnych maszyn będą zmuszeni przejść na ręczne termoskanowanie. Poza tym pod pokładem powinny się znajdować dodatkowe setki kontenerów. Na jakiś czas stałbym się tam igłą w stogu siana. Ani myślałem ułatwiać im zadania; chcą mnie dopaść, niech się trochę potrudzą. Dosyc mi już dopiekli.

Wpadłem na jakiegoś marynarza, młodego Filipińczyka. Krzyknął coś w swoim języku. Zamurowało go, kiedy pokazałem mu pistolet. Zerknąłem przez ramię. Ścigający mnie mężczyzna zeskakiwał właśnie z ostatniego kontenera na pokład. Odepchnąłem Filipińca, zanurkowałem w drzwi, które mi zagradzał, i zacząłem

zbiegać na łeb na szyję po schodach w trzewia statku.

Załoga chyba nie była uzbrojona; ten statek nie kierował się przecież w okolice wybrzeży Somalii. Nie chciałem się wdawać w strzelaninę z ludźmi, którzy w niczym mi nie zawinili.

Biegłem długim, wąskim korytarzem, oglądając się co chwila za siebie, i nagle nadziałem się na mężczyznę, który nie wiadomo skąd się tam wziął i stanął mi na drodze. Odbiłem się od niego jak od ściany i zatoczyłem, a on – potężnie zbudowany Azjata – uśmiechnął się i zasypał mnie gradem ciosów. To było muay thai: mocne, soczyste, brutalne ciosy w twarz, tajska sztuka walki, której celem jest powalenie przeciwnika najmniejszym wysiłkiem. Bolało. Bardzo.

Zanim zdążyłem się zasłonić, oberwałem w szczękę i w szyję. Upadłem.

Mężczyzna wyciągnął nóż sprężynowy. Sprężynowiec? Kłaniajcie się lata osiemdziesiąte.

– Płacą za ciebie – wysyczał. Ciął ostrzem powietrze między nami, uśmiechając się wrednie. – Wstawaj, powoli, a potem...

– Zalewasz – powiedziałem. Przemknęło mi przez myśl, żeby pozostać przy pięściach, ale co tam. Wyrwałem zza paska na plecach pistolet i strzeliłem, celując w nóż. Niech się gość cieszy, że nie w niego. Wrzasnął; strzaskany nóż wyleciał mu z ręki i upadł z brzękiem na podłogę. Obejrzałem się. Do korytarza wpadał właśnie ścigający mnie mężczyzna z pistoletem.

Chwyciłem zawodzącego, krwawiącego marynarza i zasłoniłem się nim jak tarczą. Tamten otworzył ogień. Palicho zasady. Ciągnąc za sobą jęczącego marynarza, zacząłem się cofać korytarzem do drzwi w głębi. Kiedy tam dotarliśmy, otworzyłem je. Prowadziły do głównej ładowni zastawionej kontenerami.

– Pan go puści, panie Capra, chcemy pogadać! – zawołał tamten z pistoletem.

Pan? No, pełna kultura. Udawałem, że nie dosłyszałem. Zlazłem z marynarzem na dno ładowni. Nie stawiał oporu, pojękiwał tylko, trzymając się za zranioną dłoń. Ale co tu ukrywać, we dwóch trudno przemieszczać się tak szybko jak w pojedynkę, tak więc kiedy znaleźliśmy się już na tym dnie, wziąłem na cel lampy u sufitu. Ciemność to jest to. Tamten z pistoletem pojawił się u szczytu schodków i uniósł broń. Strzelił w momencie, kiedy ja, wciągając marynarza za kontenery i jednocześnie celując do lampy, naciskałem spust. Chybiłem.

Za wolno się poruszałem. Pocisk trafił marynarza w plecy. Marynarz krzyknął i zwisał mi na rękach.

Spojrzałem – zamiast plamy krwi na jego koszuli zobaczyłem strzałkę sterczącą spomiędzy mięsistych łopatek. To nie był pocisk. Strzałka ze środkiem anestezjologicznym, taka, jaką w filmach przyrodniczych usypia się zwierzęta. Strzałka była przeznaczona dla mnie. Obezwładnionego Firma mogłaby mnie znowu zamknąć w jakiejś Howellowej klatce. Nadal byłem im potrzebny

jako przynęta.

Strzeliłem do człowieka z pistoletem, a kiedy ten skrył się za kontenerem, odwróciłem się i dałem nura w labirynt stalowych skrzyń. W prawo, jeszcze raz w prawo. Musiałem zgubić tego człowieka. Próbowałem zejść go od tyłu, ale on wspiął się na schodki. Miałem jeszcze nadzieję, że nabuzowany adrenaliną popełni jakiś błąd, podejmie złą decyzję, którą będę mógł wykorzystać. Przyćmione światło padało na kontenery.

Zatrzymałem się i wyjrzałem ostrożnie zza kontenera. Tu, na dole, stały ciasniej upakowane, trudniej było między nimi lawirować. Słyszałem podniesione głosy, tupot stóp na stalowych schodkach. Nadciągały posiłki. Otwierając teraz ogień, zdradziłbym swoje położenie.

Zerwałem plombę z najbliższego kontenera i wśliznąłem się do środka, pozostawiając drzwi lekko uchylone. Powoli odliczałem ścigających mnie. Dziewiętnasty nadbiegał w milczeniu mężczyzna z pistoletem. Obserwowałem go przez szparę w drzwiach. Kiedy mnie minął, wypadłem z kontenera i wybijając się w powietrze jak przed ścianą, od której chcę się odbić, kopnąłem go obunóż w potylicę. Padł jak ścięty. Zanim zdążył krzyknąć, chwyciłem go pełną garścią za koszulę na plecach, drugą ręką wyrwałem z dłoni pistolet na strzałki i prawie z przyłożenia wypaliłem mu w kark. Zwiotczał, puściłem go, opadł bezwładnie na podłogę. Podbiegłem do prześwitu między kontenerami i wyjrzałem. Jeszcze jeden ubrany na czarno, w

towarzystwie członka załogi. Pobieglem dalej, słysząc ich głosy odbijające się metalicznym echem od ścian kontenerów.

Wychodzą pewnie z założenia, że będę się krył do usranej śmierci między tymi stosami kontenerów. I niech wychodzą, ja muszę się przedostać do innej części statku. Wykorzystać to, że czujniki termowizyjne sygnalizują teraz obecność wielu osób. Do maszynowni, gdzie rozplnę się w ciepłe wydzielanym przez silniki. Byle do Rotterdamu. Tam urwę się im już na amen.

Zatrzymałem się na moment przed kolejnym prześwitem, żeby się rozejrzeć, i nagle ukłucie, ukłucie ściskające gardło.

Strzałka. Miałem dosłownie sekundy do chwili, kiedy środek usypiający zacznie działać. Uniosłem pistolet, biorąc na cel zbliżającego się mężczyznę. Za nim postępowała kobieta w kostiumie.

Mila. Ta z baru Olliego. Amatorka whisky ze słabością do wilków. Blond włosy ściągnięte w koński ogon, oczy jak z kwarcu, wymuszony uśmiech. Lubiła whisky Glenfiddich i odniosłem wrażenie, że cała flaszka tego trunku jest mi właśnie wstrzykiwana w żyły.

Pistolet wysunął mi się z dłoni. Odpływając, osunąłem się ze śmiechem na podłogę.



Otworzyłem oczy i zobaczyłem gwiazdy. Szum fal, cichy poświst bryzy. Leżałem na wznak na stalowym kontenerze, na pokładzie statku. Nade mną wisiał księżyc w pełni i niebo usiane gęsto gwiazdami. Na miejskim niebie próżno szukać takich widoków.

Obok mnie siedziała po turecku Mila w trenczu. Trzymała w palcach zapalonego papierosa i obserwowała smużkę dymu unoszącą się z rozjarzonego końca.

Usiadłem. Bolały mnie barki i ramiona, ale ranny nie byłem.

Otaczała nas ciemność oceanu. Byłem nieprzytomny większą część dnia.

– Dobry wieczór, Sam – odezwała się Mila.

– Howell cię na mnie nasłał. – Boże, ileż trudu sobie zadali.

– Howell? Pierwsze słyszę. – Mila zaciągnęła się papierosem i zgmiotła niedopałek o stal. Siedziała dalej zapatrzona w przestwór Atlantyku. Helikoptera już nie słyszałem ani nie widziałem.

Otworzyła torbę, wyciągnęła z niej butelkę glenfiddicha i dwie literatki.

– Ho, ho – mruknąłem – ty faktycznie gustujesz w tym glenfiddichu.

– I faktycznie mam na imię Mila – odburknęła. – Lekarz mógłby mieć obiekcje co do popijania alkoholem środka nasennego, a więc naleję ci tylko symbolicznie. –

Stuknęliśmy się szklaneczkami. – W celach zdrowotnych.

– Za co pijemy? – spytałem.

– Za wolność – odparła. – Twoją. Moją. Świata. –

Upiła łyczek whisky. Ja umoczyłem tylko wargi.

– Olliemu będzie brakowało najlepszego barmana.

Jeśli wiatr zawieje z odpowiedniej strony, usłyszymy może jego psioczenie.

– Kim ty jesteś?

– Mam na imię Mila, znasz mnie przecież.

– A kim jest Mila?

– Twoją przyjaciółką, Samuelu.

– Sam wybieram sobie przyjaciół.

Mila szerokim gestem ogarnęła cały statek. Na pokładzie nie uświadczyło się żywego ducha.

– Och, przepraszam. Tylu ich tutaj. Gdzie koniec kolejki, już się tam ustawiam. – Pasował do niej ten sarkazm.

Ale ja nie byłem w nastroju do popijania whisky i przekomarzania się w księżycowej poświacie.

– Dla kogo pracujesz? – I kogo na to stać, pomyślałem. Zastępy ludzi, termowizory, helikopter. Jak nic, Howell.

A może Mila była z tymi, którzy porwali Lucy, którzy wrobili nas w całą tę aferę. Oni mogli sobie nie życzyć mojego powrotu do Europy. Plan pogrążenia nas układał nie byle kto. Ale... ale zadawać sobie tyle trudu dla mojej jednej skromnej osoby... A jeśli Mila ma coś wspólnego z intruzem, to... co tu kryć, już bym nie żył.

Mój trup zrzucony z helikoptera opadałby teraz na dno Atlantyku.

Mila pociągnęła znowu łyżek glenfiddicha.

– Moi mocodawcy woleliby pozostać anonimowi.

– To oni porwali moją żonę?

– Nie.

– Jesteś z Firmy?

– Nie. – Skrzywiła się. – Mam dla ciebie propozycję.

Nietrudno było zgadnąć jaką. Ktoś doszedł pewnie do wniosku, że wkurzony na CIA za niesprawiedliwe uznanie za zdrajcę i stosowne do tego potraktowanie teraz rzeczywiście będę skłonny zdradzić.

– Nie jestem zainteresowany.

– Załatwiłam dla nas kajuty. Zejdźmy tam i porozmawiajmy.

Noc na otwartym Atlantyku była zimna. Kiwnąłem głową. Zeszliśmy pod pokład. Dwaj członkowie załogi, których minęliśmy po drodze, popatrzyli na mnie ze źle skrywaną wrogością.

– Na przyjaźnie nastawionych mi nie wyglądali – zauważyłem, kiedy Mila zamykała za nami drzwi.

– Podpadłeś im swoimi manierami. Udobruchanie ich sporo mnie kosztowało.

– Bardzo przepraszam. – W kajucie były dwie koje. Usiadłem na jednej. – No, dobrze, słucham.

– Po pierwsze, nie chciałam ci robić krzywdy, tylko porozmawiać. A nie uśmiechało mi się szukać cię tygodniami po kontenerach.

– Jesteś jednak z Firmy.

Mila wysunęła z paczki kolejnego papierosa, ale po chwili zastanowienia wsunęła go z powrotem.

– Czy ty w ogóle słuchasz, co do ciebie mówię? Powiedziałam już, że nie mam nic wspólnego z CIA. Wiele rzeczy w życiu robiłam, ale tak nisko jeszcze nie upadłam.

– No to kim jesteś?

– Ważniejsze, Sam, kim ty się staniesz? Rząd zainwestował mnóstwo pieniędzy podatników, żeby cię wyszkolić, i nie mam tu na myśli napełniania miseczek precelkami, doprawiania martini ginem i wzywanie taksówek zawianym klientom.

– A ty chcesz z tej inwestycji uszczknąć coś dla siebie. Ty i twoi mocodawcy, kimkolwiek są.

– Porozmawiajmy o twojej żonie.

– Co o niej wiesz?

– Pewnie masz swoje teorie na temat tego, co ją spotkało – powiedziała Mila. – Nie wierzysz, że zdradziła. Że cię wystawiła.

– A potem ocalała? Nie musiała mnie wywoływać z budynku.

– Ale jeśli została uprowadzona, to jak to się stało, że pozwolono jej cię ratować? Dlaczego porywacze do tego dopuścili?

– Nie wiem.

– Może zawarła z nimi układ. Będzie współpracowała, jeśli cię oszczędzą.

Milczałem. Przypuszczenie, że Lucy poświęciła się dla mnie, ciążyło mi jak tonącemu kamień u szyi.

– Jest jeszcze kwestia pieniędzy, które przelała przed zniknięciem.

– Skąd o tym wiesz?

– Wiem i tyle. Nieważne skąd.

Przyglądałem się twarzy Mili. Mógłbym ją teraz chwycić, przyprzeć do ściany, zmusić, żeby mi wyznała, kim jest. Ale czułem, że siłą niczego z nią nie zwojuję. Miała mnóstwo innych możliwości, a jednak postanowiła porozmawiać ze mną w cztery oczy. Na równych prawach, nie jak z jeńcem. Od dawna nikt nie traktował mnie jak kogoś godnego zaufania.

– Nie potrafię tego wyjaśnić. Myślę, że ona żyje.

– A ja myślę, że Lucy Capra była zdrajczynią i brała za to pieniądze – powiedziała Milla – a kiedy zaszła z tobą w ciążę, postanowiła zniknąć, póki nie będzie za późno. Za kilka dni miała pójść na urlop macierzyński. Agent, który by ją zastąpił w waszym biurze, miałby nieograniczony dostęp do jej komputera i mógłby w nim znaleźć coś, co pozwoliłoby ją zdemaskować.

Przetrawiałem przez chwilę te słowa.

– Mylisz się.

– Alternatywą jest potwór pod łóżkiem – powiedziała cicho Milla. – Alternatywą jest, że ona nigdy cię nie kochała, wykorzystywała cię jedynie, a na koniec wrobiła. Zamordowała twoich przyjaciół, ty wyszedłeś na zdrajcę. Byłeś pionkiem w jej grze. – Milla się skrzywiła. –

Interesuje mnie, co naprawdę o tym myślisz, Sam. Zajmowałeś się jednym z najniebezpieczniejszych zadań w Europie. Nie jesteś człowiekiem, którego łatwo bezkarnie wyprowadzić w pole. Powiedz mi, co naprawdę myślisz.

Od dawna nikt mnie o to nie pytał.

– Ona nie jest zdrajczynią. Oboje zostaliśmy wrobieni. Ją uprowadzili, żeby wydobyć z niej, co wie. Firma usiłuje przetrącić kręgosłup nowemu szczerpowi międzynarodowych organizacji przestępczych, zwłaszcza powiązanych z rządami państw, czy to na zasadach obopólnego porozumienia, czy przymusu.

Mila czekała.

– Lucy byłaby dla tych organizacji nieocenionym źródłem informacji. Znała na wylot infrastrukturę, nasze systemy komputerowe, nasze metody śledzenia danych finansowych. Byłaby dla nich bardziej użyteczna niż ja. O nią przede wszystkim by im chodziło. Myślę, że ostrzegła mnie, żeby ratować mi życie.

– Owszem, jest dla nich użyteczna – przyznała Mila.

– A ty w tej chwili nie jesteś użyteczny dla nikogo prócz mnie.

– W jakim sensie?

– Mogę dać ci wolną rękę w dochodzeniu do prawdy.

– Wolną rękę?

– Czas. Środki. Trudno ci prowadzić międzynarodowe poszukiwanie żony i dziecka, kiedy jednocześnie pod ciągłą obserwacją serwujesz tonik i

nalewasz piwo. A gdyby cię teraz schwytali? – Wzruszyła ramionami. – Do końca życia nie wyszedłbyś już z ich więzienia. Podtapianie to straszna tortura. Widziałam nagrania.

– Nie będę miał swobody działania, dopóki na mnie polują. I dopóki nie wiem, co się właściwie stało z moją rodziną.

– Wyszkolili cię na żołnierza walczącego z ukrycia; na wypadek gdybyś został zdemaskowany i poddany torturom, nauczyli grać do końca swoją rolę. Przemysłowca, najemnika. Uczynili z ciebie swoją broń, Sam, i już cię nie potrzebują. Jak długo wytrzymałeś podtapianie? Minutę? Większość ludzi nie wytrzymuje nawet dwudziestu sekund. Jesteś silny.

– Jak to możliwe, że nie pracując dla Firmy, oglądasz firmowe nagrania? Znalazłaś je na YouTube?

Mila zaryzykowała uśmiech.

– W twoich aktach nie wspomina się słówkiem, że byłeś poddawany podtapianiu. Jest tam za to napisane, że twoją żonę uznaje się za zaginioną w akcji, a ty zrezygnowałeś z pracy w CIA. Nie ma nic o tym, że byłeś czynnym agentem operacyjnym i działałeś pod przykrywką w terenie. Jesteś scharakteryzowany jako niższej rangi urzędnik o ograniczonych kompetencjach. Napisali na nowo przebieg twojej służby, przedstawiając cię jako nic nieznaczący trybik w maszynerii.

– I wszystko gra. To nigdy się nie zdarzyło, że zacytuję ulubioną formułkę Howella.

– Jeśli Lucy była zdrajczynią, to nad setkami agentów w Europie i nie tylko zawisła groźba dekonspiracji. Nie wiadomo, co mogła wyjawic porywaczom w zamian za twoje życie. Może dlatego pozwolili jej do ciebie zadzwonić na moment przed eksplozją.

Nie mogłem tego słuchać.

– Nie mów tak, proszę.

– Sam. Jesteś teraz jak ten nabój w magazynku. To marnotrawstwo. Trzeba cię wprowadzić do lufy, wycelować i wystrzelić.

– I niby w co chcesz mnie wystrzelić?

– W bardzo niebezpiecznych ludzi.

Werbunek. Mila nie była z Firmy, ale to nie przeszkodziło jej w dotarciu do moich bez wątpienia ściśle tajnych akt i przechwyceniu helikopterem, a następnie przeszukaniu statku z uzbrojoną ekipą.

– Proponuję ci pracę, do której byłeś szkolony, ze wsparciem oraz możliwością odzyskania wiarygodności i godności.

– O to mnie głowa nie boli.

– Oj, boli, boli. W oczach Firmy przez kilka miesięcy byłeś masowym mordercą i zdrajcą. Teraz mają cię za idiotę, którego wodziła za nos żona zdrajczyni.

– Powiedzieli, że znaleźli dowód na moją niewinność.

– Chyba tylko taki, że nie pękłeś. Że obstawałeś przy swoich zeznaniach. Howell wyszedł z pomysłem, żeby cię wypuścić i użyć w charakterze przynęty. Argumentował, że Lucy, jeśli zdradziła, wyjdzie z kryjówki, żeby cię



zabić, wyeliminować jako niewygodnego świadka, albo wybić ci z głowy dalsze jej poszukiwania. A jeśli Lucy rzeczywiście została uprowadzona, to wypuszczenie cię nie niesie ze sobą żadnego ryzyka. Jak uciekniesz, to uciekniesz, prędzej czy później cię znajdą.

– Gdyby chciała się mnie pozbyć, nie dzwoniłaby wtedy do mnie do biura.

– Chyba że żywy miałbyś dla niej wtedy i zaraz potem jakąś wartość – zauważyła Mila. – Zdrajcy nie myślą racjonalnie. Żyją w osobliwym stanie zawieszenia. To nie dzieci z poprawczaka, które można resocjalizować. – Jej angielski, dopiero teraz zwróciłem na to uwagę, był doskonały, ale nie do końca.

– Ona nie zdradziła.

– Spraw sobie T-shirt z takim napisem – poradziła mi Mila. – I będę miała z głowy prezent pod choinkę.

– Jesteś brutalna.

– Jestem pierwszą od wielu miesięcy osobą, która mówi ci prawdę w oczy. Pokochaj mnie za to, okay?

– Nie wiem, co próbujesz mi wcisnąć, ale nie jestem zainteresowany. – Odstawiłem pustą szklaneczkę po whisky na stół. Nie wiedziałem nawet, kiedy ją opróżniłem. – Moja żona zniknęła. Nie obchodzi mnie, jak to sobie tłumaczą. Ja... mnie... to nie obchodzi.

– Oglądałeś wczoraj wiadomości w telewizji?

– Tak.

– Zamach bombowy na dworcu kolejowym w Amsterdamie.

Mówili coś o tym w telewizji, gdy czekałem na postojach dla ciężarówek pod Albany.

– Tak, słyszałem.

Mila podsunęła mi plik zdjęć. Cały plik. Przejrzałem je pobieżnie. Kilka przedstawiało powiększoną twarz jakiejś młodej kobiety. Atrakcyjna, ciemnooka, większa część twarzy zasłonięta apaszką owiniętą wokół szyi i podciągniętą pod sam nos, jakby w ochronie przed zimnem. Była w koszuli z długim rękawem i dżinsach.

– Kto to?

– Córka mojego znajomego. Miła dziewczyna. Jasmin Zaid. Jest z Londynu. Nigdy nie sprawiała żadnych kłopotów; ma doktorat z Oksfordu. Nienaganne prowadzenie się. Zaginęła bez śladu przed trzema tygodniami i wczoraj – jest, idzie przez Amsterdam Centraal z plecaczkiem na ramieniu. W tym plecaczku miała chyba bombę. – Mila podsunęła mi kolejne zdjęcie. – Ten człowiek szedł za nią krok w krok... – Zawiesiła głos.

Dech mi zaparło. To był facet z audi, z którym po raz ostatni widziałem swoją żonę. Włosy miał ścięte na jeża, bliznę nad okiem. Ale zapamiętałem zarys jego twarzy, ta druga blizna w kształcie znaku zapytania na skroni, wryła mi się na zawsze w pamięć.

– Dostrzegam pewne podobieństwo – powiedziała Mila.

Podniosłem na nią wzrok znad fotografii.

– Myślisz, że to ta kobieta dokonała zamachu...

Mila podała mi inną fotografię. Ta sama kobieta wychodząca szybko ze stacji, już bez plecaka, tuż za nią mężczyzna, który uprowadził moją żonę. Zerknąłem na sygnaturę z datą i godziną.

Mila to zauważyła.

– Wybuch nastąpił w kiosku peronowym dziesięć minut po opuszczeniu stacji przez Jasmin Zaid.

Przyglądałem się twarzy dziewczyny. Pusta, bez wyrazu. Nie wyglądała na przestraszoną ani podekscytowaną zamachem, którego właśnie dokonała. Najmniejszego śladu jakiegokolwiek emocji. Idący za nią mężczyzna z blizną uśmiechał się pod nosem.

– Ten człowiek pasuje jak ulał do twojego opisu. W jakiś sposób przekabacił... czy raczej podporządkował sobie Jasmin Zaid. Być może twoją żonę również. Robi z porządnych ludzi swoich niewolników. A potem nakłania ich do dokonywania aktów przemocy.

– Nie rozumiem. To jakiś terrorysta?

– Nie. Nie sędzę. Nikt nie przyznał się do tego zamachu, a bomba nie została podłożona w wagonie, gdzie ofiar byłoby o wiele więcej. Gdyby wykorzystywali Jasmin po prostu w charakterze narzędzia, mogli

detonować ładunek razem z nią. Ale nie, oni wysadzili mały peronowy kiosk z cukierkami, książkami i gazetami. Z punktu widzenia ekstremisty to bez sensu. Podobnie zresztą jak zamach na wasze londyńskie biuro.

Pomyślałem o Carze Kasjerze – byłem do tej pory przekonany, że zamach w Londynie to skutek śledztwa, jakie przeciwko niemu prowadziliśmy. Sądząc po akcencie, Mila była Rosjanką – czy mogła mieć z nim jakieś powiązania? Ale wtedy nie składałaby mi tej oferty; ukatrupiłaby mnie i już. Odłożyłem fotografię.

– Holenderska policja pewnie ich szuka.

– Holenderska policja jeszcze jej nie zidentyfikowała, ale mają oprogramowanie umożliwiające ustalenie tożsamości na podstawie rysów twarzy, nawet częściowo zasłoniętej. To tylko kwestia czasu. Kilka dni.

– Skąd masz te fotografie? Holenderskie władze upubliczniły je?

– Nie. – Tyle tylko powiedziała.

– Dlaczego opowiadasz mi o swoich problemach?

– Bo chcę, żebyś odnalazł Jasmin i ją do mnie przyprowadził.

– Nie będę dla ciebie pracował. Nie mogę – oświadczyłem zduszonym głosem. – Firma...

– Fuj. – Mila splunęła z obrzydzeniem. – Przestań udawać takiego przyjemniaczka, Sam. Nie pogrywaj według ich zasad. Te zasady wpędziły cię do więzienia, chociaż nic nie zawiniłeś. Według tych zasad jesteś winny, dopóki nie udowodnisz swojej niewinności.

Gdybyś tylko mógł, już dawno odnalazłbyś tego, kto to zrobił, wyjaśnił, dlaczego porwał twoją ciężarną żonę, zabił twoich przyjaciół. Nie udawaj przede mną. Krew się w tobie burzy. Chcesz ich odnaleźć.

W głosie Mili pobrzmiwał tłący się żar.

– Lucy i dziecko to twój święty Graal, Sam. Znam cię.

– Nie, nie znasz.

– Znam, znam. Poświęciłeś się walce ze złem. Do Firmy wstąpiłeś dla wyrównania rachunków. Rachunków, których dotąd nie wyrównałeś.

Zatkało mnie. Mila przyglądała mi się z uniesioną brwią.

– To żądza zemsty popchnęła cię w ramiona Firmy i pchany tą samą żądzą możesz teraz odnaleźć człowieka, który rozbił ci rodzinę. Nie oszukujmy się.

– Chcę tylko odzyskać Lucy i dziecko – powiedziałem. – Nie szukam zemsty.

– Nie wychodź z założenia, że zemsta jest czymś zdrożnym, dopóki nie poznasz jej smaku – rzekła Mila, wzruszając ramionami. – Dla mnie zemsta to coś wspaniałego i przynoszącego satysfakcję.

Sięgnąłem po glenfiddicha, napełniłem szklaneczki.

Mila pociągnęła duży łyk whisky.

– Jeśli pójdziesz na współpracę ze mną, nie będę miała nic przeciwko temu, żebyś jej szukał. Jestem najlepszą szefową pod słońcem.

Nie odzywałem się przez dobrą minutę.

– Co ty na to? – spytała w końcu.

– To może być pułapka zastawiona na mnie przez Firmę. Test, czy jestem skłonny sprzedawać swoje usługi. Nie wiem, kim jesteś, i nic mnie to nie obchodzi. Nie mogę ci pomóc. Ze względów praktycznych.

Skrzywiła się z niesmakiem, słysząc to słowo.

– Praktyczna to była sowiecka architektura. To żadna odpowiedź. Moja propozycja jest jeszcze ważna przez minutę.

– A jeśli odmówię?

– Odstawię cię do Holandii. Ale tam nasze drogi się rozejdą i nigdy już mnie nie zobaczysz. I bądź pewien, że nim minie kilka dni, znajdziesz się z powrotem w więzieniu. Bez cienia nadziei, że kiedykolwiek odnajdziesz swoją rodzinę.

– A jeśli się zgodzę?

Miła upiła łyżeczek szkockiej.

– Odszukasz Jasmin. Przywieziesz mi ją, a potem możesz się zająć tym facetem z blizną. Czy wie, gdzie jest twoja żona i dziecko, to już inna sprawa. Ale najpierw Jasmin.

– Ona ma krew na rękach.

– Nie. Widziałeś to na jej twarzy – albo nafaszerowano ją narkotykami, albo przeszła pranie mózgu. Rozpracuj tę grupę porywaczy, a ja ze swej strony udzielę ci wszelkiej pomocy, jaka będzie ci potrzebna w poszukiwaniu żony.

– I co potem? Przecież Firma nadal będzie mnie

ścigała.

– Nie będzie, jeśli niezbicie dowiedziesz swojej niewinności. A mogą ci w tym pomóc zeznania tego człowieka z blizną.

– Kim ty jesteś? – spytałem tak cicho, że nie miałem pewności, czy mnie usłyszała.

Mila odstawiła szklaneczkę.

– Pracuję dla grupy, która woli pozostać anonimowa. Możesz mi nie ufać, ale we mnie, jako przedstawicielce tej grupy, twoja największa nadzieja na odnalezienie żony. Daję ci swobodę działania i środki. Po co ci wiedzieć więcej?

Miała rację. Co mnie obchodzi, kim są ci ludzie; liczą się tylko Lucy i mój synek. Daniel. Ciekawe, czy zdążyła nadać mu to imię, czy oboje jeszcze żyją.

– A jeśli mnie złapią?

– Będziesz zdany tylko na siebie. Nie przyznamy się do ciebie, nie pomożemy ci.

Czekałem w milczeniu, aż lekki uśmiezek spełźnie z jej warg.

– Dlaczego to robisz? – spytałem.

– Nie mogę patrzeć, jak marnuje się twój talent. – Zapaliła papierosa; nie należała do osób, które pytają w małym pomieszczeniu, czy innym nie będzie to przeszkadzało. – Trzeba go wykorzystać.

Sięgnąłem po zdjęcie ze stacji i wpatrzyłem się w człowieka z blizną.

– Ile sekund z tej minuty mi zostało? – spytałem.

- Dziesięć.
- Zgoda – zdecydowałem.



Nie wiem, ile to Milę kosztowało, ale załoga statku zostawiła nas w spokoju. Ku mojemu zaskoczeniu, bo przecież jednego z nich o mało nie zastrzeliłem.

Dochodziłem do wniosku, że Mila reprezentuje bliżej nieokreśloną grupę z kręgów władzy, która zleciła jej jakieś zadanie niekoniecznie zgodne z prawem, ja zaś, jako towar wybrakowany, nadawałem się idealnie do odwalania wszelkiego rodzaju brudnej roboty. Mieli dostęp do archiwów Firmy, w tym do moich akt, ale Firma nic o nich nie wiedziała.

Nie obchodziło mnie jednak, kim są, grunt, że z ich pomocą będę mógł szukać Lucy.

Tak. Ćwiczyłem w swojej kajucie, podciągając się na drążku, biegając w miejscu, rozmyślając, oczyszczając umysł. Wytrzymałem trzy dni tego dobrowolnego odosobnienia, na tyle tylko było mnie stać; tygodnie spędzone w polskim więzieniu zrobiły swoje. Czwartego dnia wyszedłem na pokład i urządziłem sobie przebieżkę między kontenerami w pełnym blasku dnia. Członkowie załogi przyglądali mi się, ale nie odpowiadali, kiedy do nich machałem.

Nie wiedziałem jeszcze, jak zabrać się do poszukiwań człowieka z blizną. Należało zakładać, że zna moją twarz. Wszystko wskazywało na to, że podjąłem się bardzo niebezpiecznego zadania, mając w dodatku za zleceniodawcę osobę tak enigmatyczną jak Mila.

Skreśliłem za kolejny stos kontenerów i nadziałem się na Nożownika szorującego pokład.

– Cześć – powiedziałem.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Wszystko gra? – spytałem.

Kiwnął głową.

– To się cieszę. – Nie zamierzałem go przeproszać, bo to on pierwszy wyciągnął na mnie nóż, ale nie chciałem żadnych zadrażnień z tym gościem. Od Holandii dzieliło nas jeszcze parę dobrych dni drogi.

Ominąłem go i pobiegłem dalej, nie oglądając się za siebie. Nożem w plecy o dziwo nie dostałem. Ciekaw byłem, ile udobruchanie tego draba kosztowało Milę i dlaczego w ogóle zwracała sobie tym głowę.

Po powrocie do kajuty położyłem się na koi. Chwilę potem rozległo się pukanie do drzwi i weszła Milla.

– Firma rozesłała twoje zdjęcia do wszystkich punktów kontroli paszportowej w Europie i Azji. Z adnotacją, że jesteś zbiegiem i możesz się posługiwać fałszywymi dokumentami.

– Skoro mnie poszukują, to mogą zakładać, że posłużę się którąś ze swoich wcześniejszych legend. – Legendy to spreparowane życiorysy mające uwiarygodnić tożsamość, pod którą działają w terenie agenci operacyjni. Ja w swojej karierze byłem już kanadyjskim przemytnikiem, Niemcem piorącym brudne pieniądze, amerykańskim najemnikiem, który chce się szybko dorobić na konwojowaniu krwawych diamentów. Ludzie,

którzy mogliby powiedzieć, że tak naprawdę nigdy nie byłem żadną z tych postaci, albo już nie żyli, albo siedzieli. Wszystkie te legendy można było wciąż uważać za czyste. Nie miałem żadnych dokumentów na te nazwiska – ani paszportów, ani kart kredytowych – ale Mila mogła mi je wystawić. Byłem dobrze znany w przestępczym półświatku pod tymi nazwiskami. Jednak wykorzystanie jakiegoś do próby infiltracji kręgów, w których obracał się człowiek z blizną, wiązało się z poważnymi konsekwencjami. Istniało niebezpieczeństwo, że Firma spaliła wszystkie moje dotychczasowe nazwiska, powiadamiając swoje wtyczki i informatorów, że nie można mi ufać. Co gorsza, mogli nasłuchiwać, wyczekiwać momentu, kiedy spróbuję wejść w swoje stare buty.

A jedynym sposobem na przekonanie się, czy moje legendy są nadal dobre, była próba ich wykorzystania.

Opisałem Mili pokrótce tożsamości, pod których przykrywką kiedyś działałem, i przeszliśmy do jej kajuty. Rozłożyła tam zestaw składający się z ryzy papieru dyplomatycznego, aparatów fotograficznych, małej, ale profesjonalnej drukarki oraz laptopa. Marzenie fałszerza.

– Jaki będzie nasz pierwszy krok po przybyciu do Amsterdamu? – spytałem.

– Spotkamy się z ojcem Jasmin.

– Z jej ojcem?

– Pan Zaid opowie ci więcej o Jasmin i jej uprowadzeniu.

Pan Zaid? Czy to on był mocodawcą Mili?

– Ty mi opowiedz.

– Lepiej, żebyś usłyszał szczegóły od niego.

– Co o mnie wie?

– Tylko tyle, że możesz mu dopomóc w odzyskaniu córki. Więcej nie musi.

– Gdzie się z nim spotkamy?

– W barze.

– Widzę, że lubisz bary – zauważyłem z przekąsem.

– Tak – przyznała Milla – lubię. A teraz sprawdzimy, jak u ciebie z językami. Przez resztę dnia rozmawiamy tylko po rosyjsku. Holenderski znasz?

– Słabo.

– To musisz się w nim szybko podciągnąć. – Przewróciła oczami. – Nie chcę rumienić się ze wstydu, jeśli zaczniesz dukać bez ładu i składu.

Patrzyłem, jak Mila tworzy nowe wersje mojej osoby. Lepiła mnie jak to monstrum Frankensteina z papieru ze znakiem wodnym, z historii kredytowych i życiorysów. Zrobiła ze mnie Kanadyjczyka, Amerykanina, Niemca i Nowozelandczyka. Każdego pod innym nazwiskiem. Patrzyłem, jak tylnymi drzwiami wprowadza dane osobowe do podobno zabezpieczonych od każdej strony rządowych baz danych w Waszyngtonie, Berlinie, Ottawie i w Christchurch, jak pobiera kody paszportów tych państw, jak czyni mnie legalnym podróżnym. Wchodziła bez trudu do banków, wystawiając mi karty kredytowe na różne tożsamości.

– Moich dawnych nazwisk Firma też będzie szukała – zauważyłem.

– Owszem. Ale kto nie ryzykuje, ten nie żyje.

Zachodziłem znowu w głowę, kim jest ta kobieta. Mila pracowała, pogwizdując Bananaramę.

Rotterdam. Port przyjmujący dziennie średnio czterysta statków, zarówno tych oceanicznych, jak i śródlądowych, labirynt torów i dróg. Port sam w sobie jest jak miasto – żurawie portowe to jego drapacze chmur, drogi wodne to szerokie aleje. Jest krytycznym węzłem łączącym setki milionów ludzi z Ameryki Północnej z setkami milionów w Europie i dalej.

Wpłynąłem tam w tym samym kontenerze, w którym

opuszczałem Stany Zjednoczone. Mila wolała nie ryzykować. Kontrola paszportowa mogła dostać już cynk. Obawiała się też, że ktoś z załogi mógł sypnąć. Poranek, w który przycumowaliśmy, spędziła na rozdawaniu łapówek. Milczenie kosztuje.

Kontener osiadł na twardym gruncie, ale go nie otwierałem. Czekałem na Milę.

Przyszła z umundurowanym mężczyzną, inspektorem portowym.

– Wszystko załatwione – powiedziała do mnie po rosyjsku. Inspektor wszedł do środka i z miejsca okazał wielkie zainteresowanie vermonckimi mydełkami. Mila klarowała mu coś po holendersku; kiwał głową, mnie traktował jak powietrze.

Wynurzyliśmy się z Milą z kontenera w szary, pochmurny dzień.

– Masz wprawę w dawaniu łapówek – zauważyłem, kiedy szybkim krokiem szliśmy przez ruchliwy dok.

– Jestem tu lubiana i popularna – odparła Mila. – Zresztą przyjaciół mam w każdym zakątku świata.

I rozplynęliśmy się w powodzi towarów i ludzi przybywających do Europy.

Do odległego o pięćdziesiąt sześć kilometrów Amsterdamu pojechaliśmy pociągiem. Patrzyłem w zadumie na przesuwały się za oknem wagonu równinny krajobraz Holandii. Z powrotem w Europie. Tutaj byłem najszcześliwszy z Lucy, tutaj Firma wsadziła mnie do więzienia. Intruz, którego zabiłem, też miał bilet do Amsterdamu.

Odchyliłem się na oparcie kolejowego fotela. Zamieniłem jeden łańcuch wiążący mnie z Howellem na inny, który wiązał mnie z Milą. Obserwowałem w zamyśleniu holenderskie pejzaże. Przez wiele miesięcy zastanawiałem się, jak zareaguję, jeśli trafi mi się szansa szukania Lucy, ta szansa właśnie się nadarzyła i rozsadało mnie od środka. Ewentualne prawdy – że Lucy i nasze dziecko nie żyją albo że Lucy mnie zdradziła – czaiły się gdzieś w mroku jak potwory, których nie chcę zobaczyć i jeszcze nie muszę.

No nic. Znajdę człowieka z blizną, a wtedy mi powie, gdzie jest moja żona z synkiem. Na pewno powie. I będę ostatnią osobą, jaką zobaczy na tym ziemskim padole.

## CZEŚĆ DRUGA

**10–14 KWIETNIA**

„Najpotężniejszą bronią na świecie  
jest rozpalona ludzka dusza”.

– Marszałek Ferdinand Foch



De Rode Prins – „Czerwony Książę” – to bar nad malowniczym amsterdamskim kanałem Prinsengracht – „Kanałem Książąt” – wzdłuż którego brzegów ciągną się małe kawiarenki, hotele, okazałe rezydencje oraz budynki biurowe. Kilka przecznic dalej wznosi się Anne Frank Huis, przed którym stoi zazwyczaj cichy, pełen szacunku tłumek pstrykający zdjęcia. Kanałem płynął statek wycieczkowy, turyści fotografowali z niego kamieniczki na brzegu i napawali się niepowtarzalną atmosferą tego zakątka.

W powietrzu unosił się jeszcze zapach deszczu, który padał rano, ale mgła zdążyła już wyparować w słońcu. Druga, po kanałach, wizytówka Amsterdamu to rowery. Są wszędzie, a w ten wczesnowiosenny poranek wyroiły się na ulice jak pszczoły z ula. Nie są to żadne luksusowe jednoślady, bo często padają łupem złodziei, ale pomykają na nich i prawnicy w garniturach, i matki z dziećmi w bagażnikach za siodełkiem albo przed kierownicą, i studenci, i urzędnicy. Kasku nikt nie nosi. Choć było już po godzinach szczytu, a do pory lunchu zostało jeszcze sporo czasu, przed małym Rode Prins sunął nieprzerwany strumień rowerów. Kilka stolików wystawiono na chodnik, przy jednym siedziało przy wiosennym piwie dwóch mężczyzn zapatrzonych w grę światła na wodzie za przycumowanymi do brzegu barkami.

Weszliśmy z Milą do środka. Rode Prins był sztandarowym przykładem ginącej tradycji. Zaliczał się do „brązowych barów” nazywanych tak z uwagi na kolor ścian, w które kiedyś wgryzał się dym tytoniowy. Teraz w barze obowiązywał zakaz palenia, ale ściany pozostały brązowe, bo pomalowano je na ten kolor. Salka była wąska, przed długą, obitą skórą ławą biegnącą wzdłuż jednej ściany stało kilka stolików, wzdłuż przeciwległej ciągnął się piękny, stylowy bar. Nad barem wisiał portret jakiegoś zapomnianego członka rodziny królewskiej, przez jego twarz, pierś i dłonie biegła czerwona smuga, tak jakby przed laty ktoś rozmazał na obrazie krew albo czerwoną farbę. Książę z portretu sprawiał wrażenie bardzo osamotnionego. Rode Prins wymawia się podobnie jak Road Prince – król włóczęgów.

Otworzyłem menu, Mila rozejrzała się za obsługą. Podawali tu piwo warzone specjalnie na każdą porę roku. To był bar w moim guście. Dziwiło mnie, że Mila wybrała na spotkanie takie właśnie miejsce.

Z zaplecza wyszedł barman – wysoki, łysy, potężnie zbudowany, z wąską szparą między przednimi zębami. Mila zamieniła z nim kilka słów po holendersku; zerknął na mnie nieufnie.

– Sam, to jest Henrik – zwróciła się do mnie Mila. – Henriku, przedstawiam ci Sama. Zamieszka u ciebie na pięterku. Zapewnij mu wszelkie wygody.

Henrik uścisnął mi dłoń. Mila była uosobieniem egzotycznych sekretów, natomiast Henrik wyglądał mi na

barmana, któremu można się zwierzyć ze wszystkiego. Miałem tu zostać? Nic nie powiedziałem, ale Henrik kiwnął uprzejmie głową i zaprosił nas gestem na zaplecze.

Weszliśmy za bar, skręciliśmy, Mila przodem, w wąski korytarzyk obwieszony czarno-białymi fotografiami Prinsengracht w różnych porach roku, i po schodkach na jego końcu wspięliśmy się na piętro. Mila zatrzymała się na ostatnim stopniu i spojrzała na mnie.

– Bahjat Zaid świata poza swoją córką nie widzi i jest zdruzgotany jej zniknięciem. Nie zna ciebie, ale w twoje ręce składa jej życie. Nie zawieź zaufania, jakim cię obdarza. Jesteśmy jego jedyną nadzieją. Do policji zwrócić się nie może.

– Dlaczego?

– Sam ci to wyjaśni. – Mila odwróciła się i wstąpiła na podest.

W prywatnym mieszkanku nad Rode Prins, przygarbiony jak, nie przymierzając, Atlas dźwigający na barkach całą kulę ziemską, siedział wysoki mężczyzna w eleganckim garniturze, śnieżnobiałej koszuli i granatowym krawacie. Na nasz widok wstał i wytarł dłonie o marynarkę.

– Oto człowiek, o którym ci mówiłam, Bahjacie – powiedziała Mila. – Sam Capra. – Zaskoczyło mnie, że wymienia moje prawdziwe nazwisko, ale nie okazałem tego po sobie. Kobieta taka jak Mila musiała mieć ku temu swoje powody.

Bahjat Zaid uścisnął mi dłoń i zmierzył wzrokiem.

Uścisk był silny, spojrzenie jeszcze twardsze. Patrzył na mnie jak szef na pracownika, od którego spodziewa się usłyszeć złe wieści.

Usiedliśmy. Mila zaproponowała mi kawę. Podziękowałem.

Bahjat Zaid miał wąską, ściągniętą cierpieniem twarz. Przy jego łokciu stygła nietknięta filizanka kawy. Był nieskazitelny i roztrzęsiony zarazem.

– Proszę mi opowiedzieć o córce, panie Zaid – powiedziałem.

– Jasmin to moja duma, moje jedyne dziecko. – W jego angielskim wychwytywało się lekki bejrucki akcent. W zeszłym roku zrobiła dwa doktoraty, z chemii i z fizyki. Ma dwadzieścia pięć lat. Około metra siedemdziesięciu wzrostu. Jej... – Urwał, jak gdyby zażenowany tym potokiem słów.

– Tak – powiedziałem – ale tego mogę się dowiedzieć od Mili. Od pana chciałbym usłyszeć coś bliższego na jej temat.

Bahjat Zaid zamrugnął, sięgnął po leżącą na stoliczku obok brązową kopertę.

– To Jasmin – powiedział, podając mi fotografię.

Spojrzałem. Przedstawiała śliczną młodą kobietę. Burza ciemnych włosów, oczy płonące radością życia i inteligencją, enigmatyczny półuśmiezek. Była w błękitnym sweterku i w džinsach, odgarniała z czoła kosmyk rozwichrzonych włosów. W tle wznosiła się wielka rezydencja, wiatr targał koronami drzew, niebo

zasnuwały ołowiane chmury, zanosiło się na deszcz.

– Ładny dom.

Aż pokraśniał z dumy.

– To moja posiadłość w Kent. Historyczna. Miała służyć za redutę rządowi w razie inwazji na Anglię. Ma podziemne pomieszczenia biurowe i bunkier dla Churchilla na wypadek nazistowskiej okupacji. Dom od lat należy do rodziny mojej żony. W Londynie też mamy dom, ale wolimy mieszkać w Kent. Jasmin również.

Pomyślałem, że gdyby doszło do inwazji, to hrabstwo Kent położone na południowym wschodzie poszłoby na pierwszy ogień.

– Bardzo ciekawe – mruknąłem, przeglądając resztę fotografii. Jasmin z rodziną, ze służbą, na koniu, Jasmin odbierająca dyplom uniwersytecki.

Na kolejnym zdjęciu kilkuletnia Jasmin podnosiła wzrok znad książki. Uśmiechała się, brakowało jej dwóch przednich zębów.

– Od dzieciństwa ciągnęło ją do nauki. Widzi pan? Tutaj czyta książkę o madame Skłodowskiej-Curie. Działam od dawna w tej branży i od dzieciństwa ukierunkowywałem ją na tę dziedzinę wiedzy z myślą, że kiedyś obejmie po mnie schedę.

Planowałeś dziewczynie przyszłość od pieluch, pomyślałem.

– A co to za branża?

– Pan Zaid jest jednym z partnerów Militronics, firmy, która realizuje zamówienia rządów państw

Zachodu – wyjaśniła Mila. Znałem tę firmę; produkowała taką tam drobnicę na potrzeby wojska – cyfrowe lornetki, gogle noktowizyjne, kamizelki kuloodporne, ale również sprzęt komputerowy i specjalistyczne oprogramowanie do niego. Miała swoją markę, uważana była za najlepszą na świecie. Do jej klientów zaliczała się również Firma.

– Właśnie. Jasmin pracuje w naszym ośrodku naukowo-badawczym pod Budapesztem. Zajmuje się tam technologiami obronnymi – wytrzymalsze opancerzenie, skuteczniejsze uzbrojenie i tym podobne. Jej pasją była nanotechnologia.

– I od jak dawna nie daje znaku życia?

– Od dwudziestu pięciu dni.

– Czy wcześniej zdarzało jej się znikać tak bez uprzedzenia?

– Nie. Nigdy. Była wzorową córką.

– Ale policji jej zaginięcia pan nie zgłosił – zauważyłem.

– Nie. Odradzono mi to.

– Dzwoniono do pana z żądaniem okupu?

– Niezupełnie. Jasmin wyszła w piątek wieczorem z naszego ośrodka badawczego pod Budapesztem. Jak zwykle zasiedziała się tam do późna – jest bardzo sumiennym pracownikiem. – Podsunął mi wydruk; był to zrzut ekranu z komputerowego terminarza. Szczelnie, godzina po godzinie, wypełniony zaplanowanymi na ten dzień zajęciami zarówno związanymi z pracą zawodową, jak i samodoskonaleniem. Pouczyć się chińskiego.

Poczytać o operach Pucciniego. Postudiować makroekonomię. – Jak pan tu widzi, dni ma dokładnie rozplanowane. Tak najlepiej jej się pracuje. Wyrobiłem u niej ten dobry zwyczaj i ona go kultywuje.

– Wychował pan córkę na bardzo zorganizowaną osobę – przyznałem.

Puścił mimo uszu mój sarkastyczny komentarz.

– Nie odzywała się do mnie przez cały weekend, ale to jeszcze normalne. W niedzielę wieczorem dostałem wiadomość. – Bahjat Zaid przebiegł palcami po klawiaturze laptopa i na ekranie pojawiło się nagranie wideo. Jasmin przed drzwiami swojego domu, przekręcająca klucz w zamku. Z kąta ujęcia wynikało, że kamerzysta stoi po drugiej stronie ulicy i z ustawionym zoomem filmuje kobietę. Lampa nad drzwiami rozsiewała słabą poświatę; szum ruchu ulicznego był ledwie słyszalny, między obiektywem a kobietą nie przejeżdżał żaden pojazd. Późny wieczór. Jasmin upuściła klucze i kiedy się po nie schyliła, w kadrze pojawili się dwaj mężczyźni. Chwycili ją, zarzucili dziewczynie na głowę jakąś szmatę. Kamera zdążyła jeszcze uchwycić jej szeroko otwarte z przerażenia oczy. Mężczyźni odciągnęli ją szamocącą się od drzwi i wepchnęli na tył czekającej przy krawężniku furgonetki. Furgonetka ruszyła z piskiem opon. Tablice rejestracyjne nie zmieściły się w kadrze. Kamerzysta już o to zadbał.

Ale nie zadbał o wszystko.

– Może pan to puścić od początku? – poprosiłem.

Zaschło mi w gardle, czułem na szyi uścisk mężczyzny, który dusił mnie w Brooklynie. Zaid kiwnął głową i spełnił moją prośbę. Wpatrzyłem się w ekran. – Jeszcze raz poproszę. – Odtworzył ponownie filmik. Ale ja tym razem obserwowałem jego. Poruszał wargami, śledząc uprowadzenie córki.

– Rozpoznaje pan któregoś z tych ludzi? – spytał. – Odniosłem takie wrażenie.

Jednym z porywaczy był bez wątpienia facet z tatuażem Novem Soles, który próbował mnie zabić w moim nowojorskim mieszkaniu.

– Tak. Ale on już nie żyje.

Spojrzał mi w oczy.

– Moja Jasmin poniewierana przez tych zbirów. Niedobrze mi się robi. – Ścisnął palcami czubek nosa. – Nie mają prawa. To moja córka i należy do mnie.

Nie spodobał mi się ten ostatni komentarz.

– I co było później, panie Zaid?

– E-mail, którym przyszło to wideo, zawierał również numer telefonu. Natychmiast pod niego zadzwoniłem. Odebrał jakiś mężczyzna. Miał lekki holenderski akcent. Zabronił mi zawiadamić policję o jej porwaniu, bo jeśli to zrobię, zabiją Jasmin.

– Zażądał okupu?

– Tak. Kazał mi przelać pięćset tysięcy euro na konto na Kajmanach. Bezzwłocznie to uczyniłem.

– I żądali tylko pieniędzy?

– Tak. Zapłaciłem, ale mi jej nie oddali. – W jego



oczach pojawił się ból. – A potem przyszedł kolejny e-mail. Z kolejnym filmem wideo. – Najechał myszą na ikonkę na ekranie laptopa; ruszyło następne wideo. Dworzec kolejowy Centraal w Amsterdamie; rozpoznałem go ze zdjęć, które pokazywała mi Mila. Do budynku dworca wchodzi ciemnowłosa kobieta z plecakiem na ramionach. Po chwili ta sama kobieta wychodzi szybkim krokiem z dworca już bez plecaka, dolną część twarzy zasłania jej apaszka. Tuż za nią idzie mężczyzna z blizną.

Tu filmik się urywał.

– Dziesięć minut później na dworcu nastąpiła eksplozja – odezwała się Mila. – Pięć ofiar śmiertelnych.

– Zrobili z Jasmin jakiegoś potwora. – Wyczerpanie ściągało Zaidowi rysy twarzy. Wstał i blady zaczął krążyć po pokoiku. – Ta jej twarz... taka pozbawiona wyrazu. Jakby wytarto z niej wszelkie emocje, a w oczy wlano pustkę.

– I od tamtego czasu ani ona, ani porywacze już się do pana nie odezwali?

– Nie. – Zaid pokręcił głową. – Cisza. – Jego ton stał się lodowaty. – Nie muszą mnie już o nic prosić. Zniszczyli ją, a ujawniając to wideo, zniszczą też moją rodzinę i firmę.

– Myśli pan, że ona jeszcze żyje? – spytałem.

– Mam taką nadzieję; gdyby chcieli, żeby zginęła, odpaliliby ten ładunek, kiedy miała go jeszcze przy sobie. Tym wideo wywierają na mnie nacisk.

– Dlaczego nadal nie zgłasza pan tego na policję? Nie zwolnili jej.

– I co bym im powiedział? Że została porwana, a potem podłożyła bombę, od której zginęli ludzie? Gdybym poszedł teraz na policję, porywacze ujawniliby to wideo i byłbym skończony. – Przetarł dłonią czoło. – Prowadzę wiele interesów z rządami państw NATO, ze Stanami Zjednoczonymi, z Rosją. Moja córka zamachowcem? W gruzach ległoby wszystko, co przez całe życie z takim trudem budowałem.

– Ludzie zrozumieliby, że poddano ją praniu mózgu. Niech pan sobie przypomni Patty Hearst – powiedziałem.

– Patty Hearst została skazana, panie Capra – wytknął mi. – Świat nie dostrzegł w niej ofiary: dostrzegł dziewczynę z dobrego domu, która została anarchistką i terrorystką. Teraz świat jest jeszcze mniej wyrozumiały. Wątpliwości, jakie by się zrodziły, zniszczyłyby mnie. Nawet najmniejsza sugestia, że moja córka może być terrorystką, zniszczyłaby moją firmę. – Zamknął oczy. – Moja firma zarobiła miliardy na kontraktach, kiedy rządy zachodnich państw chciały pokazać, że nie dyskryminują firm prowadzonych przez muzułmanów. Rozumie pan

pułapkę, którą na mnie zastawili? Nie mogę pójść na policję. Muszę być im posłuszny.

– Może tu nie chodzi o Jasmin ani o okup. Może oni po prostu chcą pana pogrążyć.

– W takim wypadku ujawniliby już wideo i zniszczyli Bahjata – zauważyła cicho Mila. – A nie zrobili tego. Wykorzystują nadzieję Bahjata przeciwko niemu.

Zerknąłem na Milę.

– Czyli mam odnaleźć i uwolnić Jasmin.

– O, nie tylko to. – W oczach Zaida pojawił się stalowy błysk. – Chcę, żeby pan dopadł ludzi, którzy ją uprowadzili i... i ich zabił.

– Zabił?

– Tak, porywaczy. Nie obchodzi mnie, czy jest ich tylko dwóch, czy dwa tuziny. Przy życiu nie może pozostać nikt, kto mógłby donieść, że w tym akcie przemocy brała udział moja córka – wyrzucił z siebie Zaid – wskazać ją z nazwiska. Gdyby została uwolniona, a któreś z nich przeżyło, w zemście mogliby ujawnić to nagranie.

Ale mnie potrzebny był człowiek z blizną żywy, bo z martwego nie wyciągnąłbym przecież żadnych informacji.

– Jak rozumiem, celem nadrzędnym jest jednak uwolnienie Jasmin?

– Naturalnie. Ale oni wszyscy mają zginąć. Bezdyskusyjnie.

– Obawia się pan, że kiedy córka już będzie wolna, porywacze mogą dobrać się do pana?

– Jasmin widziała ich twarze. Nie wypuszczą jej. Nigdy. – Mierzył mnie długo spojrzeniem, potem przeniósł wzrok na Milę. – Mówiłaś, że on jest w stanie uwolnić Jasmin. Nie wygląda mi na takiego.

– Co nagle, to po diable, panie Zaid. To nie jest misja samobójcza, zwłaszcza jeśli chce pan mieć pewność, że nikt z nich nie przeżyje.

Uniósł brew, wychwytyjąc w moim tonie szyderstwo.

– Niech Sam rozegra to po swojemu, Bahjacie – wtrąciła cicho Mila.

– Mam do was obojga jedno pytanie. Czy słyszeliście kiedykolwiek o Novem Soles? Inaczej Dziewięć Słońc? Mówi wam to coś?

Pokręcili głowami.

– Chciałbym wiedzieć, jak zamierza pan przeprowadzić tę akcję.

– Nie musi pan wiedzieć. Tak będzie lepiej.

Przełknął głośno.

– Wolałbym mieć pewność, że Jasmin nie ucierpi...

Westchnąłem.

– Panie Zaid. Niewykluczone, że Jasmin nie ma już w Amsterdamie. Wtedy będę musiał ustalić, dokąd się przeniosła. Na razie nie mam żadnego tropu, który mógłbym podjąć. A jeśli jej twarz sfilmowały dworcowe kamery monitoringu i holenderskie zespoły dochodzeniowe powzięły podejrzenie, że to ona podłożyła bombę, to będzie jej szukała policja. Mamy mało czasu. Nie zamierzam go marnować na dyskusje z panem o

planie działania.

– Ja tylko... mam odczucie, że ją zawiodłem. Nie potrafiłem jej ochronić. – Wydusił to z siebie z wyraźnym trudem. Chyba zżerała go ta bezradność, nie przywykł do niej.

Nachyliłem się do niego.

– Rozumiem, przez co pan przechodzi. Wiem, co to znaczy stracić kogoś kochanego. Będzie miał pan córkę z powrotem.

Bahjat Zaid patrzył na mnie przez chwilę, potem się uśmiechnął; był to straszny, udręczony uśmiech człowieka, któremu bynajmniej nie jest do śmiechu. Przypominał z nim szczerzącego zęby psa.

– Jeśli się panu nie uda, panie Capra, albo w wyniku podjętych przez pana działań Jasmin zginie, poniesie pan konsekwencje.

Może był i dobry w negocjacjach z kontrahentami, i w rozstawianiu po kątach podwładnych. Na mnie jego metody nie działały.

– Proszę mnie nie straszyć, panie Zaid. Nie lubię pracować pod presją.

Zamknął się i wpatrzył we mnie.

– Teraz chcę usłyszeć, co pan wie o swojej córce i jej porywaczach.

Podał mi laptopa.

– Tu jest wszystko.

– Dziękuję. – Przyglądałem się jego ściągniętej twarzy. Złożył właśnie w moje ręce całą swoją nadzieję na

odzyskanie córki. – Dlaczego pan?

– Słucham?

– Dlaczego upatrzyli sobie właśnie pana?

Zamrugał, zerknął na Milę.

– Chyba o moje pieniądze im chodzi. Bo niby o co innego?

– Gdyby chodziło im tylko o pieniądze, zażądałoby wyższego okupu. Nie, tu gra toczy się o coś więcej. Zastanawiam się właśnie o co.

– Można by przypuszczać – powiedział – że jako bandziory lubujące się w sianiu terroru zażądają broni, sprzętu wojskowego.

– A nie zażądali?

– Nie. – Złożył dłonie na stoliku.

– Jakiego rodzaju badania prowadziła Jasmin?

– Są tajne, a zresztą nie mają tu nic do rzeczy. Poza tym nic, nad czym ona teraz pracuje, nie ma związku z systemami broni będącymi aktualnie w użyciu. Wątpię, czy oni wiedzą albo czy ich obchodzi, że ona jest naukowcem. W rozmowie z nimi nie odniosłem wrażenia, że są zainteresowani wynikami jej badań.

– Jak rozumiem, ona pracuje nad nowymi systemami?

– Owszem, takimi, co wejdą do eksploatacji za jakieś dziesięć lat. Tu nie chodzi o prowadzone przez nią badania, panie Capra. Tu chodzi o to, że ona należy do mnie. Dlatego mi ją odebrali.

Wstałem.

– Powiedziano mi, że jest pan jednym z niewielu, którzy potrafią wywiązać się z tego w zasadzie niewykonalnego zadania – ciągnął Zaid. – Liczy się tylko Jasmin.

Nie składałem mu żadnych obietnic. Podaliśmy sobie dłonie i Mila odprowadziła go na dół.

Otworzyłem laptopa. Pliki o życiu Jasmin, fotografie, lista jej przyjaciół z Londynu, Budapesztu i Stanów Zjednoczonych. E-maile i pliki wideo, które przychodziły na jej adres. Całe elektroniczne portfolio uprowadzenia, a ja nadal nie wiedziałem, od jakiego miejsca w Amsterdamie rozpocząć poszukiwania.

Wróciła Mila z dwiema parującymi kawami. Postawiła je na stoliku.

– Nie spodobał ci się.

– Robi na mnie wrażenie ojca-tyrana – przyznałem. – I podejrzewam, że nie mówi nam całej prawdy. Tak samo, zresztą, jak my jemu.

– Nie rozumiem.

– Nagrywają to wideo, przysyłają mu je i żądają tylko pół miliona okupu? Bujać to my, ale nie nas. Zażądali od niego czegoś, o czym nie chce mówić. Ma nadzieję, że ich odnajdę i pozabijam, zanim minie wyznaczony termin.

– Mogli nie przedstawić jeszcze wszystkich swoich żądań.

– Jak zdążyłem się zorientować, nie powiedziałaś mu, że mam osobiste porachunki z człowiekiem z blizną.

– Mógłby sobie pomyśleć, że z takiego ciągnięcia

dwóch srok za ogon nic dobrego nie wyniknie. A jemu na sercu leży wyłącznie ocalenie Jasmin. Twoja żona nic go nie obchodzi.

– Nie jestem pewien, czy bardziej niż o Jasmin nie chodzi mu o własną reputację. – Upiłem łyżeczek kawy. – Skąd znasz tego Zaida?

– Czy to ważne? Znam go i chcę mu pomóc. Tobie też chcę pomóc. Dlaczego zapytałeś o te Novem Soles?

Wyjaśniłem. Odchyliła się na oparcie krzesła.

– To nie może być zwyczajny zbieg okoliczności, że tą nazwą i tatuażem interesuje się CIA. Istnieją grupy, które naznaczają swoich członków.

Oglądałem fotografię. Postukałem palcem w twarz człowieka z blizną.

– Ten gość musi mieć jakąś swoją historię. Jest gdzieś coś na jego temat.

– Mam dostęp do rządowych baz danych na całym świecie – powiedziała Mila – i od czasu pojawienia się tego zdjęcia niczego w nich o nim nie znaleźliśmy. Zupełnie jakby został... wykasowany.

Twierdziła, że ma prawa dostępu, o których nawet niektórzy ludzie z kręgów władzy mogą tylko pomarzyć.

– Jesteś czarodziejką. Ten bar też do ciebie należy?

– Właścicielem jest mój podwładny.

– Bardzo mi się tu podoba – stwierdziłem. – W moim guście.

– W takim razie tutaj oblejemy sukces, kiedy będzie już po wszystkim. Ale dopiero wtedy.



– No to do roboty – powiedziałem. Człowiek z blizną, jeśli był jeszcze w Amsterdamie, to gdzieś w promieniu kilku kilometrów ode mnie; to bardzo zwarte miasto. A to by znaczyło, że jestem bliżej niż kiedykolwiek Lucy i mojego synka.

Trzymajcie się, pomyślałem, idę po was.

Musiałem przeniknąć do środowiska człowieka z blizną.

Oto, co było mi o nim wiadomo. Dokonał dwóch zamachów bombowych, z tego jeden na silnie chronione biuro Firmy. Uprowadził wybitną naukowiec oraz moją żonę, agentkę Firmy. Nie był do tej pory notowany; jego tożsamość pozostawała nieznana. Podejrzywałem, że może być na usługach tropionego przeze mnie Cara Kasjera zamieszanego w korumpowanie urzędników wysokiego szczebla w administracjach wielu państw. Miał środki, wysłał do Brooklynu człowieka z zadaniem odnalezienia mnie tam i zabicia. Nie wysuwał żadnych politycznych żądań, co by sugerowało, że robi to wszystko dla pieniędzy.

Był częścią sieci.

Nie ma środowiska, którego nie dałoby się spenetrować. Te nowe, w których działają współcześni przestępcy, nie są tutaj wyjątkiem.

Organom ścigania udało się przetrącić kręgosłup mafii w Stanach Zjednoczonych, bo fedzie umiejętnie wywierali presję na ludzi z wewnątrz – proponując im objęcie programem ochrony świadków, stawiając w stan oskarżenia każdego, kto był w jakikolwiek sposób powiązany z działalnością przestępczą.

Współczesne organizacje przestępcze nawiązują współpracę jedynie w celu realizacji jakiegoś określonego

zadania – przeszmuglowania nielegalnych imigrantów, przerzucenia heroiny ukrytej w importowanych z Chin telewizorach, które po drodze przechodzą przez porty w Pakistanie, albo podłożenia bomby w pociągu, żeby zarobić na chwilowym spadku cen akcji poszkodowanej w tym zamachu firmy transportowej. Komórki tych organizacji są nieliczne i ruchliwe, łączą się ze sobą i rozdzielają, wciąż zmieniając kształt jak dziecięcy samolocik, czołg czy ściana z małych plastikowych klocków.

Ponieważ jednak spoiwo tych cegiełek jest nietrwałe, można je wyizolować. Z muru, którego nie daje się sforsować, można wydłubać jedną obluzowaną cegłę, a wtedy posypią się inne i mur runie. Pozostawało mi tylko odszukać taką felerną cegielkę.

Siedziałem z wodą mineralną przy stoliku przed kafejką na skraju rozległego ulicznego targowiska Albert Cuypmarkt w południowej części Amsterdamu. Słońce przyświecało mizernie, w powietrzu unosiły się wonie ryb, ziół i kwiatów. Czytałem holenderską gazetę, wczuwając się z powrotem w rolę Petera Samsona, kanadyjskiego przemytnika, za którego podawałem się przed rokiem, gdy pracowałem jeszcze pod tą przykrywką dla Firmy. Samson, jak na szmuglera przystało, był gościem rzetelnym: nie zalegał z płatnościami, smarował, komu trzeba, nie zabijał. Udało mi się podejść dwóch handlarzy bronią z Ukrainy na sprzedaż uranu grupie radykalistów z Nowego Jorku. Okazało się, że ten uran

wcale uranem nie był (ich zmyłka), tak samo nie istniała ta radykalna grupa (moja zmyłka). Samson w środowisku przestępczym pozostał bez skazy, tamtych dwóch znaleziono martwych w mieszkaniu w Pradze. Zginęli z rąk współników, którym nie spodobał się cały ten przekręt, ten brak rozwagi, pazerność i łamanie elementarnych zasad. Doraźne spółki powstają z potrzeby chwili, na bazie wzajemnego zaufania.

Jako Samson powinienem cieszyć się nadal zaufaniem człowieka, z którym chciałem się spotkać. Odnalazłem go, obdzwaniając swoje dawne kontakty w Pradze. Od jednego dowiedziałem się, że człowiek ten przeniósł się przed sześcioma miesiącami do pięknego Amsterdamu.

Dostrzegłem go, zamawiając trzecią szklankę wody mineralnej. Nadchodził powoli, przygarbiony, między płóciennymi straganami targowiska, u warg niczym długi, ułamany kiel dyndał mu papieros. Włosy pachniały mu pewnie olejkiem lawendowym, a z ust załatywało czosnkiem. Jak pamiętałem, obawiał się przeziębienia i żuł namiętnie pastylki czosnkowe.

Skręcił w drzwi narożnej kamieniczki. Jeden z szyldów nad nimi informował, że mieści się tam zakład zegarmistrzowski MECHANICZNA POMARAŃCZA. A więc pozostał przy swoim zawodzie.

Odliczyłem do trzydziestu, przeciąłem ulicę i wszedłem tam za nim. Na parterze znajdował się malutki sklepik ze starymi CD i winylami, wiszący w powietrzu

dym rozganiały gitarowe riffy ze starego albumu Clash. Za kasą siedział znudzony punk wyczekujący chyba odrodzenia punk rocka. Do zakładu Mechaniczna Pomarańcza prowadziły schody. Wspiąłem się po nich, nacisnąłem klamkę. Drzwi się otworzyły. Gospodarz nie zdążył zasunąć zasuwki, bo obie ręce miał zajęte siatkami.

Wszedłem. Gregor ustawiał właśnie przyniesione siatki na drewnianym kontuarze. W przeszklonych gablotach wyeksponowana była kolekcja klasycznych zegarków. Na przykrytym czarnym aksamitem stole stały kasetki z posegregowanymi starannie częściami do zegarków, obok leżały w równych rzędkach gotowe do użycia narzędzia zegarmistrzowskie. Gregor potrafił zapanować nad chaosem.

Zamknąłem za sobą drzwi.

Odwrócił się i dobre dwadzieścia sekund patrzył na mnie bez słowa.

– Znam cię – odezwał się w końcu. Widział mnie zaledwie kilka razy, ale zegarmistrze są ludźmi spostrzegawczymi. – Z Pragi. – Nie wyglądał na zachwyconego. – Robiłeś interesy z braćmi Vrana.

– Owszem. Próbowali mnie okantować. Ale chyba bardziej niż mnie wkurzyli tym swoich wspólników. – To właśnie Vranowie chcieli wyłudzić ode mnie za nieistniejący towar pieniądze, które również nie istniały, a moja prowokacja pomogła Firmie w wyczyszczeniu ich kont bankowych. Wspólnicy bardzo to przeżyli. Wyrazili swoje niezadowolenie siekierą.

– Pochowali ich w jednej trumnie – powiedział Gregor. – Drugiej nie było trzeba.

Gregor kombinował trochę z Vranami, którzy pod przykrywką jego firemki przemycali lewy towar ze wschodniej Europy do Wielkiej Brytanii.

– Jak pamiętam, zawsze bałeś się przeziębici. Amsterdamskie powietrze lepiej ci służy? – spytałem.

– Tropiki to to nie są, ale mniej tu kicham. – Był trochę niespokojny, bo nie wiedział, jaką rolę odegrałem w śmierci jego znajomków. Przymrużył oczy. – Samson z Toronto. Nadalnosisz to nazwisko?

Uśmiechnąłem się.

– Innego nie mam.

Nie odwzajemnił mojego uśmiechu.

– Muszę zażyć pastylkę – powiedział, sięgając powoli do kieszeni. Chciał w ten sposób sprawdzić, czy jestem uzbrojony. Stężałem, ale pistoletu jeszcze nie wyciągałem. Gregor wyjął z kieszeni opakowanie pastylek czosnkowych i wsunął sobie jedną między wąskie wargi.

Uspokoił się trochę. A więc nie przyszedłem go zabić. Przyszedłem albo zaproponować mu jakiś interes, albo zasięgnąć informacji. To on organizował trasę przerzutu rzekomego uranu, ale ponieważ do tego przerzutu nie doszło, Firma postanowiła zostawić go w spokoju, w grze, do ewentualnego późniejszego wykorzystania. Tymczasem on przeniósł się do Amsterdamu, gdzie, jak przypuszczałem, chciał wznowić

dawną działalność. Amsterdam zapewniał lepsze szlaki przerzutowe i było ich więcej z uwagi na bliskość wielkiego portu w Rotterdamie.

– No i jak ci się żyje w Amsterdamie?

– Nie narzekam. Holendrzy to bardzo mili ludzie. – Ssał z zapamiętaniem pastylkę, wysysając z niej całą wzmacniającą moc czosnku. – Mają wspaniały system opieki zdrowotnej.

Rozejrzałem się po małej, ale imponująco wyposażonej izdebce.

– Interes też, jak widzę, nieźle się kręci.

Wzruszył ramionami.

– Zegarki to relikwiny analogowego świata. Teraz króluje digitalizacja, wszystko – książki, płyty, filmy – przerabia się na wersje cyfrowe. – Pociągnął nosem, mlasnął. – Ale od analogowych zegarków ludzie się nie odwrócili. Zegarek jest artykułem pierwszej potrzeby, a na dodatek świadczy o statusie materialnym właściciela. Człowiek zawsze chce wiedzieć, która godzina, i dobrze się prezentować, kiedy to sprawdza. – Odchrząknął, otarł grzbietem dłoni wargi. – Czym mogę służyć? – Zwrócił się do mnie jak do kogoś, kto zajrzał tu zainteresowany jego rolexami.

Na takie pytania człowiek, za którego się podawałem, z zasady nie odpowiada. Tak więc, zamiast odpowiedzieć, naruszyłem jego prywatność, zaglądając do siatek z zakupami. Typowy zestaw przyjęciowy dla dziecka, konkretnie dziewczynki. Serwetki, talerzyki, cukierki w

papierkach.

– Jakaś imprezka?

– Ożeniłem się tutaj cztery miesiące temu. Mam pasierbicę. Ustatkowałem się. Chyba nie będę ci mógł pomóc, Samsonie. Nie jestem już w kursie.

– Masz w Internecie stronę dla swojego zegarkowego biznesu, Gregor. Na pewno przeprowadzasz za jej pośrednictwem rozmaite transakcje międzynarodowe – zamawiasz części ze Szwajcarii, rozsyłasz towar po całej Europie. Wymarzona przykrywka dla szmuglu.

– Wyjdź. Nie wiem, o co ci chodzi. – W jego głosie pojawiła się nutka paniki.

– No, jak bym mógł? Tylko tego by brakowało, żebym po wyjściu od ciebie pomaszerował prosto do czeskiej ambasady i powiedział im, że jeden z ich synów marnotrawnych rozkręcił w tym pięknym kraju szemrany biznes i jeśli nie chcą potem świecić za niego oczami, to może niech go wezmą zawczasu pod lupę. Przejrzą księgi rachunkowe, faktury wysyłkowe, sprawdzą, jakich ma klientów.

– Nie zajmuję się już przemytem. Jestem teraz czysty.

– Ciężko wyżyć z używanych zegarków.

Wyciągnąłem portfel, a z niego robiący wrażenie plik euro, w które zaopatrzyła mnie Mila. Każdy ma swoją cenę.

Gregor ocenił wzrokiem grubość tego pliku i przestał mnie wypraszać.

– Szukam kogoś, Gregor, i muszę go znaleźć. –



Pokazałem mu powiększoną fotografię mężczyzny z blizną wykadrowaną ze spotu, w którym Jasmin dokonuje zamachu na dworcu kolejowym. – Widziałeś tego człowieka? – Wręczyłem mu odbitkę.

Gregor nie oddał mi jej od razu ze słowami: *Nie, nigdy go nie widziałem*. Wiedział, że gdyby tak zrobił, nie uwierzyłbym mu. Przyglądał się zdjęciu jak zepsutemu zegarkowi, wodząc po szczęce smukłymi palcami pianisty.

– Nie znam człowieka – powiedział w końcu.

– Zastanów się. Chyba nie chcesz, żeby twoja pasierbica dowiedziała się w dniu swoich urodzin, że jej nowiutki tatuś był przemytnikiem. A kto wie, czy nadal nim nie jest.

– Ona nie miałaby nic przeciwko temu, żebym zniknął z jej życia. Chyba ma na mnie alergię – wymruczał Gregor, ale jeszcze raz spojrział na zdjęcie. – Jego nie znam. Ale znam tego drugiego.

– Którego?

Spojrzał na mnie wymownie. Odliczyłem kilka banknotów i położyłem je na kontuarze.

– Tego osiłka z farbowanymi włosami. Za plecami faceta, którego niby szukasz.

Spojrzałem na zdjęcie. Krok za człowiekiem z blizną podążało barczyste chłopisko z farbowanymi na jasnoblond włosami. Sądząc po rysach twarzy, facet musiał chyba mieć w genach azjatycką domieszkę.

– Tak, tego znam – orzekł Gregor. Zwrócił mi lekko

drżącą dłonią fotografię. Zegarmistrzowi ręce nie mają prawa drżeć. – Są ci coś winni? – spytał, i to był jego drugi błąd. Chciał się dowiedzieć, dlaczego szukam blondyna. Żeby mu potem o tym donieść.

– Co to za jeden, Gregor?

– Zaraz, zaraz, jak on się nazywa...? – Cofnął się do stołu z narzędziami.

– Kto to jest, Gregor? Bo kończę wypłatę.

– Powiedz mi najpierw, dlaczego szukasz tych ludzi.

– Chcę im zaproponować interes.

– To zamiast ich fotografować, nie mogłeś od razu podejść i przedstawić się? Zresztą może się myłę, ale to mi wygląda na policyjną fotkę. Została wykadrowana. – Oczywiście, że została. Wyciąłem z niej Jasmin.

– Nie mantykuj, Gregor, tylko mi powiedz, jak nazywa się ten blondyn i gdzie go mogę znaleźć.

– Ten blondyn... słuchaj, dam ci jedną dobrą radę. Od nich trzymaj się z dala. Nie wiem, jaką robotę masz nagraną, ale znajdź sobie do niej kogoś innego.

– Powiedz mi – warknąłem, podchodząc bliżej.

– Nie. Gdybym ci powiedział, poszedłbyś do niego. A potem on przyszedłby do mnie. Nie, dziękuję. – Do jego tonu wkradł się strach. – On nie patyczkuje się z ludźmi, którzy wchodzą mu w drogę. Nie, nie. Ja mam teraz rodzinę. Powiem ci, jak się nazywa, ale zamiary na niego niech ci poda ktoś inny. Ja tego nie zrobię.

Dotknąłem jego ramienia.

I mało brakowało, a poderżnąłby mi gardło.

Nożyk był mały, ale do przecięcia żył nie trzeba większego. Trudno było stwierdzić, czy to po prostu jedno z narzędzi do naprawy zegarków, czy broń. Słyszając świst, z jakim ostrze przecinało powietrze, odchyliłem się odruchowo; gdyby nie to, rozplątałoby mi grdykę.

– Oż, kurde – stęknął Gregor. – Przepraszam. Ja chcę tylko, żebyś wyszedł.

– Dając w ten sposób do zrozumienia, że większy respekt masz przed nimi niż przede mną, wpędzasz mnie w kompleksy.

Wypuścił nożyk z ręki.

– Nawet by cię za bardzo nie skaleczył.

– Dajmy na to – mruknąłem. – Czemu tak się go boisz?

Nie odpowiadał, uznałem więc, że jeśli boi się przemocy, to warto mu pokazać, że z mojej strony też może się jej spodziewać. Przyparłem go do zegarmistrzowskiego stołu warsztatowego.

– Nie wygłupiaj się – sapnął. – Chciałem się tylko ciebie stąd pozbyć. Zostaw mnie.

Oberwał kantem dłoni w szyję i osunął się na krzesło.

– Teraz porozmawiamy inaczej, Gregor. – Spojrzałem na zegarmistrzowskie narzędzia. Jedne służyły do manipulowania trybikami, inne do usuwania opiłków metalu z wnętrza werku. Wypatrzyłem zakrzywiony na końcu szpikulec; przypominał haczyk, którym dentyści

dłubią pacjentom w zębach. Sięgnąłem po niego.

Uniosłem Gregorowi czubkiem palca powiekę i przybliżyłem szpikulec do gałki ocznej.

– Nie znam tego z blizną! – wrzasnął.

– To już wiem. Ale znasz blondyna.

– Błagam, błagam!

– Gregor. Nie chcę ci zrobić krzywdy. Nie chcę, żebyś wparował ślepy na urodzinowe przyjęcie twojej pasierbicy.

– Muszę jeszcze odebrać zamówiony tort – prawie wyszłochał. – Na konkurs, na koekhaben.

– Na co?

– To taka dziecięca konkurencja, kto najszybciej i najwięcej odgryzie z zawieszzonego na żyłce tortu, ten wygrywa...

– No nie, Gregor, zapowiada się zabawa na sto dwa. Szkoda by było, gdyby cię ominęła. Założę się, że zwycięstwo w tej grze masz w kieszeni. Nie zrób dzieciakom zawodu. Powiedz mi tylko, jak on się nazywa, gdzie go mogę znaleźć, i możesz lecieć.

Gregor spróbował uwolnić się z mojego chwytu.

– Od kiedy kumplujesz się z tym blondasem?

– Nie kumpluję się... to znajomy znajomego. – Puścił wreszcie farbę. – Ma na imię Piet. Ten znajomy mi go przedstawił.

– Jaki znajomy?

– Nazywa się Nic ten Boom. Niedawno go poznałem. W zeszłym tygodniu spotkaliśmy się na piwie.

Przyprowadził ze sobą tego Pieta. Nic jest ustawiony, a ten Piet udaje, że też.

– I o czym przy tym piwie rozprawialiście?

– O Ajaksie – tej drużynie piłkarskiej z Amsterdamu.

No i o kobietach.

Przysunąłem mu bliżej do oka zegarmistrzowski szpikulec.

– I co potem? Jak już sobie strzeliliście po browarku?

– Poszliśmy do Rosse Buurt – tej dzielnicy czerwonych latarni.

– Gregor, toż tyś się dopiero co ożenił.

– Ja... ja nigdzie tam nie wchodziłem. Oni też nie.

– Mam przez to rozumieć, że poszliście tam pooglądać sobie tylko kurewki przez szybę? – powiedziałem tonem niedowierzającej małżonki.

– Piet nas namówił. Był trochę podchmielony; lubi piwo. Chciał popatrzeć na te mizdrzące się z okien dziwki.

– Erotoman jakiś czy co?

Gregor oblizał wargi.

– Nie, nie. Nie wiem, dlaczego chciał tam iść. Ale nalegał. Poszliśmy i żartowaliśmy sobie z tych kobiet za szybami. Piet żartował, ja z Nikiem też. Trzeba robić to samo co Piet. On wodzi rej.

Żartowali z prostytutek. Coś nie chciało mi się w to wierzyć.

Naciąłem mu lekko skórę tuż nad powieką.

– O czym jeszcze rozmawialiście?

Krzyknął i zacisnął zęby.

– No, dobrze już, dobrze. Pieta interesowały kanały przerzutowe do Ameryki Północnej. Wypytywał mnie o moje przesyłki do Stanów. Opisałem mu, jak to u mnie wygląda, ale chyba uznali, że jestem za cienki na operację, którą planują. Nie wysyłam tam tylu zegarków, żeby im to pasowało.

– Widziałeś się potem jeszcze z którymś z nich? – Dosunąłem mu szpikulec do oka tak blisko, że zadrżała gałka oczna, normalnie zadygotała w oczodole.

Nie odpowiedział od razu. Dźgnąłem go w dłoń. Syknął. W miejscu nakłucia pojawiła się kropelka krwi.

– Następne będzie oko. Mówię poważnie, Gregor.

– Pieta już więcej nie widziałem. Z Nikiem byłem przedwczoraj na piwie.

– Czym się zajmuje ten Nic?

– Kombinuje coś z Pietem... podobno ma coś wspólnego z komputerami... i jest w tym dobry. Przekręty internetowe, no wiesz, listy z nigeryjskiego banku i takie tam. Nie słyszałem do tej pory, żeby zajmował się szmugłem. Jest... jest jakiś dziwny. Szczerze mówiąc, to nie utrzymywałbym z nim znajomości, ale zawsze można od niego dostać jakiś dobry adres e-mailowy, a w marketingu to bardzo ważne.

Aha, spamer. Zło wcielone.

– Gdzie mogę znaleźć tego Nica? – Przytknąłem sobie czubek szpikulca do języka. Zwilżyłem go.

Gregor dygotał w moim uścisku.

– Mieszka nad kawiarnią w okolicach Jordaan. Ale przeważnie przesiaduje w barze Grijs Gander. To niedaleko Rosse Buurt. Znają go tam.

Puściłem go.

– Próbowaleś poderżnąć mi gardło – powiedziałem. – Jeśli chcesz, żebym to puścił w niepamięć, to zapomnij, że w ogóle rozmawialiśmy. Nie piśniesz o mnie słówka, chyba że zażądają od mnie twoich referencji. A w takiej sytuacji będziemy odstawiali dobrych kumpli, dotarło?

Gregor kiwnął głową.

– Szukasz Pieta, a ja go nie lubię. Niech się smaży w piekle. – Docisnął do piersi zranioną dłoń, ale zrobił to ostrożnie, żeby nie poplamić sobie krwią garnitur. Nie patrzył na mnie. Po zasypaniu kogoś oni zawsze są zażenowani.

– Jeśli wspomnisz komuś, że się widzieliśmy, Gregor, wrócę. Do Nica nic nie mam. Chcę tylko pogadać z tym Pietem. Ale spróbuj ich przede mną ostrzec, a jeden mój telefon i wracasz pierwszym samolotem do Pragi.

– Nic nie powiem.

Wsunąłem mu do kieszeni jeszcze kilka banknotów euro. Odetchnął z wyraźną ulgą. Z tej samej kieszeni wyciągnąłem jego komórkę.

– Jak się nazywają twoja żona i pasierbica, Gregor?

W jego oczach pojawił się strach.

– Zostaw je w spokoju, Samson, błagam.

– Imiona – warknąłem.

– Żona Bibi, a pasierbica Bettina.

– Mam nadzieję, że jesteście z żoną szczęśliwi, Gregor. A Bettinie złóż ode mnie życzenia z okazji urodzin. – Popatrzyłem na niego przeciągle, odwróciłem się i wyszedłem.

Nie zwykłem zastraszać ludzi i gdyby Gregor nie próbował mnie zaciąć, rozmawiałbym z nim o wiele uprzejmiej. Z drugiej strony z wystraszonego Gregora był większy pożytek.

Na ulicy sprawdziłem na bajeranckiej komórce Gregora wykaz połączeń. Przed dwoma dniami, pod wieczór, telefon od Nica. Prawdopodobnie zaproszenie na piwo do Grijs Gander. Poza tym nic ciekawego. Większość rozmów z Bibi, kilka z Bettiną. I to wszystko.

Sprawdziłem pocztę głosową. Jedna wiadomość od Bibi, wykrzyczana po holendersku, przypominająca mu o zorganizowaniu dekoracji na przyjęcie Bettiny. Bibi sprawiała wrażenie zniecierpliwionej i podpitej, nazwała Gregora dwa razy złamanym kutasem, ale to nie moja sprawa, z kim się Gregor zadał. Prawdziwa miłość jest ślepa, pomyślałem, wspomniałem Lucy i zakłuło mnie w piersiach.

W poczcie głosowej była jeszcze jedna wiadomość, sprzed tygodnia, od Nica. I bonus – dołączona do niej fotografia Nica. Rudzielec o byczym karku z włosami ściągniętymi w mysi ogonek, ani cienia uśmiechu.

„W Grijs Gander, dziś wieczorem, jak uda ci się zerwać Bibi z łańcucha. O szóstej. Chcę ci przedstawić jednego mojego znajomego” – powiedział Nic w



nieskasowanej wiadomości głosowej.

Tym znajomym był pewnie Piet. Gregor był dobry w przerzucaniu wszelakiego dobra przez granice pod nosem władz.

Co takiego Piet chciał przemycić do Stanów?

W barze Grijs Gander nie było tak uroczo jak w Rode Prins. Konkurencję przegrywał nawet z pękniętym pisuarem.

Bar znajdował się na skraju Rosse Buurt, przecznice, może dwie od oświetlonych neonami witryn, w których pozują kurwy. Aż wierzyć się nie chce, że w tej dzielnicy mieszkają rodziny z dziećmi i zwyczajni ludzie pracy, ale mieszkają, i Grijs Gander otwierał swe podwoje w porze lunchu.

Przeciskałem się przez tłumy japońskich turystów. Wczesne wieczory to pora podjaranych gapiów, tych, co chcą tylko popatrzeć, i dotykania nie mają w planach. Stojące w witrynach dziewczyny przybierają przed turystami erotyczne pozy i wyginają się, traktując to jako rozgrzewkę; wiedzą, że niebawem zjawią się prawdziwi klienci.

Grijs Gander nie było jakąś pierwszą lepszą speluną, tylko barem karaoke. I to sprawiało, że było tam po tysiackroć straszniej. Wyobraźcie sobie *Idola*, gdzie jurorzy są pijani i mają pod ręką noże.

Była dopiero dwudziesta pierwsza, młoda godzina, jak na amsterdamskie standardy. Na scenie karaoke pijany Hiszpan przy aplauzie przyjaciół katował *Off the Wall* Michaela Jacksona. W głębi sali kilku mężczyzn grało w bilard; jeszcze parę osób rozmawiało w boksach. Przy barze siedziały dwie młode kobiety w towarzystwie

swoich chłopaków. Przesunąłem fachowym okiem barmana po stolikach: pito głównie wódkę albo piwo; żadnych wymyślnych koktajli. Rozejrzałem się na wszelki wypadek po sali, żeby zawczasu wytypować ewentualne zarzewia problemów.

Większość ludzi przyszła tu popić, pośpiewać i pośmiać się z fałszujących wykonawców. Bilardziści chyba się znali, a więc prawdopodobieństwo, że ni z tego, ni z owego zaczną się okładać kijami, było niewielkie. Jedno ognisko problemów wypatrzyłem pod ścianą w głębi lokalu; grupka rostrych, ciemnowłosych facetów rozmawiała po turecku i rozglądała się po sali, jakby w poszukiwaniu zaczepki. Za drugie uznałem dziewczynę z drugiego końca kontuaru, która z ostentacyjnym znużeniem rozglądała się po barze, co strasznie wnerwiało jej towarzysza.

To były punkty zapalne, usiadłem więc jak najdalej od nich, przy barze, przed dystrybutorem piwa. Zamówiłem pintę amstela. Nalewał mi ją chudy barman o ziemistej cerze, z pięcioma kolczykami w lewym uchu. Postawił szklanicę przede mną, obrzucając mnie taksującym spojrzeniem. Położyłem na kontuarze należność w euro zaokrągloną w górę o skromny napiwek. Sącyłem piwo zapatrzony w przestrzeń i słuchałem.

Mój holenderski nie był najlepszy, spędziłem cztery miesiące w Surinamie, byłej holenderskiej kolonii w Ameryce Południowej, i trochę go tam liznąłem, i jak to z każdym obcym językiem bywa, gdy teraz słuchałem go na

żywo, szybko się z nim na powrót oswajałem. Moi rodzice pracowali w Episcopal Relief – ojciec jako administrator i audytor tej charytatywnej fundacji, matka jako chirurg dziecięcy specjalizujący się w rozszczepach podniebienia – i całe dzieciństwo upłynęło mnie i mojemu bratu Danny’emu na podróżowaniu z nimi po całym świecie. Po hiszpańsku, rosyjsku i francusku mówiłem płynnie, po chińsku i niemiecku nieźle. W kilkudziesięciu innych językach potrafiłem wydukać *Jestem Amerykaninem i muszę zadzwonić do swojej ambasady*, chociaż teraz, kiedy ścigali mnie Howell z Firmą, ta fraza nie na wiele by mi się zdała. Na kursach lingwistycznych w Langley biłem rekordy w tempie przyswajania sobie języków obcych, ale holenderskiego nigdy się tak naprawdę nie uczyłem i zdawałem sobie sprawę, że moja znajomość tego języka pozostawia wiele do życzenia.

W barze słyszałem mieszaninę języków: holenderski, angielski (szeroko znany w Amsterdamie), francuski, hiszpański. Jeszcze raz przyjrzałem się Turkom; zorientowali się, że na nich patrzę, przeniosłem więc szybko wzrok na dobrze podchmielonego Hiszpana. Nie wiedziałem, ile czasu przyjdzie mi jeszcze siedzieć w tej zapijaczonej wieży Babel ani czy w ogóle doczekam się Nica. A prędzej czy później ktoś z holenderskiego wywiadu przestudiuje materiał zarejestrowany w dniu zamachu przez kamery monitoringu na Centraal Station i wypatrzy Jasmin Zaid wchodzącą na dworzec z plecakiem, a niedługo potem wychodzącą stamtąd już bez

niego.

Zatem czas poganiał.

Oduczyłem się cierpliwości. A przecież szpiegowanie to czekanie. Musiałem przydybać tego Nica, bo chociaż sam w sobie mało mnie interesował, to tylko poprzez niego mogłem trafić do Pieta, potem do człowieka z blizną i Jasmin. A poprzez człowieka z blizną do Lucy.

To był mój jedyny trop.

Sącyłem powoli piwo. Następny karaokowiec zaśpiewał nawet nieźle własną wersję *Knockin' on Heaven's Door* i zebrał oklaski, pijaną kobietę, która weszła na scenę po nim, wygwizdano w połowie *Like a Prayer* Madonny.

Nie podobało mi się tutaj. Żadnego porównania z pachnącym czystością barem Olliego. Ollie pewnie był na mnie wściekły, że zwiąłem. Brakowało mi rozmów z Augustem. Miałem nadzieję, że Howell i Firma nie wzięli go w obroty. Ollie nic nie wiedział, nawet tego, że Mila udawała tylko jego przyjaciółkę. Zastanawiające jednak, że była u Olliego częstym gościem. To nie mógł być zwyczajny zbieg okoliczności, Zwłaszcza że ja tam pracowałem. Jeszcze jeden trop do zbadania, ale to później.

Obserwowałem spod oka jedną z dziewcząt przytulającą się do swojego chłopaka, muskającą mu wargami policzek.

Brakowało mi Lucy.

Trzecie piwo. W takiej speluncie trzeba pić, i to nie

mineralną czy kawę, bo niepijący staje się od razu podejrzany.

Przysiadła się do mnie dziewczyna, ta oglądająca się za facetami.

– Nie zaśpiewałbyś? – wybełkotała po angielsku. Nie próbowała nawet zagadnąć mnie po holendersku. Pewnie wyglądałem na Amerykanina bardziej, niż mi się wydawało. Spojrzałem na jej chłopaka. On też na mnie patrzył z drugiego końca baru.

– Nie mam głosu – mruknąłem.

– To tak jak wszyscy tutaj. Hmm. Co ty mógłbyś zaśpiewać? – Przyjrzała mi się, tak jakby muzyczny gust człowieka można było wyczytać z jego twarzy. – Coś Nirvany? Wyglądasz na trochę wkurzonego.

– Ja? Skąd?

– Aha. – Teraz na jej twarzy pojawił się uśmiech. – No to Prince'a. Pożyczę ci czerwoną apaszkę.

– Wolę Radiohead.

– Za poważni. To już bardziej Justin Timberlake.

Nie patrzyłem na nią. Jej chłopak też zdawał się skupiać całą uwagę na scenie.

– Nie, nie jestem piosenkarzem.

– To kim jesteś?

– Facetem, który wpadł tu na piwo, nie ma zamiaru śpiewać ani ochoty rozmawiać. Przepraszam.

Skrzywiła się.

– Dupek. Cwel.

– Wracaj do swojego chłopaka – powiedziałem – i z

nim się droczył. Ja nie jestem w nastroju.

Wstała obrażona i zobaczyłem mężczyznę, który usiadł dwa stoliki ode mnie, kiedy ja opędzałem się od dziewczyny. Nic ze zdjęcia w komórcie Gregora. Rudy mysi ogonek, ponura mina.

Przeniosłem wzrok na scenę, z której publiczność usiłowała spędzić Filipińczyka zawodzącego piosenkę z *Króla Lwa*. Filipińczyk pokazał tłumowi nieprzyzwoity gest i o mało nie oberwał pustą szklanką. Barman krzyknął coś zza baru do stolika, z którego poleciała; siedzące przy nim towarzystwo specjalnie się tym nie przejęło.

Albo miałem szczęście i Nic zupełnie przypadkiem usiadł w pobliżu – albo Gregor ostrzegł go przede mną, opisał, i facet przyszedł zobaczyć, co ja, cholera, za jeden.

Obserwując go spod oka, zamówiłem jeszcze jedno piwo. Nic wyciągnął z kieszeni smartfon i zapatrzył się w wyświetlacz. Skubiąc nerwowo swój mysi ogonek, przesuwając kciukiem listę wiadomości. W pewnej chwili zaklął po holendersku, wstał i skierował się do toalet w korytarzu prowadzącym do tylnego wyjścia. Zdążył wypić dopiero połowę swojego piwa, ruszyłem więc za nim.

Skრęcając w drzwi toalety, obejrzał się i zobaczył mnie. Zamierzałem upewnić się tylko, czy naprawdę wchodzi do toalety, a potem wycofać się z powrotem do baru. Teraz już nie mogłem.

W toalecie było czystiej niż w barze. Nic stał nad pisuarem i rozmawiał przez telefon. Obrzydliwe. Nie

przyjdzie takiemu do głowy, że rozmówca po tamtej stronie słyszy odgłos, z jakim struga moczu rozpryskuje się na porcelanie.

Umyłem ręce, zwilżyłem zimną wodą twarz.

– Mam towar, gliny nie wiedzą – powiedział po angielsku. Przerwał połączenie. Skończył, spłukał pisuar i schował komórkę z powrotem do kieszeni. Obok kabiny stało dwóch Turków od stolika, na który wcześniej zwróciłem uwagę. Palili, rozmawiali.

Teraz zastąpili mu drogę. Chwila napięcia. Nic mruknął coś po holendersku; mężczyźni cofnęli się, ale z ociąganiem. Wyszli. Nic opłukał dłonie; ręczników tu nie było, więc wytarł je o dzinsy. Ruszyłem za nim w pewnej odległości.

Kiedy siadałem przed swoją pintą, on znowu rozmawiał przez komórkę. Staralem się na niego nie patrzeć, za to Turcy od stolika w głębi sali ostentacyjnie wlepiali weń oczy z minami, które niczego dobrego nie wróżyły.

Nic kontynuował rozmowę, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi. Mówił jednak za cicho, żebym mógł go usłyszeć w zawodzeniu karaokowców dobiegającym od zachlapanej piwem scenki.

Czterech Turków wstało i ruszyło w stronę Nica. Nic, pochłonięty rozmową, nie widział tego. Dopilem piwo; zanosilo się na to, że występy karaoke przyćmi za chwilę inny rodzaj widowiska, a pustą szklanką poręczniej się posługiwać w charakterze broni.



Czwórka zatrzymała się między mną a Nikiem. Na mnie nie patrzyli. Jeden z nich postukał Nica grubym paluchem w ramię.

– Ej, ty, zapomniałeś o mnie?

– Być może – mruknął Nic. Zakończył połączenie, nie żegnając się z rozmówcą.

– Przekaż temu swojemu koleśowi Pietowi, że jest złamasem i wisi mi forszę.

– Powiedziałem ci, że później. Później. Nie teraz.

Wychodziło na to, że nie tylko ja czekałem tutaj na Nica.

– Załatwiłem mu kanał. Niech mi za to zapłaci. Teraz.

Tylko tego by brakowało, żeby ci Turcy pobili Nica i zniszczyli mi trop. Odstawiłem szklanę i przygotowałem się do interwencji.

– Nie dotarło? – warknął Nic. – Nie jestem jego chłopcem na posyłki. Sam mu to powiedz. – Z jego tonu przebijał sarkazm.

– Nie, dzwoń teraz. On telefonów od nas nie odbiera. No już. Powiedz mu, że muszę wiedzieć, dokąd ma trafić przerzut, żeby dopiąć wszystko na ostatni guzik. I że czekam na forszę.

– Zgodziliście się na jego warunki. Jeśli przestały wam odpowiadać, kiedy interes został ubity, to już wasza broszka.

– Nie zapłaci, to przerzut może sobie narysować.

O jakim przerzucie tu mowa, zastanawiałem się. Może chodzi o to, co Piet chce przesmuglować do Stanów.

– Pogięło was – mruknął Nic. – Wracajcie do swojego piwa i dajcie mi spokój.

– Nie będę ryzykował za friko – powiedział Turek. – Albo wydusisz od niego moje pieniądze i namiary na punkt docelowy, albo, kurwa, kark ci skręcę.

– Grozisz mi? – syknął Nic.

– Dzwoń. No już. – Największy z Turków chciał wyrwać Nicowi z ręki komórkę, ale Nic, z twarzą poczerwieniałą z gniewu, schował ją szybko do kieszeni kurtki.

Pora na interwencję.

– Przepraszam, że się wtrącam – zwróciłem się do

Turka – ale macie pretensje do tego pana czy do jego znajomego?

– Nie twój interes – warknął Turek, spoglądając na mnie jak na kretyna wtykającego palec między drzwi. Wszyscy czterej byli mojej postury, może nawet masywniejsi z tymi mięśniami i dłońmi stwardniałymi od ciężkiej pracy fizycznej.

– Wierciecie mu dziurę w brzuchu, żeby zadzwonił do Pieta. – Każde moje słowo było szturchańcem, prztyczkiem w nos, i Turek to wyczuwał. Przygotowałem się na przyjęcie pierwszego ciosu. – Sami znajdźcie Pieta.

– A tobie co do tego? – warknął Turek.

– A to, że Piet i mnie jest krewny kasę, i chcę ją odzyskać pierwszy – zełgałem. Uwielbiam dobre kłamstwo, które działa jak miniaturowa bomba. Zaniemówili. – Co, zatkało cię, zasrańcu?

Nic spojrział na mnie zdumiony jak na debila, który nie zdaje sobie sprawy, w co się pakuje. Zyskałem teraz pewność, że zero o mnie wie. Gregor trzymał jednak język za zębami.

– To może ja już zadzwonię do Pieta – zaczął – i zobaczymy, co...

Odwróciłem się do nich plecami i chwilę potem oberwałem w tył głowy. Cios był tak silny, że chociaż byłem na niego przygotowany, o mało nie wyrznąłem czołem o kontuar. Odgryzłem się mierzonym kopniakiem z półobrotu w krocze napastnika.

Zasada numer jeden barowej walki: jak najszybciej ją

rozstrzygnąć. Alkohol i agresywna męskość tworzą uderzającą do głowy mieszankę i walka może się szybko rozprzestrzenić na cały lokal, przerodzić w bijatykę wszystkich ze wszystkimi. Chciałem tego uniknąć. Chciałem ją zakończyć góra w dziesięć sekund i to z takim rezultatem, że Nic i ja pozostaniemy na nogach.

Ten, który mnie uderzył, osunął się na podłogę. Zrobiłem wykrok i nasadą dłoni zadałem dwa szybkie ciosy temu, który stał obok. Nos, krtań. Był ode mnie potężniejszy i nie spodziewał się frontalnego ataku z mojej strony. Zatoczył się w tył, z trudem łapiąc powietrze, z rozkwaszonego nosa lała się krew.

Jeden z pozostałej dwójki chwycił mnie od tyłu, unieruchamiając ręce. Skrętem tułowia spróbowałem wytrącić go z równowagi. Nic, bez żadnej gracji, nie dbając o ekonomię ruchu, napaarzał się z czwartym Turkiem. Dostał w zęby i padł. Nie był wcale takim twardzielem, jakiego zgrywał przez telefon. Wcale mnie to nie zdziwiło.

Mój przeciwnik przyparł mnie do baru, rąbnął z byka w potylicę i teraz uderzyłem czołem w drewniany blat. Zaboląło. Bardzo. Przemknęło mi przez myśl, że walka, owszem, potrwa dziesięć sekund, ale to ja będę liczony.

– Zetrę cię na proch – wysyczał. Och, ależ oryginalne.

Nie odpowiedziałem, bo szkoda mi było tchu na pogaduszki w trakcie walki, a tego i tak nikt nie słucha. W piersi eksplodował mi jarzący się tam od dawna węgielek

wściekłości. Ci ludzie odgradzali mnie od Nica, a tym samym od Lucy. Odepchnąłem się od baru obunóż, zapierając się stopami pod okapem blatu i odlecieliśmy z Turkiem na salę. Myślał, że będę mu się próbował wyrywać, ścisnął mnie więc mocniej. I głupio zrobił. Bo o to mi właśnie chodziło. Nie będzie w stanie robić uników.

Spleceni w uścisku zatoczyliśmy się do tyłu i obróciliśmy.

Miałem go teraz między sobą a kontuarem. Popchnąłem go z powrotem na bar, odrzuciłem głowę i strzeliłem z dyńki w twarz, odbijając się jednocześnie stopami od podłogi. Po czwartym takim uderzeniu zwiotczał i puścił mnie. Porwałem szklanę Nica z niedopitym piwem i zdzieliłem nią faceta w bok głowy. Grube szkło nie pękło, ale gość padł zachlapany piwem. Załatwiony.

Przy stoliku siedziało jeszcze czterech Turków. Trzej wstali teraz i ruszyli ku nam, czwarty został i z rękami założonymi na piersi przyglądał się awanturze.

Trójka rzuciła się na mnie.

Jednego rozłożyłem kopniakiem w szyję, od jego koleśków zainkasowałem dwa silne ciosy. Zatoczyłem się, ale zdołałem sparować kolejny cios. Wbiłem kolano w krocze drugiego faceta. Zwinął się w kłębek i osunął na podłogę.

Młody Turek numer trzy doskoczył do mnie z tulipanem ze stłuczonej szklanki do piwa, mierząc w twarz. Osłoniłem się przedramieniem, drugą ręką

porwałem z baru mokrą ścierkę i zarzuciłem ją na tulipana. Jeśli nie można wytrącić przeciwnikowi broni z ręki, to się ją neutralizuje. Żadna filozofia. Ale on zdębiał na moment, a ja, wykorzystując to, odepchnąłem jego rękę i osłonięty tulipan dźgnął go przez ścierkę w twarz. Nie zrobił mu krzywdy, ale chłopak się przestraszył. Moment zawahania przeciwnika jest sprzymierzeńcem w walce. Odskoczył i odsłonił się; krótka seria czterech silnych ciosów w oczy i żołądek, i był gotowy.

Nic wciąż mocował się nieporadnie z tym, który go pierwszy zaatakował. Chwyciłem faceta, oderwałem go od Nica i założyłem mu zapaśniczy krawat.

– Skręcę mu kark! – krzyknąłem po turecku i gramolący się powoli z podłogi Turcy znieruchomieli. Facet, którego trzymałem, też zastygł, w jego przyśpieszonym oddechu wyczuwałem panikę. W barze zrobiło się cicho, jak makiem zasiał. Ścichł też muzyczny podkład karaoke.

– Puść go! – zawołał po holendersku barman.

– Dzwonisz na policję? – spytałem.

Barman spojrzał na Nica i ten lekko pokręcił głową.

– Nie – odparł barman.

– Ej, wy, cofnąć się, to go puszczę – rzuciłem po turecku do Turków. – Wyście zaczęli. On pierwszy mnie uderzył.

Turcy stali z zaciśniętymi wciąż pięściami. Po chwili jeden usiadł, reszta poszła za jego przykładem.

– Ghrrygrygry – wycharczał ten, którego ścisnąłem za

szyję.

– Ciii – uspokoilem go. A do Nica warknałem: –  
Zmywaj się.

Był jeszcze trochę otumaniony po stoczonych walce,  
ale posłuchał.

Odepchnąłem od siebie podduszonego Turka i  
wyszedłem za Nikiem w chłodny amsterdamski wieczór.

Nic czekał na mnie przed barem.

– Dziękuję – powiedział.

– Nie ma za co – odmruknąłem, zatrzymując się przy  
nim, żeby zaczerpnąć tchu. – Musimy pogadać. W jakimś  
spokojniejszym miejscu.

Znaleźliśmy zaciszny barek nieopodal placu Dam. Żadnego karaoke, żadnych pijanych Turków, żadnych awantur.

Na widok mojej poplamionej krwią koszuli barmanka, starsza kobieta, uśmiechnęła się nerwowo i zaczęła kręcić głową. Nic podszedł do niej, powiedział coś cicho po holendersku. Uspokoila się i po chwili siedzieliśmy już naprzeciwko siebie przy stoliku w głębi, z dala od okna, niewidoczni z ulicy, ja plecami do ściany, żeby mieć przegląd sali.

Nic przywołał kelnerkę i zamówił dwa piwa. Kelnerka spojrzała na mnie i zobaczyła krew w kąciuku ust. O nic nie pytając, przyniosła mi zwilżoną serwetkę. Przemyłem twarz. Postawiła przed nami piwo i wysokie szklaneczki przezroczystego płynu.

– To *kopstoot* – powiedział Nic, wskazując na popitkę. – W wolnym tłumaczeniu dopalacz. Podejdzie ci.

– Zobaczymy – mruknąłem. Byłem jeszcze w bojowym nastroju – chciałem się dalej bić. Nie jest to raczej powód do dumy, ale tak już mam. Swego czasu wolałem przesiadywać wieczorami w domu, czytać, oglądać z Lucy dobre filmy, kłaść się wcześniej do łóżka i kochać. Teraz najchętniej dałbym komuś w zęby albo dokopał. Brutalny taniec walki wybudził drzemiącą we mnie ciemną stronę. Zalałem ją długim łykiem kopstoota – smakował jak gin – i sięgnąłem po piwo. Burda w



pijackiej spelunie; kurczę, naprawdę się podkrecałem. Muszę pozbierać myśl.

– W odwrotnej kolejności – powiedział Nic. – Najpierw piwo, potem dopalacz. Wszystko robisz na odwrót?

– Nie rozumiem?

– Normalnie trzeba kogoś znać, jeśli ryzykuje się dla niego życie w barowej bijatyce.

– To były gnojki. A ja nie lubię gnojków.

Nic pociągnął łyk piwa.

– Coś ty za jeden?

– Nazywam się Peter Samson. Dla przyjaciół Sam.

– Biłeś się jak żołnierz.

– Kiedyś nim byłem. Stare dzieje.

– Piet naprawdę jest ci coś winien?

– Nie znam żadnego Pieta – mruknąłem.

Zrobił wielkie oczy.

– Jak to? To po co się wtrącałeś?

– Z nudów. Chwilowo jestem bezrobotny.

Pociągnął znowu łyk piwa i potarł szczękę. Zapił łyczkiem dopalacza. Popatrzył na rodzinę siedzącą kilka stolików od nas: tatuś, mamusia, córeczka mniej więcej ośmioletnia. Dziewczynka śmiała się i podjadała mamusi deser z talerzyka. Po chwili, z jakimś takim ociąganiem, przeniósł wzrok z powrotem na mnie.

– Gdzie służyłeś?

– W kanadyjskich siłach specjalnych.

– I odszedłeś?

– Na ich prośbę.

– Za burdy w barach?

– Nie. Podprowadziłem trochę zapasów magazynowych i przehandlowałem to na eBayu. Zwolnienie dyscyplinarne, ale przymknąć mnie nie przymknęli, bo rzekomo pokryłem szkody. Dowódca wolał nie ryzykować, że przy okazji śledztwa prokuratorskiego wyjdą na jaw jego szwindle. – Wzruszyłem ramionami. – No i pożegnałem się z wojskiem. Nie mam do nich żalu, że mnie wykopali.

– No nie, kozak i złodziej. Czyż ja nie jestem w czepku urodzony? – Obdarzył mnie dziwnym, krzywym uśmiechem.

– Wolę być nazywany przedsiębiorcą.

– Mówisz, że jesteś bezrobotny. Może miałbym dla ciebie propozycję.

– Jaką? Żebym się za ciebie bił?

Zniósł bez mrugnięcia okiem ten przytyk.

– Nie podziękowałem ci jeszcze, jak trzeba. No więc... dziękuję, Sam. Dałbym sobie z nimi radę i bez ciebie, ale mimo wszystko dziękuję.

Dopiłem powoli piwo. Milczenie jest moją najpotężniejszą bronią. Niektórzy po prostu nie potrafią usiedzieć w milczeniu w towarzystwie innej osoby, zwłaszcza w knajpce nad drinkami.

Nic także się do takich zaliczał.

– No więc tak. Gdybyś był zainteresowany fuchą ochroniarza, to może bym coś dla ciebie miał.

– Nie mam holenderskiego pozwolenia na pracę – powiedziałem. – Zgubiłem dokumenty.

– Co tam pozwolenie. Moi klienci są, hmm... bardzo dyskretni.

– Hmm... alfonsi, znaczy? Na burdelciecia się nie piszę.

– Nie, nie. To ludzie z wyższej półki. – Zniżył głos. – Ale w ramach premii mógłbyś liczyć, no wiesz, na dziewczynki.

Zachowywałem kamienny wyraz twarzy.

– Chyba należy mi się po piwie za każdego faceta, którego tam rozłożyłem. – Uniosłem szklanę. – Jesteś mi winien jeszcze dwa.

Jego twarz rozjaśnił nikły uśmiezek, który szybko zgasł, powróciła na nią powaga.

– Fakt. – Skinął na kelnerkę i zamówił jeszcze jedną kolejkę z dopalaczem. – Z jakiego regionu Kanady jesteś?

Wiedziałem, że wszystko, co od tej chwili powiem, będzie do jutra zweryfikowane.

– Z Toronto.

– Dobrze znam to miasto.

– Co ty powiesz?

– Naprawdę. Jadłeś kiedyś w Rosedale Diner na Parker Street?

– To na Yonge Street. Najlepsze hamburgery w mieście. – Oho, już mnie sprawdzał.

– A twoi rodzice?

– Nie żyją. – Wzruszyłem ramionami. – Zostawili mi

w spadku trochę gotówki, ale tyle tego, co kot napłakał.

– Do jakiej szkoły chodziłeś?

– Do St. Michael's College. Potem studiowałem historię na McGill. Orłem nie byłem, ale dyplom wystarczył, żeby mnie przyjęli do szkółki podoficerskiej kanadyjskich sił zbrojnych. – To była moja legenda Petera Samsona, kanadyjskiego awanturnika, spreparowana przez specjalistów z Firmy. Nic był za chudy w uszach, żeby ją podważyć. Od urodzenia do chwili obecnej byłem Peterem Samsonem, na dowód czego miałem udokumentowane wykształcenie, historie kredytowe oraz służbę w kanadyjskich siłach zbrojnych.

No, chyba że Firma wykasowała tę fałszywą tożsamość. Bo w takim wypadku Peter Samson w ogóle by nie istniał.

– Znasz Amsterdam? – spytał Nic.

Pociągnąłem kolejny długi łyk piwa i stłumiłem beknięcie.

– Nie za bardzo. W każdym razie nie tak jak Pragę, Warszawę czy Budapeszt.

– Widzę, że preferujesz Europę Wschodnią.

– Tam są lepsze warunki do rozwinięcia skrzydeł.

– W jakiej branży, na przykład?

– W takiej, o której z obcymi się nie rozmawia – odparłem, chichocząc znacząco. On też się roześmiał.

– No, nie, Sam – powiedział po chwili niezręcznego milczenia. – Stałeś w mojej obronie. Jesteśmy teraz przyjaciółmi.

– No, dobrze, jak już cię to tak interesuje, to w spedycji przesyłek. Dbam o to, żeby towar dotarł tam, dokąd ma dotrzeć.

Sugerowałem subtelnie, że zajmuję się szmugłem i jeśli Piet był, jak twierdził Gregor, przemytnikiem, to moje szanse na zatrudnienie, a przynajmniej na rozmowę wstępną z nim niepomiernie rosły. A od Pieta tylko krok do człowieka z blizną.

Proste.

Nic przypalił sobie papierosa i sięgnął po szklankę.

– Dajmy na to, dokąd?

– Głównie Ameryka Północna. – To tam, jak zdążyłem się zorientować, Piet słał swoje lewe dostawy, ale jakieś zadrażnienia z Turkami sprawiły, że ten kanał nie był już pewny.

– Może miałbym dla ciebie fuchę, ale musiałbym najpierw pogadać z klientem.

– Chyba nie z tym Pietem, co nie płaci?

– Piet płaci, tylko ci Turcy są w gorącej wodzie kąpani.

Odchrząknąłem i wzruszyłem ramionami.

– Słuchaj, specjalizuję się w przierzucaniu towaru do Stanów i jestem w tym dobry. Interesuje cię to, dobrze. Nie interesuje, rozmowa skończona. – Najważniejsze to nie przejawiać zbytnej gorliwości.

Nic odczekał kilka sekund, potem powiedział:

– Chyba miałbym coś dla ciebie. Dobrze płatnego. Dwa tysiące euro na tydzień, w żywej gotówce.

– Nie będę ukrywał, że zaczyna mi brakować na browar. A więc chyba zgoda. – Zakreśliłem palcem kółko w wychlapanym na blat piwie. – Jak się z tobą kontaktować?

– Masz komórkę?

– Mam.

Podsunał mi serwetkę.

– Zapisz numer.

Zapisałem. Nazwiska nie podałem.

– Decyduj się szybko. Nie wiem, czy długo tu jeszcze zabawię.

– Dobra. – Schował serwetkę do kieszeni i rzucił na stolik kilka banknotów euro. – Strzel sobie jeszcze jedno piwko albo zamów coś na ząb. – Z tymi słowami wstał i skierował się do wyjścia.

Patrzyłem, jak idzie przez plac Dam. Kiedy był już blisko pomnika Narodowego, też wstałem i wyszedłem z knajpki w noc. Nic skręcał właśnie za róg. Kierował się na południe, na kanał Prinsengracht. Było już zupełnie ciemno. Zaczekałem w cieniu, aż przetnie ulicę i przejdzie przez most. Potem ruszyłem za nim. Gdyby się teraz obejrzał, zobaczyłby mnie, ale nie obejrzał się, rozmawiał w marszu przez komórkę.

Szedłem za nim, zachowując bezpieczny dystans. W pewnej chwili zatrzymał się przy nim samochód. Nic wsiadł, auto ruszyło z kopyta i skręciło w Singel, główną arterię przebiegającą łukiem przez Amsterdam.

Szedłem dalej, rozglądając się za taksówką. Jak na

złość ani jednej.

Nagle pisk opon, drogę zajechał mi mały niebieski sedan. Otworzyły się drzwiczki od strony pasażera. Mila.

– Wskakuj, tumanie.

Ruszyła, zanim zdążyłem je za sobą zatrzasnąć.

– Mogłeś wszystko spartolić, dać się nakryć. Musiałabym cię wtedy zabić. Żebyś nas nie wsypał.

Zdębiałem. Nie wiedziałem, czy kpi, czy o drogę pyta.

– Jak to, gdyby mnie przejrzał, zabilibyście mnie, zamiast ratować z opresji?

– Nie miałbyś wtedy dla nas żadnej wartości – wyrzuciła z siebie. – Nie ma zmiłuj. – Skręciła na skrzyżowaniu, przyśpieszyła, zwolniła, kiedy w zasięgu naszego wzroku pojawił się samochód, do którego wsiadł Nic.

– Wdałem się w bójkę w barze.

– Gratulacje. Dobry sposób, żeby nie rzucać się w oczy. – Chyba jej nie zaimponowałem. – Mogli cię aresztować. Wyobrażasz sobie, tumanie, co by to było, gdyby zaczęli cię sprawdzać? Wracałbyś już do swojego Howella.

– Nie miałem wyboru.

– My nie jesteśmy Firmą, Sam. My się nie patyczkujemy. Problemy eliminujemy w zarodku, definitywnie.

– Dobrze wiedzieć.

Spojrzała na mnie.

– Nie zrozum mnie źle. Jestem po twojej stronie. Ale moja wyrozumiałość też ma granice.

– Nawiązałem kontakt. Gość proponuje mi pracę dla tego blondasa, Pieta.

Samochód z Nikiem skręcił w przecznicę.

– Szczegóły.

Mila słuchała mojej relacji, prowadząc w skupieniu. Zastanawiało mnie, dla kogo ta kobieta pracuje, kto ją tak wyszkolił.

– Może więc jedzie teraz pogadać z Pietem – zakończyłem.

– O tobie? – mruknęła. – Kandydacie do pracy, którego poznał przed chwilką w knajpie? Pochlebiasz sobie.

– Podśluchałem, jak dzwonił do kogoś z informacją, że ma towar. Poza tym są problemy z Turkami, którzy organizowali kanał przerzutowy, bo Piet się z nimi jeszcze nie rozliczył. Znasz się na przemyśle? Szmugler nie nadaje lewego towaru ot tak sobie, z nadzieją, że jakoś to będzie. Musi dokładnie zaplanować trasę, załatwić odpowiednią dokumentację i ludzi, którzy będą czuwali nad przesyłką i odwracali uwagę służb. Wytyczyć pewny, bezpieczny szlak to nie w kij dmuchał. A jeśli ten ichni padł albo Turcy się nie spisali, to do spotkania ze mną może dojść bardzo szybko.

Samochód z Nikiem znowu skręcił w przecznicę.

– Dziwne jakieś to towarzystwo – ciągnąłem. – Niby przemytnicy, a porwali Jasmin i zmusili ją do podłożenia



bomby na dworcu kolejowym. Możesz mi powiedzieć coś bliższego na temat tego zamachu, ofiar, reakcji władz, śledztwa?

Mila skręcała właśnie. Zaczynało mżyć.

– Dobrze, Sam. Podzielę się z tobą swoją wiedzą. Ale analizowanie osobowości tych ludzi sobie odpuść. Nie ma na to czasu. Twoje zadanie to jak najszybciej odszukać i uwolnić Jasmin. Na tym się skup.

– Wiedząc, z kim mam do czynienia, łatwiej ich odnajdę.

Pstryknęła trzykrotnie palcami.

– O, tak ucieka nam czas, Sam. Nie możesz go tracić na jakieś psychoanalizy, bo tylko patrzeć, jak holenderska policja zidentyfikuje Jasmin na tym zapisie z monitoringu. Na razie jest tylko dziewczyną z plecakiem. Ale jeśli ustalą jej tożsamość... to koniec. Firma Zaida padnie.

– Gdybym chciał się bawić w psychoanalizę, to przede wszystkim wziąłbym na tapetę was.

Zerknęła na mnie.

– A bierz. Stwierdzisz tylko, że masz do czynienia z uczciwymi ludźmi.

– To już słyszałem.

– Tak – przyznała. – Wiem. Oj.

Samochód z Nikiem przyśpieszył, skręcił ostro. Mila też dodała gazu. Od placyku, na który wpadliśmy, odbiegało jak szprychy koła pięć uliczek, każda krótka, każda przecięta przecznicą.

– Rozproszyłeś mnie – warknęła Mila. – To przez

ciebie.

Nic nam się urwał. Deszcz padał coraz rześciej.

– Znajdźcie go – pieklił się Howell dziesięć dni wcześniej, w nowojorskim biurze kryjącym się pod szyldem firmy doradztwa finansowego. – Znajdźcie i przynieście mi jego głowę.

– Jakbym to już gdzieś słyszał – wymruczał August. Howell dotknął skroni. Zaczynał dostawać migreny.

– Na pewno skierował się do Londynu. Na pewno. To jego strefa zero. Niech roześlą jego profil do wszystkich naszych biur. Znaleźć go, zanim uda się komu innemu.

– Ciekawi mnie, kim jest ten zabity – rzucił August. – Nie sądzi pan, że to może być ważne?

– Oczywiście, że może – burknął Howell. – Trzeba go zidentyfikować i ustalić, jak i kiedy zginął.

– Z pierwszych oględzin wynikałoby, że w piątek wieczorem – powiedział August.

– Jezu. – Howell pobladł. – Musiał załatwić faceta tuż przed moim przyjściem. – Wstał i podszedł do okna. – Powinienem cię odsunąć od sprawy, Holdwine. Jesteś jego przyjacielem.

– Właśnie dlatego, że nim jestem, nie powinien mnie pan odsuwać – zaproponował August. – Jeśli się podda, to tylko mnie.

– Faceci zostawiający nam w prezencie trupy w wannach poddawaniem się nie są zainteresowani – zauważył Howell. – Myślałem, że wybiliśmy mu ucieczkę z głowy, udaremniając próbę zdobycia paszportu.

– Tyle czasu przesłuchiwał pan Sama i nie zdołał go rozgryźć – powiedział August. – Nie zna pan jego sposobu myślenia. Ja owszem. Niech mnie pan ze sobą zabierze. Przyjmie z powrotem do swojego zespołu.

– No dobrze – ustąpił Howell po chwili zastanowienia. August Holdwine rzeczywiście mógł oddać nieocenione usługi jako tajna broń przeciwko Samowi Caprze.

\* \* \*

Dziesięć ostatnich dni nie należało do najbardziej udanych w życiu Howella. Najpierw odkrycie, że Sam Capra wcale nie marnował godziny w brooklyńskiej bibliotece; potem odkrycie, że Firma ma agenta, który zostawił trupa w sąsiednim mieszkaniu; później znalezienie skradzionego auta na postoju dla ciężarówek, i od tamtej pory... nic. Przez tyle dni.

Sam Capra mógł się zabrać na łebka jakąś ciężarówką, a wtedy szukaj wiatru w polu. Kierowców, którzy przebywali w zajeździe mniej więcej w tym samym przedziale czasowym co Capra, udało się wytypować tyłu, co kot napłakał: większość płaciła za posiłki i kawę gotówką. Po trzech dniach jedna z kelnerek przypomniała sobie, że mężczyzna pasujący do rysopisu Sama wyszedł z lokalu z jakimś kierowcą. Nie, nie znała tego kierowcy, ale pamiętała, że płacił za lunch i paliwo kartą kredytową.

Po prześledzeniu wszystkich transakcji kartami

kredytowymi znaleziono kierowcę – Vince’a Trouta, który przyznał, że owszem, podrzucił jakiegoś młodego mężczyznę pod terminal nowojorskiego portu.

– Sukinsyn płynie do Europy statkiem handlowym – orzekł Howell. Miał teraz podstawę, by wysłać do Londynu, Rotterdamu i Marsylii zespoły ze zdjęciami Sama i zadaniem przepytania załóg statków, czy ktoś nie widział tego człowieka. Ale statek, na którego pokładzie płynął ewentualnie Capra, a były takich setki, mógł już z powrotem wyjść w morze, a w takiej sytuacji niewiele by to dało.

– Można by upublicznić jego twarz – podsunął August. – Dorabiając do tego jakąś historyjkę.

– Co to, to nie – zachnął się Howell. – Tylko jego gęby na pierwszych stronach gazet nam brakuje. Zbuntowany agent CIA, który dał nogę? Podcięlibyśmy gałąź, na której siedzimy, a to przecież okres rozdzielania środków z budżetu. – Patrzył na Augusta z założonymi na piersi rękoma.

– Tego faceta mógł zabić w samoobronie. Niewykluczone, że ktoś połknął przynętę i nasłał na Sama płatnego mordercę.

– To trzeba znaleźć tego ktosia. Trupa już zidentyfikowano. Bandziorska płotka z Paryża umaczana w przemyt. Simon Taurus, bogata przeszłość kryminalna. Nic specjalnego.

– Bandziorskie płotki nie wyprawiają się za ocean, żeby zabić tam agenta Firmy.

– Tak, mnie też to zastanawia – przyznał Howell. – Pójdę tym tropem, zobaczymy, dokąd nas zaprowadzi. A ty sprawdź, czy ze statków, które wypłynęły ostatnio z Nowego Jorku, nie było sygnałów, które sugerowałyby coś odbiegającego od normy. Na przykład znaleźli pasażera na gapę. Albo nadają dziwne komunikaty radiowe.

– Przekopanie się przez tę bazę danych zajmie wiele dni. Tam są miliony zarejestrowanych rozmów.

– No to do roboty.

Trop ostygł, ale rozgrzał się na nowo dwa dni przed zawinięciem statku z Samem Caprą na pokładzie do Rotterdamu. W Echelonie – który monitoruje ogromną liczbę transmisji na całym świecie i którego bazę danych można przeszukiwać przy wykorzystaniu krytycznych słów kluczowych – August natrafił na rozmowę radiową kapitana liberyjskiego statku handlowego z armatorem dotyczącą nadlatującego helikoptera; kapitanowi polecono wydać maszynie zgodę na lądowanie. Bez żadnych bliższych wyjaśnień.

Howell, próbując skontaktować się z tym armatorem, natrafił na mur nie do przebicia. Dowiedział się tylko tyle, że helikopterem przyleciała lotna inspekcja właściciela statku. Ale w dokumentacji firmowej planu tego lotu nie było. Czyli równie dobrze mógł go wykonać ktoś, kto z jakiegoś powodu chciał nawiązać kontakt z Samem albo sprowadzić go z powrotem na suchy ląd.

Armator zwodził Howella przez trzy następne dni.

Potem powiadomił go, że człowiek, którego chce przesłuchać, kapitan statku „Elisa Martin”, jest aktualnie z powrotem na morzu i będzie do dyspozycji dopiero za tydzień, kiedy to zawinie do portu w New Jersey.

Howell spróbował połączyć się z facetem przez telefon satelitarny, ale znowu nadział się na mur odmowy. Ktoś dobrze zadbał o zatarcie wszelkich śladów.

– Niech mi pan chociaż pozwoli przesłać jego zdjęcie stosownym władzom. Poinformować je, że paszport może być sfałszowany, skradziony przez jakiegoś znanego zbiega i tego, kto się nim posługuje, trzeba natychmiast zatrzymać – powiedział August.

Howell pozwolił.

Na pierwszy ogień poszedł Rotterdam. Agencja Bezpieczeństwa Krajowego prowadzi ciągły monitoring satelitarny największych portów całego świata. Howell poprosił ich o analizę zarejestrowanego ostatnio materiału. Powołano dwudziestoosobowy zespół, który natrafił na kilkanaście ewentualnych tropów. Porównali swój materiał z zapisami z kamer przemysłowych samego portu rotterdamskiego i wyłapali ujęcie mężczyzny, którym mógł być Sam Capra, wychodzącego ze strefy przeładunkowej w towarzystwie jakiejś blondynki w skórzanych dzinsach. Ta strefa przeładunkowa znajdowała się nieopodal miejsca cumowania „Elisy Martin”.

A więc Sam Capra był w Holandii. Skąd prawdopodobnie będzie się chciał szybko przedostać do Londynu. Howell powiadomił holenderskie służby

wywiadowcze, które zobowiązały się do zajęcia się sprawą we współpracy z policją Rotterdamu, Amsterdamu i Hagi oraz ze służbami granicznymi. Obstawiono Eurostar oraz przystanie promowe. Ale holenderskie władze miały pełne ręce roboty z wyjaśnianiem zamachu bombowego na dworcu kolejowym i Howell zdawał sobie sprawę, że jego wniosku nie potraktują priorytetowo. Skontaktował się więc ze swoim odpowiednikiem z kontrwywiadu brytyjskiego, który z racji tego, że zamachu na siedzibę Firmy dokonano na jego terenie i że w wyniku tego zamachu zginęło kilka osób postronnych, powinien być bardziej skory do współpracy.

Kobiety z ujęcia z Caprą nie udało się jak dotąd zidentyfikować. Oczy zasłaniały okulary przeciwsłoneczne, a oprogramowanie umożliwiające ustalenie tożsamości na podstawie rysów twarzy nie znalazło w bazie danych Firmy żadnych odpowiedników. Howell naciskał, ale technicy rozkładali ręce.

Howell uparł się, że poleci do Holandii i osobiście odszuka Sama, a jeśli zajdzie taka potrzeba, to osobiście go zastrzeli.

– Jeśli już to zrobił, to musiał mieć swoje powody – powiedział August. – Może odwała za nas robotę, z którą sami od miesiący nie możemy się uporać – szuka sprawców zamachu na nasze biuro.

– Tak, mnie też to przyszło do głowy – mruknął Howell. – Ale to moje zadanie, nie jego. No i kim jest ta baba?



- Zorganizował sobie pomoc.
- Tak – warknął Howell. – Tylko kto zawracałby sobie głowę pomaganiem Samowi i jaki miałby w tym cel?

\* \* \*

Howell z Augustem polecili do Amsterdamu, prosto z lotniska udali się do bezpiecznego lokalu Firmy w okazałym domu nad kanałem Herengracht, ustanowili tam punkt kontaktowy i czekali na sygnał od kogoś, kto nazajutrz miał się zobaczyć z Samem Caprą albo go przynajmniej namierzyć. Sam nie zamierzał się ukrywać; on szukał ludzi, którzy uprowadzili mu żonę. Tego Howell był prawie pewien.

August Holdwine stał przy oknie zapatrzony w deszcz siekący mostek i kanał, i myślał: Głupku, twoja jedyna nadzieja w tym, że my pierwsi cię znajdziemy i zechcesz ze mną pogadać. Bo jak nie, to resztę życia spędzisz w kiciu.

Howell wybity z rytmu zmianą czasu nie mógł zasnąć. Leżał na łóżku, patrzył w sufit, słuchał bębnienia deszczu o kryty dachówką dach i myślał: Centrala nie będzie ryzykowała kolejnej kompromitacji. Nie obchodzi ich, jaki cel mu przyświeca, nawet jeśli to słuszny cel. Muszę od niego wyciągnąć, ile się da, a potem go zabić.

– Jakiś człowiek próbuje przeniknąć do naszej grupy – poinformował go na wstępie Piet. – Nic mnie ostrzegł. To jakiś były agent wywiadu. Szuka dojścia do mnie, no i przypuszczalnie do ciebie. Dam sobie rękę uciąć, że działa z polecenia tatusia tej twojej suczki.

Edward wysiadł przed chwilą z samolotu. Był zmęczony i zły, bo z powodu złej pogody lot się opóźnił. Zaskodził mu też lunch zjedzony w Budapeszcie. Zanosilo się na sraczkę. Chyba ta ryba. Nauczka na przyszłość. Nie jeść darów morza w krajach bez dostępu do morza. Na dokładkę przyszła informacja, że Simon, którego wysłał z ważną misją do Brooklynu, zawałił sprawę. A to znaczyło, że Sam Capra nadal żyje. Zła to była noc, oj, zła. Ale bez paniki. Panikują tylko głupcy.

– I gdzie on teraz jest? – spytał, stawiając na ziemi walizkę. Zacerpnął haust świeżego, chłodnego powietrza.

– Nic poznał go w barze. Będzie trzymał rękę na pulsie.

– I powiadasz, że szuka do mnie dojścia? Przyrowadź go. Wykieruję faceta na ludzi.

– A ta twoja suczka?

– Jak ktoś tu jest moją suczką, Piet – wyburczał Edward – to tylko ty. Mówiąc tak, deprecjonujesz wysiłek, jaki włożyłem w jej obłaskawienie. Jest teraz jedną z nas. Bądź dla niej miły.

Piet odetchnął głęboko i założył ręce na piersi.

Edward nie cierpiał tego gnojka, ale go potrzebował.

– Żeby cię tylko nie zawiodła. Bo wyjdzie na to, że narażałeś nas wszystkich na próżno. A ja mam rachunki do płacenia.

– O to niech cię głowa nie boli, Piet.

– Jak jej stary, ugiął się?

– Ugiął, załamał, rozsypał.

– Nie bądź tego taki pewien – mruknął Piet. – Założę się, że to Bahjat Zaid stoi za tą próbą infiltracji; chce cię zażyć z mańki. – Wysunął z pochwy wszytej w nogawkę spodni swoją zabawkę – wakizashi. Zróbmy ją na van Gogha, obetnijmy ucho i wyślijmy Zaidowi. Od razu spotulnieje.

– Nie waż się jej tknąć.

– Coś mi się widzi, że zabujałeś się w tej suczce...

Edward, nie bacząc na miecz w dłoni Pieta, chwycił go za gardło i przyparł do ściany. Piet przystawił Edwardowi klingę do nadgarstka.

– Draśnij mnie tylko, a nie żyjesz – wysyczał Edward. – I przestań się obnosić z tym scyzorykiem, Piet. Wyglądasz z nim na uciekiniera z japońskiego filmu o samurajach. Schowaj go, bo wystarczy, że krzyknę, a nadbiegną moi przyjaciele i zatłuką cię gołymi pięściami. Mam tutaj takich.

Po dłuższej chwili zastanowienia Piet opuścił miecz.

Edward dał mu spokój. Piet obawiał się ośmieszenia, utraty twarzy. Łatwo było nim manipulować.

– Świetnie się spisałeś z przygotowaniem tych

kanałów przerzutowych. Odbiór w Budapeszcie przebiegł jak po maśle. – Z ciężkim sercem zostawiał swoje skarby i wsiadał na pokład samolotu powrotnego do Amsterdamu, ale te skarby podążały już bezpiecznie za nim zorganizowanym przez Pieta kanałem. Wkrótce dotrą do Holandii. – Przyjrzyjmy się temu szpiegowi i wykorzystajmy go. Przygotuj kamery.

Odrobina pochwały podziałała. Piet kiwnął głową. Wchodząc do pokoju Jasmin, Edward dotknął miejsca na nadgarstku, do którego Piet przykładął przed chwilą ostrze; czuł je tam jeszcze. Piet stawał się coraz większym problemem, ale na razie był Edwardowi potrzebny.

Jasmin spała na łóżku – to był teraz jej przywilej. Sen miała niespokojny.

Edward stanął nad nią. Był dumny z efektu swojej pracy nad tą kobietą. Z surowej gliny ulepił maszynę do zabijania.

Podrzuciła plecak za stelażem z książkami w małym dworcowym kiosku, wyszli stamtąd szybko, wsiedli do zaparkowanej dwie przecznice dalej furgonetki i odjechali. Nie spanikowała, nie wzbraniała się, nie próbowała uciekać. Wykonała zadanie bez pytań. Bez mrugnięcia powieką.

Edward widział w oczach innych podziw dla swojej pracy.

Wieczorem tego samego dnia przekwaterowali ją na poddasze. Edward osobiście zaniósł tam jej ulubione paszteciki cynamonowe. Pochwalił za bezbłędne

wykonanie zadania, za wzorową postawę.

– Dzisiaj zdjęłaś nam z głowy poważny problem. – Zaczął rozpinąć jej bluzkę. – W moich oczach jesteś bohaterką, Jasmin.

– Podśluchują? – szepnęła.

– Nie. Teraz jesteś jedną z nas. Dowiodłaś tego na stacji. Nikt nas nie podśluchuje. Jesteśmy tu sami, ptaszyno, tylko ja i ty.

Zsunął jej bluzkę z ramion; nie opierała się. Pokazał jej małego drewnianego gołąbka.

– Zobaczyłem to na straganie na Albert Cuyp Market i pomyślałem o tobie. Piękno, siła. Z drewna można wystrugać... wiele rzeczy, Jasmin. – Ściągnął z niej spódniczkę, w której ją wprowadzili; leżała na wąskim łóżku naga i drżąca.

– Nie ma już odwrotu, Jasmin. Zamach się powiódł. Odegrałaś w nim swoją rolę dokładnie tak, jak cię o to prosiliśmy.

*Zamach.* Nawet drgnieniem powieki nie zareagowała na to słowo.

– Swoje dawne, plugawe życie masz już za sobą. – Otoczył jej szyję sznurkiem, na którym zawieszony był drewniany gołąbek i pod wpływem impulsu zacisnął na moment pętelkę.

Potem wstał i rozebrał się. Ciało miał smukłe i umięśnione. Położył się na niej i delikatnie całował szyję i twarz. Nie odwzajemniała tych pocałunków. Leżała nieruchomo.

– Przeżywasz wciąż to, co zrobiłaś? – spytał. – Przerabialiśmy to już tysiące razy.

Nie broniła się przed jego pocałunkami, zamknęła tylko oczy. Wziął ją zachłannie, zaborczo. Skończył, położył się obok, potem wziął ją jeszcze raz, już delikatniej. Leżała, zupełnie zobojętniała na wszystko, co z nią robi. Nie przeszkadzało mu to.

Przez cały czas szeptał:

– To twój sposób na przeżycie, Jasmin. Robisz, co ci każe, i żyjesz.

Siedział potem i przyglądał się jej w zamyśleniu, dopóki nie usłyszał krzątania na dole. To Piet przygotowywał plan dla kamer.

Potrząsnął ją za ramię.

– Jasmin? Obudź się.

Pierwsze, co zobaczyła, otwierając oczy, to pistolet w jego ręku.

– To ten z...? – zaczęła i zamrugwała.

– Nie. To nie ten.

Mrugając wciąż, uniosła głowę z poduszki.

Siedział obok niej.

– Posłuchaj. Mam dla ciebie zadanie, ale tym razem takie, które przypadnie ci do gustu. Chcesz wziąć prysznic? Coś zjeść?

Kiwnęła głową.

Zaprowadził ją do łazienki, dał nowe mydło, szampon i szczoteczkę do zębów. Kiedy chciała zdjąć z szyi gołąbka, powstrzymał ją.

– Nie. Chcę, żebyś go zawsze nosiła. To symbol pokoju.

Dał jej czyste spodnie, koszulę, bieliznę. Demi przyniosła chleb i owoce na śniadanie. Podziękował jej, Jasmin również. Demi spojrzała na nią dziwnie i wyszła.

– Dobrze być jedną z nas. Nie siedzieć w komórce, prawda?

Kiwnęła głową.

– Chodź teraz ze mną. – Czuł w piersiach tętno narastającego podniecenia; zupełnie jak przed powrotem na scenę.

Sprowadził ją na dół, do jadalni, gdzie czekali na nich pozostali: Piet, Demi, sześciu innych mężczyzn, w tym dwóch bliźniaków, którzy popatrywali na nią z zainteresowaniem. Pośrodku jadalni, tam gdzie zawsze stał stół, siedział teraz mężczyzna przywiązany grubym sznurem do krzesła. Z ust wystawał mu knebel.

Zajęczał na widok wchodzących Edwarda i Jasmin, twarz miał posiniaczoną.

– Widzisz tego człowieka, Jasmin? – spytał Edward.

– Tak, widzę. – Głos miała całkowicie wyprany z emocji.

– To straszny człowiek, Jasmin. Planował cię nam zabrać, a jeśli będziesz stawiała opór, zabić.

– Zabrać mnie i zabić – powtórzyła beznamiętnie.

– Tak, zabrać do twojego ojca. Nawiązał kontakt z jednym z naszych ludzi i nakłamał mu co nie miara; sprawdziliśmy go. Znasz tego człowieka, Jasmin? –

Edward chwycił byłego szpiega za głowę i odwrócił ją twarzą do Jasmin. Ale rysy w zasadzie były nie do rozpoznania. Jasmin przyjrzała się uważnie twarzy obcego i pokręciła głową.

– Twój ojciec wie, że cię przed nim chronimy. Nasyła ludzi, żeby nas zniszczyli. W tajemnicy. To właśnie jeden z nich.

– Źle robi – powiedziała. – Nie chcę wracać do tamtego życia. – Splunęła mężczyźnie w twarz. Ślina zmieszała się z niezakrzepłą jeszcze krwią na zapuchniętym oku.

Grupa wydała cichy pomruk aprobaty.

– Jesteś pewna, że go nie znasz?

– Jestem. – Spojrzała na Edwarda.

Mężczyźnie przywiązanemu do krzesła udało się wypluć z ust knebel.

– Ja tylko... tylko chciałem odzyskać swoje pieniądze. Nic więcej.

– Co o mnie wiesz? – spytał Edward. – Od kogo?

– Nic nie wiem... – wystękał po turecku mężczyzna.

Edward zaczął go bić. Jasmin chciała odwrócić wzrok, ale Demi syknęła:

– Ani się waż. Bo i ciebie przywiążemy do tego krzesła.

Toteż patrzyła.

Edward widział krew tryskającą spod jego pięści i łamiące się zęby. Przerwał i wziął mężczyznę za rękę.

– Mam tu dziesięć sposobów na zmuszenie cię do



mówienia – powiedział. – Bahjat Zaid cię nasłał, tak? – Zaczął wykręcać mężczyźnie palce.

– Starczy już, starczy! – wrzasnął w końcu mężczyzna. – Tak, Zaid mnie przysłał. – Nastąpił potok słów, za którym Jasmin nie nadążała. Edward słuchał nachylony, z dłonią wspartą po przyjacielsku na ramieniu mężczyzny.

– Zamierzałeś skraść naszą przesyłkę, kiedy dotrze do Rotterdamu?

– Tak... i wymienić ją na Jasmin. Przejąć i wymienić na Jasmin. I odstawić Jasmin do ojca. Wszystko powiem. Tylko nie...

– Znaczy ten kanał przerzutowy dla naszego towaru do Ameryki, który rzekomo zorganizowałeś, nie istnieje? Dobrze zrozumiałem? Nie bój się, mów.

– Tak. Nie istnieje. Kłamałem. Nie ma żadnego kanału. – Oddychał spazmatycznie.

Edward odstąpił od niego, starł plamkę krwi z czubka buta. Dał znak stojącej za kamerą wideo Demi. Pstryknął palcami.

– Akcja.

Demi uruchomiła kamerę.

Edward wyciągnął zza paska spodni na plecach pistolet z nakręconym na lufę tłumikiem. Wręczył go Jasmin. Reszta wstrzymała oddech.

– Scena pierwsza – powiedział. – Zabij go.

Patrzyła na niego niepewnie.

– To nie jest próba, Jasmin. To obowiązek.

Mężczyzna był załamany, krew ciekła mu z ust. Spotkały się ich spojrzenia.

– Zrób to, Jasmin – ponaglił Edward.

Nie unosiła pistoletu, patrzyła na pobitego.

– Jasmin... – Miał nadzieję, że nie będzie znów musiał grozić jej śmiercią.

– Zastanawiam się, w co mu strzelić – powiedziała.

Edward uśmiechnął się jak nauczyciel dumny ze swojej uczennicy. Mężczyzna zaczął bełkotać coś w swoim języku, błagać, żeby nie strzelała, skamlać o litość.

Uniosła pistolet, wycelowała.

– Jasmin! – wrzasnął Turek. – Ojciec chce ci pomóc. Naopowiadali ci samych kłamstw! Nie rób tego!

– Mój ojciec jest złym człowiekiem. – Zmrużyła oczy i nacisnęła spust.

Dało się słyszeć ciche pyknięcie; trafiony w klatkę piersiową przewrócił się razem z krzesłem. Żył jeszcze, jęczał.

Jasmin ponownie nacisnęła spust. Pocisk przebił mężczyźnie gardło. Rzucił się jak ryba wyciągnięta z wody i znieruchomiał. Jeden z mężczyzn parsknął śmiechem i wszyscy zaczęli bić brawo. Nie opuszczając wciąż pistoletu, wpatrywała się w trupa nieruchomym wzrokiem.

– Cięcie. Demi, wrzuć materiał do komputera. Zamaż nasze twarze, jeśli są na nim widoczne. Potem wyślemy to jej skretyniałemu ojcu. – Edward wyjął Jasmin pistolet z dłoni i opuścił jej rękę jak marionetce. – Bezbłędnie.

Objęła się ramionami, tak jakby było jej zimno, sprawiała wrażenie oszołomionej. Wziął ją pod brodę.

– Teraz mamy twojego ojca w garści. Nie będzie nam już stwarzał kłopotów, Jasmin.

Rozejrzała się; wszyscy na nią patrzyli.

– Mogę... mogę wrócić do swojego pokoju? Czy mam pomóc w sprzątaniu?

– Wracaj na górę.

Posłuchała. Grupa odprowadzała ją w milczeniu wzrokiem.

– Zastanawiam się – odezwał się pierwszy Piet – czy ona aby przed tobą nie udaje.

– Nie udaje.

– A według mnie ona chce za wszelką cenę przetrwać – nie ustępował Piet. – Wiedziała, że albo ten Turek, albo ona. Była naukowcem, tak? To ludzie z kamienia. Uważaj z nią. Zastrzeliła już człowieka. Następnego będzie jej łatwiej. Tak to już jest.

– Zamknij się i pozbądź ciała – warknął Edward. Najbrudniejsza robota za pyskowanie. – A ty, Demi, opracuj nagranie i wyślij je. Niech ojczulek rozpocznie dzień ze swoją uroczą, zdolną córunią.

Otworzyłem oczy.

Przez chwilę nie mogłem się zorientować, gdzie jestem. Jakiś dziwny niebieski sufit poprzecinany białymi belkami... No przecież, w Amsterdamie. Na twarz padało mi światło poranka. Gdzieś płakało dziecko. Wstałem, wyjrzałem przez małe okienko wychodzące na kanał Prinsengracht i zobaczyłem matkę z wózkiem. Deszcz już nie padał, zapowiadał się ładny dzień.

Pukanie do drzwi. Sięgnąłem po pistolet i otworzyłem. Mila w jasnoszarym kostiumie, stonowanej apasze i stylowych bucikach. Trzymała w ręku neseser, a pod pachą torbę z zakupami. Ta kobieta była jak kameleon.

– A to co, Mila, przekwalifikowałaś się na księgową?

– Tak. Od dziecka marzyłam, żeby nią zostać. Bierz prysznic, ja zaparzę kawę. Mamy dzisiaj huk roboty.

Wykąpałem się szybko, wytarłem, włożyłem džinsy, czarny T-shirt i kurtkę. Kiedy wszedłem do małej kuchenki, na talerzu piętrzył się już stosik śniadaniowych pasztecików, a w zaparzaczu parowała kawa. Na ekranie włączonego laptopa leciał jakiś film.

Jasmin strzelająca do mężczyzny. Filmik dobiegł końca, zaczął się od początku.

Mila żuła bułeczkę, popijając kawę.

– Jakość nagrania podła, ale mniejsza o to.

– Boże – szepnąłem. Cofnąłem film i przyjrzałem się

jeszcze raz twarzy mordowanego.

Tak, to był ten Turek, z którym biłem się w barze.

Nacisnąłem klawisz spacji, zatrzymując odtwarzanie na klatce z Jasmin z uniesionym pistoletem. Jej twarz była wyraźna. Twarze wszystkich innych, prócz tej trupa, zostały cyfrowo zamazane.

– Niech zgadnę – powiedziałem. – Szantażowanie Bahjata Zaida, odsłona druga.

– Przyszło e-mailem na jego skrzynkę pocztową dzisiaj o szóstej rano. Przesłał mi to bezpiecznym łączem.

– A więc najpierw wrobili ją w zamach bombowy, a teraz w morderstwo – mruknąłem.

Mila siorbnęła łyczek kawy, nie odpowiadała.

– Ten człowiek naprawdę był od Zaida? – Byłem obolały po wczorajszej bójce, ale zaczynał narastać we mnie gniew. – Wynajmuje mnie, wynajmuje tego gościa i jeden o drugim nic nie wie? Nie podoba mi się to.

– Gdyby o tobie wiedział, mógłby cię sypnąć, zanim zginął.

– Owszem, ale teraz będą o wiele ostrożniejsi. Przyjęliśmy obaj tę samą strategię dotarcia do Pieta i jestem teraz praktycznie spalony, Mila. Będzie mi o wiele trudniej, a już nawiązałem kontakt z Nikiem. – Wstałem i zacząłem krążyć po kuchence. – Sprowadź tu Zaida. Muszę z nim pogadać. Co za przesyłkę miał przejąć ten mój dubler?

– Zaid mówił, że wyjeżdża z Amsterdamu.

– Dokąd?

– Nie wiem.

– No to go poszukajmy. – Usiadłem przy stole, otworzyłem e-mail, którego przysłał na laptopa Mili. Oryginalny e-mail – tamten od porywaczy Jasmin – szedł przez usługę ochrony prywatności i był nie do wytropienia. Ale mnie interesował e-mail od Zaida do Mili. Nagłówek zawierał zaszyfrowaną informację o nadawcy. Wrzuciłem go na stronę wyszczególniającą lokalizację serwerów. – Zaid wysłał to z Węgier. Co on tam robi? Zatrudnia mnie do szukania córki, a zamiast siedzieć tu na dupie i czekać na wyniki akcji, robi sobie wycieczkę na Węgry. – Szlag mnie zaczynał trafiać. – Jasmin tam pracowała! Po co tam pojechał?!

– Nie wiem, Sam, i twoje wrzaski nic tu nie pomogą. Jego firma ma tam swój zakład. Może wybrał się z gospodarską wizytą.

Akurat. Dziwnym trafem tam, gdzie pracowała Jasmin.

– Powtarzam, że mnie się to nie podoba. Zaid wynajmuje drugiego agenta, żeby ratował jego córkę. Przecież mogliśmy się na siebie nadziać. Pozabijając przekonani, że ten drugi to ktoś z gangu. Jak przypuszczam, temu Turkowi zlecono to samo co mnie – uwolnić Jasmin i zlikwidować porywaczy.

Mila wzruszyła ramionami.

– Być może. Co dwie głowy, to nie jedna.

– Nie, tu nie wszystko jest jasne. Zaid kazał Turkowi przejąć jakąś tam kontrabandę, żeby ją później wymienić

na Jasmin. Musimy się dowiedzieć, co to za przesyłka.

– Dowiem się.

Obejrzałem jeszcze raz nagranie.

– Czego teraz chcą od Zaida? Zrobili to, bo odkryli, że Turek ich śledził, a przy okazji chcieli jeszcze bardziej pogrążyć Jasmin. Teraz mają udokumentowany dowód, że jego córka dokonała zamachu bombowego i zabiła człowieka. A jeśli się okaże, że nie przeszła prania mózgu? Że robi to z własnej, nieprzymuszonej woli?

– Nigdy nie przejawiała skłonności do takich zachowań.

Jeszcze raz obejrzałem wideo, na którym Jasmin staje się morderczynią.

– Zupełnie jakby chcieli, żeby Zaida zabolało. Wygląda mi to na coś osobistego.

– To twoja opinia – zauważyła Mila. – Możesz się mylić.

– Problem w tym, że nie wiem, jak nie wzbudzając podejrzeń, podejść Nica, a tym samym Pieta.

– Możemy zgarnąć Nica, wymusić z niego zeznania.

– Nie. Jeśli chcecie wyeliminować całą tę grupę, muszę się do niej wkręcić i rozpracować to towarzystwo od środka. Nic jest kluczem do tego.

– Więc jak chcesz go przekonać, że jesteś mu niezbędny?

– Każda tego typu operacja przemytnicza stwarza jakieś problemy – odparłem. – Muszę się dowiedzieć, przed jakim problemem stoją, i przedstawić się jako ten,

który potrafi go rozwiązać.

– Jak chcesz się tego dowiedzieć?

Zastanowiłem się.

– Gregor mówi, że Nic mieszka nad jakąś kawiarenką w Jordaan. Wiem, że nazywa się ten Boom. To punkt wyjścia.



Odnalezienie Nica zabrało mi trochę czasu. Nie było go w książce telefonicznej. Mogłem poprosić Gregora o bliższe namiary, ale nie chciałem go już straszyć. Jordaan to stara dzielnica niedaleko Prinsengracht, która ostatnio stała się modna. Nie ma tam kanałów; uliczki są na pewnych odcinkach bardzo wąskie, na innych na tyle szerokie, że mieszczą się przy nich nawet parkingi dla samochodów. Kamieniczki są wąskie i wysokie, a linia ich dachów stanowi istną dżunglę kątów i stromizn. Mnóstwo tam księgarenek, butików oraz knajpek, w których można wypić kawę albo piwo. Na liście domofonu przy drzwiach sąsiadujących z wejściem do dziewiątej z kolei kawiarenki widniało nazwisko ten Boom. Stałem jeszcze przed prowadzącymi do nich schodkami, kiedy z głębi kamieniczki doleciał mnie podniesiony głos Nica i tupot stóp zbiegającego po schodach.

O cholera!

Niewiele myśląc, dałem nura do kawiarenki i stanąłem w kolejce. Jeśli też tu wpadnie na porannego głębszego, będę się musiał gęsto tłumaczyć, co tu robię. Myślałem gorączkowo. Hmmm. W to, że zaszedłem tutaj zupełnie przypadkiem, raczej nie uwierzy. Już bardziej się spłoszy.

Rozdźwięczały się dzwoneczki nad otwartymi drzwiami za mną. No trudno, wóz albo przewóz.

Obejrzałem się przez ramię. Wchodziła ładna dziewczyna, a za nią żywo gestykujący Nic z komórką przy uchu. Odpiął klódkę łańcuszka zabezpieczającego rower, wyciągnął go ze stojaka, wsiadł i wyjechał bez trzymanki, nie przerywając rozmowy. W Amsterdamie to częsty widok.

Wyszedłem z kolejki, uśmiechnąłem się do kobiety i pognałem do holu kamienicy.

Mieszkał na ostatnim piętrze. Wbiegłem tam po schodach, znalazłem drzwi i przyłożyłem do nich ucho. Cisza. Ukląłem. Mila nazwała mój plan „głupim”, ale mu się nie sprzeciwiała.

Zamek nie należał do wydumanych, otworzyłem go w czterdzieści sekund. Pchnąłem drzwi, wszedłem i zamknąłem je bezgłośnie.

W mieszkaniu panował bajzel nie do opisanego. Na stoliczku przed sofą szklanki z niedopitym piwem, zeschnięte resztki niedojedzonej pizzy i unoszący się nad tym wszystkim nie pierwszej już młodości zaduch. Na sofie leżała rozpostarta wczorajsza gazeta. Wszedłem do małej kuchenki. Za nią ujrzałem troje drzwi. Otworzyłem pierwsze z brzegu: mała łazienka. Następne. Zamarłem.

Na łóżku spała, pochrapując z cicha, staruszka. Na nocnym stoliku stała na baczność półlitrowa butelka po wódce. Babcia miała włosy, skromnie mówiąc, w nieładzie i tym, co od niej zalatywało, wpisywała się w ogólny chlew. Cicho zamknąłem drzwi.

Cholera. Niebezpieczne to było, ale raz kozie

śmierć... Uchyliłem ostatnie drzwi. Pokoik Nica. W odróżnieniu od reszty mieszkania tutaj panował idealny porządek. Większość powierzchni zajmowało biurko, na którym stały trzy komputery, a na półce nad monitorami książki o tworzeniu baz danych, językach programowania oraz wiele pozycji o technikach hakerskich i zabezpieczaniu komputerów. Może Nic był kimś więcej niż pospolitym spammerem. Na stoliku obok leżały rozrzucone zdjęcia. Młodszy Nic, jeszcze bez mysiego ogonka i piwnego brzucha, z kobietą, która spała w sąsiednim pokoiku. Na fotografii wyglądała młodziej i zdrowiej, obok niej stał mężczyzna przypominający starszą wersję Nica.

Nic, pozujący na drobnego cwaniaczka, był komputerowym geniuszem i mieszkał z matką.

Byłem odpowiednio wyposażony. Przyszedłem tu po informacje, a większość informacji przechowywana jest teraz w komputerach. Nacisnąłem klawisz spacji na klawiaturze. Na ekranie pojawiło się okno logowania z żądaniem wprowadzenia hasła. Wsunąłem pendrive do portu USB pierwszego z brzegu komputera. Zapisane na nim oprogramowanie przystąpiło do łamania hasła dostępu. Mila powiedziała, że to program opracowany przez NSA, ale nie zdradziła, jak weszła w jego posiadanie.

Podczas gdy łamacz robił swoje, ja przeszukałem pokoik. Nic trzymał pod łóżkiem glocka. Żadnej innej broni nie znalazłem.

Kobieta zachrapała głośniej, pociągnęła nosem, ucichła.

Komputer piknął. Byłem w domu. Wyciągnąłem z portu USB pendrive z łamaczem haseł i wsunąłem na jego miejsce inny, na który miała zostać skopiowana zawartość twardego dysku. Mila zapewniła mnie, że uwinie się z tym szybciej niż konwencjonalny pendrive. Uruchomiłem program i zająłem się przeglądaniem zainstalowanych ostatnio aplikacji oraz utworzonych dokumentów, żeby sprawdzić, nad czym Nic aktualnie pracuje. Przeglądał PDF-y. Otworzyłem je.

Wyszukiwał w sieci i ściągał wszystko, co dotyczyło zamachu bombowego na Centraal Station. Przejrzałem je. Same powszechnie znane informacje. Pięć ofiar śmiertelnych. Czwooro Holendrów i Rosjanin. Nazwiska Rosjanina jeszcze nie ujawniono, policja tłumaczyła, że z powodu trudności z odszukaniem jego rodziny. Bomba eksplodowała w małym dworcowym kiosku; została podłożona w plecaku, za stelażem z książkami.

Dalej następowały fotografie zniszczeń. Już po pięciu sekundach ich oglądania uświadomiłem sobie, że nie mogą pochodzić z internetowych portali informacyjnych. To były zrobione przez policję zdjęcia dokumentujące miejsce przestępstwa, których się nie upublicznia.

Były makabryczne. Zginęli przypadkowi ludzie, którzy weszli tam akurat po gazetę, po czasopismo, po batonik. I sprzedawczyni. Ich rozerwane ciała leżały wśród nadpalonych szczątków sklepienia. Krew na

ścianach, oderwane od tułowia kończyny.

Powróciły straszne wspomnienia z zamachu na Holborn.

Skąd Nic miał te fotografie?

Natrafiłem na policyjną analizę ładunku wybuchowego z klauzulą utajnienia.

Jak to on powiedział, stojąc wczoraj wieczorem nad pisuarem? *Mam towar. Gliny nie wiedzą.* Myślałem dotąd, że chodzi o jakiś przeschmuglowany towar. Ten sukinsyn włamał się do bazy danych policji. Miał wgląd w ustalenia śledztwa.

Przeszedł mnie zimny dreszcz. Nic był większym artystą, niżby się z pozoru wydawało. Nie doceniłem go.

Przestudiowałem wyniki analizy materiału wybuchowego. Niewielka ilość semtexu pochodzącego prawdopodobnie z partii skradzionej przed sześcioma miesiącami z magazynu w Czechach.

Zaraz, zaraz.

W raporcie nie było nic o sposobie zdetonowania ładunku. Przejrzałem go szybko do końca. Powinien przecież być jakiś zapalnik czasowy albo telefon komórkowy, który inicjuje detonację w momencie, kiedy się na niego dzwoni. Żadnej wzmianki. Nawet po takim dewastującym wybuchu powinny przecież pozostać ślady, na których podstawie można by wnioskować, w jaki sposób ładunek został uaktywniony i odpalony.

Następna strona opatrzona była nagłówkiem *niezidentyfikowana elektronika*. Przebiegłem ją wzrokiem.

W plecaku znajdowało się jakieś urządzenie elektroniczne, które w wyniku eksplozji uległo prawie całkowitemu zniszczeniu. Na podstawie fragmentów, które się zachowały, wykluczono, żeby był to telefon komórkowy. Policja wciąż nie potrafiła zidentyfikować aparaciku. A może to właśnie on odegrał rolę detonatora? Ale skoro nie był ani zwyczajnym zapalnikiem czasowym, ani komórką, to czym? Fotografia przedstawiała na wpół stopioną siateczkę mniej więcej wielkości dłoni, przypominającą metalowy plaster miodu. Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego. Z opisu wynikało, że w momencie eksplozji to coś wystrzeliło zza stelażu z książkami i wbiło się w jamę brzuszną jednej z ofiar, przez co nie uległo całkowitemu zniszczeniu.

Zza drzwi znowu doleciało głośnie chrapnięcie, po którym ponownie zaległa cisza. Usłyszałem, jak staruszka przewraca się na łóżku. Wyjrzałem przez okno. Znajdowało się cztery piętra nad wejściem do kafejki.

Czekałem. Cisza. Ale niewykluczone, że kobieta się obudziła i leży teraz, patrząc w sufit. Sprawdziłem, na jakim etapie znajduje się kopiowanie zawartości twardego dysku na pendrive. Może mamusia jest przyzwyczajona do cichego klekotu klawiatury; może myśli, że to Nic.

Przejrzałem dane ofiar wybuchu. Z Holendrów, dziewiętnastoletnia sprzedawczyni, i troje klientów – czterdziestopięcioletni mężczyzna, pięćdziesięcioletnia kobieta i dwudziestosiedmiolatek. Przy każdym zdjęcie albo z prawa jazdy, albo z paszportu.

Co do Rosjanina, tylko raport z sekcji zwłok. Ani nazwiska, ani wieku, ani numeru paszportu. Ani fotografii.

Dziwne. Amsterdamska policja, jedna z najlepszych na świecie, nie wie, kim jest piąta ofiara. Niebawem.

Przejrzałem resztę materiałów wykradzonych przez Nica z policyjnych baz danych. Znalazłem wideo zatytułowane *toezicht* i datowane na dzień, w którym doszło do zamachu. *Toezicht* znaczy „inwigilacja”. Odtworzyłem je.

Obraz rejestrowany przez zainstalowaną w kiosku kamerę przesyłany był na bieżąco do centrum monitoringu; gdyby nie to, zapis uległby zniszczeniu wraz z kamerą. Miałem przed oczami pięć minut materiału, które udało się Nicowi wykraść z policyjnych serwerów.

Obserwowałem ostatnie chwile życia niewinnych ludzi.

Młoda sprzedawczyni za ladą, wydająca ze znudzoną miną resztę i drapiąca się co chwila za uchem. Klientów tłumy, wchodzą i wychodzą, większość nie zabawia długo. Jasmin nie zauważyłem, co znaczyło, że musiała podrzucić bombę już wcześniej. Aż dziw, że ofiar nie było więcej. Jakiś mężczyzna zatrzymuje się przed stelażem z książkami; obok stelaż z gazetami. Sięga po gazetę i w tym momencie ekran rozjarza się bielą.

Cofnąłem zapis i zatrzymałem go na stopklatce. W sklepiku pięć osób. Czwooro Holendrów, których fotografie widziałem przed chwilą w aktach sprawy. To

Rosjanin sięgał po gazetę ze stelażu, kiedy nastąpiła eksplozja. Zacząłem cofać zapis klatka po klatce. Odsuwał się stopniowo od stelażu, obracając w stronę kamery, aż w końcu zobaczyłem jego twarz.

Znałem tego człowieka. Nie do wiary.



W głębi mieszkania otworzyły się drzwi. Ktoś wyszedł na korytarz.

– Nic? *Ben je wakker?* – Wstałeś już?

– *Ja!* – zawołałem, naśladowując głos Nica. Wyciągnąłem pendrive z portu. Dał się słyszeć trzask drzwi do łazienki, po chwili zaszumiała spuszczana woda, a zaraz potem prysznic. W tle tych odgłosów trzasnęły drzwi frontowe.

Wrócił Nic.

Drogę odwrotu miałem odciętą. Przystąpiłem do zacierania śladów swojej bytności na komputerze. Wylogowałem się i wprowadziłem go w stan uśpienia.

Przełożyłem nogę za okno. Słyszałem wciąż szum prysznic i pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że Nic nie skieruje się prosto do swojego pokoiku. Wysunąłem się na zewnątrz, stanąłem na gzymsie.

Spuszczanie się po murze na dół odpadało. Spojrzałem w górę. Z ceglanej ściany, ponad metr nad moją głową, sterczała belka. To charakterystyczne dla większości amsterdamskich kamieniczek. Zważywszy na to, jak wąskie są holenderskie klatki schodowe, belki służyły chyba do wciągania na wyższe piętra większych gabarytowo mebli.

No weź tu i do niej doskocz. Jak na razie nikt z przechodniów jeszcze mnie nie zauważył. Zebrałem myśli, skupiłem się, czekałem, aż mięśnie dostroją się do

parkourowego trybu, w którym je ćwiczyłem. Dam radę. Utkwiłem wzrok w belce. Podskoczyłem, sięgając rękami nad głowę.

Pudło. Poleciałem w dół. Zrobiłem w powietrzu półobrót i w ostatniej chwili uchwyciłem się gzymsu, z którego się wybiłem. Rąbnąłem brzuchem o ścianę. Zabolało, ale stłumiłem krzyk. Szukałem czubkami butów punktu podparcia. Znalazłem go. Parkour wzmacnia mięśnie dłoni, ramion i brzucha, ale już dawno nie trenowałem. Spojrzałem w dół. Uliczka była w zasadzie wyludniona. Kobieta wychodząca właśnie z kafejki nie spojrzała w górę.

Skrzypnęły otwierane drzwi. Nic wszedł do swojego pokoiku. Pogwizdując. No to już po mnie. Słyszałem, jak szuka czegoś na biurku; niespełna metr ode mnie. Gdyby wyjrzał teraz przez okno, mógł zauważyć moje dłonie. Wyraźnie podenerwowany, trajkotał coś szybko po holendersku do swojej mamy, chyba że nie ma czasu na pogaduszki.

I dzięki Bogu. Zaryzykowałem. Podciągnąłem się na rękach, wyjrzałem ostrożnie spod gzymsu i z ulgą stwierdziłem, że Nic wychodzi z pokoiku na korytarz, ale drzwi za sobą nie zamknął.

Parkour to sztuka sprawnego przemieszczania się z miejsca na miejsce. Już prawie dziesięć sekund zwisałem z gzymsu. Stanowczo za długo.

Skoncentrowany, jednym płynnym ruchem podciągnąłem się, zarzuciłem nogę na gzyms i stanąłem

na nim. Mama Nica zawołała do niego ze swojego pokoju, żeby przyniósł jej śniadanie. Nic odkrzyknął, żeby się odwaliła i kładła z powrotem do łóżka, póki jeszcze jest trzeźwa. Wracił do siebie.

Zmuszony byłem do ponowienia próby. Podskoczyłem i tym razem udało mi się uchwycić belki. Podciągnąłem się na nią. Z mieszkania dochodziła niewybredna wymiana zdań między mamusią i synkiem. Z poziomu ulicy doleciał krzyk – ktoś mnie zauważył. Musiałem się stąd szybko zmyć, bo zaraz wezwą policję. Przepelźłem po belce do ściany, a stamtąd wdrapałem się na dach. Na dachu nie będę widoczny z ulicy. Leżałem tam i dysząc, patrzyłem w niebo. Kiedy już trochę odsapnąłem, prześliznąłem się ostrożnie, cichutko, z dachu kamieniczki Nica na sąsiedni. Trwało to całą wieczność.

Z mieszkania na poddaszu narożnej kamieniczki, kilkanaście dachów od domu Nica, gapiła się na mnie mała dziewczynka. Miała ze cztery latka, błękitne oczka i rumiane policzki. Pomachałem jej, ona też mi pomachała. Włożyłem sobie palec do ust, ona też, ze śmiechem. Dałem jej na migi do zrozumienia, że ma otworzyć okno dachowe; otworzyła.

Opuściłem się przez nie do jej pokoiku. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczętami. Przyłożyłem palec do ust na znak, że ma być cicho. Znowu ją to rozbawiło. Wyśliznąłem się z jej pokoiku. W łazience szumiał prysznic, z sypialni rodziców dochodziły odgłosy

porannej krzątaniny. Po chwili byłem już na zewnątrz i zbiegałem po schodach.

– Znasz tego Rosjanina, który zginął na dworcu? – Mila, wsunąwszy pendrive do komputera, przeglądała to, co podprowadziłem złodziejowi Nicowi. – Skąd?

– W dniu tamtego zamachu w Londynie... – głos mi się na moment załamał – ...referowałem sprawę gościa, który naszym zdaniem prowadził finanse międzynarodowych siatek przestępczych zapuszczających macki nawet do rządów wielu państw. Nazwaliśmy go Carem Kasjerem. Nie mieliśmy na niego nic, czysta, niezapisana karta; tylko jedno zdjęcie i cynk od dwóch informatorów, którzy już nie żyją. To właśnie ten człowiek. Człowiek, na którego polowałem, którego chciałem dopaść. Myślałem do tej pory, że ten z blizną pracuje dla Cara Kasjera, że to ktoś z jego obstawy. A wychodzi na to, że właśnie on go zlikwidował. – Brakło mi tchu, rozsadzało piersi. – Zabili mój cel. Kim, u diabła, są ci ludzie? O co im chodzi? Dlaczego porwali moją żonę?

Mila patrzyła na mnie.

– To nie był taki zwyczajny zamach – podjąłem. – To było coś więcej. To było morderstwo z zimną krwią. Muszę przekopać wszystko, co ściągnąłem z komputera Nica. Muszę znaleźć coś, co go do mnie przekona.

– No to poszukajmy – mruknęła Mila, pochylając się nad klawiaturą.

– W tej chwili nie mogę werbować nowych ludzi – powiedział przez telefon Nic. Podejrzywałem, że Piet mu tak przykazał. Pewnie spanikowali po próbie infiltracji podjętej przez Turka. Albo, co gorsza, zorientował się, że ktoś był w jego pokoju, grzebał mu w komputerze. Nikomu już nie zaufają. Cholerny Turek.

Ale wyboru nie miałem.

– Słuchaj, Nic. Rozumiem, ale powiedz szefowi, że mam dla was cenne informacje.

– No, nie wiem, Sam...

– Zanim przyszedłeś wczoraj do Grijs Gander, ten Turek rozprawiał na cały bar o przerzucie jakiejś ważnej przesyłki dla was. Do Stanów. Ja bym mu na waszym miejscu nie ufał. Jak macie coś specjalnego do nadania, to ja się mogę tym zająć. Będzie szybko, bezpiecznie i niedrogo.

– Rozmawiał o kanale przerzutowym? W barze? – zachnął się Nic.

– Po turecku, ze swoimi kolesiami, ale ja znam trochę turecki i coś niecoś zrozumiałem. – Zerknąłem na Milę przysłuchującą się tej rozmowie. – Mówił, że Piet gorzko pożałuje, jeśli mu nie zapłaci. Że zadzwoni pod anonimowy numer na policję i go zakapuje.

– To... to nie jest rozmowa na telefon. – Nerwowość w jego głosie była teraz wyraźna.

– Zorganizuję wam lepszy i bezpieczniejszy szlak, i

w odróżnieniu od tego Turka umiem trzymać język za zębami. Szukam stałego zajęcia, Nic.

– Oddzwonię do ciebie. Ale niczego nie obiecuję.

– Słuchaj, macie z kolegą nóż na gardle. Ale co mi tam. Powodzenia. – Rozłączyłem się.

Mila uniosła brew.

– Mocno go przycisnąłeś.

Nie odpowiedziałem.

– Sam?

– Co?

– Nie dawaj się ponosić emocjom.

– Nie jestem emocjonalnym typem. Widzisz u mnie jakieś emocje? Jestem w tej chwili jak pokerzysta.

– Jeśli Car Kasjer współpracował z człowiekiem z blizną, jeśli zajmował się finansami, to dlaczego ten gość go zabił? I dlaczego w taki sposób? Dwie kulki w łeb i do kanału; byłoby o wiele prościej.

Nie miałem na to odpowiedzi i w tym, między innymi, tkwił problem. Człowiek z blizną upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu: zrobił z Jasmin Zaid morderczynię i wyeliminował Cara Kasjera – ale dlaczego? Zakładałem dotąd, że dokonał zamachu na nasze londyńskie biuro, żeby chronić Cara Kasjera. Najwyraźniej się myliłem.

Zadzwoniła trzymana przeze mnie w ręku komórka. Odczekałem pięć sygnałów.

– Facet tam się skręca – zauważyła Mila. Odczekałem jeszcze dwa sygnały i odebrałem.

– Tak?

– Może dam radę załatwić ci jakąś robotę. Ale zrozum, że mój szef jest teraz bardzo ostrożny.

Wcale mu się nie dziwię, pomyślałem.

– Lubię ostrożnych szefów.

– Spotkajmy się wieczorem w tym samym barze co wczoraj i zabiorę cię stamtąd do Pieta.

– Nie. Gdzie indziej, i za dnia. Gdzieś, skąd będę miał dobry przegląd sytuacji. Jest taki barek... – Mila pokręciła energicznie głową. – Albo nie. Coś ci powiem. Nic. Potraktuj to jako gest dobrej woli z mojej strony. Ty wybieraj.

– Znasz Pelikaan Café na Singel

Zerknąłem na Milę. Kiwnęła głową.

– Znam.

– Tam się spotkajmy. W południe.

– Dobra. No to do południa. – Rozłączyłem się.

– No. – Mila wyjęła z ucha słuchawkę. – Chwycili przynętę. Ale niewykluczone, że cię gdzieś stamtąd wywiozą i zmuszą do mówienia. Tak od razu ci nie zaufają. Musimy się przygotować na taką ewentualność.

– Dlaczego nie chciałaś, żeby do spotkania doszło tutaj, na naszym gruncie?

– Właśnie dlatego, że to nasz grunt – odparła. – Traktuj Rode Prins jak swój bezpieczny lokal. A Pelikaana znam. Już wiem, jak to rozegramy. Zbieraj się, nie mamy wiele czasu. – Wstała, a ja dotknąłem jej ramienia.



– Masz kontakt z Bahjatem Zaidem?  
– Nie – przyznała. – Nikt nie wie, gdzie go wciąło.  
– Słuchaj, ja podejrzewam, że dał im coś ze swojej węgierskiej filii, tej, w której pracuje Jasmin. I oni właśnie to chcą wywieźć z Europy.

Przygryzła wargę.

– On jest producentem broni, Mila. Co, u diabła, mógł przekazać tym ludziom? Płaci okup, a oni ani myślą oddać mu córkę.

– I ty, i ja mamy swoje wytyczne, Sam. Uwolnić Jasmin, wyeliminować jej porywaczy jako świadków i potencjalne zagrożenie. Tego się trzymaj i nie martw się o to, co od niego dostali.

– Ty wiesz, co to było? Bądź ze mną szczerą.

– Nie, nie wiem – odparła i uwierzyłem jej.

– Ciekawi mnie, co chcą przeszmyglować do Ameryki.

– Wszystko w swoim czasie. Najpierw Jasmin. Ta banda. Tylko w ten sposób dowiesz się, co spotkało twoją żonę. Nie rozprasza się. – W jej tonie pojawiła się nowa twarda nuta. – Mam dla ciebie coś, co będziesz mógł wykorzystać w negocjacjach z Nikiem. Coś bardzo nieprzyjemnego.

– Co?

– To jest na jego komputerze. – Otworzyła plik. Zdjęcia. Fotografie małolotów w obrzydliwie prowokacyjnych pozach. Chłopcy, dziewczynki, w różnym wieku, w rozmaitych sytuacjach, od z pozoru

niewinnych, do twardego porno. Do tego lista nazwisk, adresów e-mail odwróciłem wzrok.

– Jest pedofilem?

– Być może. W każdym razie propagatorem takich treści. Wygląda na to, że gdybyś się na nie pisał, Nic może ci ich dostarczyć. – Zaklęła pod nosem.

Przypomniało mi się spojrzenie, jakim obrzucił młodą dziewczynę w kawiarence przy placu Dam, i niedobrze mi się zrobiło.

– Dobra. Mamy na niego haka. Wykorzystam go.

– Nie miej skrupułów – powiedziała Miła.

Howell oglądał w centrum monitoringu materiał wideo z kamer zainstalowanych na terenie dworca kolejowego w Rotterdamie. Jest. Wypatrzył mężczyznę przypominającego Sama Caprę. Kilka kroków przed nim szła blondynka w wielkich okularach przeciwsłonecznych.

– Do jakiego pociągu wsiedli? – spytał.

– Do tego o dziesiątej piętnaście do Amsterdamu – odparł August, zajrzawszy do rozkładu jazdy.

– Sprawdź w kasach. Interesuje mnie każdy zakup dwóch biletów jedną kartą kredytową.

– Mogli płacić gotówką albo korzystać z biletu okresowego – zauważył August.

– Ale błąd też mogli popełnić – uciał Howell.

Po dziesięciu minutach miał już nazwisko. Większość pasażerów pociągu odchodzącego o 10.15 do Amsterdamu miała bilety okresowe, ale jedna para z wagonu piątego kupiła je na kartę kredytową należącą do Fernandy Gatil.

Howell zadzwonił do amsterdamskiego biura CIA, podał im to nazwisko i zażądał szczegółowych danych na temat Fernandy Gatil – gdzie pracuje, gdzie mieszka i tak dalej – oraz powiadomienia o tej osobie wszystkich holenderskich posterunków granicznych. Zażądał też podrasowanych odbitek kadrów z materiału zarejestrowanego przez kamery dworcowe; musiał się dowiedzieć, kim jest ta kobieta i dlaczego towarzyszy

mężczyźnie, którym, według niego, był Sam Capra.

Dziesięć minut po południu.

Ten gnojek, Nic, spóźniał się. Siedziałem przed Pelikaanem, po południowej stronie kanału, i sącyłem małego heinekena. W wodach kanału odbijało się słońce.

Zastanawiałem się, kim mógł być zaangażowany przez Zaida Turek. Najemnikiem? Autentycznym przemytnikiem? Kimś takim jak ja, mającym osobiste powody, by chcieć się mścić na człowieku z blizną? Bahjat Zaid był spanikowanym ojcem i nie do końca ufał Mili oraz jej tajemniczemu mocodawcom. Na dobrą sprawę wcale mu się nie dziwiłem. Ja też nie miałem pojęcia, czy moje dziecko jeszcze żyje.

Wiedziałem, że w tej chwili robię ważny krok na drodze do poznania całej prawdy, przybliżający mnie do Lucy. Staralem się trzymać nerwy na wodzy. Nie myśleć za wiele. Wystarczy trącić właściwą strunę i jestem w domu.

Dostrzegłem Nica. Przeciskał się przez tłumy sobotnich spacerowiczów. Popatrywał spode łba na wszystko i wszystkich, nie wyglądał na najlepiej usposobionego.

Przysiadł się do mnie. Był blady, zmarnowany, tak jakby się nie wyspał. Czyżby się zorientował, że ktoś buszował po jego pokoju, grzebał w jego odrażających tajemnicach? Mało prawdopodobne. Dzisiejszej nocy, po odkryciu próby infiltracji podjętej przez Turka, chyba nikt

z nich nie zmrużył oka.

– Cześć – mruknąłem, a w myślach dorzuciłem: Wiem, co z ciebie za ziółko.

– Mam dzisiaj bardzo ciężki dzień – burknął. Do stolika podszedł kelner. Nic zamówił colę. Kelner przyniósł mu ją i ulotnił się. Stoliki w naszym otoczeniu były niezajęte.

– No i na czym stoimy? Zabagnił wam ten Turek sprawę ze szlakiem przerzutowym czy nie?

– Blefował, skubaniec – warknął Nic. – Lepszy był z niego krętacz.

– Był?

– Znaczy, jest, chciałem powiedzieć. Wybacz mój angielski.

– Słuchaj, Nic. Przerzuciłem już, nie chwaląc się, tony towaru z Europy Wschodniej do Holandii, Anglii i Ameryki. Znam się na kontrabandzie jak mało kto, żeby nie powiedzieć: jak nikt. Jeśli ten Turek wam podpadł, to mogę wam zorganizować całkiem nową trasę i inny środek transportu. Bezpieczeństwo gwarantowane.

Nic upił łyczek coli. Czekałem. Może znaleźli już inne wyjście z zaistniałej sytuacji. Z drugiej strony Turek zginął przecież przed kilkoma godzinami, a ja mogłem być ich jedyną nadzieją na sfinalizowanie operacji, którą zaplanowali. Kto wie, czy nie przysłali tu Nica, żeby mnie dokładnie wybadał.

– Czemu tak bardzo zależy ci na tej robocie? – spytał.

– Z czegoś żyć trzeba. A poza tym zamierzam

zapuścić w Holandii korzenie.

– Dlaczego akurat tutaj?

– Miałem w Europie Wschodniej trochę takich małych przebojów. Muszę zmienić klimat. – Pociągnąłem długi łyk piwa. – Z chęcią bym się do was podłączył. W czym robicie? Szlugi, coś luksusowego? Dopalacze? – Wszystko to warte było miliardy; blisko dwadzieścia procent światowej gospodarki to nielegalny obrót towarem.

– Musisz mieć do dupy sytuację, żeby szukać roboty po jakichś zaplutyh spelunach.

– Bywało lepiej.

Posłał mi krzywy uśmiezek, który jednak szybko znikł.

– Jak ty się właściwie nazywasz, Sam?

– Peter Michael Samson.

Zadzwoiła komórka Nica. Odebrał, słuchał przez chwilę pilnie, zachowując twarz pokerzysty. Tylko raz uśmiechnął się kącikiem ust. Wstał od stolika, przeszedł do wolnego obok, wybrał jakiś numer. Słuchał, nie spuszczać ze mnie oka. Uniosłem szklankę do ust.

– Słyszałaś? – szepnąłem pod jej osłoną.

– Tak – potwierdziła Mila.

Nadajnik, cienki jak wykałaczka, z wbudowanym mikrofonem, miałem wpięty pod kołnierzem koszuli. Był praktycznie nie do wykrycia. Gorzej ze słuchawką, przez którą słyszałem Milę. Ta mogła się rzucić w oczy. Ale w sumie ten sprzęt był istnym dziełem sztuki. Chyba nawet

Firma takim nie dysponowała, i tu znowu rodziło się pytanie, dla kogo dokładnie zgodziłem się pracować.

– Jeśli mają dostęp do danych paszportowych... to może właśnie mnie sprawdzają.

Niewykluczone, że Firma wykasowała legendę Petera Samsona, jego dane osobowe oraz historię paszportową. A już na pewno podejmie każdy trop zapoczątkowany przez wszelkie zapytania o moje dawne, sfabrykowane tożsamości i weźmie pod obserwację autorów tych zapytań.

A to może doprowadzić Firmę do Nica i jego przyjaciół. Byle nie stało się to wcześniej, niż sam rozpracuję tę ferajnę. Niż dorwę człowieka z blizną. Niż uwolnię Jasmin i dowiem się, jak to naprawdę jest z Lucy i moim synkiem.

Obserwowałem Nica, a on mnie. Płynęły minuty. Dostyc czasu, żeby jego współpracownik dostał się do bazy danych kanadyjskiego urzędu paszportowego? Włamali się do serwerów amsterdamskiej policji; dlaczego nie mieliby powtórzyć tego w Kanadzie. Nie doceniłem Nica.

Nie odzywałem się już do Mili; była blisko, widziała nas z pustej przestrzeni biurowej do wynajęcia po drugiej stronie kanału Singel.

August wszedł do pokoju Howella w głównym bezpiecznym lokalu Firmy przy Herengracht. Howell podniósł na niego wzrok znad przeglądanych właśnie



fotografii, które dostarczyła mu kontrola paszportowa z Rotterdamu. Z tych tysięcy twarzy żadna nie należała do Sama Capry. Miał mętlik w głowie.

– Panie Howell, jest meldunek o zapytaniu dotyczącym jednej ze starych legend Sama Capry. Tej Petera Samsona. Nadano je przed paroma minutami z kafejki internetowej w Amsterdamie. Kogoś interesują paszport, przebieg służby wojskowej, czy był notowany.

– Gdzie ta kafejka?

– Nad Singel.

– Sprawdźmy, kogo tak interesuje Sam. – Boże, pomyślał, a może to Sam sprawdza, czy jego dawna przykrywka jest wciąż aktywna. – Wiadomo coś o paszporcie, z jakim przekroczył granicę Holandii?

– Nie, sir – odparł August. – Mam unieważnić całą dokumentację związaną z tą tożsamością?

– Nie, nie. Niczego nie ruszaj. Zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi.

Zbiegli z Augustem i Van Vleckiem, byłym żołnierzem piechoty morskiej przydzielonym na stałe do amsterdamskiego biura Firmy, po schodach i wypadli na dwór.

– Może by tak powiadomić holenderską policję... – zaczął Van Vleck.

Howell podniósł rękę.

– Wykluczone. Załatwimy to we własnym zakresie. – Zerknął na Augusta. – Może być nieprzyjemnie. Jeśli tam jest, z miejsca go zdejmujemy, a porozmawiać z nim

będziesz mógł później. Nie zawahaj się aby.

– Bez obawy, sir – odparł August. – Dopadniemy go.

Widząc, jak Nic chowa komórkę, odjąłem szklankę z piwem od ust. Ruszył w stronę stolika. Mogli mu powiedzieć, że Peter Samson już nie istnieje. Mógł mnie sfotografować komórką i przesłać to zdjęcie Pietowi albo nawet bezpośrednio człowiekowi z blizną – a w takim wypadku byłoby już po mnie. Spojrzałem na stół: obrus, kwiatki w małym szklanym wazoniku, półpintowa szklanka. Jeśli wraca do stolika, wiedząc, że jestem oszustem, mógłbym go tym wazonikiem załatwić. Obłuc szyjkę i wbić mu w gardło. Wazonik wykonany był ze szkła grubszego niż szklanka.

Nic usiadł naprzeciwko mnie, poprawił mysi ogonek i uśmiechnął się.

– Poszukiwano cię w zeszłym roku w Chorwacji za szmugiel.

Smutne, ale prawdziwe – Peter Samson był pechowcem.

– Dawno i nieprawda.

– Na to by wyglądało. Zarzuty wycofano.

– Trzeba wiedzieć, komu posmarować. – Wzruszyłem ramionami. – I świadkowie nabrali nagle wody w usta.

– Co przemycałeś?

– Wszystko, na co jest popyt. Materiały wybuchowe z Czech. Starą broń z Ukrainy. Opium idące przez Turcję. – Znowu wzruszyłem ramionami. – Nie specjalizuję się w żadnym konkretnym asortymencie. Przerzucam do

Kanady i Nowego Jorku, co tylko podłeci.

– Dobrze się bijesz, jak na szmuglera.

– Nauczyłem się w kanadyjskiej armii.

– Mam znajomego z Pragi. Pytałem go wczoraj o ciebie.

Gregor.

– No i?

– Powiedział, że jesteś dobry, ale powiedział też, że być może zakapowałeś facetów, którzy próbowali cię orznać, jakichś dwóch braci.

– Bracia Vranowie oszukiwali ludzi, którzy wprowadzili mnie w ten interes. Wewnętrzna polityka grup, dla których pracuję, to nie moja sprawa. Mnie interesują wyłącznie pieniądze. Może nie najlepiej to o mnie świadczy, ale taki już jestem.

– Czyli byłbyś lojalny wobec... mnie?

– Gdybyś był solidnym płatnikiem, to owszem, byłbym.

Przyglądał mi się długo, z namysłem.

– No to może miałbym coś dla ciebie. Ale musiałbyś mi wyświadczyć pewną przysługę.

– Nie pracuję w branży wyświadczenia przysług.

– No to potraktuj to jako inwestycję. Mój szef, Piet, stał się ciężarem. Myślę, że trzeba się go pozbyć. – Nic nie owijał w bawełnę. Chciał wygryźć Pieta i pewnie zająć jego miejsce. – Jeśli potrafisz zorganizować ten szlak przerzutowy do Ameryki, to Piet nie będzie nam do niczego potrzebny. Zwłaszcza do podziału zysków.

– A jeśli nie zechcę się mieszać w te wasze rozgrywki gabinetowe?

– To się pożegnamy.

Chciał mnie wykorzystać do wspięcia się na wyższy poziom łańcucha pokarmowego.

Ale równie dobrze ja mogłem wykorzystać jego.

– Co masz przeciwko swojemu szefowi?

– Intratnych interesów nie robi się brutalną siłą, tylko głową. – Ten haker nie lubił przemocy.

– Bez wątpienia jesteś bardziej rozgarnięty od swojego szefa.

– Bez wątpienia. Piet to porąbany psychopata. Chodzi i wymachuje mieczem, dasz wiarę? Mieczem. Zdajesz sobie sprawę, jak nieprofesjonalnie to wygląda? – W jego głosie zabrzmiał teraz ton wyższości.

– Co przerzucacie?

– Nie są to jakieś wielkie pakunki, ale muszą być dobrze zakamuflowane. Ich zawartość jest bardzo cenna i niełatwo ją czymś zastąpić.

– Konkretnie. Co to jest?

– Nie musisz wiedzieć. To nic toksycznego, trującego ani niebezpiecznego.

Nie wierzyłem mu. Ale nie naciskałem. Na razie. Miałem w rękawie nowego asa. Ogólnie rzecz biorąc, Nic chciał się za moim pośrednictwem pozbyć Pieta. Kto wie, czy przystając na jego warunki, nie otworzę sobie najprostszej drogi do człowieka z blizną.

– Jeśli chcesz dostać tę robotę, musisz mi pomóc –

naciskał Nic.

– Tak, ja wam przygotuję idealny szlak przerzutowy dla waszego towaru, z dokumentacją, kontenerami, dobrze opłaconym kapitanem statku i posmarowaniem komu trzeba włącznie, wy z tego szlaku skorzystacie, a mnie poślecie w odstawkę? Nie da rady.

– Musimy sobie trochę ufać, Sam. Proponuję ci współpracę; przy tej robocie i przy wszystkich, które nadarzą się później. Jestem w tej chwili w potrzebie i poszukuję wspólnika bez odchyłek, na którym można polegać. Nie chcę mieć nad sobą szefa, któremu się ubzdurało, że jest ninja.

– Słuchaj, żądasz ode mnie, żebym ryzykował dla ludzi, których właściwie nie znam, bo przecież nie wiem, co wy za jedni. Mam możliwości przeszmuglowania wszystkiego, co tylko chcecie przeszmuglować, ale potrzebne mi stosowne gwarancje. – Próbowałem wyrzucić na Nicu wrażenie człowieka, który jest zdenerwowany i za dużo mówi, człowieka, któremu bardzo zależy na dobieciu tego targu. Ale chce dobić go z kimś, kto pociąga za sznurki. – Jeśli ty nie jesteś w stanie ich mi dać, to skontaktuj mnie z tym, od kogo je dostanę.

– Nie mogę cię zaprowadzić do szefa, który stoi nad Pietem. Odpada.

Typowa struktura sieciowa. Zabezpieczać każdy węzeł sieci. Takie tu najwyraźniej panowały reguły. Zmyślne.

– No to rozmowa skończona. – Pora na bluff.

Wstałem.

Wiedziałem, że mnie potrzebuje. Byłem jego szansą na wspięcie się o szczebel bliżej władzy.

– Chodzi o wielki interes – powiedział Nic.

– Jedyne wielkie interesy, jakie mnie interesują, to te przynoszące grubą kasę.

– Zainkasujesz swoją działkę plus bonus ode mnie za pomoc w pozbyciu się Pieta.

– Czy człowiek nie może już popracować bez mokrej roboty?

– Takie czasy. – Nic zniżył głos. – Słuchaj, chcemy przerzucić nasz towar z Rotterdamu do Nowego Jorku. O tym towarze wiem tylko tyle, że jest teraz w drodze z Węgier do Holandii. Piet wie, co to jest. Jak już tak ci na tym zależy, to możesz z nim pogadać i po tej rozmowie zdecydować, czy podejmujesz się tego, czy nie.

Na więcej nie mogłem w tej chwili liczyć.

– Dobra. Chodźmy do niego.

I w tym momencie zauważyłem Howella. Biegł północnym brzegiem kanału Singel. W naszym kierunku. A za nim August. Nie dałem niczego po sobie poznać.

To by znaczyło, że jednak popełniliśmy jakiś błąd.

Howell, a za nim August i jeszcze jakiś facet, najwyraźniej agent Firmy, wpadli do kafejki internetowej. W witrynie płonął neon przedstawiający filiżankę parującej kawy. W tym samym budynku, na ostatnim piętrze, mieściło się biuro, z którego obserwowała mnie Mila.

Co teraz: ruszać na pomoc Mili czy iść z Nikiem?

Wybrałem to drugie. Jak Howell nas znalazł? Czyżby pomógł mu w tym nieświadomie Nic, weryfikując moją przybraną tożsamość? Być może człowiek Nica, szukając przez Internet informacji na temat Petera Samsona, uruchomił cichy alarm.

Musiałem znaleźć jakiś sposób ostrzeżenia Mili.

– Wietrzę kłopoty – mruknąłem do idącego obok Nica.

– W związku z czym? – Nic zerknął na mnie.

– Z tobą. Z tymi twoimi rozgrywkami z szefem.

– Już niedługo będzie moim szefem.

– Ja też miałem kiedyś nad sobą szefa – powiedziałem tonem konwersacji. – Howell się nazywał, skończony palant i nawet teraz czuję na karku jego oddech.

– Trzeba się było z nim rozprawić, tak jak ja zamierzam z Pietem.

Jaśniej ująć tego nie mogłem. Pozostawało mi tylko żywić nadzieję, że Milla zrozumie moje zakamuflowane ostrzeżenie. Nie miałem wątpliwości, że przed konfrontacją z Pietem Nic dokładnie mnie przeszuka, a wtedy znajdzie słuchawkę. Zostałem trochę z tyłu, wydłubałem ją z ucha i upuściłem na chodnik. Nadajnika się nie pozbyłem. Chciałem, żeby Milla nie uroniła ani jednego cennego słowa.



Mila wypadła z pustego biura i pognęła w dół wąską klatką schodową. Howell był gdzieś w pobliżu, a tym samym powódzenie całej prowokacji zawisło na włosku. Trzy górne piętra budynku zajmowały biura, na parterze mieściła się Café Sprong, mała internetowa kafejka popularna wśród studentów i młodych turystów. Dotarła na parter. Café Sprong miała po prawej ręce. Siedziało tam w tej chwili kilku wystraszonych młodych ludzi, każdy z rękoma uniesionymi nad klawiaturą. Za nimi stali trzej mężczyźni w garniturach, dwóch miało pistolety w rękę. Najstarszy z tej trójki – rozpoznała w nim Howella – mówił właśnie:

– Proszę zachować spokój, współpracujemy z holenderską policją.

Ruszył wzdłuż stanowisk, zatrzymując się przy każdym i waląc w klawisze laptopa. Szukał czegoś.

Namierzyli ich!

Mężczyzna stojący najbliżej drzwi chwycił ją za ramię. Był to dobrze zbudowany blondyn w typie Skandynawa, z rumianymi policzkami.

Mila w porę stłumiła impuls, który kazał jej wyrzucić go przez okno z neonem w kształcie parującej filiżanki.

– O co chodzi? – warknęła cicho.

Wciągnął ją do środka.

– To akcja policyjna. Proszę się nie obawiać, szukamy przestępcy. Dokonywała pani połączeń

internetowych z tej kafejki? – Mówił po holendersku, ale z jakimś bliżej nieokreślonym obcym akcentem.

Wzruszyła ramionami, udając, że nie rozumie.

– To jakiś żart? – spytała po angielsku, siląc się na uśmiech. – A może film tu kręcicie?

– Ma pani laptopa? Albo smartfon? – On też przeszedł na angielski. – Korzystała pani ostatnio z sieci?

– Nie. – Miała przy sobie tylko małą torebkę. Bezprzewodowe urządzenie, za którego pośrednictwem porozumiewała się z Samem, przykleiła sobie taśmą do nasady kręgosłupa, pod kostiumem. Pistolet do łydki. Zajrzał do jej torebki, znalazł smartfon. Przejrzał historię wyszukiwarki.

– Dziękuję. – Oddał jej telefon. – Policyjna rutyna, rozumie pani. Proszę się nie oddalać.

Zastosowała się do polecenia.

Ale jeśli szukali jej właśnie... to nie pognaliby od razu na poddasze? Niekoniecznie. Może wiedzieli, że gdzieś tu jest, ale nie wiedzieli, gdzie dokładnie ani kogo konkretnie szukać. Starła się zachowywać spokój, ale wszystko w niej chodziło. Howell nie miał broni w ręku. Przygotowała w myślach plan walki, jaką być może przyjdzie jej stoczyć; kolejność, w jakiej będzie ich zabijała. Najpierw blondyn, potem ten ciemnowłosy, na końcu Howell. Mając już ten plan ustalony, uspokoiła się trochę i obserwowała poczynania Howella, tak jak wszyscy inni.

Barman psioczył na uzbrojonych ludzi po

holendersku, ale z charakterystycznym polskim akcentem, że nie mogą tak zwyczajnie wpadać z ulicy i robić, co robią, ale oni go ignorowali. Howell przeszedł od przerażonej dziewczyny do ostatniego stanowiska, przy którym siedział młody Chińczyk. Chłopakowi dygotały palce uniesionych nad klawiaturą dłoni i Mila pomyślała: Ten chyba ma coś na sumieniu.

Howell podniósł laptop Chińczyka, obejrzał go ze wszystkich stron, postukał w klawisze. Z miejsca, gdzie stała, Mila zauważyła okno terminalu otwierające się na ekranie. Lawina danych białymi literami na czarnym tle.

Howell zatrzasnął wieko laptopa i skinął na swoich ludzi. Blondyn podskoczył, przeszukał obcesowo chłopaka, kiwnął głową, że czysty.

– Wyprowadzić – rzucił Howell po angielsku.

– Wy nie jesteście gliny! – wrzasnął barman. Za wiele podlanej kofeiną odwagi, pomyślała Mila.

Howell, wychodząc, zerknął na Milę; wiedziała, że pod takim spojrzeniem należałoby spuścić wzrok. Tak robią wszyscy zastraszeni widokiem pistoletów. Ale ona tego nie zrobiła. Po prostu nie mogła. Patrzyła na niego bez nienawiści w oczach.

Na moment spotkały się ich spojrzenia. Gdyby wiedziała, że widzieli ją na materiale zarejestrowanym przez kamery monitoringu w porcie, odzianą w skórę, w wielkich przeciwsłonecznych okularach, zabiłaby ich wszystkich tu i teraz. Ale Howell, zaaferowany swoim łupem, nie zatrzymał wzroku na jej twarzy. Nie oglądając

się, wyszedł na ulicę za mężczyzną wyprowadzającym z kafejki młodego Chińczyka.

Trzeci z mężczyzn – szatyn o byczym karku – schował pistolet i powiedział po holendersku:

– Przepraszamy za najście. Możecie wracać do zajęć. Ten człowiek, korzystając z serwera kafejki, dokonywał groźnych cyberataków. Wybaczcie, ale nie mogliśmy dopuścić, żeby zdążył zatrzeć ślady swojej działalności.

– Wszystko jedno – zaperzył się barman – nie wolno wam tak tu wpadać i wymachiwać bronią. Mogliście kogoś postrzelić.

Ten o byczym karku uśmiechnął się szeroko.

– Jeszcze raz przepraszam.

Odwrócił się i wybiegł. Cichą do tej pory kafejkę wypełnił momentalnie gwar podnieconych rozmów, barman krzyczał za mężczyzną, odgrażając się, że zaraz zadzwoni na policję.

Mila wyszła na ulicę. Mięśniak doganiał właśnie Howella niosącego laptopa. Obok blondyn prowadził chłopaka.

Spojrzała na kawiarenkę po drugiej stronie kanału, w której jeszcze niedawno siedzieli Sam z Nikiem.

Nie było ich tam już. Co teraz: iść za zbirami z Firmy czy szukać Sama? Młody Chińczyk mógł być powiązany z grupą człowieka z blizną i dobrze by było zobaczyć, co zrobią z nim ludzie z Firmy. Wygrzebała z torebki miniaturową słuchawkę, wsunęła ją z powrotem do ucha i zachowując bezpieczny dystans, ruszyła za Howellem i

jego ludźmi.

Nic kazał mi zająć miejsce z tyłu furgonetki i wyciągnął opaskę na oczy.

– Dopiero co mówiłeś, że powinniśmy sobie ufać – przypomniałem mu.

– Fakt, mówiłem. Ale nie mogę pozwolić, żebyś widział, dokąd i jaką trasą jedziemy. Nie musisz tego wiedzieć. W naszej grupie obowiązuje zasada, że każdy wie tylko tyle, ile musi.

Dobrze, niech się upaja świadomością, że w pełni kontroluje sytuację. Było mi to nawet na rękę. Pozwoliłem mu zawiązać sobie oczy.

– Muszę cię jeszcze przeszukać – powiedział i zrobił to, sumiennie. Obmacał mnie dokładnie od stóp do głów, jednak nadajnika pod kołnierzykiem koszuli nie znalazł. Nie pozbywając się go zawczasu, ryzykowałem życie, ale udało się. Skończywszy, zajął chyba miejsce za kierownicą, bo po chwili usłyszałem, jak uruchamia silnik. Ruszyliśmy, włączając się do ruchu.

– Jedziemy do Pieta? – spytałem.

– Tak.

Zachodziła obawa, że będzie tam również Jasmin i człowiek z blizną, a ten od razu by mnie rozpoznał; przygotowując się do uprowadzenia Lucy, z pewnością obserwował przez jakiś czas nasz dom i nie raz mnie widział. Nie uśmiechało mi się skończyć jak tamten Turek przywiązany do krzesła. Ale trudno, ryzyk-fizyk.

Jechaliśmy dosyć długo, często skręcając, z czego wnioskowałem, że Nic stara się zgubić ewentualny ogon. No i, rzecz jasna, zmylić mnie. Zastanawiałem się, czy Mila za nami jedzie. Miałem nadzieję, że zdołała się wymknąć Howellowi i Augustowi. Jeśli nie, byłem sam. Jak on, u licha, nas znalazł? Tak czy owak, Howell z Augustem byli w Amsterdamie, niewątpliwie zawitali tutaj z mojego powodu, i teraz przydybali hakera, który pewnie na polecenie Nica sprawdzał z kafejki internetowej moją przykrywkę Petera Samsona. A to by znaczyło, że Howell uchwycił koniec nitki prowadzącej do grupy Nica i tylko patrzeć, jak pogrzebie mój plan odnalezienia rodziny.

W trakcie realizacji każdego zadania przychodzi taki moment, kiedy człowiek mówi sobie: a chrzanić tam ostrożność. Nie jestem lekkomyślny. Nie jestem głupi. Ale bywają sytuacje, kiedy trzeba postawić wszystko na jedną kartę. Howell deptał mi po piętach, w związku z czym miałem teraz mniej czasu na odnalezienie człowieka z blizną.

– Podpowiem ci, jak to rozegrać – odezwał się zza kierownicy Nic. – Będzie tam Piet i jeszcze jeden taki. Mniejsza z tym, jak się nazywa. Nie musisz wiedzieć.

Uświadomiłem sobie, że wstrzymuję oddech.

– Rozumiem. – Oby ten jeszcze jeden taki był człowiekiem z blizną, pomyślałem. Oby, błagam.

– Opowiesz im ze szczegółami, jak zamierzasz ustanowić ten alternatywny szlak.

– I co będę z tego miał, kasę i stałą pracę?

– Tak. Ale chciałbym, żebyś w trakcie tej rozmowy podłożył Pietowi świnię. Powiesz szefowi Pieta, że znasz Pieta z mołdawskich operacji przemytniczych – że robiliście przerzuty tymi samymi kanałami. Że Piet sprowadzał nimi dziewczyny, niby to do pracy, brał pieniądze z góry, a potem je sprzedawał.

Żołądek podszedł mi do gardła.

– Piet handluje żywym towarem?

Nic wzruszył ramionami.

– Wszystkim, na co jest zbyt. Ściąga z Mołdawii kobiety, które sprzedaje potem do burdeli w Wielkiej Brytanii, Niemczech i Izraelu. Z Macedonii i Albanii dzieci na zamówienie włoskich bezdzietnych małżeństw. Z Chin masowo produkowane podróbki, którymi zalewa zachodnią Europę. Długo by wymieniać.

Furgonetka zatrzymała się, a ja poczułem falę mdłości. Smród benzyny, spalin, a w oddali szum drogi szybkiego ruchu.

– Jesteśmy na miejscu, Sam – oznajmił Nic. – Przedstawienie czas zacząć. Spisz się dobrze, a nie pożałujesz.



Już czwarty cios pięścią w twarz przyniósł pożądany skutek. Howell wiedział z doświadczenia, że komputerowych hakerów do wynajęcia łatwo złamać. Młody Chińczyk, absolwent wydziału informatyki Uniwersytetu Technicznego w Delft, jak wynikało z jego dokumentów, pękł i z podbitymi oczami, rozciętą wargą i naderwanym uchem wywrzeszczał adres. Pracujący nad Chińczykiem Van Vleck zrobił sobie przerwę, August sprawdzał już ten adres w smartfonie. Magazyn przy autostradzie A10, obwodnicy Amsterdamu.

– I kogo tam zastaniemy? – spytał Howell.

– Nica. Nica.

– Jakiego Nica?

– To facet, który mnie wynajął.

Następnie chłopak, przechodząc na mandaryński, wytrajkotał, że dla niego Howell jest złamanym kutasem, Howell dał mu po gębie i też w dialekcie mandaryńskim nazwał jego matkę przechodzoną kurwą i zakazał mu zwracania się do siebie w ten sposób. Studentowi szczęka opadła z wrażenia.

– A w jakim celu wynajął cię ten Nic?

– Mamy dojście do wymiany informacji o paszportach... między Ameryką Północną i Europą.

– I sprawdzałeś autentyczność paszportu oraz danych osobowych Petera Samsona?

– Tak. Żeby się upewnić, czy taki ktoś naprawdę

istnieje.

– Dla kogo pracuje Nic?

– Nie wiem. Chciał się upewnić, czy Samson naprawdę jest tym, za kogo się podaje. Werbował go.

– Do jakiej roboty? – warknął Howell i pochylając się nad zmaltretowaną twarzą chłopaka, poczuł w jego oddechu nieświeżą nutkę kawy z mlekiem.

Chińczyk zalał się łzami.

– Niczego więcej nie wiem. Przysięgam. Miałem tylko zweryfikować to, co tamten powiedział Nicowi. Czy naprawdę jest Kanadyjczykiem i naprawdę nazywa się Samson.

August dał znak Howellowi i wysiedli obaj z furgonetki.

– Jeśli Sam ryzykuje posłużenie się swoją dawną legendą, to znaczy, że próbuje zbliżyć się do tego Nica – powiedział August, kiedy odeszli na stosowną odległość.

– Może podąża jakimś tropem prowadzącym do porywaczy Lucy.

– Wkrótce się dowiemy. Na razie sprawdzimy ten adres.

– Nie lepiej wziąć najpierw ten magazyn pod obserwację?

– Sam Capra gdzieś tu jest, Auguście – wywarczał Howell. – Nie ma czasu do stracenia.

– To niezgodne ze standardową procedurą.

– Tak samo jak dokooptowanie do grupy poszukiwawczej jego przyjaciela – odparł Howell. –

Jedziesz z nami czy zostajesz, Holdwine?

August wsiadł z powrotem do furgonetki. Nie zauważył małego niebieskiego samochodu, który ruszył za nimi.

Nic wprowadził mnie do jakiegoś pomieszczenia i zdjął mi opaskę z oczu dopiero wtedy, kiedy z metalicznym pogłosem zatrzasnęły się za nami drzwi. Znajdowaliśmy się w starym warsztacie ślusarskim pełnym narzędzi do obróbki metalu.

Pod ścianami po obu stronach wejścia piętrzyły się jakieś pudła i palety. Czuję zapach curry i świeżo rozlanego piwa. Pośrodku pomieszczenia stał metalowy stół zarzucony papierzyskami. Przez zapyziałe, zakurzone szybki w oknach z trudem przesączało się światło dzienne.

Stałem między dwoma mężczyznami – bliźniakami. Jeden trzymał glocka, drugi karabin. Obaj mieli oczy bez wyrazu, rybie. Jeden był ogolony na łyso, drugiemu odrastała szczecina rudawych włosów. Okrutne uśmieški na wąskich wargach.

– To bliźniacy – powiedział Nic, tak jakbym już sam tego nie zauważył.

Bliźniacy obszukali mnie. Niczego nie znaleźli; oni też przeoczyli miniaturowy nadajnik wpięty w kołnierzyk koszuli.

Nie wypatrzyłem u żadnego z nich tatuażu Novem Soles, który nosił nasłany na mnie zabójca. Jeśli ich nie mieli, mogło to oznaczać, że zarówno Nic, jak i bliźniacy są po prostu najemnikami.

Za stołem siedział farbowany blondyn, którego

widziałem na wideo. Piet. Przemysłnik.

Był wyższy ode mnie, potężniej zbudowany. Sprawiał wrażenie takiego, który z upodobaniem wdaje się w bójki. Miał złamany nos i oczka jak dwie krople oleju. Chłodny i bezwzględny, z sadystycznym uśmiechem na wąskich wargach. Ten uśmiezek wielu nieszczęśników widziało pewnie w chwili śmierci. Facet należał do tych, którym okrucieństwo sprawia przyjemność.

I rzeczywiście, miał mały miecz. Wakizashi. Leżał na stole i połyskiwał w przytłumionym świetle.

Człowieka z blizną nigdzie nie widziałem. Uśmiechnąłem się do Pieta.

– Słyszałem, że potrafi nam pan pomóc, panie Samson.

– Potrafię.

Wstał i obszedł mnie wkoło. Nie wyglądałem chyba groźnie. Stare dzinsy, znoszone buty i stara szara kurtka. Mila kupiła mi ubranie w sklepie z używaną odzieżą i wycięła wszystkie metki. Wyglądałem w nim schludnie, ale nie za bogato. Wytrzymałem przez chwilę jego wzrok, potem spuściłem oczy. Niech myśl, że jest tu samcem alfa.

– Więc tak. Mam do przetrzucenia do Stanów pięćdziesiąt paczek. Nie mogą zostać odkryte; nie mogą zostać przechwycone. Muszą się znaleźć na miejscu w ciągu dziesięciu dni. I to w komplecie; nie wolno ich w transporcie rozdzielać. Jakbyś tego dokonał?

– Jak duże są te paczki?

– Niecały metr szerokości, metr długości.

I pięćdziesiąt takich? Okay.

– Ciężkie?

– Nie. Pięć kilo sztuka.

– Chyba zadeklarowałbym je jako wyroby ze szkła ołowiowego z Polski. I dał na pudłach naklejkę z zastrzeżeniem, że zawierają łatwo tłukące się artykuły. To tłumaczyłoby niską wagę. Albo jako mrożone ryby. – Wzruszyłem ramionami. – O ile ten towar może podróżować bez szkody obłożony lodem. – Był to w szmuglerskim fachu chwyt standardowy. – Albo jako elektronikę z Finlandii. Wysyłają stamtąd tony telefonów komórkowych i akcesoriów do nich. Jeśli towar ma coś wspólnego z elektroniką, łatwiej byłoby go pod tą przykrywką przepchnąć przez kontrolę z prześwietleniem promieniami rentgenowskimi.

– Wolałbym, żeby to nie było prześwietlane.

– Mam w Rotterdamie znajomego, który może dopilnować, żeby kontener nie poszedł do kontroli. – Kłamałem, ale mniejsza z tym.

– A amerykańskie służby celne?

– Mam znajomka na cle w Nowym Jorku. Ma aktualnie troje dzieci w college'u i szkole średniej, no i krucho u niego z forszą. Jest raczej otwarty na propozycje z mojej strony.

– A jak zdobyłbyś stosowną dokumentację eksportową, opakowania i manifest od legalnego

producenta? – spytał Piet.

– Zanim zdradzę wszystkie swoje zawodowe sekrety, chciałbym najpierw zobaczyć pieniądze – odparłem.

Piet przyglądał mi się przez chwilę.

– Co cię sprowadziło do Amsterdamu?

– Potrzeba odmiany.

– Gdzie wcześniej działałeś?

– Praga i Chorwacja. Tam się zaczęłam po odejściu z wojska. I spodobało mi się. – Zerknąłem na Nica i z powrotem na Pieta. – Co jest w tych paczkach?

– Nie musisz wiedzieć.

– A gdzie Edward? – wtrącił się ni stąd, ni zowąd Nic. Mimo wszystko mój występ miał przekonać szefa Pieta, że Pietowi nie można ufać, że więcej z niego szkody niż pożytku, a wyglądało na to, że Piet jest tutaj sam. Nie miałem już większych wątpliwości, że ten Edward to mój człowiek z blizną na skroni, ten, który uprowadził Lucy.

– Nie ma go tu – burknął Piet. – Mnie powierzył ocenę tego człowieka.

– Ten człowiek wczoraj, w barowej bójce, bronił własnymi pięściami twojego dobrego imienia – powiedziałem – a nawet nie wiem, kim jesteś.

– O, ciekawe. Dzięki za wstawiennictwo. Ale w bezinteresowność nie wierzę.

– Szukałem cię – powiedziałem.

– Ten Turek też – mruknął.

– Ach, ta popularność. Ale tak naprawdę zacząłem cię

szukać dopiero wtedy, kiedy usłyszałem, jak ten Turek wysuwa pogrożki pod twoim adresem. Zwietryłem w tym swoją szansę. Liczę jednak na to, że nie masz wokół siebie więcej takich pieniaczy.

Piet zerknął na Nica, potem przeniósł wzrok z powrotem na mnie.

– Chętnie posłucham, co ten turecki obywatel wczoraj tam wygadywał.

– Rozmawiał w barze ze swoimi koleśkami jeszcze przed pojawieniem się Nica.

– Znasz turecki?

– Jako tako. Szmuglowałem kiedyś towar do Stambułu. Głównie nadwyżki dostaw rosyjskiej amunicji idące do Afryki. Turek opowiadał, jak to zorganizował dla ciebie kanał przerzutowy do Ameryki. Ale nie udostępni ci go, dopóki nie wydasz mu jakiejś kobiety, którą podobno przetrzymujesz. – Wykładając na stół tę kartę, obserwowałem jego twarz.

– Jakiejś kobiety – powtórzył za mną Piet.

– Tak. Jakiejś Jasmin czy coś w tym stylu. – Wzruszyłem ramionami. – Nie wiem, czy dobrze usłyszałem.

Powieka mu nawet nie drgnęła. Ale dłonie zwinęły się w pięści, rozprostowały, jedna zaczęła sunąć w kierunku wakizashi, ale zaraz z powrotem zacisnęła się w pięść.

– I to wszystko?

– Tak.



– I na tej podstawie uznałeś, że trzeba bronić mojego imienia? – Roześmiał się.

– Nie. Pomyślałem, że pewnie nie chciałbyś, żeby rozłożył ci interes. Od jakiegoś czasu szukam pracy. Kiedy to usłyszałem, zdałem sobie sprawę, że to może być dla mnie szansa. – Wzruszyłem ramionami. – Mogę ci zorganizować inny szlak przerzutowy do Ameryki.

– Ale my nic o tobie nie wiemy.

– Chcesz rekomendacji? Zapytaj o mnie Pietrową z Kijowa. Zapytaj Djukiego z Aten. – Rzuciłem dwa nazwiska przemytników, jakie pierwsze przyszły mi na myśl.

– Pietrowa nie żyje – powiedział Piet.

– Nie wiedziałem.

– W zeszłym miesiącu zastrzelił ją konkurent.

– O kurczę. Chyba za późno na wysłanie kwiatów.

Piet uśmiechnął się.

– Djuki od paru miesięcy nie daje znaku życia.

– Pewnie się ukrywa. – Zdawałem sobie sprawę, że znajomość tych nazwisk nie jest żadną rekomendacją. – Albo wyjechał do Chin nadzorować jakiś przerzut podróbek Gucciego czy Ralpa Laurena.

– Wolałbym wynająć jego niż ciebie. Jego przynajmniej znam – powiedział Piet. – Możesz przecież pracować dla tych samych co Turek.

– Teoretycznie.

– Przy czym pracowałeś z Djukim?

– Dostawa dziewczyn z Mołdawii i Ukrainy do

Izraela, Edynburga i do Toronto. Samodzielnie przerzucałem broń z Albanii i Uzbekistanu do Meksyku. A z Chin fałszowane papierosy i oprogramowanie Windows do Kanady i USA, głównie do Houston i Nowego Jorku.

Uniósł brew.

– Robiłeś z Djukim w dziewczynkach?

– Tak. Dwa razy. Poszukaj go w Chinach i zapytaj o mnie. – Wzruszyłem ramionami. Djuki się nie ukrywał; nie żył. Był greckim przemytnikiem odwróconym przez Firmę, za okazałą sumę oraz immunitet zdradził swoje szlaki przerzutowe i metodologię działania, a potem, już jako informator Firmy, wrócił do szmuglerki i został zastrzelony. Djuki był mendą. Spotkałem go raz czy dwa i Firma upoważniła mnie do rozpuszczenia pogłoski, że wyjechał do Chin ubijać interesy od tamtej strony.

– Gdzie ma bliźnę? – spytał Piet.

Zatkało mnie.

Otrząsnąłem się szybko z szoku.

– Którą, bo jest w czym wybierać?

– Tę najbardziej wstydliwą.

Przełknąłem, usiłując przywołać z pamięci zdjęcia z opasłych akt szmuglera. Nie na twarzy. Nie na piersi. I nagle uśmiechnąłem się, przypominając sobie, co słyszałem od Brandona, mojego szefa z londyńskiego biura.

– Chodzi ci pewnie o tę na dupie – powiedziałem. – Przyjaciółka mu ją przecięła nożem kuchennym. Szkoda, że nie miała twojego wakizashi.

Uśmiechnął się, słysząc z moich ust tę japońską nazwę.

– A dlaczego to zrobiła?

– Gwałcił dziewczyny, które dostarczał do Izraela i Dubaju – odparłem. – Łamał je przed przekazaniem klientom. – Skrzywiłem się z odrazą, to było silniejsze ode mnie. Większość tych dziewcząt pochodziła z byłych republik Związku Radzieckiego, szukały rozpaczliwie pracy; obiecywano im posady kelnerek albo sekretarek; a przed przekazaniem nowym alfonsom łamano, gwałcąc brutalnie i szprycując heroiną. – Jego dziewczynie to się nie podobało. Miał szczęście, że dobrała mu się do dupy, a nie do jaj.

– A skąd wiesz o tej bliźnie?

Widziałem ją, rzecz jasna, w jego aktach. Miałem

nadzieję, że Djuki zgodnie z prawdą wyjaśnił jej pochodzenie. Jeśli nie, już nie żyłem; Piet ukatrupiłby mnie na miejscu, gdybym nie zdążył zabić go pierwszy.

– Niczego go nie nauczyła, dalej łamał dziewczyny, kiedy zaszła taka potrzeba. Widziałem tę bliznę przy jednej z takich okazji.

Piet ledwie zauważalnie kiwnął głową. Byłem przyjęty, przynajmniej na razie. Uwiarygodniła mnie blizna na zadku notorycznego gwałciciela.

– Zabieraj się do roboty – powiedział. – Towar będzie tutaj za dwa dni. Zorganizujesz odbiór, przepakujesz go do wysyłki do Ameryki, a potem przepchniesz w Rotterdamie przez kontrolę celną i załadujesz na statek. Dostaniesz za to pięćdziesiąt tysięcy euro. Gdybyś potrzebował pomocy w podrabianiu dokumentów, to mój szef Edward jest w tym ekspertem.

Przepakować do wysyłki. To jest to. Będzie mi potrzebna pomoc, oj, będzie. I to całego gangu.

I przy tej operacji zgarnę ich wszystkich, uwolnię Jasmin i wycisnę prawdę z człowieka z blizną. A to mi się trafiło!

Ukryłem swoją euforię, unosząc ręce.

– Chwila, moment. Turka spławiliście, tak? Nie wchodzę na pokład, jeśli zachodzi obawa, że z zemsty was podkablują.

– Z nim już sprawa załatwiona – odezwał się jeden z bliźniaków, ten ogolony na łyso.

– Aha – mruknąłem.

– Ten Turek to były agent MIT – powiedział Piet. MIT to Milli Istihbarat Teşkilati, taka turecka CIA. – Wyleciał stamtąd za rozmaite przekręty. Próbował do mnie dotrzeć poprzez grupę osiadłych tutaj Turków; z tymi ludźmi nie chcę mieć już do czynienia.

Czyli Turek był kimś takim jak ja; Bahjat Zaid znalazł jeszcze jednego wyrzutka służb specjalnych i podobnie jak mnie zlecił mu ratowanie swojej córki.

– O mnie możesz być spokojny.

– Nie obłaskawiłbyś jakiejś dziewczynki, Samson? – spytał Piet, zerkając na bliźniaków.

– Że co proszę?

Wskazał ruchem głowy na drzwi.

– Mam tu osiem babeczek czekających na transport do Nigerii i Izraela. Dwie nawet na herze jeszcze się stawiają. Trzeba je ujeździć. – Kolejny test; jeśli jestem doświadczonym handlarzem żywym towarem, nie powinienem mieć nic przeciwko zgwałceniu.

– Wybierz sobie którąś i przeleć ją – ciągnął Piet.

– Nam to obiecałeś – obruszył się łysy bliźniak. – Dlaczego on ma być pierwszy?

Przełknąłem ślinę.

– Dużo kobiet przerzucacie? – spytałem.

– To moje podstawowe źródło dochodu. Głównie z Mołdawii. Ale też z Rosji i krajów bałtyckich. Będzie tego ze trzydzieści miesięcznie. Zazwyczaj na specjalne zamówienia. Największe jest zapotrzebowanie na małolatki; nie daję rady nastarczyć. Chodź zobaczyć.

Zerknąłem na Nica handlującego dziecięcą pornografią. Pewnie też na specjalne zamówienia. Witaj w świecie spersonifikowanego ludzkiego cierpienia.

Poszedłem za Pietem krótkim korytarzem, za nami postępowali bliźniacy i Nic. W powietrzu unosił się smród gnijących owoców, przypalonego steku i potu.

Piet otworzył drzwi skąpo oświetlonego pomieszczenia na końcu korytarza, drzwi do przedpiekła. Pod ścianą zobaczyłem osiem kobiet. Wszystkie miały skute nadgarstki i kostki, łańcuchy od kajdan przypięte były do kotw wystających z betonowej podłogi. Siedziały skulone w brudnych, porwanych bluzkach i koszulkach. Spódnic, dżinsów ani majtek na sobie nie miały, odarto je z godności. Posiniaczone, załzawione, apatyczne twarze istot, które przeżyły horror. Krew uderzyła mi do głowy, pociemniało w oczach.

Ale gdybym zabił teraz Pieta i Nica, straciłbym szansę dotarcia do Edwarda, odnalezienia Lucy i dziecka.

Nie mogłem jednak tak tego zostawić. Trzeba przepisać na nowo scenariusz, postanowiłem. Niech Mila wie, jaki horror tu się rozgrywa.

– Handlujesz kobietami, jak widzę – powiedziałem głośno i wyraźnie.

Piet spojrzał na mnie jak na kogoś niespełna rozumu. Przecież mi to przed chwilą powiedział. Miałem nadzieję, że Mila jest w zasięgu, że słucha. Mogłaby uwolnić te kobiety, kiedy my opuścimy warsztat ślusarski.

– Którą chcesz? Tę rudą?

Cztery straszne słowa. Rudowłosa dziewczyna wyglądała na jakieś siedemnaście lat, wargi jej drżały ze strachu.

– Tylko nie bij po twarzy ani po cyckach – poradził mi jeden z bliźniaków. – Jak się będzie stawiała, to lej po udach, od tyłu, tam nikt nie patrzy.

– Nie – mruknąłem. – Nie, ja dziękuję.

– No, co z tobą? To istne pączuszki. Skonsumuj jednego. – Piet roześmiał się. – Wybierz którąś, przelecimy ją na spólkę. Przypieczętujemy naszą przyjaźń. I nie pokancerują nam za to tyłków, jak durnemu Djukiemu, nie? – Roześmiał się i kobiety zadygotały. Wolałem nie myśleć, co już z nimi robił i co jeszcze zrobi, jeśli zostawię je w jego łapskach. Pochylił się i dźgnął pierwszą z brzegu czubkiem wakizashi. Kobieta zanosła się płaczem.

Patrzyłem z góry na kark Pieta i miałem ochotę mu go skrócić.

Stojący w otwartych drzwiach Nic obserwował moje reakcje na ten nieludzki test.

– Jestem biznesmenem – powiedziałem. – Nie mam w zwyczaju napoczynać towaru. To dobre dla mięśniaków.

– Tak? – Pietowi nie spodobała się moja odpowiedź. Implikowała, że jest mięśniakiem, nie szefem. Widziałem, jak w jego oczach rodzi się wściekłość. Odstąpił od przerażonej kobiety, głownia miecza załśniła w przytłumionym świetle sączącym się z korytarza.

– Mówisz poważnie? – ciągnąłem. – To ma być jakiś sprawdzian? Na to, czy potrafię złamać dziewczynę?

Piet mlasnął.

Jedna z dziewcząt – ta ruda – podniosła na mnie wzrok. Mówiłem po angielsku i może zrozumiała.

– Nie wkurzaj go taką gadką – podszeptał mi zza pleców Nic. – No, co z tobą?

Obejrzałem się na niego przez ramię.

Na razie byłem tylko nowym, nowo przyjętym. Ale to nie wystarczało. Musieli mnie w pełni zaakceptować. Zerknąłem jeszcze raz na Nica. Kamienna twarz. Nic ze swoimi planami zdrady był nieprzewidywalny. Teraz, kiedy nawiązałem już kontakt z Pietem, nie był mi już do niczego potrzebny.

Posłałem mu pożegnalny uśmiech. Zdradzał swoich przyjaciół, wykorzystywał dzieci... Niech idzie do diabła.



– Wejdę w to – zwróciłem się do Pieta – ale na moich warunkach. – I kopnąłem Nica z półobrotu w twarz. Osunął się na ziemię. Drugi, mierzony kopniak w krtań. Nie za mocny, żeby nie wyzionął ducha, a tylko stracił głos.

Nogę miałem jeszcze w powietrzu, kiedy w rękę Pieta pojawił się pistolet. Dobrze wiedzieć, że oprócz tego szpanerskiego miecza ma jeszcze jakąś broń. Kobiety zapiszczały, wtuliły się w ścianę; podniosłem rękę.

– Z nim masz problem. Nie ze mną. – Trąciłem czubkiem buta rozciągniętego na posadzce Nica, który łapał z trudem powietrze i nieprzytomnie mrugał oczami. – Kopał pod tobą dołki. Chce cię wygryźć i zająć twoje miejsce.

– Wychodzimy. – Piet wskazał pistoletem Nica i wrzasnął na piszczące kobiety, żeby się zamknęły. Ucichły i zapłakane pociągały tylko nosami. Podniosłem Nica i słaniającego się na nogach wypchnąłem na korytarz. Za nami wyszli bliźniacy i Piet, który zatrzaskał drzwi i przekręcił klucz w zamku. Tylko przez pięć sekund byłem z Nikiem sam na sam w korytarzu, ale tyle mi wystarczyło.

– O co, u diabła, chodzi? – warknął Piet.

– On ci robi koło pióra – powiedziałem. – Lepiej go sprawdź.

Nic wyjęczał coś przez rozkwaszone wargi i wybite

zęby, odzyskiwał przytomność. Piet obalił go na podłogę, usiadł na nim okrakiem i przystawił lufę pistoletu do czoła.

– Namawiał mnie, żebym oczernił cię przed Edwardem. Powiedział mu, że podkradałeś dziewczyny z transportów i odsprzedawałeś je innemu klientowi. – Mówiłem to beznamiętnie, patrząc prosto w rozszerzone przerażeniem oczy Nica. Przychodziło mi to bez trudu, bo mówiłem prawdę. Zawsze łatwiej mówić prawdę, niż łągać. – Chciał cię wysadzić z siodła i zająć twoje miejsce. Pracuje dla kogoś, kto chce przejąć twój interes.

Piet, nie odrywając lufy od czoła zakrwawionego, leżącego bez ruchu Nica, przeszukał mu wolną ręką kieszenie, obmacał pod kurtką.

Potem wstał i opuścił pistolet. Myślałem już, że ją przeoczył, ale nie – trzymał w palcach małą rurkę. Pokazał ją Nicowi. Ten zamrugął.

– Co to jest? – spytał Piet szeptem, który zabrzmiał jak szmer grudy ziemi spadającej na wieko trumny.

– Nie wiem, to nie moje – wybełkotał Nic. – On kłamie, Piet. Komu uwierzysz, jemu czy mnie? Znasz mnie przecież.

– Oj, znam cię, znam, Nic. – Piet oglądał miniaturowy nadajniczek Mili. Spróbował przełamać go kciukiem, bez powodzenia. Wyjął z kieszeni scyzoryk, podważył ostrzem mikrofon i oddzielił go ostrożnie od reszty urządzenia. Miałem kilka sekund na wsunięcie nadajnika Nicowi do kieszeni. Pozbawiałem się tym

samym jedyne łączy z Milą, ale innego wyjścia nie widziałem. Jeśli Howell ze swoimi ludźmi nie dopadli Mili i ta po naszym odjeździe uwolni nieszczęsne kobiety, cała wina spadnie na Nica. Serce waliło mi jak młot.

Nie spuszczałem wzroku z twarzy Pieta oglądającego aparacik.

– Jasna cholera – mruknął. – To mi wygląda na jakiś szpiegowski gadżet. Dla kogo pracujesz, Nic?

– Dla nikogo... dla ciebie. On łże jak pies. Znasz mnie, a jego nie.

– Tak, a ty od tygodni patrzysz na mnie wilkiem – powiedział Piet. – Myślisz, że nie mam oczu? Zawsze zadzierałeś przy mnie nosa. Dla kogo pracujesz? Wstawaj!

Nic pozbierał się z podłogi. Oczy pociemniały mu z wściekłości, pojawił się w nich strach osaczonego zwierzęcia.

– Pracuję tylko dla ciebie i Edwarda. Dla nikogo więcej. To on mi to podrzucił. Wrobił mnie. A teraz ci wciska ciemnotę.

Pokręciłem głową. Ale Piet jakby mu uwierzył i skierował na mnie pistolet.

– No to chyba trzeba będzie to rozsądzić.

– Wezwać posiłki? – zwrócił się August do Howella. Siedzieli w furgonetce pół przecznicy od adresu podanego przez Chińczyka. Był to chyba opuszczony kompleks szarych przemysłowych zabudowań. Na parkingu przed bramą wjazdową stały tylko dwa samochody.

– Strach cię obleciał? – warknął Howell. – Coś takiego!

– Ostrożności nigdy za wiele – wymruczał August. – Po co on ma zginąć, skoro jest dla nas bardziej użyteczny żywy.

– Ja bym się nie obcyndalał i od razu tam wparował – odezwał się Van Vleck. – Żywego ducha, znaczy świadków, jak okiem sięgnąć.

– Co nagle, to po diable – odburknął Howell. – Lepiej nie ściągać na siebie uwagi władz holenderskich. Co mamy na wyposażeniu?

– Cztery karabiny, kamizelki kuloodporne, gogle noktowizyjne. – August spojrzał na niego spode łba. – Ale nas jest tylko trzech.

– Potrafię liczyć, agencie Holdwine.

– Z całym szacunkiem, ale moim zdaniem nie zaszkodziłoby poprosić o wsparcie. – August zerknął na Van Vlecka. – Capra to wyszkolony zawodnik. O tym drugim nic nie wiemy. Jak już wchodzić, to w przeważającej sile.

– Widzę tu dwa pojazdy. Furgonetkę, którą

przyjechał Capra z tym drugim. I osobowy. Nie natkniemy się chyba w środku na całą armię. – Howell uśmiechnął się. – Idziemy, panowie. Ten Capra dosyć mi już krwi napsuł, trzeba zrobić z nim porządek.

Van Vleck i Howell zaczęli nakładać kamizelki kuloodporne.

– Dawać tu tego młodego – warknął Howell, pokazując na chińskiego hakera. – Będzie jak znalazł.

Mila zaparkowała pod małą kawiarenką, kilka przecznic od magazynu. Zamknęła na chwilę oczy i palcem wskazującym wcisnęła głębiej w ucho słuchawkę. Słyszała dosyć dobrze wymianę zdań między Samem i Pietem, słyszała złożoną Samowi propozycję zgwałcenia jednej z dziewcząt. Oddychała spokojnie, ale wewnątrz się gotowała.

W każdej kieszeni czarnego trenczu narzuconego na kostium miała pistolet, arsenał uzupełniała rozkładana pałka. Ta pałka była jej ulubioną bronią, już sobie wyobrażała, jak tłucze nią do utraty przytomności Pieta i Nica. Do magazynu doszła piechotą.

Słyszała, jak Sam doradza przeszukanie Nica, jak Piet znajduje mikronadajnik i demontuje mikrofon. Przyklasnęła w duchu inwencji Sama. Gorzej, że tracili tę ostatnią namiastkę łączności.

Tylko że Howell, wkraczając tam teraz, wszystko by zepsuł, zniweczył próbę przeniknięcia do grupy.

Mila obserwowała zza węgła furgonetkę. Tylne drzwi otworzyły się, wypchnięto przez nie zatrzymanego Chińczyka. Miał skute ręce, twarz posiniaczoną, z nosa ciekła mu krew. Za nim z samochodu wyskoczyli dwaj dobrze zbudowani mężczyźni. Na końcu Howell. Wszyscy w pełnym rynsztunku.

Zatrzymali się przed bramą. Chińczyk, kręcąc głową, wystukał trzęsącą się ręką kod na panelu bramofonu.

Weszli. Mila podbiegła do furgonetki, wsunęła się pod nią i leżała, odliczając i obserwując bramę. Tylko od jej precyzji zależało, czy Sam przeżyje.

– To on czy ja? – spytałem. Nicowi z wrażenia mowę odebrało.

– Nie wiem, może obaj? – mruknął Piet. – Niepotrzebne mi kłopoty.

– Ale wciąż potrzebna ci pomoc – zauważyłem. – Nawet ze mną nie pogadasz? Nic uważa cię za szajbusa. Wiesz, że pokpiwa sobie z twojego mieczyka?

Pietowi drgnął kącik ust. Musiał zauważyć, że od jakiegoś czasu Nic odnosi się do niego ze wzgardą.

– Zgadza się – warknął. – Trzymaj.

I wręczył mi pistolet.

– Rozwał go.

Ostatnia próba. Gdybym był gliną albo wtyką, nie zastrzeliłbym bezbronnego człowieka. To granica, której nie przekroczy nikt, komu pozostały jeszcze resztki sumienia.

A czy mnie coś z niego pozostało? Uniosłem pistolet; w głowie mętlik – Lucy, Pociecha i ten nieszczęśnik, który pomagał porywać i dręczyć kobiety, wysyłać je w niewolę. Który szmuglował broń. Włamywał się do rządowych baz danych i wykradał z nich ważne informacje. Handlował zdjęciami gwałconych i molestowanych dzieci.

A ja czym byłem – jednoosobowym sądem?

Tak, chyba tak.

Albo on, albo ja. A ze mną moja rodzina.



Nacisnąłem spust.

Pocisk trafił Nica w pierś i odrzucił w tył. Kiepski strzał. Nie uśmiercił go od razu. Sorry, Nic. Patrzył na mnie z nienawiścią, świdrującym wzrokiem człowieka w agonii. Nacisnąłem spust jeszcze raz i z jego twarzy znikł wszelki wyraz.

Nie zobaczę jej więcej, chyba że w sennych koszmarach.

Wyciągnąłem ze spodni kawałek koszuli, wytarłem z glocka odciski palców i oddałem go Pietowi. Ręka mi nawet nie zadrżała. I przez chwilę miałem wrażenie, że to wszystko wydarzyło się w jakimś równoległym świecie, z którym ja nie mam nic wspólnego.

– No – mruknął Piet w ciszy, jaka zapadła, spoglądając na trupa Nica.

– Właśnie, no – podchwyciłem. No. I kim się teraz stałem?

– Bierzmy się do roboty. – Pokazał na towar. – Podobają mi się twoje pomysły, ale ładunek na zmyłkę już mam. Utwierdziłeś mnie tylko w przekonaniu, że tak będzie najlepiej.

Obejrzałem pudła. Podróbki papierosów.

– Wysyłasz swój bombowy, ściśle tajny towar ukryty w nielegalnych papierosach, które w Stanach sprzedasz i podwoisz zysk. Dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Staram się, jak mogę.

Piet był cwańszy, niż na to wyglądał. Pokazał na pudła.

– To warte jakiś milion euro.

Spojrzałem na rozczłonkowany, zniszczony nadajnik.

– Módl się lepiej, żeby to coś nie zawierało lokalizatora. Bo inaczej ci, dla których pracowałem, zaniepokojeni utratą łączności, zaraz tu będą, trafią jak po sznurku.

– I dlatego przenosimy teraz cały ten kram. Dziewczynki, szlugi... – Odwrócił się do bliźniaków i wydał im po holendersku serię poleceń.

Jak pomóc tym kobietom, nie odkrywając się? Myślałem intensywnie, ale nic nie przychodziło mi na razie do głowy.

Dał się słyszeć cichy gong. To otworzyły się drzwi frontowe. Nie widziałem ich z miejsca, w którym stałem: zasłaniały je stosy kartonów z nielegalnymi papierosami.

Przemknęło mi przez myśl, że to Mila.

– Spodziewasz się kogoś? – spytałem szeptem.

– Nie – odszepnął Piet.

Przywarliśmy do ściany. Pudła zasłaniały nam widok. Piet dał znak bliźniakom i ci zajęli stanowiska przed nami, bliżej drzwi.

W moim polu widzenia pojawiła się jakaś postać. To nie była Mila. W naszą stronę szedł chudy młody Azjata w źle dopasowanej kamizelce kuloodpornej i workowatych dżinsach. Kosmyki gęstych czarnych włosów pozlepiane skrzepniętą krwią sterczały mu z boku głowy niczym kępa małych wykrzykników.

– To haker, pracuje dla Nica – szepnął Piet i wycofał

się do stołu.

Chłopak zatoczył się, był wyraźnie poturbowany, musiał solidnie oberwać.

– Ej, a ty tu czego?! – zawołał jeden z bliźniaków, ten łysy.

Odpowiedzią był świst pocisku i łysol z przebitą krtanią osunął się na posadzkę. Jego brat wydał dziki skowyt i zaczął walić z karabinu na oślepo po pudłach z papierosami. W powietrzu zatańczyły tumany brązowego pyłu; tytoń z szatkowanymi pociskami papierosów eksplodował miniaturowymi chmurami.

Ktoś ukryty za pudłami przy wejściu strzelał do opraw oświetleniowych. Azjata rzucił się z wrzaskiem do ucieczki, ale zaraz dostał kulkę i upadł.

Chaos. Pogłębiające się ciemności. Nie mogłem im pozwolić na odpowiadanie ogniem – tam mogła być Mila. Piet wbiegał właśnie w przejście między rzędami pudeł. Pognałem za nim.

*Ping.* W drobny mak poszedł kolejny klosz razem z żarówką. Paliła się jeszcze tylko jedna, ta nad metalowym stołem.

Zobaczyłem wyłaniającą się z mroku postać, mierzącą do drugiego bliźniaka. Ciemnowłosa mężczyzna. Piet strzelił do niego, zanim zdążyłem zareagować. Mężczyzna upadł, klnąc po angielsku i biorąc na muszkę Pieta. Przebiegając obok Pieta, pociągnąłem go za sobą, usuwając z linii strzału.

– Co jest, do kurwy nędzy... – wykrztusił Piet.

– To na pewno policja – szepnąłem mu do ucha. – Od kogo innego Nic mógłby dostać taki aparacik? Spierdalamy.

I popędziliśmy przez labirynt rozrywanych pociskami kartonowych pudeł.

Usłyszałem brzęk metalu spadającego na beton i zaraz potem ogłuszająca eksplozja rozniosła na strzępy najwyższy stos pudeł z papierosami. Buchnął płomień; zapaliły się fruujące w powietrzu kawałki tektury, połamane papierosy i kruszący się z nich tytoń, którego słodkawy, gorący zapach błyskawicznie wypełnił pomieszczenie. Huk eksplozji niemal mnie ogłuszył. Piet odpowiedział ogniem; poprzez kłęby dymu widziałem, jak bierze na cel jakiegoś mężczyznę.

August. Firma tu była.

Chwyciłem Pieta za rękę w momencie, kiedy ponownie naciskał spust. Pocisk utkwiał w suficie, a August dał nura za rdzewiejącą tokarkę. Nie zauważył mnie.

– Co u...

– Chodu, nic tu po nas! – Pchnąłem Pieta w stronę wyjścia. Sam zawróciłem, przeskoczyłem przez tokarkę i wyrznąłem obunóż w bok głowy próbującego wstawać Augusta. Rozciągnął się jak długi na posadzce. Chyba nie zdążył mnie rozpoznać. Musiałem rozegrać to tak, żebym nie musiał go zabijać. Wyrwałem mu pistolet z dłoni.

Nadbiegał pozostały przy życiu bliźniak. Myślał, że zaraz strzelę Augustowi w głowę, a ja uniosłem odebrany Augustowi pistolet i strzeliłem bliźniakowi między oczy. Padł jak ścięty.

Rzuciłem się do ucieczki.

Gdybym dał się teraz dopaść Howellowi, byłoby po mnie. Spędziłbym resztę życia w więzieniu. Nie zdołałbym udowodnić, że pracowałem dla tajemniczych mocodawców Mili, że próbowałem przeniknąć do wewnętrznych struktur grupy przestępczej. Zostałbym potraktowany jako zgorzkniały eksagent zadający się z handlarzami żywym towarem. Znikłbym z powrotem w kamiennych murach Howellowego więzienia. Albo zginął i został pochowany bez żadnych ceremonii gdzieś pod murem cmentarza, jako NN. Wszyscy ci, którzy uważali mnie za zdrajcę, byłiby usatysfakcjonowani.

Usłyszałem zza tokarki wściekły ryk Howella.

Przeskoczyłem przez trupa Nica i minąłem Pieta osłaniającego mnie ogniem z pistoletu. Howell zamknął się, zanurkował z powrotem za tokarkę i odpowiedział ogniem, a potem, kiedy Pietowi skończyła się amunicja i zmieniał magazynek, padły strzały od strony drzwi frontowych.

Ktoś grzał do Howella z drugiej strony.

Howell odwrócił się i też zaczął strzelać. Z korytarza, zza stalowych drzwi, dolatywały krzyk i szloch przerażonych kobiet.

Chwyciłem Pieta za łokieć.

– Spadamy!

– Nie. Nie zostawię tutaj tych dziwek.

– Nie są warte twojej wolności. Nie warto ryzykować.

Z ociąganiem, ale posłuchał.

Wybiegliśmy z magazynu tylnym wyjściem w szary, pochmurny dzień. Stała tam furgonetka Volvo.

Piet wyszarpnął z kieszeni pilota. Samochód zamrugał porozumiewawczo światłami; kliknęły odblokowujące się zamki. Wskoczyliśmy, Piet wetknął kluczyk w stacyjkę i wrzucił wsteczny. Ruszyliśmy z kopyta do tyłu.

Chwilę potem z magazynu wypadł za nami Howell.

Na mój widok się skrzywił. Popełnił błąd, obdarzając mnie zaufaniem. Byłem jednak zdrajcą. Kryminalistą.

Teraz to widział.

Piet skręcił kierownicę, znikliśmy im z oczu za węglem budynku.

– Zarządzą blokadę dróg! – wrzasnąłem.

Wrzucił bez słowa jedynekę, wcisnął gaz do dechy i wyprysnęliśmy przez bramę na ulicę.

– Odjedziemy kawałek i zmieniamy brykę – rzucił. – Wysadzimy kogoś z wozu. Tu niedaleko jest szkoła, matka nie będzie się z nami handryczyć.

– Ale zobaczy nasze twarze.

– Jakaś kulka chyba ci jeszcze została?

– Załatwmy to bez fajerwerków. Nie ma wozu, którego nie potrafiłbym odpalić na styk.

– To za długo trwa. – Sfrustrowany rąbnął pięścią w kierownicę. – Szlag mnie trafia, jak pomyślę, że mi te kurewki przepadły.

Ja o więzione kobiety już się nie martwiłem; Howell się nimi zajmie. Teraz najważniejsze to wyperswadować

Pietowi pomysł zdobywania samochodu po trupach.

– To nie byli gliniarze – powiedziałem. – Policja jeszcze przed przystąpieniem do akcji zablokowałaby bramę, a ci tego nie zrobili. Dla kogo, u diabła, pracował Nic?

Piet nie odpowiadał.

– Dla konkurencji? – podsunąłem.

– Konkurencji? – burknął Piet. – Masz na myśli innych przemytników?

– Albo ludzi, dla których pracował Turek – powiedziałem. Ciekaw byłem, czy Piet wymieni teraz nazwisko Bahjata Zaida.

– Tak, trzeba to będzie wyjaśnić.

Skręcił na wybetonowany parking przed innym magazynem i rozejrzał się. Jego mina sugerowała, że szuka ofiary, na której mógłby wyładować swoją wściekłość.

Zatrzymał wzrok na młodym człowieku taszczącym jakieś pudło w kierunku mercedesa zaparkowanego w pewnym oddaleniu od innych samochodów.

– Jest. Tego bierzemy.

– Nie będę mordował kogoś za samochód, Piet. To bez sensu.

– Nie mów mi, co ma sens, a co nie – warknął.

– Ja cię nie pouczam. Ale zabija się tylko wtedy, kiedy nie da się inaczej. – I to była prawda. – W tym wypadku nie ma takiej potrzeby.

Poczerwieniał na twarzy. Nie lubił pouczania.



– Samochód biorę na siebie. Bez mokrej roboty. Ty tu czekaj. I staraj się, żeby nie zobaczył twojej twarzy.

– Twoją zobaczy. Jak zobaczy, zabij.

– Nie zobaczy. – Wyskoczyłem z furgonetki, zatrzasnąłem drzwiczki, dogoniłem faceta, chudego okularnika, i wymierzyłem mu precyzyjny cios kantem dłoni w kark. Nie zdążył się nawet obejrzeć. Nogi się pod nim ugięły. Podtrzymałem go, odciągnąłem na wąski trawnik na skraju parkingu i ułożyłem delikatnie przed maskami stojących tam samochodów. Oddychał miarowo.

Wygrzebałem z jego kieszeni kluczyki do mercedesa. Piet wyskoczył już z furgonetki i biegł w moim kierunku z karabinem w rękach. Otworzyłem mercedesa i wsunąłem się za kółko.

– Gładko ci poszło – wysapał Piet, otwierając drzwiczki od strony pasażera, ale podziwu w jego tonie nie wychwyciłem. – Gdzieś się tego nauczył?

– W kanadyjskich siłach specjalnych.

Nie skomentowałem. Przekręciłem kluczyk w stacyjce i wyjechaliśmy z parkingu.

– Dokąd teraz? – spytałem.

– Nie wiem, czy można ci ufać, Sam – burknął i zacisnął dłonie na karabinie.

Mila, biegnąc, czterokrotnie strzeliła w kierunku warsztatu ślusarskiego. Raniła blondyna w ramię i zmusiła Howella i jego ludzi do koncentrowania się przez pełną minutę wyłącznie na niej, co powinno dać Samowi czas na ucieczkę.

Potem wycofała się, przebiegła przez parking i skryła za węglem. Na drzwiach biura wisiała tabliczka z napisem *Gesloten* – ZAMKNIĘTE. Otworzyła zamek wytrychem i wśliznęła się do środka. Zatrzasnęła za sobą drzwi, podbiegła do okna i wyjrzała zza zasłonki.

Po pięciu minutach z magazynu wyszli Howell i jego ludzie. Chińskiego hakera z nimi nie było. Zwalisty blondyn trzymał się za ramię, drugi z mężczyzn utykał na zranioną nogę. Obaj wyglądali bardziej na wkurzonych niż cierpiących. Howellowi twarz wykrzywiał grymas wściekłości.

Wsiedli do furgonetki i odjechali. Howell nawet nie próbował zabezpieczyć miejsca przestępstwa.

Mila odczekała jeszcze dziesięć sekund i podjęła decyzję. Howell nie czekał na policję, ale to jeszcze nie znaczyło, że jej nie wezwał – gliniarze mogli się tu lada chwila zjawić. Miała bardzo mało czasu na przeszukanie budynku.

Wróciła do warsztatu ślusarskiego. Śmierdziało tu prochem i tytoniem.

Na posadzce przy jednej ze starych tokarek leżał

młody Chińczyk z raną postrzałową głowy. Nie oddychał. Zabrała dokumenty, które przy nim znalazła; wszystko, co mogło opóźnić policyjne śledztwo, działało na jej korzyść. Zajrzała do opuszczonej pakamery. Nikogo. Z duszą na ramieniu obiegła całą przestrzeń magazynową, ale ciała Sama nie znalazła. Odetchnęła z ulgą.

Zapуściła się w krótki korytarzyk i zatrzymała przed stalowymi drzwiami przy jego końcu. Tutaj. Tu muszą być.

Ostrożnie, jak najciszej się dało, sforsowała wytrychem zamek. Wzięła głęboki oddech i z pistoletem gotowym do strzału kopnęła drzwi. Przywitał ją chór pisków. Osiem półnagich, zmalretowanych, przykutych łańcuchami do posadzki kobiet.

Na moment zmartwiała. Klatkę piersiową przeszył ostry ból, spłynął do nasady kręgosłupa. Gapiła się na kobiety, a one na nią. Coś podobnego! Czy Howell nie wiedział, że tu są? Czy też wiedział, ale miał je gdzieś? A może zadzwonił anonimowo na policję z informacją, że są tu przetrzymywane? Mniejsza z tym. Ona nie może ich tu zostawić.

Wszystkie patrzyły w ziemię, tylko jedna, rudowłosa, podniosła na nią wzrok.

– Już dobrze – spróbowowała po angielsku Mila. – Wszystko w porządku. Jesteście bezpieczne.

– Kto ty jesteś? – spytała po mołdawsku ruda.

Mila przeszła na mołdawski. Słowa w tym języku smakowały jak miód, który uwielbiała w dzieciństwie.

– Już nic wam nie grozi. Zabiorę was stąd. Żli ludzie uciekli.

– Kto ty jesteś? – powtórzyła rudowłosa.

– Jestem przyjaciółką. Róbcie, jak mówię, bo czas ucieka. Zaprowadzę was w bezpieczne miejsce, a potem odeślę do domu.

– Nie mamy pieniędzy na powrót – odezwała się druga kobieta. Wargi miała sine, opuchnięte.

– Wiem – powiedziała Mila. – Zaopiekuję się wami.

Wycofała się na korytarz, przyklękła przy trupie Nica i obszukała go. W kieszeni znalazła klucze do kajdan. W martwej dłoni ścisnął rozczłonkowany nadajnik Sama. Wydłubała go z niej i schowała do kieszeni.

Trzęsącymi się rękami rozkuła kobiety. Budziły się uśpione wspomnienia: wieczór w Izraelu, szum ulicznego ruchu na bulwarze, zapach taniej pizzy, ciepło kolby pistoletu w ręku, powiew bryzy wpadającej przez otwarte okna, a ona idzie przez pokoje przeklętego mężczyzny, któremu darowała życie, wrzeszczącego za nią, że za to, co zrobiła, zostanie któregoś dnia po tysiackroć zabita. Odpędziła te wspomnienia.

Dwie kobiety zaczęły płakać. Nie mogły uwierzyć, że gehenna dobiega końca.

Mila myślała intensywnie: potrzebne im będzie jakieś schronienie, lekarze, dokumenty. Sam Capra zupełnie wyleciał jej z głowy. Na razie zdany był jedynie na siebie.

Wpatrywałem się w lufę wycelowanego we mnie karabinu.

– Przed chwilą ocaliłem ci życie. Gdybym chciał, zastrzeliłbym cię, kiedy biegliśmy do furgonetki.

– Ale ja dalej nie wiem, coś ty za jeden. A zjawiasz się, i wszystko diabli biorą.

– Diabli wszystko wzięli, bo Nic pod tobą rył. Mówiłem przecież. To, co się wydarzyło, potwierdza tylko, że miałem rację.

– Ale ja nic o tobie nie wiem. – Logiczne rozumowanie nie było jego najmocniejszym punktem. – Straciłem wszystkich. Co do jednego.

Był przerażony.

– Słuchaj, Piet. Mam w Amsterdamie znajomości. Może znasz tych ludzi: mieszka tu, na przykład, jeden taki Gregor, zegarmistrz z Pragi. Kolegował się z Nikiem. Robiłem z nim w zeszłym roku mały interesik. Zapytaj go o mnie. – Stawiałem wszystko na jedną kartę. Gregora nie byłem do końca pewien, ale wóz albo przewóz.

– Znam Gregora. Tego zegarmistrza. Dalej. Kto jeszcze? Jeden to za mało.

Znałem tutaj jeszcze tylko Henrika, barmana z Rode Prins. Ale rozmawiałem z nim tylko raz, może dwa, i prawie nic o nim nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia, czy wie, czym się z Milą zajmujemy. A do tego, powołując się na niego, zdradziłbym Pietowi swoją amsterdamską

kryjówkę. Mila skopałaby mi za to tyłek.

Z drugiej strony ta wiedza nie na wiele by się Pietowi zdała; i tak długo już nie pożyje.

– Wpadam czasem na drinka do takiej knajpki nad Prinsengracht. Rode Prins się nazywa. Słyszałeś o niej?

– Byłem tam raz.

– Tamtejszy barman, Henrik, mnie zna.

– A co u niego pijasz?

– Przeważnie piwo. – Henrik obsługiwał mnie osobiście tylko raz, ale zamówiłem wtedy piwo, które mi polecił. Wstrzymałem oddech. – Niczym specjalnym się nie wyróżniam.

Wyciągnął komórkę, wyszukał w Internecie numer Rode Prins i wybrał go. Przełączył telefon w tryb głośnomówiący, żebym słyszał rozmowę.

Ale dla Pieta byłem Peterem Samsonem, a Henrik znał mnie jako Sama. To mogło nie przejść.

– Rode Prins, słucham – usłyszałem głos Henrika.

– Henrik?

– We własnej osobie.

– Ja z małym pytankiem. Znasz gościa nazwiskiem Samson, który podobno wpada do ciebie od czasu do czasu na drinka? Obcokrajowiec.

Chwila milczenia.

– Samson... Samson... Może Sam?

– Tak go nazywasz?

Dzięki Ci Boże. Wielkie dzięki.

– Wszyscy tak go nazywają. Ciemny blondyn,

wysoki, pod trzydziestkę.

– Zgadza się. Co to za jeden?

– O narodowość ci chodzi? Nie wiem. Zaraz. Szukał kiedyś po kieszeniach drobnych, wyciągał, co tam miał i kładł na barze. Między innymi paszport. Kanadyjski.

– A wiesz, czym się zajmuje?

– Nie mam zielonego pojęcia. On z tych, co za dużo o sobie nie mówią. Ma jakieś kłopoty?

– Nie. Co najczęściej u ciebie zamawia?

– Heinekena. I wiesz, co ci powiem? Ja mam tu urwanie głowy, a ty mnie wypytujesz jak pedzio jakiś. Tak ci się podobają te zielone oczka Sama? – Do głosu Henrika wkradł się znaczący ton. – Chciałbyś się z nim umówić? On nie z tych, na moje oko, ale mogę mu podać twój numer.

Piet się rozłączył. Długie sekundy milczenia.

– Podoba mi się, że za wiele o sobie nie mówisz. Nie cierpię papli.

Wybrał kolejny numer.

– Halo? – wyskrzeczwała komórka.

Gregor. No to po mnie.

– Cześć, Gregor. To ja, Piet. Znasz niejakiego Samsona?

Chwila ciszy, a mnie serce omal nie wyskoczy z piersi.

– Znać, znam. Ale nie za bardzo. – Głos Gregora. – Podobno jest w mieście.

Ulga.

– W czym robi?

– Eee... tego... w logistyce, że się tak wyrażę.

– Co jeszcze możesz o nim powiedzieć?

– Czy ja wiem...? Chyba że nie da sobie w kaszę dmuchać. Umie się bić.

– Dla kogo pracował, kiedy go poznałeś?

– Dla braci Vranów, ale oni już nie żyją. Zadarli ze wspólnikami i ci zarabali ich w łazience. Aha, pracował też dla Djukiego.

– Można mu ufać?

– Można. To taki gość od wszystkiego. Potrafi przeszmurować, co tylko chcesz. Ma kontakty z legalnymi spedytorami. To spore ułatwienie.

Odetchnąłem z ulgą. Gregor powtarzał to, co usłyszał ode mnie.

– Dzięki, Gregor. A w ogóle to jak leci?

– Powolutku. Zauważyłeś, że ludzie, od kiedy mają czas w komórkach, przestali nosić zegarki?

Piet nie odpowiedział.



– Miałbym coś dla ciebie. I to niedługo.

– O, to się cieszę. – Teraz w tonie Gregora wyczułem napięcie.

– To na razie, Gregor. Wkrótce się odezwę. – Piet przerwał połączenie. Nadal do mnie celował.

– No, czego jeszcze ci trzeba? Życiorysu?

Zjechałem na pobocze, zatrzymałem wóz i spojrzałem na niego.

Piet był nie na żarty przestraszony.

Miał skubaniec duży problem. Stracił właśnie wspólnika, który go zdradził, zadając się z nie wiadomo kim. Stracił punkt dystrybucji mnóstwa podróbek oraz zniewolonych kobiet. Stracił dwóch ludzi, na których mógł liczyć. Stracił magazyn pełen towarów i niewolnic, na które czekają przecież klienci. Stracił przed chwilą kupę forsy. Wykolegowany przez Nica był teraz ścigany. A do tego wszystkiego ten Turek z długim ozorem. Nad głową Pieta w zastraszającym tempie gęstniały czarne chmury i on zdawał sobie z tego sprawę.

– Będzie dobrze, Piet. Wyluzuj. – Ostrożnie odsunąłem od siebie lufę karabinu, kierując ją w podłogę furgonetki.

Nie przeszkadzał mi w tym.

– Nie mów na razie swojemu szefowi, co się dzisiaj wydarzyło – poradziłem mu.

– Zamknij się, cholera, i jedźmy na piwo. Do Rode Prins.

Weszliśmy do Rode Prins. Tłoku nie było; przy największym stoliku grupka młodych mężczyzn żartowała, sączyła piwo i rozprawiała o sporcie. Jakaś kobieta siedziała samotnie nad lagerem i studiowała przewodnik turystyczny po mieście. Kilkoro szkockich turystów przy stoliku w głębi sali pałaszowało kielbaski z serem i smażonymi kawałkami czegoś bliżej nieokreślonego, popijając piwem; w końcu baru starszy mężczyzna w eleganckim garniturze czytał gazetę i sączył jenevera. Podobało mi się w Rode Prins, bo była to naprawdę sympatyczna osiedlowa knajpka. Ze ściany spoglądał na nas wszystkich zachlapany czymś czerwonym księżę.

Mili nie widziałem. Skinąłem lekko głową stojącemu za barem Henrikowi.

– Jakiś facet cię szukał – poinformował mnie Henrik. Wskazałem kciukiem na Pieta.

– Znajomy. Już mnie znalazł.

Henrik kiwnął głową. Piet zamówił dwa heinekeny; zajęliśmy miejsca przy barze, jak najdalej od mężczyzny w garniturze.

Henrik przyniósł nam piwo. Piet sprawiał już wrażenie spokojniejszego. Byłem mu bardzo potrzebny, i wzajemnie, bo miałem nadzieję, że doprowadzi mnie do kryjówki swojego szefa, Edwarda, i Jasmin Zaid.

– Kiepski miałeś dziś dzień – zagałem szeptem.

Piet upił łyk piwa. Właściwie to powinien wracać w te pędy do Edwarda, ale nikt nie lubi występować w roli posłańca przynoszącego złe wieści.

Przystąpiłem do urabiania skubańca.

– Widzę, w jakim dołku się znalazłeś. Prowadziłeś tu dochodową fuchę. Nic pomagał ci pewnie podrabiać dokumenty na swoim komputerze. Największą kasę trzepałeś na kobietach sprowadzanych tutaj ze wschodniej Europy. A ten gościu Edward zaproponował ci grubszą robotę. Podejmując się przerwania jego towaru do Ameryki, wygrzebałeś się ze swojego ciepłego grajdołka i trafiłeś na głęboką wodę.

Łypnął na mnie podejrzliwie. Zastanawiał się pewnie, skąd to wszystko wiem.

– Stary, a myślisz, że dlaczego wyniosłem się ni z tego, ni z owego z Pragi? – ciągnąłem. – Ja też mam na koncie podobną wpadkę. – Pokręciłem głową, pociągnąłem łyczek piwa. Przed niespełną godziną zabiłem dwóch facetów, a teraz siedzę sobie jak gdyby nigdy nic w knajpie i popijam. Oni już nigdy nie poczują w ustach uspokajającej goryczki schłodzonego browarku. No i dobrze. Sami się o to prosili. Gdybym ich nie wykończył, mogliby zginąć niewinni ludzie. Ani myślałem bandziorów żałować. Dumny też nie byłem; w końcu zabójstwo to zabójstwo. Ale teraz musiałem wyrobić w Piecie przekonanie, że jestem takim samym draniem jak on. Ręka mi nawet nie zadrzała, kiedy sięgałem znowu po szklanicę.

– Edward nie będzie zachwycony takim obrotem sprawy, co?

– Nie będzie.

– Jaki on w ogóle jest?

Piet zastanowił się.

– Łebski chłop, ale kutas. Anglik. Wspominał raz, że występował na scenie, nie wiem gdzie, może w jakiejś pipidowie. Ekspert w podrabianiu dokumentów – kto wie, czy nie pracował kiedyś w wywiadzie. Ma dar podporządkowywania sobie ludzi. A gadkę taką, jakby pochodził z jakiejś forsiastej rodziny. No i szasta forszą na lewo i prawo.

– Skąd tyle o nim wiesz? Ktoś taki jak on powinien chyba trzymać gębę na kłódkę.

– Edward lubi być najważniejszy w klasie. A to wymaga czasem pochwalenia się tym czy tamtym.

Pora zagrać va banque.

– Może będziesz musiał go odstrzelić.

– Odstrzelić?

– No wiesz, z niektórymi klientami trudno wyjść na swoje. Tak właśnie było w Pradze. Odstrzeliłem dwóch takich, którzy chcieli mnie wyrolować.

Piet roześmiał się.

– I teraz uciekasz?

– Nie, przywarowałem tylko. Uznałem, że jeśli sam też nie chcę zostać odstrzelony, najlepiej zmienić na jakiś czas klimat.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Bo wiem, jak działają goście pokroju Edwarda. Ma do pilnego przerzucenia ten jakiś swój ważny towar. Takim jak on potrzeba naszej siatki powiązań, naszych chodów, bo bez tego ani rusz. Ale jak sprawa się rypie, bez wahania nas zabijają. – Czułem się już całkiem swojsko w nowej skórze; dopiłem piwo, dałem Henrikowi znak, że prosimy jeszcze raz to samo. – Widzisz, chodzi o to, że my jesteśmy biznesmenami, a goście tacy jak Edward przynoszą nam więcej szkody niż pożytku.

– Nie mogę go odstrzelić. Ściągnąłbym sobie tylko kłopoty na głowę.

– Ja niczego ci nie sugeruję – zełgałem. – Chciałem tylko powiedzieć, że musisz być przygotowany na każdą ewentualność.

– Kiedy mu powiem, co się stało...

– Może się nieźle wkurzyć, że nie zawiadomiłeś go od razu – wpadłem mu w słowo. Musiałem teraz odegrać rolę głosu rozsądku, kogoś, komu będzie skłonny zaufać. – Szlag go może trafić.

– Nie. Za bardzo mu zależy na tym przerzucie.

– A co to w ogóle za towar?

Spojrzał znowu na mnie.

– Ilu zaufanych ludzi ci zostało, Piet?

– Całe mnóstwo.

– Tak, i dam głowę, że gdyby ten Edward zaczął cię ganiać z pistoletem, oni osłonią cię własną pierśią.

Milczał długą chwilę, przetrawiając moją sarkastyczną uwagę.

– Dlaczego chcesz mi pomóc?

– To proste, dla szmalu. A poza tym, cholera jasna, za głęboko już w to wdepnąłem.

– Jeśli ta robota nie wypali, nie będę miał ci z czego zapłacić. Sam potrzebuję forsy. I to bardzo.

Nie byłem specjalnie zainteresowany jego kłopotami finansowymi. Oni wszyscy byli tacy sami: podejmowali duże ryzyko, zgarniali dużą kasę i roztrwaniali ją na błyskotki i luksusowe dziwki.

– Umówmy się tak. Jesteś w tej chwili w dołku. Ja mam jeszcze środki, żeby pomóc ci w przeszmuglowaniu tego tajemniczego farszu dla twojego Edwarda. Straciłeś swoich ludzi i swój kapitał. Przyjmujesz mnie na współnika tylko do tego przerzutu. Dzielimy się po połowie.

– Po połowie!?! – Poczzerwieniał na twarzy, nie próbował nawet zniżyć głosu. Szkoci i starszy mężczyzna spojrzeli na nas.

– Po połowie – potwierdziłem szeptem. – Ratuje ci tyłek.

– Nisko mnie oceniasz, Sam, oj nisko – wycedził chłodno.

– A mnie się wydaje, że prawidłowo oceniam zasraną sytuację, w jakiej się znalazłeś. Powodzenia z Edwardem. I powodzenia z policją albo holenderskim wywiadem, bo któraś z tych służb na pewno wsiądzie ci na kark. Już widzę ten beztroski, różami usłany tydzień, który spędzisz między młotem a kowadłem, dupku. – Rzuciłem na bar

należność w euro i zsunąłem się ze stołka. Jeśli mnie gnój nie zatrzyma, myślałem, zaczekam na ulicy, dopadnę go, kiedy będzie wychodził, zawlokę do siebie na górę i pokażę, do czego potrafi się posunąć zdesperowany mąż i ojciec, by odnaleźć swoją rodzinę.

Stawiałem już piąty krok, kiedy usłyszałem za sobą:

– Dam ci trzydzieści procent.

Zawróciłem.

– Czterdzieści pięć.

– Czterdzieści – syknął. – Ja nagrałem tę robotę, ja odwaliłem już większą część prac przygotowawczych. Ty pomagasz mi tylko ją dokończyć. Czterdzieści.

No, niech ma tę satysfakcję, że coś utargował.

– Stoi, czterdzieści.

Obdarzył mnie tym samym uśmiechem, z jakim patrzył na więzione kobiety. Niewiele brakowało, a roztrzaskałbym mu szklankę z piwem o ten garnitur wyszczerzonych, krzywych zębów. W porę się opanowałem.

– To teraz, kiedy już jesteśmy współnikami, mogę ci powiedzieć, kogo mamy przeciwko sobie. – Zniżył głos.

– No, słucham.

– Nie policję. Jednego człowieka. Bahjata Zaida.

– Znam to nazwisko.

Uniósł brew.

– Producent sprzętu dla wojska; czytuję „The Economist”, jeśli chcesz wiedzieć. – Ściągnąłem brwi. – Zależliście mu czymś za skórę? Skroiliście mu coś?

– Ja nie. Edward mu podpadł.

– Ludzie prowadzący legalne interesy nie wynajmują płatnych zabójców.

– Zaid to zrobił.

Fakt.

– I ów szanowany biznesmen próbuje na własną rękę przeszkodzić wam w tym wielkim przerwaniu? – Ciekaw byłem, czy powie mi o Jasmin. – Czemu nie pójdzie z tym na policję?

– Ma swoje powody.

Upiłem łyk piwa.

– Co chcecie przesz muglować do Stanów?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Ja muszę wiedzieć, Piet. Żeby to coś odpowiednio popakować i wysłać. Weź się zastanów.

To go chyba przekonało.

– Sprzęt wojskowy.

– Jakiego rodzaju?

– Elektroniczny.

Drażniła mnie ta ogólnikowość. Naciskałem dalej:

– Jakiego rodzaju?

– Prototypy. Zaid ma swoje powody, żeby nie mieszać w to policji.

– Jakie?

Piet nie odpowiedział. Dopił piwo i patrzył, jak ostatnie strużki ściekają po ściankach na dno pustej szklanki.

Postanowiłem podsycić jego lęki. Może to rozwiąże



mu język.

– No to masz przerąbane. Chciałeś nadać do Stanów transport podrabianych papierosów, a między nimi ukryć tajne prototypy sprzętu wojskowego Edwarda. Teraz twoje papieroski przepadły i pomysł na przeszmugłowanie zabawek Edwarda wziął w łeb.

Piet zacisnął mocno powieki.

– Siedzę po uszy w gównie i wcale mi się to nie podoba.

– Zrozumiałe. Przydałby się nam jakiś towar przeznaczony do wysyłki, który posłużyłby za kamuflaż dla tego, co Edward chce przerzucić do Ameryki.

– Właśnie. – Przez chwilę Piet miał minę zestresowanego właściciela małego sklepiku, któremu wskutek spadku obrotów w oczy zagląda widmo bankructwa.

– No to mam rozwiązanie. – I to takie, dodałem w myślach, które doprowadzi mnie do Edwarda, Jasmin i reszty grupy.

– Jakie?

– Skombinujemy zamienniki.

– Zamienniki?

– Tak. Przejmujemy transport jakiegoś towaru. Najlepiej podróbek, bo wtedy jego właściciel nie pogna na policję, i wyślemy aparaturę Edwarda do Stanów w kontenerach z tym towarem.

– Przejąć transport, łatwo powiedzieć.

– To najprostsza rzecz pod słońcem, jeśli się wie, jak

się do tego zabrać. Ale sami nie damy rady. Ten Edward ma chyba jakichś ludzi, co?

– Ma.

– No to będą nam potrzebni.

– To nie są złodzieje.

– Ja też nim nie jestem, ale jak mus, to mus. Chcą, żeby ten elektroniczny sprzęt dotarł do Stanów?

– Chcą.

– A do czego on w ogóle służy?

Nachylił się do mnie. Czuję zapach jego dezodorantu mieszający się z piwnym chuchem.

– To broń.

– Broń? Dla kogo?

– Nie twój interes.

– Jaka broń?

– Straszna – mruknął Piet.

Nie odzywałem się przez dobrą minutę.

– Straszna, znaczy jaka? – podjąłem w końcu. – W odróżnieniu od ciebie nie biorę zleceń, które mnie przerastają. – Jeśli chciałem grać swoją rolę przekonująco, to okazanie przejęcia skalą przedsięwzięcia było tu jak najbardziej na miejscu.

– Nie możesz się już wycofać.

– Na J?

– Co na J?

– Jądrowa.

– O Boże. – Piet roześmiał się. – Nie, nie. – Znowu parsknął śmiechem. – Nic z tych rzeczy.

– Muszę znać szczegóły.

– A ja muszę zapytać Edwarda, czy mogę ci je wyjawić.

– To się dobrze składa, bo też chcę z nim pogadać.

– O czym?

– Demaskując Nica, ocaliłem wam wszystkim tyłki. Coś mi się za to należy. Chcę kawałka tego tortu, Piet. O mało mnie nie zastrzelili i zasługuję na udział w tym interesie. – Nie tyle wyrzuciłem to z siebie, ile wysyczałem. Wywrzeć na nim presję, myślałem, skruszyć go. I to już. Doprowadzić do przekonania, że świat wali mu się na głowę. – Nie ruszam z robotą, dopóki nie porozmawiam z Edwardem i jego ludźmi. Koniec, kropka.

Wyczuwałem desperację emanującą z Pieta. Tego człowieka nie łatwo było wystraszyć, ale ogarniał go paniczny strach na samą myśl, że zawiódł Edwarda.

Nie odzywał się, więc podjąłem:

– Kiedy wasza przesyłka ma dotrzeć do Rotterdamu?

– Pojutrze rano.

– No to nie mamy wiele czasu, co? – Jeden dzień to mało na zaplanowanie akcji, ale miałem nadzieję, że ich desperacja będzie porównywalna z moją.

– Edward nigdy nie robi niczego na łapu-capu. Moje napięte terminy tego nie zmienią.

W wiszącym na ścianie lustrze zobaczyłem przechodzącą za naszymi plecami Milę. Nie zaszczyciła nas nawet spojrzeniem, ale Piet powiódł pożądliwym wzrokiem za jej odbiciem.

– Prima sort mała.

Mila znikła za drzwiami prowadzącymi na zaplecze Rode Prins. Musiałem z nią porozmawiać. Natychmiast. Dowiedzieć się, co się stało.

Piet dopił piwo.

– Idziemy, Sam.

Nie miałem ochoty się stąd ruszać, odstawiłem jednak szklankę.

– Dokąd?

– Chcesz się zobaczyć z Edwardem, to się z nim zobaczysz. No, rusz tyłek.

Wreszcie. Tyle czasu na to czekałem. Szedłem na spotkanie nieuzbrojony, ale stanę wreszcie oko w oko z człowiekiem z blizną, który uprowadził moją ciężarną żonę.

Henrik widział, jak wychodzimy. Miałem nadzieję, że od razu powiadomi o tym Milę i ta znowu ruszy moim tropem. Ale nie obejrzałem się. Zachodziła obawa, że to mogłoby się wydać Pietowi podejrzanе.

– Widziałem go tam. – Howell stał w zaciszu amsterdamskiego bezpiecznego domu. W płytkich wodach Herengracht za oknem przeglądało się wiosenne niebo, nabrzeżem przejeżdżał rowerzysta; pedałowiał niespiesznie, rozkoszując się pięknym dniem. Howell czuł zapach prochu zmieszanego z krwią, którym przesiąknęło jego ubranie. – Widziałem Sama Caprę. Strzelał do nas. W magazynie pełnym towaru, jak przypuszczam kradzionego albo podrabianego, i z pomieszczeniem pełnym kobiet, jak przypuszczam przeznaczonych na sprzedaż do domów publicznych.

– Musi być jakieś rozsądne wyjaśnienie – mruknął August. Lekarz z Firmy opatrywał mu ramię.

– Podejrzewam, że zszedł na złą drogę na długo przed śmiercią żony – oświadczył Howell. – Ładnie z twojej strony, że próbujesz go bronić, Auguste, ale według mnie Sam Capra na to nie zasługuje.

– Może udało mu się ustalić, że ci ludzie wiedzą, gdzie jest jego żona.

– Strzelał do moich ludzi.

– Widział pan to? Howell się zawahał.

– Nie.

August podziękował lekarzowi, odczekał, aż ten wyjdzie, i zwrócił się do Howella:

– *Novem soles.*

– Że co?

– Pytał go pan swego czasu, czy mówią mu coś słowa *novem soles*. To jakaś grupa? Może to właśnie ci?

– Ta szajka to pospolici szmuglerzy. Wątpię, żeby znali łacinę i nadawali sobie taką szumną nazwę.

– Co to jest to *novem soles*, panie Howell? Howell założył ręce na piersi.

– To zbitka dwóch słów, które nasz nasłuch elektroniczny przechwycił na pewnych monitorowanych kanałach powiązanych z kręgami przestępczymi albo z podejrzanymi o korupcję urzędnikami państwowymi. Nie wiem, czy to nazwa jakiejś grupy, czy kryptonim jakiejś osoby, czy co tam jeszcze.

– Ten denat z Brooklynu miał tatuaż ze stylizowaną dziewiątką i słońcem. *Novem soles* znaczy dziewięć słońc. Uważałem na lekcjach łaciny.

– Może Sam Capra pomagał tym ludziom w przygotowywaniu i przeprowadzeniu londyńskiego zamachu bombowego i oni chcą się teraz pozbyć niewygodnego świadka. Albo zwrócił się przeciwko nam, kiedy pozwoliliśmy mu odejść.

– Kiedy go wyrzuciliśmy – sprostował August. – Dziwiłoby pana, gdyby znalazłszy się w takiej sytuacji, zadał się z mętami?

– Naga prawda jest taka, że z zamachu na nasze londyńskie biuro z życiem uszli tylko Caprowie. Ktoś zwerbował albo Lucy, albo Sama, albo oboje. Zabili naszych ludzi. Zaatakowali nas i do tej pory pozostają bezkarni. To niedopuszczalne. Na dodatek on skumał się

teraz z jakimiś bandziorami. Mów sobie, co chcesz, Auguste, ale dla mnie Sam Capra jest przestępcą.

– Powiedział mu pan, że ma dowód na jego niewinność.

– Skłamałem – burknął Howell. – To była przemyślana decyzja: wypuścić go i czekać, co zrobi.

– Wykorzystajmy więc nasze kontakty w miejscowym światku przestępczym. Zwabmy go. Sam z nim porozmawiam.

– Ty wracasz do kraju – warknął Howell. – Pierwszym samolotem.

– Tylko nie to!

– Odnieśliście ranę, agencie Holdwine. Do domu.

– Chce pan zabić Sama?

– Tylko wtedy, kiedy on spróbuje zabić mnie – odparł Howell.

– Niech mi pan pozwoli zostać. Ta rana to zwyczajne draśnięcie, a zresztą...

– Powiedziałem, do domu! I kurować się. Czytać książki, oglądać telewizję, odpoczywać. Zasłużyliście na to.

Howell wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami. August się zamyślił. Wciąż miał w kieszeni zapasowy telefon komórkowy, którego numer dał Samowi na wypadek, gdyby znowu ktoś na niego nastawał. Jak dotąd Sam nie zadzwonił. Nawet po napadzie na jego brooklyńskie mieszkanie. Albo mu nie ufał, albo nie chce go w to wciągać. No nic, spędzi w Amsterdamie jeszcze

tych parę godzin, może zadzwoni.



– Wiesz, gdzie jest De Pijp?

– Wiem. – Dzielnica, w której znajdowało się targowisko Albert Cuypmarkt, gdzie miał swój zakład zegarmistrzowski Gregor.

– Jedź tam. – Piet podał mi adres, wyciągnął komórkę i wybrał numer. – Tak. Halo. Słuchaj, mam złe wieści. Magazyn spalony. Nic nas zakapował, był wtyką. Jest tu ze mną koleś, który go zdemaskował. – Wspaniale, dawał mi referencje. – Nic mógł pracować dla tego samego mocodawcy co Turek. Wpadli tam z bronią, nie policja, cywile jacyś, prawdopodobnie konkurencja. Bliźniacy nie żyją, towar, który miał być przykrywką dla naszej przesyłki, szlag trafił. Co ty na to, masz jakiś pomysł?

Tym po drugiej stronie był pewnie Edward. I pewnie wezwie teraz Pieta do siebie na dywanik. A wtedy będę w domu. Dwóch już zabiłem. Z filmu wideo, który oglądałem, wynikało, że tych, którzy nakłonili Jasmin Zaid do morderstwa, jest jeszcze dziewięćcioro.

Dziewięćcioro do likwidacji plus Edward. Nie miałem przy sobie broni, ale to bez znaczenia, bo i tak z pewnością dokładnie mnie przeszukają przed dopuszczeniem do wewnętrznego kręgu Edwarda. No nic. Będę musiał zacząć ich zabijać, zanim dobrze mi się przyjrzą, zanim rozpoznają we mnie męża Lucy Capra. Tylko czym? Gołymi rękami?

Bahjatowi Zaidowi zależało na tym, żeby nikt z tego

towarzystwa nie pozostał przy życiu. Ale Zaid mnie okłamał, a przynajmniej nie powiedział całej prawdy, bo jeśli wierzyć Pietowi, przekazał tej grupie jakąś tam broń, a mnie o tym nie powiedział. Nie pasowała mi rola pionka w grze. Nie widziałem więc powodu, dla którego miałbym się trzymać naszej umowy co do litery. Wyrwać jego córkę z ich łap i w nogi, taki sobie postawiłem cel. A i samo to będzie nie lada wyzwaniem.

– Straciliśmy towar-przykrywkę, ale mój kolega mówi, że wie, w jaki sposób zdobyć coś zastępczego. – Słuchał. Potem powtórzył trzy razy „tak” i rozłączył się.

– Gdzie są te przesyłki, które moglibyśmy przejąć? – spytał.

– Nie można buchnąć legalnej przesyłki – odparłem.  
– Nie dałoby się takiej przekierować, nie tracąc nad nią kontroli. Niektóre mają ukryte w środku chipy GPID, które umożliwiają policji ich namierzenie. Jak kraść, to tylko fałszerzom. Oni nie polecą na policję, a gdyby próbowali odzyskać swój towar, to zawsze można im pogonić kota.

– Nie chcę kraść w Rotterdamie – mruknął. – Ci ludzie mogą kiedyś być moimi klientami.

Nie znoszę osobników myślących perspektywicznie. Wolę spanikowanych, niezdolnych do logicznego rozumowania. Wypchnąłem językiem policzek.

– Nie mamy czasu...

– Trzeba coś wykombinować. I to już. Mamy nóż na gardle. Jak damy plamę, Edward nas zabije.

To się jeszcze okaże. Ale jeśli Edwarda i Jasmin nie będzie tam, dokąd teraz jedziemy? Będę zmuszony ciągnąć tę farsę. Gdzie ja, u diabła, znajdę nielegalną przesyłkę, którą dałoby się bez problemu przejąć?

Zastanowiłem się.

– Chińczycy zalewają Europę swoimi podróbkami papierosów znanych marek. – Popukałem się palcem w usta. – Tak. Chińskie podróbki to chyba nasza największa nadzieja. Przejmiemy taki transport, zmienimy etykiety i skierujemy go do Ameryki.

Piet jakby się uspokoił.

– Co ci będzie potrzebne?

– Co najmniej siedmioosobowa ekipa i pistolety. Z tłumikami. Potrzebne też będą fałszywe manifesty przewozowe z naszymi nazwiskami, na wypadek gdyby nas zatrzymano do kontroli.

– A gdzie szukać tych chińskich transportów?

– Znam jednego koleśia – mruknąłem. Miałem jednak nadzieję, że zanim będę zmuszony do tego koleśia zadzwonić, dopadnę wcześniej Edwarda.

Dom stał w trochę zapuszczonej części De Pijp.

Zerknąłem w lusterko wsteczne z cichą nadzieją, że zobaczę w nim zatrzymującą się za nami uzbrojoną po zęby Milę. Niestety. Wyludnioną uliczką szły tylko dwie kobiety z wypchanymi torbami na zakupy.

Drzwi otworzył mężczyzna w staromodnych okularach przeciwsłonecznych. Usta wykrzywił mu

grymas okrucieństwa. Wzdrygnąłem się. Przemknęło mi przez myśl, że być może już stąd nie wyjdę. Był tutaj człowiek, który zabrał mi żonę i dziecko. Czekał.

– Czysty jest – powiedział Piet, ale ten w ciemnych okularach i tak przeszukał mnie dokładnie, obmacując plecy, nogi, krocze.

Z głębi domu dolatywały zapachy ostro przyprawionej potrawy, proszku do prania i potu. U wylotu korytarza stał jeszcze jeden facet, blondyn. Trzech do załatwienia. Jakoś sobie poradzę.

Korytarzem nadeszła i stanęła obok blondyna młoda kobieta w dżinsach, spłowiałym T-shircie i z pistoletem. Miała kasztanowe, zaczesane do tyłu włosy. To nie Jasmin Zaid. Patrzyła na mnie beznamiętnie. Czwarta do eliminacji.

Na ramieniu miała tatuaż w postaci stylizowanej dziewiątki i słońca. Taki sam jak człowiek, którego zadusiłem w Brooklynie poradnikiem dla barmanów.

Zastanawiało mnie, czy ten w okularach przeciwsłonecznych wyczuwa mój strach, moje napięcie. Nie chciałem umierać.

– Miłych wrażeń – mruknąłem, kiedy sunąc dłońmi po moich udach, zbliżał się do krocza. – Masz dar w rękach.

– Stul dziób – warknął. Mając jego pięść w okolicach swoich genitaliów, stuliłem. Zza paska spodni na plecach wystawała mu kolba pistoletu. Dobrze wiedzieć. Postanowiłem już, że na początek odbiorę pistolet

kobiecie; trzymała go jakoś tak niedbale, jak rekwizyt, a nie gotową do strzału broń.

– To Samson – przedstawił mnie Piet. – Jest w porządku...

Nie dane mu było dokończyć. Facet w okularach przeciwsłonecznych – dobre metr osiemdziesiąt, sto kilo żywej wagi – chwycił go za gardło i charczącego, z trudem łapiącego powietrze, przyparł do ściany.

– Nie spisałeś się, Piet – wycodził.

Piet – też nie ułomek, uzbrojony w miecz wakizashi na dodatek – doszedł trochę do siebie i uderzył w błagalny ton:

– No, co ty, Freddy... zbastuj. Zbastuj... proszę...

– Chcemy wszyscy wiedzieć, jak doszło do tej dzisiejszej wpadki. Jak zginęli Marc i Dirk.

Domyśliłem się, że chodzi mu o bliźniaków.

– Może ja odpowiem, bo on ledwo zipie – wtrąciłem.

– Patrz, jaki siny.

Freddy łypnął na mnie.

– Ja cię nie znam.

– Marc i Dirk zginęli, bo Nic nas zakapował – powiedziałem. – Nic też nie żyje. Sprawiedliwości stało się zadość, jeśli o to ci chodzi. Własnoręcznie zabiłem Nica, a teraz muszę zdobyć jakiś towar, w którym można by ukryć wasz złom.

– To byli nasi przyjaciele.

– Przykro mi bardzo. Zginęli z podniesionym czołem.

Freddy miał na przedramieniu ten sam tatuaż co

kobieta, dziewiątkę wplecioną w symbol słońca. Nosił go chyba od niedawna.

Czyżby ci ludzie stanowili Novem Soles? Przecież oni są... niczym. Czegóż takiego dokonali przed zamachem w Londynie, że Firma wzięła ich pod lupę?

Freddy zmierzył mnie przeciągłym, teatralnym spojrzeniem. Piet zaczął wierzgać, kopać ścianę. Biceps Freddy'ego był jak wykuty z marmuru. Jemu chyba nie była potrzebna broń palna, potrafiłby ukatrupić człowieka jednym ciosem.

– Freddy – odezwała się kobieta. – Posłuchajmy, co Piet ma do powiedzenia.

Freddy puścił Pieta i ten, charcząc, osunął się na podłogę. Pomogłem mu wstać. Freddy przystawił mi lufę pistoletu do skroni.

Poprowadził nas do kanciapy na końcu korytarza. No, pomyślałem, wchodząc, tu się wszystko rozegra.

Ale w kanciapie nie było nikogo. Nie było w niej Edwarda. Człowieka z blizną. Nie było go tu.

– Edward chciał z nami pogadać – rzucił Piet.

– Edward nie rozmawia z nieznajomymi – powiedziała kobieta. Miała dziwny akcent; ni to angielski, ni holenderski. Była ładna, rysy twarzy, proporcje ciała i tak dalej miała bez zarzutu, ale jednocześnie było w niej coś odpychającego. Zupełnie jakby na zewnątrz wydostawała się zgnilizna tocząca duszę. Nie przypadła mi do gustu, i to bardzo.

– To musi bardzo zawęzić krąg jego znajomych –

zauważyłem.

– Owszem. – Kobieta wodziła tu chyba rej. Od kiedy się odezwała, Freddy nabrał wody w usta.

– Nazywam się Samson – przedstawiłem się. – A ty?

– Demi.

Wskazała gestem krzesła. Usiadłem.

– Jak ta aktorka?

– Jak ta aktorka. Jej imię jest w Holandii bardzo popularne.

– Nie wiedziałem – mruknąłem.

Coś mi tu nie grało. Wyglądali na zwyczajnych bandziorów, którzy pozbywają się wrogów, dokonując na nich zamachów bombowych, albo szantażują takich tytanów biznesu jak Bahjat Zaid. Ale widziałem przecież nagranie wideo z egzekucji Turka i byłem pewien, że wśród zamaskowanych jej świadków byli i Freddy, i Demi, i Piet, i ten blondyn stojący teraz u wylotu korytarza.

W domu było zimno, śmierdziało, a oni wyglądali mi raczej na gówniarzy bawiących się w gangsterów niż na prawdziwych przestępców. W telewizorze z wyłączoną fonią leciała jakaś kreskówka. Z kuchni dolatywał swąd przypalonego popcornu. Na stole leżał rozłożony na części pistolet.

– Kiedy przyjdzie Edward? – spytałem.

– Nie przyjdzie – warknęła Demi. Przyglądała się siadającemu obok mnie Pietowi, któremu siność z twarzy wyparły rumieńce gniewu. Był wkurzony.

– Co tu, u diabła, jest grane?! – wrzasnął.

– Edward powiedział, że nadzoruje teraz odbiór naszej przesyłki. Spotka się z wami, kiedy będziecie mieli gotowy amerykański etap przerzutu. Nie wcześniej.

Nie mogłem zapytać wprost, czy jest tutaj Jasmin.

– Czy widzę tu wszystkich, z którymi przyjdzie mi pracować?

– Nie rozumiem.

– Jest was czworo, wliczając Pieta. Do przechwycenia jakiegoś transportu potrzeba mi więcej ludzi.

– Od takich spraw jest Piet. Po to go zaangażowaliśmy. Na naszą pomoc nie liczcie.

– Ale sami nie damy rady. – Nic bym nie zyskał, rozprawiając się teraz z tą grupką; nie byli w komplecie, a przede wszystkim nie było tu ani Edwarda, ani Jasmin.

– Powiedziałam.

Rozejrzałem się po pakamerze; to nie tutaj Jasmin rozwalala Turka. Nie tutaj mieściło się ich centrum operacyjne. To była ich namiastka bezpiecznego domu.

No trudno. Jutro trzeba będzie samemu podjąć próbę przejścia jakiejś chińskiej kontrabandy.



– Z Chińczykami interesów raczej nie prowadzę – powiedział Gregor. Spojrzał na mnie, potem na Pieta. Przełknął ślinę. – Poważnie, chłopaki, nie mogę wam pomóc.

– Wskaż nam przynajmniej kogoś w tym podróbkowym łańcuszku – powiedziałem. – Na pewno znasz kogoś takiego. Nie wmówisz mi, że wszystkie twoje rolexy są autentyczne.

– O, wypraszam sobie, Sam – obruszył się Gregor. Spojrzał na Pieta. – Naprawdę nie przychodzi mi do głowy nikt, na kogo mógłbym wam dać namiary.

– To dla mnie bardzo ważne, Gregor. Na pewno masz jakieś kontakty wśród Chińczyków.

Gregor był jakiś wymięty i rozkojarzony, chyba znowu zbierało mu się na kichanie. Wytrząsnął z paczuszki pastylkę czosnkową i pociągając nosem, wsunął ją do ust.

– Trochę mam. Ale nie wiem, czy byliby zachwyceni, gdybym wam ich polecił. Chińscy fałszerze są bardzo, ale to bardzo ostrożni w dobieraniu sobie kontrahentów.

– Są również bardzo, ale to bardzo przedsiębiorczy – zauważyłem – a jestem przekonany, że zainteresuje ich kusząca propozycja, jaką dla nich mamy.

– Po co ci oni?

– Chcemy, żeby nam coś przeszmurowali – skłamał Piet.

Gregor ssał z zapamiętaniem pastylkę czosnkową.

– Zwróć się z tym do swojego przyjaciela Nica. Może on coś poradzi?

– Nic nie żyje – powiedziałem.

Gregor otarł sobie nos chusteczką higieniczną.

– Naprawdę? – Spojrzał na mnie tak, jakby chciał powiedzieć: Dobra robota.

– Naprawdę. I dlatego szukamy dojścia do Chińczyków. Nie za darmo, Gregor.

Gregor westchnął, sięgnął po karteczkę i nagryzmolił na niej jakieś nazwisko oraz numer telefonu.

– Ona wam powinna przypasować. Pani Ling. Przez nią przechodzi większość transportów wjeżdżających do Holandii. Swego czasu kupowałem od niej zegarki. Prowadzi legalną firmę eksportową, ale to tylko zasłona dymna. Brałem od niej podróbki szwajcarskich zegarków i sprzedawałem je w sieci. – Zgasił papierosa. – Ale z panią Ling lepiej nie zadzierać.

– Czy ja wyglądam na takiego, co bab się boi? – prychnął Piet.

– Powiedz mi coś o niej – poprosiłem.

– Nie rusza się nigdzie bez asysty trzech swoich synalków. Diabelskie nasienie, jeden w drugiego. To straszni ludzie. Nie zadawałbym się z tą rodziną, gdybym nie musiał, bo...

– Gdzie znajdę tych Lingów? – przerwałem mu zniecierpliwiony.

– Zadzwoń do nich, jak chcesz – powiedział Gregor –

i zaproponuj, co masz do zaproponowania, tylko mnie w to nie mieszaj.

– Dzięki, Gregor – rzuciłem. – Chodźmy, Piet. – W głowie rysował mi się już plan wykorzystania Lingów do pozbycia się chociaż części bandy.

– Chwileczkę – warknął Piet.

Obejrzałem się. Piet wpatrywał się w Gregora, a ten w niego.

– No co? – spytał Gregor. – O co chodzi?

– On jest dzisiaj bardzo podminowany – wyjaśniłem. – Obawia się pewnie, że ostrzeżesz przed nami Lingów, gdy tylko stąd wyjdziemy, i zastanawia się, czyby cię czasem profilaktycznie nie zabić. – Z ludźmi takimi jak Gregor nie bawiłem się nigdy w owijanie w bawełnę. Nie był, co prawda, aż takim zakapiorem jak Piet, ale mimo wszystko śmieciem.

Piet zerknął na mnie.

– Ale jeśli cię zabije, to ja zabiję jego – pocieszyłem Gregora.

Piet ucapił Gregora za gardło. Gregor usiłował bezskutecznie odgiąć szczupłymi, delikatnymi palcami grube jak parówki paluchy Pieta.

– Zapamiętaj sobie – warknął Piet. – Piśniesz słówko i po tobie.

– Dobrze, dobrze – wykrztusił Gregor.

Piet wyciągnął swój krótki miecz i z przerażającą czułością przesunął ostrzem po szczęce Gregora.

– Puść go – powiedziałem. – Ale już.

Piet odepchnął od siebie Gregora i ten, dławiąc się i chwytając łąpczywie powietrze, upadł na podłogę. Pastyłka czosnkowa wyleciała mu z ust.

Piet wypadł z zakładu zegarmistrzowskiego.

– Będzie dobrze, Gregor – rzekłem. – On już cię nie tknie. Obiecuję.

– Nie przychodź do mnie więcej – wymamrotał Gregor, nie patrząc na mnie. – Proszę. Ja się wycofuję z branży. Nie chcę mieć nic wspólnego z tym, co zamierzacie. Mam żonę. I dziecko. Błagam.

Nie dziwiłem się, że nie chce mnie więcej widzieć. I byłem mu wdzięczny za to, co do tej pory dla mnie zrobił.

– Dobrze, Gregor. Dzięki za pomoc.

Piet czekał na mnie w kafejce po drugiej stronie ulicy.

– Nie będziesz mi rozkazywał – warknął, kiedy się przysiadłem. – Zrób to jeszcze raz przy świadkach, a wyjmę wakizashi i obetnę ci palec. Zrozumiałeś? Tutaj jesteś nikim. Nikim.

– Nie zapominaj, że ten nikt ocalił ci dupsko. Spróbuj jeszcze raz udusić kogoś, kto nam pomaga, a wezmę wakizashi i wsadzę ci go w zadek. Zrozumiałeś?

Zmierzył mnie wściekłym spojrzeniem.

– Pieprz się.

– Słuchaj. Edward i jego ludzie zamierzają się z tobą rozprawić. Może ty tego nie wyczuwasz, ale dla mnie to jasne. Mają dosyć twoich wpadek. A więc albo przejmujemy ten transport, albo zabiją nas obu.

Piet nic nie powiedział, bo w tym momencie kelner

postawił przed nim piwo. Podziękowałem skinieniem głowy kelnerowi.

– Dowiem się, gdzie Lingowie przechowują transport przeznaczony dla Amsterdamu i ruszamy z tym koksem.

– Jak się do...?

– Moja w tym głowa. Zdaj się na mnie. Wieczorem będę już wiedział. – Wstałem. Piet sięgnął po szklankę z piwem. – Daj mi numer, pod jakim będę cię mógł złapać. – Podyktował mi go, zapamiętałem. Nie uśmiechało mi się z nim rozstawać, bo zachodziła obawa, że nawieje, ale musiałem. Nie mogłem mu pokazać, jak zamierzam znaleźć Lingów, nie odkrywając się przy tym.

Bo o Lingach słyszałem. Jeden z garniturowców, ten młodszy, wymienił to nazwisko na briefingu minutę przed tym, jak zadzwoniła Lucy i wybuchła bomba. Firma miała Lingów pod obserwacją.

W Rode Prins było pusto; garstka klientów wyległa do ogródka, pławić się tam w słońcu. Wycierający bar Henrik skinął mi głową.

– Ocaliłeś mi skórę – powiedziałem. – Dzięki.

– Nie ma za co, Sam. Nie podobał mi się ten człowiek. Ani trochę.

– Mnie też się nie podoba. Gdzie Mila?

– Na górze.

Spotkaliśmy się na schodach.

– Musimy pogadać – powiedziałem.

Zawróciła bez słowa i wprowadziła mnie do swojego pokoiku. Nim zdążyłem otworzyć usta, wymierzyła mi siarczysty policzek. Zabolało.

– Co, u diabła...

– Nie wynajęliśmy cię po to – wysyczała – żebyś szukał swojej żony, która przypuszczalnie jest zdrajczynią. Wynajęliśmy cię, żebyś działał w słusznej sprawie. Naprawdę słusznej.

– A nie robię tego?

– Zostawiłeś tam te kobiety. – W jej tonie pojawiło się cierpienie. – To draństwo, Sam.

– Firma tam była. Mój przyjaciel August tam był...

– Oni też pozostawili je własnemu losowi. Machnęli na nie ręką.

Nie do wiary. Nie mieściło mi się w głowie, że Howell mógł tak postąpić.

– Mila... mieli rannych i działali bez pozwolenia na holenderskim terenie. Muszą chronić swoje przykrywki... z pewnością powiadomili tutejszą policję.

– Tak, z całą pewnością. Czyli i oni, i ty zostawiliście skute kobiety w ciemnicy? – Głos jej się załamał.

– Mila, gdzie one teraz są?

– U moich przyjaciół. Zadbam o to, żeby wróciły do domu.

– Mila, zrobiłem wszystko, żeby je ochronić. – Postąpiłem krok w jej kierunku, policzek piekł mnie jeszcze po uderzeniu. – Nie pozwoliłem Pietowi dalej się nad nimi pastwić, wybiłem mu z głowy pomysł zabierania ich z nami. Przepraszam, jeśli cię zawiodłem.

Przygryzła wargę, założyła ręce na piersi.

– Od tej pory jesteś zdany sam na siebie. Ja muszę się zająć tymi bidulkami.

– Jak to, zostawiasz mnie?

– Ty je zostawiłeś.

– Przecież wiesz, że tak nie było. Myślałem, że zostaną uwolnione. Mila, dlaczego to robisz?

Patrzyła w ziemię.

– Bo tak trzeba, Sam. Słuchaj uważnie. Gdybyś musiał opuścić Amsterdam, to wiedz, że właścicielem przynajmniej jednego baru w każdym większym mieście świata jest mój podwładny. Wystukaj w swojej komórce hasło „Roger Cadet”, a wyświetli ci się adres najbliższej takiej knajpki. Idź tam i powiedz kierownikowi, że przysłała cię Roger Cadet, a uzyskasz wszelką pomoc.

– Kim jest ten Roger Cadet?

– Rzekomy właściciel. Ale on nie istnieje. To tylko hasło. Każdy nasz bar ma ten kod, dzięki czemu pojawia się na mapie GPS.

– Te bary są ze sobą w jakiś sposób powiązane?

– Nie. Żaden nie wie, że istnieją inne takie. Ale każdy może ci posłużyć za bezpieczny dom.

Przestąpiłem z nogi na nogę.

– Jestem już tak blisko, Mila. Tak blisko dorwania tego świrniętego Edwarda i odnalezienia mojej żony i dziecka. Uwolnienia Jasmin Zaid. Nie wycofuj się, proszę. Pomóż mi.

– Nie jestem ci do niczego potrzebna, Sam. Zdaj się tylko na siebie i skup na zadaniu, które ci powierzono. Nie rozpraszaaj się niczym innym. Ja muszę pomóc tym kobietom. Po prostu muszę.

W jej głosie było coś, co wykluczało dalszą dyskusję.

– No trudno.

– Pod tym numerem możesz mnie zawsze złapać. –  
Podała mi numer komórki; powtórzyłem go na głos, kiwnęła głową.

– Powodzenia, Sam. – I wyszła. Żał mi było, że się rozstajemy, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Bo za nic nie zgodziłaby się na to, co zamierzałem. Wróciłem do swojego pokoju, wyciągnąłem spod łóżka torbę i wygrzebałem z niej telefon komórkowy, który dał mi wieki temu w Brooklynie August.



Zszedłem na dół, spacerowym krokiem oddaliłem się od Rode Prins na jakieś osiemset metrów i zatrzymałem pośrodku mostka łączącego dwa brzegi kanału Prinsengracht. Poda mną przepływały łodzie z turystami, za mną przechodziła roześmiana wycieczka szkolona. Wybrałem numer.

– Tak, słucham – usłyszałem po siódmym sygnale.

– Cześć, August.

Chwila ciszy.

– Skąd dzwonicz?

– Chcę z tobą pogadać.

– Weź się lepiej ujawnij.

– Odpada. Muszę z tobą pogadać. W cztery oczy.

– Hmm, widzisz... postrzelono mnie dzisiaj.

– I co, leżysz w szpitalu?

– Nie, to tylko draśnięcie, no i jeszcze w łeb oberwałem, ale łepetynę mam twardą. Tak czy inaczej, odsyłają mnie jutro do domu. Odesłaliby dzisiaj, ale nie było samolotu.

– Musisz mi pomóc.

– Fakt, Sam, potrzebujesz pomocy. Wiesz coś o tym trupie, którego znaleziono w sąsiednim mieszkaniu?

– Wiem.

– Ty go załatwiłeś?

– Ja.

– Oj, Sam, Sam.

– Ale to on zaczął – uciałem. – Możesz się ze mną spotkać? Tylko bez Howella?

– Chyba żartujesz!

– Ludzie, z którymi byłem w tamtym magazynie, mają powiązania z gościem, który dokonał zamachu bombowego w Londynie i uprowadził moją żonę – powiedziałem. – Mam tego człowieka na widelcu i jak mnie teraz zgarniecie, to wszystko diabli wezmą. Facet stoi za tym niedawnym zamachem bombowym w Amsterdamie i chce przeszmuglować do Ameryki jakąś eksperymentalną broń. To on nasłał na mnie draba, którego w samoobronie zabiłem. Coś go łączy z Carem Kasjerem, którego namierzało nasze londyńskie biuro. August, to wszystko zaczyna do siebie pasować, a ja jestem bliski odpuszczenia. Pomóż.

– Ty już nie grasz w pierwszej lidze, Sam. Słuchaj, ujawnij się; powiedz wszystko, co wiesz, a my ci pomożemy.

– Nie mogę, August. Wylądowałbym z powrotem w więzieniu. Howell jest przekonany, że ja z nimi trzymam. Nie mam czasu mu tłumaczyć, jak jest naprawdę.

– Wyleją mnie z roboty, jeśli nie zgłoszę tej rozmowy. Dobrze o tym wiesz.

– Tak, wiem. – Czekałem na odpowiedź.

– Gdzie jesteś?

August zjawił się po godzinie. Sam. Czekałem na niego w Rode Prins przy stoliku w głębi, obok zasłoniętego kotarą wejścia do korytarzyka prowadzącego do kuchni. Usiadł z ciężkim westchnieniem naprzeciwko mnie. Fioletowy siniak po moim kopniaku ciągnął się od skroni po szczękę. Bandaż wypychał mu rękaw marynarki.

– Jak się czujesz?

– Lepiej nie pytaj. Howell ma jakieś spotkanie, a ja powiedziałem, że idę się przewietrzyć. – Spojrzał na mnie – Sam, co ty, u diabła, wyczyniasz?

– Jedną z rodzin mafijnych, które Firma ma na celowniku, są Lingowie. Założyli tutaj swój przyczółek. Wspominał o nich jeden z tych świętej pamięci wizytatorów, których przysłali na inspekcję z Langley do Londynu.

– Rozumiem. I to ci Lingowie porwali Lucy?

– Nie. Ale muszę wiedzieć, czy Firma nadal ich obserwuje.

– Po co?

– Interesuje mnie, gdzie magazynują swoje dostawy, bo chcę im jedną partię podprowadzić.

August otworzył usta, zamknął je, znowu otworzył.

– Chyba nie mówisz poważnie, Sam.

– To jedyny sposób, w jaki mogę dotrzeć do faceta, który uprowadził Lucy. Ma... ma zakładniczkę, a więc

metody siłowe odpadają. Muszę go jakoś do siebie przekonać. Ale do tego potrzebna mi wiedza o szlakach przerzutowych Lingów.

– Tyś chyba na głowę upadł. Wiem, co przeżywasz, ale musisz wreszcie przyjąć do wiadomości, że nie odzyskasz Lucy ani dziecka. Ich już nie ma na tym świecie. Przecież nie przetrzymaliby przez tyle miesięcy kobiety z niemowlęciem... – Urwał, jakby przestraszony tym, co powiedział.

Patrzyłem na niego bez słowa.

– To... na nic – podjął. – Nie odzyskasz ich. Przykro mi, stary, nawet nie wiesz jak. Ale...

– Wyświadczyć mi tę przysługę. W imię starej przyjaźni.

– Stary, przyjaciele nie stawiają przyjaciół w takiej sytuacji. Mam wiele do stracenia.

– Tak, masz. A ja nie mam już nic, Auguście. A wiem, że równy z ciebie chłop i że mi pomożesz. Nie możesz mi odmówić. – Chciałem dodać „ocaliłem ci dzisiaj życie”, ale nie mogłem wyłożyć na stół tej karty; nie widział mnie i to nie byłoby fair.

– Howell łeb mi urwie.

– Howell zostawił w tamtym magazynie grupkę więzionych kobiet.

– Jakich kobiet?

– Czy wybiegając za mną, kiedy ty i ten drugi agent oberwaliście, zabezpieczył miejsce przestępstwa?

– Tak.

– A powiedział wam, że na zapleczu przetrzymywana jest grupa kobiet przeznaczonych do domów publicznych?

August pobladł, przejechał palcem po nieogolonym policzku.

– Nie. Pierwsze słyszę. Przysięgam.

– Wierzę ci. Bo Howell jest kapitanem Ahabem, a ja białym wielorybem – powiedziałem. – On traci perspektywę, Augustcie.

– No... nie wiem... Wziąłem głęboki oddech.

– Wiedziałem, że spotykaliście się z Lucy, zanim ja zacząłem z nią chodzić. Ona mi tego nie powiedziała. Trzymaliście to w tajemnicy, ale ja nie mam do was pretensji.

– Nie pasowaliśmy do siebie – wybąkał August. – To trwało tylko miesiąc.

– Dlaczego?

– Od samego początku nie miałem do niej zaufania. – Wsunął ręce do kieszeni płaszcza, a mnie ciarki przeszły po krzyżu. Nie wiedziałem, jak się zachować, w razie gdyby wyciągnął pistolet. Naprawdę nie wiedziałem. August stanowił jakby ostatni odprysk mojego dawnego, normalnego życia, a teraz prosiłem go o skrajnie niebezpieczną przysługę. Nie wiedziałem, co mi sugerował, mówiąc w ten sposób o mojej żonie. Wolałem w to nie wnikać.

Po długiej chwili milczenia podjął:

– Mogę dzwonić do ciebie pod ten numer, gdybym dowiedział się czegoś o Lingach?

– Tak. – Ulżyło mi. – Dzięki.

– Nie dziękuj mi jeszcze. Niczego nie obiecuję. – Z tymi słowami wstał od stolika, odwrócił się i wyszedł z Rode Prins.

Zostałem sam nad filiżanką dobrej kawy Henrika i przymknawszy oczy, obmyślałem wstępnie sposób przechwycenia przesyłki.

Po pięciu godzinach August zadzwonił:

– Mamy u Lingów informatora. Ciężarówki z dostawami dla nich podjeżdżają pod pewien sweatshop1 we Francji. Niech cię ręka boska broni przed wchodzeniem na teren, słyszysz? Ani się waż. Spieprzyłbyś śledztwo, które aktualnie przeciwko nim prowadzimy. – Podał mi adres. – Te ciężarówki mają na burtach logo firmy Leeuw en Draak. Lew i Smok.

– Dzięki – powiedziałem i naprawdę byłem mu wdzięczny.

– Nie dzwoń do mnie więcej, Sam. Powodzenia. – I rozłączył się. A więc z tą chwilą straciłem również najlepszego przyjaciela. Bolałem nad tym przez całe dziesięć sekund.

Potem zadzwoniłem do Pieta.

– Mam to, co nam potrzebne.

1 Półlegalny zakład wykorzystujący siłę roboczą.

Nazajutrz, wczesnym popołudniem dżdżystego, szarego dnia byliśmy już pod Paryżem i czekaliśmy w deszczu na północnych peryferiach metropolii. Droga z Amsterdamu na południe, pod adres podany mi przez Augusta, zajęła nam pięć godzin. Piet siedział obok mnie i ostrzył na osełce swój wakizashi. Od tego miarowego ziiiit, ziiiit, ziiiit cierpła mi skóra. Ile czasu można ostrzyć miecz?

Sweatshop krył się w skupisku szarych budynków przy autostradzie E19/E15. Marzyłem o pozbyciu się Pieta. Już niedługo, myślałem. Już niedługo. Na terenie sweatshopu absolutnie nic się nie działo. Mijały godziny; zaczynało zmierzchać.

– Jak to się stało, że kanadyjski żołnierz trafił do tego interesu? – spytał w pewnej chwili Piet, przerywając milczenie.

Zerknąłem na niego.

– Z nudów. A jak to się stało, że ty zająłeś się handlem kobietami?

Uśmiechnął się.

– Potrzebowałem kasy na czesne w Akademii Sztuk Pięknych.

– No, takiej odpowiedzi to się nie spodziewałem.

– Irytujący odsetek amsterdamskiej młodzieży marzy w tajemnicy o zostaniu drugim Van Goghciem albo Rembrandtem. Tak czy owak, znałem jednego faceta.

Przyjaciela mamy. Potrzebował pomocy w sprowadzaniu do Amsterdamu dziewczynek. Pomogłem mu kupić furgonetkę, żeby było je czym dowozić, a w końcu przejąłem ten szlak.

– Przejąłeś?

– On się ożenił i uznał, że nie wypada mu handlować dziewczynami. A co, pomyślałeś, że go zabiłem?

– Właśnie.

– Nie, nie. Znałem go od dzieciaka. – Potarł dolną wargę. – Prowadzi teraz kafejkę.

Tak prawdę mówiąc, mało mnie obchodziły prywatne sprawy Pieta, ale czasem dobrze wiedzieć coś bliższego o człowieku, z którym ma się do czynienia.

– A co znaczy ten miecz?

– Ten miecz to ja.

– Ale jesteś przez niego łatwo rozpoznawalny. Nie lepiej pozostawać w cieniu?

– To na cześć mojej matki.

– Była Japonką?

– Tak. Przybyła tu z miłości z przyjacielem. Rzucił ją, ale ona została.

Przypomniało mi się, jak Nic nazwał Pieta skurwysynem. Może była to nie tyle obelga, ile prawda o jego pochodzeniu. Jego mama mogła pracować w Rosse Buurt, wiele kobiet stamtąd nie było Holenderkami.

– Chciałem studiować sztuki piękne, tworzyć coś w japońskim stylu, na przykład rzeźbić netsuke albo malować akwarele. Matka zajmowała się tym w wolnych



chwilach. – Wzruszył ramionami. – Ale nic z tego nie wyszło. Nie cierpieli mnie tam, a dziewczyny unikały. A pies je trącał. Rzuciłem te studia.

Do głowy by mi nie przyszło, że Piet miał kiedyś takie plany. Odczytał to z mojej miny.

– Ty miałeś mnie za zepsutego do szpiku kości. – Roześmiał się.

– No, wiesz...

– Człowieku, wszyscy jesteśmy jadowitymi wężami. Gregor udaje, że zrzucił skórę, że odrodził się jako niewiniątko, ale łuski mu zostały. I ciebie też podejrzewam, że jesteś bardzo przebiegłym wężem, Sam.

Wzruszyłem ramionami.

– Masz prawo. Wypisałem się z wojska. Znam trochę czeski, bo rodzina babki stamtąd pochodziła. Nie mogłem znaleźć żadnej przyzwoitej pracy w Pradze, więc poszedłem na swoje. Powiadasz, że zamieniłeś Akademię Sztuk Pięknych na handel żywym towarem?

– Nie tak od razu. Najpierw pracowałem na zlecenia dla amsterdamskiej policji, projektowałem im strony internetowe i ulotki. – Roześmiał się. – Z czasem odkryłem, ile płaci druga strona barykady.

Rzuciłem mu przelotne spojrzenie.

– I przerzuciłeś się?

– Żeby zarabiać prawdziwe pieniądze, trzeba być graczem i iść na całość. Gdybym został w policji, byłbym teraz trybikiem w ich maszynie. A ja tam swoje odbębniłem i dla odmiany postanowiłem być kimś, kto

takie trybiki ma pod sobą.

– I zająłeś się handlem dziewczynami. – Głos wewnętrzny kazał mi się zamknąć, dziwne było tak tu siedzieć i rozmawiać z potworem w ludzkiej skórze.

Wzruszył ramionami.

– Pewny zysk. Rosnący popyt. Niezagrożona podaż.

Brutalnie chłodne wyrachowanie. Zastanawiało mnie, czy nie jest to aby jakaś wynaturzona forma zemsty za los, jaki spotkał jego matkę.

– Ale to żywi ludzie, Piet.

– Gadanie. – Wzruszył ramionami. – Ja tam wychodzę z założenia, że nasz klient, nasz pan.

– A co na to te, którymi handlujesz?

Piet uśmiechnął się lekceważąco.

– One nie mają pieniędzy, a tym samym głosu. Widzisz, powodzi im się tu lepiej, nawet jako dziwkom, potem wracają z kasą do siebie. Na dobrą sprawę powinny mi dziękować.

– Owszem, jeśli robią to z własnej, nieprzymuszonej woli. A na ogół tak nie jest.

Spojrzał na mnie z dezaprobatą.

– Nie wiedziałem, żeś taki czuły na tym punkcie.

Przeziąłem. Odrazę, jaką we mnie wzbudza, powinienem okazać dopiero wtedy, gdy będę go zabijał.

– Po prostu wydaje mi się, że o wiele łatwiej zachować kontrolę nad handlem podróbkami niż żywym towarem.

– Tak ci się tylko wydaje – wycedził. – Sam spróbuj.

Za cztery dni spodziewam się dostawy kolejnej partii dup z Mołdawii. Na zamówienie klienta z Londynu. Wybierzesz sobie jedną i razem ją obłaskawimy. Zobaczysz, że w tym zasmakujesz.

Gdybym teraz na niego spojrzeł, zatłukłbym na miejscu. Ale był mi potrzebny. Nie odrywałem więc wzroku od parkingu przed sweatshopem.

Źle zrozumiał moje milczenie.

– A może ty nie lubisz dziewczyn? Chłopców też mamy, nie tak wielu, ale znam dwóch takich z Amsterdamu, którzy mogliby ci przypaść do gustu...

– Nie, dziękuję – warknąłem. – Nie jestem zainteresowany.

– Dziwak z ciebie – stwierdził – za bardzo przejmujesz się innymi. Inni się nie liczą; liczysz się tylko ty. Osądzasz mnie. Ale sam niczym się ode mnie nie różnisz. Kłamiesz, zabijasz, kiedy musisz, żyjesz pod fałszywym nazwiskiem. Ja nigdy nie zastrzeliłem nikogo tak, jak ty Nica.

– Jeśli chodzi o Nica, to wyświadczyłem ci przysługę.

– Fakt. – Potarł wargę. – Prześladowuje mnie obawa, że w każdej chwili mogą mnie aresztować, bo nie wiem, co na mnie nadał ani komu. Potrzebna mi kasa, Sam. Żeby zwinąć na jakiś czas interes i gdzieś przywarować. A dobra kryjówka kosztuje. Pionków w grze na nią nie stać, trzeba być graczem.

– A Edward? – spytałem. – To gracz czy ktoś jeszcze wyżej postawiony?

– Co rozumiesz pod wyżej postawiony?  
– Powiedziałaś, że przemyca jakąś eksperymentalną broń.

– Podejrzewam, że zajmuje się szpiegostwem przemysłowym – kradnie plany nowych konstrukcji jednej firmie i odsprzedaje je innej.

– A co chce teraz przerzucić, Piet?

– Nie twoja sprawa.

– Chciałbym wiedzieć, za co siedzę, gdyby nas nakryli.

– Jak nas na tym przerzucie nakryją, to już nigdy nie zobaczysz światła dziennego. – Piet przeniósł wzrok na magazyn. – O, witamy.

Przy rampie zatrzymywała się właśnie ciężarówka ze stylizowanymi lwem i smokiem na burcie naczepy. Wskoczyło z niej trzech Chińczyków. Dwaj byli w czarnych trenczach, trzeci, bardziej korpulentny, w zwyczajnej beżowej kurtce i džinsach. Ten ostatni ruszył do bramy magazynu.

Ci w trenczach zostali przy ciężarówce.

– Wchodzimy – warknął Piet.

– Nie – syknąłem. – Oni pod tymi płaszczami mają obrzyny.

– Skąd wiesz?

– Widzisz, jak materiał pod pachami się wybrzusza? Jeden jechał w kabinie, drugi wyskoczył z naczepy. Oni nie wejdą do środka. To konwojenci.

– No to co robimy?

– Nie możemy buchnąć ciężarówki tutaj. Oni po coś tu przyjechali – transport podróbek szlugów wyładowali już gdzieś na trasie. Jak wkroczymy teraz, kiedy parkują pod zaprzyjaźnioną dziuplą, ktoś ze środka natychmiast zadzwoni do Lingów.

– Chyba że wszystkich rozwalimy.

– Na żadną krwawą jatkę się nie piszę – oświadczyłem. – A zresztą w naszym fachu lepiej nie uciekać się do takich metod. Raz-dwa mielibyśmy Lingów na karku. Musimy dopaść ciężarówkę, kiedy będzie w niej sama załoga.

August siedział w korytarzu bezpiecznego domu, czekając na pilota samolotu, który miał go zabrać do Nowego Jorku, i chcąc nie chcąc, słuchał rozmowy Howella z jednym z techników operacyjnych:

– Panie Howell, mamy osobnika odpowiadającego podanemu przez pana i Augusta rysopisowi tego faceta z magazynu. To on?

– Tak. Co to za jeden?

– Piet Tanaka. Narodowość holenderska, były pracownik kontraktowy amsterdamskiej policji.

– Czym się teraz zajmuje?

– Przepadł bez śladu. Ani adresu, ani miejsca zatrudnienia.

– August! – ryknął Howell.

August wstał, wszedł do pokoju i spojrzał na ekran monitora.

– Czy to ten, którego widziałeś w magazynie?

August kiwnął głową.

– Tak, charakterystyczna twarz. To ten.

– Wykopcie mi spod ziemi tego popaprańca – zwrócił się Howell do technika. – Sam Capra dla niego teraz pracuje.

– To chyba nie do końca tak – wtrącił August.

– Wy, agencie Holdwine, śpieszycie się, o ile dobrze pamiętam, na samolot? – wysyczał Howell.

August odwrócił się i wyszedł. Na parterze czekał już

pilot, który miał go zabrać na lotnisko; Howell nie życzył mu dobrego lotu ani nie podziękował za poświęcenie, z jakim uczestniczył w akcji. Trujący swąd zdrady wisiał w powietrzu; czuli go wszyscy, od kiedy Howell zobaczył Sama Caprę uciekającego z miejsca przestępstwa, a zarazem meliny, w której przetrzymywano żywy towar na handel. A swąd zdrady wprawia ludzi w podły nastrój.

Po załadowaniu kilku kartonów ciężarówka z Chińczykami wyjechała z powrotem na autostradę. Ruszyliśmy za nią, zachowując bezpieczny dystans trzech samochodów. Piet był dobry w siedzeniu komuś na ogonie.

– No i jak ją przechwycimy, zanim znowu gdzieś podjedzie?

– Zmusimy ich do zjechania z autostrady.

– Co takiego? W biały dzień?

– A tak, w biały dzień. Rozdzielili się teraz – dwóch siedzi w kabinie, jeden w naczepie, przy towarze. Są czujniejsi tylko na postojach. Aktualnie żadnego zagrożenia nie przewidują.

– Bo tylko idiota napadałby ich na autostradzie – wyburczał Piet. – Co proponujesz?

– Podjedź trochę bliżej – odparłem. – Muszę się lepiej przyjrzeć drzwiom ładunkowym. Potem ich wyprzedzimy.

Piet dodał gazu i wpasował się w lukę między pierwszym a drugim z sedanów sunących za ciężarówką Lingów. Przyjrzałem się jej drzwiom ładunkowym. Przesuwne w pionie, zabezpieczone od dołu dwoma oddzielnymi kłódkami. W biegu, przy szybkości ponad stu kilometrów na godzinę, trudno byłoby je sforsować.

– No, wyprzedzaj.

Piet dał po garach i już byliśmy przed ciężarówką.



Kiedy ją mijaliśmy, rzuciłem okiem na drzwiczki kabiny kierowcy. Wyglądały zwyczajnie, nie zauważyłem żadnych modyfikacji, dostrzegłem jeszcze przez szybę śmiejącego się kierowcę i już ciężarówka została za nami.

– Nie daj się im teraz wyprzedzić.

Rozłożyłem na kolanach mapę. Jakies pięćdziesiąt kilometrów przed sobą mieliśmy skrzyżowanie z inną autostradą przecinającą w poprzek północną Francję.

– Szpula, wrywamy do przodu. Mam pomysł.

– Chyba cię pogięło! – parsknął Piet, ale z uśmiechem. Parkowaliśmy naszą furgonetką na wiadukcie nad autostradą, ciężarówka Lingów powinna tu być za parę minut.

– Wiesz, co robić?

Kiwnął głową.

– Jak się nie uda, wszystko weźmie w łeb.

– Jak się nie uda, to zginę. Więc nie marudź, tylko rób swoje.

– Powodzenia. – Podał mi rękę. Uścisnąłem ją, starając się nie okazywać, z jakim obrzydzeniem to robię.

– Są – powiedział, spoglądając w kierunku południowym. Pod nami w gęstej, szarej mgle rzeczywiście majaczyła nadjeżdżająca ciężarówka z naczepą.

Wyskoczyłem z wozu, przesadziłem barierkę i siadając na skraju wiaduktu, usłyszałem, jak furgonetka z Pietem za kierownicą rusza z piskiem opon. Odetchnąłem głęboko.

Ciężarówka Lingów była już pode mną. Skoczyłem i wylądowałem na dachu naczepy. Miałem szczęście, bo niewiele brakowało, a leżałbym na asfaltowej jezdni rozjeżdżany na placek przez pędzące nią sznury aut. Zamierzałem od razu płynnie wykonać parkourową roladę i przetoczyć się w stronę kabiny kierowcy, bo w ten sposób nie narobiłbym większego hałasu. Nie wyszło. Pośliznąłem się na mokrej powierzchni i upadłem na wznak. W tym samym momencie ciężarówka weszła w lekki zakręt i siła odśrodkowa zaczęła mnie spychać na skraj dachu, ten od strony pasażera.

Jak mnie zauważą w bocznym lusterku, to nie żyję, pomyślałem. Zapierając się rozpaczliwie rękami i nogami, w ostatniej chwili natrafiłem piętą na lekkie zagłębienie w dachu i jakimś cudem zdołałem wyhamować.

Leżałem przez chwilę w całkowitym bezruchu.

Zobaczyli mnie? Musiałem też brać pod uwagę ewentualną łączność radiową między kabiną kierowcy a facetem podróżującym w naczepie. Mógł przecież zgłosić tym z kabiny, że z dachu dochodzą jakieś podejrzone stukoty. W takim wypadku skręciliby w najbliższy zjazd z autostrady, poszukali ustronnego miejsca i tam się mnie pozbyli.

Nie. Minęliśmy następną tablicę informującą o zjeździe. Z szarych chmur zaczęło padać. Ciężarówka pędziła dalej.

Zacząłem pełznąć po dachu w stronę kabiny kierowcy. Powoli, stałym tempem, trzymając głowę nisko,

żeby nie zauważył mnie któryś z innych użytkowników drogi. Zaryzykowałem rzut oka za siebie. Piet był już z powrotem na autostradzie i jechał za nami blisko, ale nie za blisko.

Padło coraz rzęsiściej, metalowy dach zrobił się bardziej śliski, coraz trudniej było mi się na nim utrzymać.

Doczołgałem się w końcu do przedniej krawędzi naczepy. Dach szoferki miałem na wyciągnięcie ręki pod sobą. Mogłem się na niego z łatwością opuścić, ale stałbym się widoczny jak na dłoni dla kierowców aut nadjeżdżających z przeciwka. Każdy ma teraz telefon komórkowy; tylko tego by brakowało, żeby ktoś zgłosił francuskiej policji, że jakiś wariat surfuje po autostradzie na ciężarówce.

Opuściłem się więc nogami naprzód w wąską przestrzeń między szoferką a naczepą. Namacałem stopami półeczkę na spodzie tej szczeliny i przenosiłem już na nią cały ciężar ciała, kiedy ciężarówka podskoczyła na jakiejś nierówności drogi i prawa stopa mi się ześliznęła. Grawitacja pociągnęła mnie w dół. Uchwyciłem się instynktownie płataniny kabli łączących szoferkę z naczepą. Stopa wylądowała na metalowym sprzęgu. Pode mną, między ciężkimi kołami, rwała wstęga asfaltu.

Znalazłem w miarę stabilne oparcie dla nóg. Teraz albo nigdy.

Ściskając w jednej ręce pistolet Pieta, zacząłem

wsuwać powoli drugą za róg kabiny. Planowałem otworzyć jednym szarpnięciem drzwiczki od strony pasażera i wpaść do środka, zanim siedzący w szoferce konwojent ochłonie na tyle, żeby mnie wypchnąć pod koła pędzących za nami samochodów. Smagał mnie prąd powietrza, deszcz siekł w oczy.

Wyjrzałem zza winkła i napotkałem wzrok mężczyzny wychylającego się przez okno.

Na widok ludzkiej głowy wychylającej się z za kabiny zbaraniałem pasażerowi oczy niemal wyszły z orbit; był pod czterdziestkę, dobrze zbudowany.

Obaj zamarliśmy w bezruchu, na trzy sekundy czas się zatrzymał. Potem facet błyskawicznym ruchem sięgnął po broń.

Ledwo zdążyłem schować głowę, padł strzał. Pocisk, krzesząc jasną iskrę, odbił się rykoszetem od metalowej burty naczepy.

Ciężarówka ostro skręciła, zmieniając pas ruchu, zaraz potem szarpnęło mną w drugą stronę, kiedy równie gwałtownie wracała na poprzedni.

Próbowali mnie zrzucić. Zapierając się o śliski od deszczu metal, zobaczyłem furgonetkę Pieta wyprzedzającą ciężarówkę od strony kierowcy. Spod jej kół tryskały fontanny wody. Z szoferki ciężarówki doleciał stłumiony huk, pewnie strzelali do Pieta.

Wątpliwe, żeby to kierowca puścił kółko i chwycił za broń. Strzelał raczej pasażer. Pewności nie miałem, ale postanowiłem zaryzykować. Teraz pozostawało mi tylko działać na chama, ale z głową. Wysuwając się ponownie z za kabiny, usłyszałem kolejny huk wystrzału. Szarpnąłem za klamkę, ale zanim drzwiczki zdążyły się otworzyć, ktoś przytrzymał je od środka.

Tego nie przewidziałem. Straciłem równowagę, poleciałem do przodu, ześliznąłem się z mokrego

metalowego stopnia i uczepiony kurczowo klamki jedną ręką, zawisłem w powietrzu, niemal szorując podszwami po asfalcie.

Pistolet wyleciał mi z dłoni. Odbił się z metalicznym stukotem od stopnia kabiny i spadł na jezdnię, gdzie zmiażdżyły go koła.

Szyba tuż nad moją głową poszła w drobny mak, zasypał mnie grad okruchów szkła. Spanikowany pasażer strzelał na oślep. Sięgnąłem drugą ręką do klamki, podciągnąłem się z powrotem na stopień i wskoczyłem szczupakiem przez okno do wnętrza kabiny, uderzając grzbietem o górny odcinek ramy okna. Na przywitanie rąbnąłem pasażera łokciem w gardło i popchnąłem go na kierowcę.

Miałem pięć sekund na wygranie tej walki. Kierowca przerzucił pistolet z lewej ręki do prawej i strzelił do mnie. Pocisk wyorał mi płytką bruzdę przez sam wierzch głowy. Zabolało, zapiekło. Chwyciłem pistolet za lufę i popchnąłem w dół; kierowca, trzymając jedną ręką kierownicę, odruchowo nacisnął spust. Drugi pocisk wbił się w siedzenie tuż obok nogi pasażera. Ten wrzasnął i spanikowany próbował się odsunąć. Przyłożyłem mu pięścią wolnej ręki między oczy. Sflaczał. Przesunąłem się nad nim i przyparłem kierowcę do drzwiczek od jego strony. Ból w miejscu, gdzie drasnął mnie pocisk, był taki, jakby ktoś szorował mi po skórze zapaloną zapałką.

Próbował mnie odepchnąć, ale zaparłem się jedną nogą o przednią szybę, a drugą wyprowadziłem trzy

szybkie, silne ciosy z kolana w krtani i oczy. Pistolet wypadł mu z dłoni.

Ciężarówka odbiła ostro w bok, poczułem, jak opony opuszczają asfalt i suną poboczem porośniętym trawą i chwastami. Wpadaliśmy w poślizg.

Wpakowałem kolano w brzuch kierowcy, chwyciłem go za gardło pod szczęką.

– Kark ci skrucę – wysapałem po mandaryńsku. – Teraz słuchaj. Mój kolega chce was rozwalić. Ja nie. Chodzi nam tylko o ładunek. Rozwali was, nawet jak pójdziecie na współpracę. Ja daruję wam życie. Kumasz? – I skrucilem mu lekko szyję. Kiwnął głową.

Podniosłem pistolet i wbiłem kierowcy lufę pod żebra.

– Jedź jak gdyby nigdy nic.

Facet chwycił za kierownicę, wyprowadził ciężarówkę z powrotem na drogę. Zatrąbił przeraźliwie mijający nas mercedes, którego kierowca, nieświadomy dramatu rozgrywającego się w szoferce, pogroził nam pięścią.

Zrównała się z nami furgonetka. Jej dach szpeciła dziura po pocisku. Piet, pochylając się nad kierownicą, wyjrzał ostrożnie przez przednią szybę. Pomachałem mu.

– Ten z furgonetki chce was rozwalić – powtórzyłem. – Znasz angielski?

– Trochę – bąknął kierowca.

– Nie zdradzaj się z tym przed nim. To świr. W tej chwili ja jestem twoją ostatnią deską ratunku, łapiesz?

Kierowca kiwnął głową. Nieprzytomny pasażer nie brał w rozmowie udziału.

– Przekaż temu w naczepie, że zjeżdżamy z autostrady, a jak się zatrzymamy, ma odłożyć broń i wyjść z podniesionymi rękami. Powiedz mu, że jak nie posłucha, przestrzelę ci kolano.

Kierowca powtórzył posłusznie moje słowa do walkie-talkie.

Dałem Pietowi na migi do zrozumienia, że ma jechać za nami. Na moje polecenie kierowca ciężarówki skręcił w najbliższy zjazd z autostrady. Starłem dłonią wilgoć z twarzy. Boczna droga biegła między zamglonymi łąkami, na których pały się krowy, pewnie z jakichś okolicznych farm mlecznych. Jak okiem sięgnąć ani żywego ducha. Droga była stara, wąska, asfalt po brzegach wykruszony. Gdzieś na czwartym kilometrze zobaczyłem w oddali rozpadającą się, wzniesioną z kamienia rudere. Wyglądała na stodołę. Kiedy do niej dojechaliśmy, kazałem kierowcy się zatrzymać.

– Pamiętaj, rób, jak powiedziałem, bez względu na to, o czym będę rozmawiał z tamtym z furgonetki – zwróciłem się po chińsku do kierowcy. – Zaprowadzę was do tej stodoły, zostanieie w niej, a ja wrócę do ciężarówki i odjedziemy. Zrozumiałeś?

Kierowca kiwnął głową.

Piet tymczasem zaparkował i z pistoletem gotowym do strzału podszedł do nas. Wyciągnąłem kierowcę z kabiny, trzymając go na muszce.



Zazgrzytał metal. Obejrzałem się. To otwierały się drzwi ładunkowe naczepy i Piet miał już wskakiwać do środka.

– Rób, jak ci mówiłem! – zawołał po mandaryńsku kierowca.

– Nie strzelaj! – wrzasnął konwojent, wyskakując z naczepy z rękami w górze.

Przestępczość jest rodzajem wojny. Tyle że żołnierze są gotowi oddać życie za swój kraj, natomiast na palcach jednej ręki można policzyć takich, którym uśmiecha się umrzeć za watażków w rodzaju Lingów. Lojalność jest jak dym nad pogorzelskiem. Byle podmuch ją rozgania.

– Skąd mam mieć pewność, że nas nie pozabijasz? – spytał po chińsku kierowca.

– Bo gdybym chciał was zabić, to już byście nie żyli – odparłem.

Zastanawiał się przez chwilę w milczeniu. W końcu doszedł chyba do wniosku, że i tak innego wyjścia nie ma. Konwojent miał około czterdziestki i był korpulentny. Wargi mu drżały, mrugając, patrzył na krowy na pastwisku.

– Trzymaj – powiedział Piet, wręczając mi pistolet. – Rozwał ich.

– Nie na widoku – warknąłem. – Otwarta przestrzeń, echo poniosłoby huk wystrzałów nie wiadomo dokąd, a zresztą ani mi się śni taskać potem trupy do lasu. Załatwię sprawę w tej stodole. A ty sprawdź tymczasem ładunek. Jeśli znajdziesz jakieś czipy lokalizujące, wyrzuć je.

Lingowie mogą monitorować swoje transporty. Tych żółtków biorę na siebie.

Piet spojrzał z uśmiechem na Chińczyków.

– Boże, co za tępaki. My tu rozmawiamy o ich wykończeniu, a oni stoją jak te barany.

Ale konwojent z naczepy zdradzał wyraźne oznaki podenerwowania. Można było odnieść wrażenie, że zaraz rzuci się do ucieczki.

– Spokojnie – powiedziałem do niego po mandaryńsku. – Wszystko gra. Chodźcie ze mną.

Kazałem kierowcy wywlec z kabiny nieprzytomnego konwojenta i wziąć go na plecy. Posłuchał, przerzucił go sobie przez ramię.

– To mój pierwszy kurs – powiedział drżącym głosem konwojent z naczepy. – Jestem nauczycielem. Szwagier mnie w to wciągnął, nie znam się na tym... – Na głowie miał bejsbolówkę Jankesów.

Poprowadziłem ich przed sobą w stronę stodoły. Kiedy przechodziliśmy przez dziurę w płocie, obejrzałem się. Pieta nie było, pewnie wlaźł już do naczepy.

Stodoła była stara i kiedy kopnąłem wrota, kabłąk zardzewiałej kłódki pękł. Gestem zaprosiłem Chińczyków do środka.

– Litości – zaskamlał konwojent. – Błagam, nie rób tego.

– Siadajcie – poleciłem.

Kierowca ułożył na ziemi nieprzytomnego konwojenta z szoferki i usiedli.

– Tamten musi pomyśleć, że nie żyjecie. Zrozumiano? Ale ja was nie zabiję.

Pokiwali głowami, nie spuszczać wzroku z pistoletu.

Cofnąłem się o krok.

– Ty – zwróciłem się do konwojenta. – Rzuć mi swoją czapkę.

Ściągnął z głowy i rzucił mi bejsbolówkę Jankesów. Chwyciłem ją i nasadziłem sobie na pozlepiane krwią włosy.

– Teraz portfele i dokumenty.

Rzucili mi je skwapliwie.

– Teraz wstańcie. Odwróćcie się.

Kiedy to zrobili, rąbnąłem jednego, a zaraz potem drugiego kolbą pistoletu w potylicę. Osunęli się na ziemię bez czucia. Dla pewności przyłożyłem jeszcze każdemu z piąchy. Z tym od początku nieprzytomnym dałem sobie spokój. Następnie oddałem trzy strzały w powietrze i wróciłem do ciężarówki.

Piet przeglądał dokumenty. W manifest wpisano, że ciężarówka wiezie tureckie papierosy, które mają trafić do Londynu. Oczywiście nie była to prawda. Pochodziły z Chin i zapewne wyprodukowano je w jakiejś nielegalnej fabryczce.

– Znalazłeś jakieś czipy lokalizacyjne? – spytałem.

– Nie – odparł Piet. – Czysto.

– No to w drogę.

– Chciałbym zobaczyć tych Chinoli.

– No to idź tam i ich sobie obejrzyj – powiedziałem obojętnie. Gdyby to zrobił, musiałbym go zastrzelić.

Przyglądał mi się przez chwilę.

Na drodze pojawiła się nagle mała farmerska półciężarówka. Za kierownicą siedziała starsza kobieta. Przyglądała nam się ciekawie, przejeżdżając obok.

To spłoszyło Pieta.

– Spadamy stąd – zdecydowałem. – Ja poprowadzę ciężarówkę, ty furgonetkę.

Mijając opuszczone zabudowania dawnego przejścia granicznego, wpadliśmy na pełnym gazie do Belgii. Dzień był pochmurny i wzdłuż autostrady paliły się latarnie – na biało we Francji, po belgijskiej stronie na żółto.

Piet, który wciąż się obawiał, że znowu może zostać zdradzony, odebrał mi komórkę i nie miałem jak skontaktować się z Milą. W furgonetce nie było zainstalowanego telefonu, ale był GPS.

Nie zamierzałem działać na ślepo.

Przyszła pora, żeby sprawdzić, czy Mila mówiła prawdę.

Wprowadziłem do GPS-u furgonetki hasło Roger Cadet i spojrzałem na monitor. Według Mili powinny się na nim teraz wyświetlić podległe jej mocodawcom bary, które ewentualnie mógłbym wykorzystać w charakterze kryjówki.

Jeden wynik: Bruksela, Taverne Chevalier, przy Avenue Lord George, w dzielnicy dyplomatycznej. Kiedy dojeżdżaliśmy do Brukseli, błysnąłem światłami. Piet zjechał na pobocze, podszedłem do szoferki.

– Muszę przepłukać gardło i wrzucić coś na ruszt, a poza tym zadzwonić w kilka miejsc.

– Na dzwonienie ci się zebrało? – warknął Piet. – Prujemy dalej.

– To nie jedyny interes, jaki ubijam. Albo się zatrzymujemy, albo oddajesz mi komórkę.

– Żadnych telefonów.

– Muszę trzymać rękę na pulsie, bo następny interes przejdzie mi koło nosa, a właśnie go nagrywam. Nie mogę zasypiać gruszek w popiele.

W oczach Pieta rozbłysła chciwość.

– Co to za interes?

– Złoty można śmiało powiedzieć. Przerzut sprzętu wojskowego. – Myślałem już o telefonie, który musiałem wykonać.

– Gdzie chcesz się zatrzymać?

– Znam tu jedno takie miejsce.

Taverne Chevalier okazała się skromną knajpką, jedną z tych, gdzie dowartościowują się ci z poczuciem niedowartościowania. Wyłożona mahoniem, bar z rzędem dystrybutorów kuflowego piwa belgijskich i holenderskich marek, niektóre serwowane w staroświeckich, ceramicznych kuflach. Salka rozbrzmiewała wielojęzycznym gwarem. Spodnie biodrówki, okulary w czarnych oprawkach, mężczyźni i kobiety z wystudiowanymi uśmiechami urzędników. Bruksela to miasto dyplomatów i handlowców; przemknęło mi przez myśl, że jeśli Mila i jej tajemniczy mocodawcy nie są w ciemię bici, to pod każdym stolikiem znajduje się pluskwa rejestrująca rozmowę.

– Nie ma czasu na popijanie, a jak jesteś głodny, to weźmy coś na wynos. – Piet był podminowany. Ciężarówkę zostawiliśmy na parkingu parę przecznic dalej i trząśł się teraz o ładunek.

– Znam właściciela tej knajpy – skłamałem.

– Tu się nie da robić interesów. Za dużo ludzi.

– Zaufaj mi – powiedziałem.

Piet parsknął śmiechem.

– Raczysz żartować.

Zmierzyłem go wzrokiem.

– Co pijesz?

– Chyba wrócę do ciężarówki. Za dwie godziny możemy być w Amsterdamie.

– I będziemy. Chodź.

Usiedliśmy przy stoliku, zczekaliśmy na kelnerkę i zamówiliśmy dwa lagery jupiter. Kiedy z nimi wróciła, wsunąłem jej w dłoń banknoty i szepnąłem:

- Chciałbym się widzieć z kierownikiem.
- Jest zajęta, proszę pana.
- Dla mnie znajdzie chyba czas. Jestem od Mili.

Kelnerka zniknęła na zapleczu baru i po chwili wyłoniła się stamtąd korpulentna, mnie więcej pięćdziesięcioletnia kobieta ze ściągniętymi brwiami.

- Słucham pana?
- Jestem znajomym Rogera Cadeta – powiedziałem, wykorzystując hasło, które podała mi w Amsterdamie Milla.

Kobieta kiwnęła głową.

- Każdy znajomy Rogera jest tu mile widziany.
- Zastałem go? Chciałbym z nim porozmawiać na osobności.

Zerknęła na Pieta.

- Spytam, czy pana przyjmie.
- Zostań tutaj – zwróciłem się do Pieta – racz się piwem, ja zaraz wracam.
- Nie. Kto cię tam wie, czy do kogoś nie zadzwonisz i nie powiesz mu, gdzie jest przesyłka. Idę z tobą.

Nachyliłem się do ucha Pieta.

- Mam z facetem do obgadania kilka spraw w związku z tym przerzutem broni, ale mogę cię dokooptować do pomocy i odpalić działkę z zysku. Jesteśmy współnikami, tak?

Piet był rozdarty; pieniądze kusily, ale nie chciał spuszczać mnie z oka.

– Nie podoba mi się to, Sam.

– Posłuchaj. Ryzykowałem życie tam na ciężarówce. Nie pogrywam z tobą. Trzymamy sztamę, prawda, Piet? Ale mam też inne zobowiązania i muszę ich dotrzymywać. Chyba to rozumiesz? Ja cię nie podejrzewam, że pod moją nieobecność wyjdiesz stąd i odjedziesz wyładowaną ciężarówką w siną dal. Wracam najdalej za dwie minuty.

Przecisnąłem się za kierowniczką przez tłum dyplomatów i szczupłych pięknych ludzi i weszliśmy na schody. Obejrzała się na mnie.

– Pan nowy?

– Tak. I w kłopotcie. Potrzebna mi broń, telefon komórkowy...

Przekręciła klucz w zamku drzwi po lewej stronie podestu. Zerknąłem na schody. Piet nie szedł za nami.

Przestąpiłem próg pomieszczenia.

– Mam na imię Eliane – powiedziała kierowniczka, zamknąwszy za nami drzwi. – Czemu pan wcześniej nie zadzwonił?

– Nie mogłem. Nie mam komórki.

Pod ścianami stały regały, część półek zajmowała broń palna. W rogu stało zasłane łóżko polowe. Najchętniej zważyłbym się na nie i zasnął. Marzenie ściętej głowy. Przeszukałem półki. Wybrałem dwa Glocki, kilka magazynków na zapas, tłumiki.



- Czego jeszcze panu trzeba?
- Czeka mnie konfrontacja z liczną grupą – odparłem.
- Będą uzbrojeni po zęby, a ja sam jeden. Nie pozostaje mi chyba nic innego, jak wybić ich do nogi.

Eliane zamrugwała.

- Zamierza pan pozabijać wszystkich?

Przełknąłem ślinę.

- Sam nie wiem. – Cholera. Zamierzałem? Gdybym pozostawił przy życiu choć jednego z członków grupy, to mógłby wpaść w ręce holenderskiej policji i puścić farbę na przesłuchaniach. Zaid postawił sprawę jasno – wszyscy mają zginąć, dla ochrony dobrego imienia Jasmin. Z drugiej strony ona przeszła pranie mózgu, co ją w jakimś sensie usprawiedliwiało.

Eliane otworzyła jakiś karton. Był oznaczony znanymi mi logo. Militronics, Zaid's Company. Sprzęt produkowany przez jego firmę miał mi pomóc w ocaleniu jego córki.

- Ma pani kajdanki albo coś w tym rodzaju? – spytałem.

- Mam, ale podobno chce pan zabijać, a nie brać jeńców.

- Nigdy nie wiadomo, jak się potoczą sprawy. Niech mi pani da kilka kompletów.

Wręczyła mi gruby pęk plastikowych, ząbkowanych pasków do krępowania nadgarstków.

- I jeszcze to. Granat błyskowy – powiedziała. – Zmodyfikowana wersja tych, których używa policja. Wie

pan, jak się nim posługiwać? Tutaj jest przycisk uaktywniający, a tu się nastawia opóźnienie.

– Dzięki. Tylko jak ja się z tym wszystkim zabiorę? – Nie mogłem przecież zejść na dół, do Pieta, obładowany sprzętem. – Zaparkowałem swoją furgonetkę jakiś kilometr stąd. Da się to jakoś do niej przetransportować?

– Da się – powiedziała. – Ten mężczyzna z panem... to jakiś podejrzany typ.

– To bezwzględny morderca i handlarz żywym towarem. Muszę go zwabić, zresztą nie tylko jego, w zasadzkę.

– A zatem nie wolno nam popełnić błędu – powiedziała Eliane. Podobała mi się. Byłem ostatnio oceniany przez tylu ludzi, od Howella począwszy, poprzez Augusta, po Miłę, a Eliane po prostu chciała mi pomóc. Ucałowałbym ją za to.

Opisałem jej furgonetkę i dałem kluczyki.

– I jeszcze jest mi potrzebny telefon komórkowy. Zaprogramowany na numer, pod którym złapię Miłę. – Zdjąłem bejsbolówkę i Eliane pokręciła głową na widok zakrzepłej krwi. Obejrzała ranę.

– Jest powierzchowna, ale trzeba ją opatrzyć – orzekła.

– Nie ma na to czasu. Jak zaraz nie zejdem na dół, on zacznie coś podejrzewać. Ile zajmie przeniesienie tego sprzętu do furgonetki?

– Dziesięć minut.

– Jeszcze gotówka. Z tysiąc euro. Ma pani tyle?

Muszę mieć coś na dowód, że ubiłem interes z panem Cadetem.

Podeszła bez słowa do wmurowanego w ścianę sejfu, wystukała na klawiaturze kombinację cyfr, otworzyła go i wręczyła mi plik banknotów.

– No, to do roboty – powiedziała. – Oboje mamy coś do załatwienia.

Miała rację. Zbiegłem po schodach. Piet siedział przy stoliku i z ponurą miną sączył piwo. Przysiadłem się i wręczyłem mu sto euro. Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Cadet był mi winny trochę kasy – wyjaśniłem. – No i dał mi zaliczkę na konto następnej roboty.

– Warto się było dla tego zatrzymywać?

– Z mojego punktu widzenia warto, Piet.

Skinąłem na kelnerkę. Musiałem dać Eliane czas na znalezienie furgonetki i upchnięcie w niej tego, co dostałem.

Z kolumn głośnikowych poleciało *Purple Haze* Jimiego Hendrixa. Nie za głośno, ale to wystarczyło, by wprowadzić trochę funkowej atmosfery do tego zainfekowanego garniturami pubu. Piet odchylił się na oparcie krzesła, przymknął oczy. To był długi, ciężki dzień. Umysł i ciało chciały się zrelaksować, wydalić z siebie adrenalinę.

Zamówiłem specjalność zakładu, grube kanapki z szynką ardeńską, a Piet wydudlił czterema łykami kolejną szklanice piwa, lecz kiedy kelnerka zaproponowała jeszcze jedną kolejkę, powiedział:

– Nie, kawę poproszę.

Ja też poprosiłem o kawę.

– Weź te kanapki i kawę na wynos – mruknął Piet.

– Nie – powiedziałem. – Zostaję tutaj, bo chcę jak człowiek zjeść kolację. – Nachyliłem się do niego i wysyczałem: – Postrzelono mnie dzisiaj, Piet, i straciłem sporo krwi. Z narażeniem życia zeskakiwałem z wiaduktu na ciężarówkę. Jak mówię, że jemy tutaj, to jemy tutaj. Należy nam się mała przerwa.

Czy byłem mu jeszcze potrzebny? Widziałem po jego oczach, że to rozważa.

Pośpiesz się, Eliane, pomyślałem. Wolałem nie ryzykować spojrzenia na zegarek ani na zegar nad barem. Piet obserwował mnie bacznie, poszukałem więc azylu w szklanicy piwa.

Obok naszego stolika, rozmawiając przyciszonymi głosami po niemiecku, przeszli dwaj mężczyźni w garniturach. Piet się skrzywił.

– Nienawidzę tych urzędasów. Wydaje im się, że rządzą światem, a te ich rządy o kant dupy potłuc.

– Tylko tacy jak my mogą im zagrać na nosie.

Piet nie odpowiedział, bo w tym momencie do stolika podeszła kelnerka z kawą.

– A te kanapki proszę nam zapakować na wynos – zwrócił się do niej.

– Ale...

– Żadne ale, Sam – wpadł mi w słowo tonem nieznośnym dyskusji. – Nie podoba mi się tutaj. Dopiję

tę kawę i wychodzimy.

Zdażyłem już zauważyć, że im bliżej jesteśmy zajęcia się właściwym przerzutem na zlecenie Edwarda, on coraz bardziej stara się przejąć inicjatywę. To było jego rozdanie; ja byłem tu tylko na przyczepkę. Dobrze, niech myśli, że sobie mnie podporządkował.

– Jak chcesz, Piet. – Ale nie śpieszyłem się.

– Dokończ kawę. Ja muszę zadzwonić. Zaraz wracam. – Wstał i wyszedł z Taverne Chevalier.

Nie widziałem go przez okno baru. Niepokoiło mnie to. Gdyby mi się teraz urwał, straciłbym jedyną szansę dotarcia do Edwarda, odnalezienia Jasmin i dowiedzenia się, co spotkało Lucy.

Idź za nim, podpowiadał głos wewnętrzny.

Kelnerka postawiła przede mną torebkę z zamówionymi przez nas kanapkami. Zapłaciłem jej i wstałem od stolika.

Wyszedłem z Taverne Chevalier drzwiami frontowymi. Piet, stojący kilka kroków od nich, zamykał właśnie klapkę telefonu komórkowego. Popatrzył na mnie dziwnie.

Pokazałem mu torebkę z kanapkami.

– To co, w drogę?

– Tak – burknął. – Podejdź tu, Sam.

Kiedy podszedłem, popchnął mnie przed sobą i przyparł do drzwi pobliskiego sklepiku.

– Ręce na drzwi.

– No, co jest? O co chodzi?

Obmacał mi wprawnie ramiona i nogi. Sprawdzał, czy nie mam przypadkiem czegoś, czego mieć nie powinienem. Wyciągnął z mojej kieszeni plik euro.

– Dostyc tego. Nie mam komórki, nie mam broni. Ładnie mi odpłacasz za ocalenie tyłka. Oddaj pieniądze.

Wepchnął mi plik banknotów w dłoń.

– No. Przepraszam – mruknął po chwili.

Udałem wkurzonego.

– Pomogłem ci, wynalazłem tę przesyłkę Lingów, bardziej dzisiaj ryzykowałem. Jeśli któryś z nas miałby nie ufać drugiemu, to chyba prędzej ja tobie.

– Może – burknął. – Ty pewnie się uważasz za sprytniejszego, za twardszego ode mnie. – A więc uznał mnie za zagrożenie dla siebie; zeskoczyłem na pędzącą ciężarówkę i uprowadziłem ją. Odezwała się urażona męska duma. – Chodźmy.

– Usiądźmy i zjedźmy tutaj, jeśli tawerna ci nie odpowiada. Nie lubię zimnego żarcia. – Musiałem dać Eliane czas na powrót. W najgorszym razie udam, że

zgubiłem w tawernie kluczyki do furgonetki i będziemy musieli tam wrócić, ale wtedy jego podejrzliwość niepomiarowo wzrosła.

Był chyba zażenowany swoim przyłykiem nieufności do mnie, bo nie oponował. Usiedliśmy na ławeczce przy ulicy i zabraliśmy się do kanapek. Zza rogu wypadła na pełnym gazie kobieta na skuterze. Rozpoznałem Eliane. Miałem nadzieję, że Piet pochłonięty konsumpcją nie zwrócił na nią uwagi.

– Muszę do kibelka – powiedziałem, kiedy skończyliśmy.

– Ja też – mruknął.

Wolałbym wrócić do tawerny sam; miałem tam do odebrania kluczyki do furgonetki. Ale trudno. Eliane stała za barem i nalewała piwo do szklanki. Obrzuciła nas obojętnym spojrzeniem.

Weszliśmy z Pietem do toalety; skończyłem pierwszy i wyszedłem. Przechodząca korytarzykiem Eliane otarła się o mnie i wykrzykując jakieś polecenie do barmana, wcisnęła mi w dłoń kluczyki, które po chwili znalazły się w mojej kieszeni.

Na moje ramię spadła dłoń Pieta.

– Wiesz, miałeś rację, ten przystanek dobrze mi zrobił. Czuję się jak nowo narodzony. No, ale teraz w drogę.

Wyszliśmy w ciemność i pomaszerowaliśmy aleją. Za naszymi plecami cichły powoli gwar i muzyka Taverne Chevalier. Piet nie zdejmował dłoni z mojego ramienia.

– Czyli wracamy do Amsterdamu? – spytałem.

– Tak. Rozmawiałem z Edwardem. Mamy tam spotkanie z nim i jego ludźmi. Przygotujemy z nimi przesyłkę, przewieziemy ją do Rotterdamu, tam zainkasujemy honorarium i idziemy w miasto.

– Kiedy to spotkanie?

– Za trzy godziny.

– Wyrobimy się.

Widać już było parking, a na nim ciężarówkę i stojącą obok furgonetkę. No, nareszcie. Za trzy godziny albo sam nie będę żył, albo zabiję Pieta i porywaczy Jasmin, ją odnajdę, a z Edwarda wyduszę, gdzie są teraz moja żona i dziecko.

– Wiesz, Sam – powiedział Piet – masz rację. Dowiodłeś, i to nie raz, że jesteś godny zaufania. Trzymaj. Ty teraz prowadź ciężarówkę.

Zatrzymałem się. No, nie. Inaczej to sobie wyobrażałem.

– Nie, nie, w porządku – zachnąłem się. – Nie krępuj się, prowadź ją dalej.

– Nie. Niech to będzie dowód, że ci ufam.

Przeszedł mnie zimny dreszcz. Mówił szczerze czy może widział, jak Eliane przekazuje mi kluczyki?

Zaufanie czy podejrzliwość? Wciąż był mi potrzebny; nie znałem miejsca tego spotkania, a nawet gdybym znał, lecz pojawił się bez niego, nie wpuszczono by mnie.

– Dobra, dawaj kluczyki.

Wygrzebał je z kieszeni, ja wręczyłem mu w zamian



kluczyki do furgonetki.

– Jedź za mną – powiedział.

– A jak nas rozdzieli ruch na drodze?

– Nie rozdzieli – zapewnił mnie.

Wsiadłem do ciężarówki. Może chodziło tylko o to, że zmęczyło go jej prowadzenie. Może tylko o to. Ale telefon, broń i reszta znajdowały się teraz poza moim zasięgiem. A kiedy już dotrzemy na miejsce, nie będę miał pretekstu, żeby choć zbliżyć się do furgonetki.

Wchodziłem, bezbronny i osamotniony, w paszczę lwa.

Amsterdam, grubo po północy. Noc jest niczym lustro, w którym przegląda się to miasto, światła Amsterdamu odbijały się w chmurach gwiazdozbiorami iskier. To miasto nigdy na dobre nie zasypia. Noc jest porą, kiedy rozkwita wiele amsterdamskich interesów.

Jechałem za Pietem. Z filmu, który oglądałem, wynikało, że będzie ich dziesięcioro, wliczając w to Edwarda. Spotkamy się w jakimś ustronnym miejscu, żeby przepakować broń w kartony z papierosami. Zajmie się tym pewnie część gangu, reszta będzie stała na czatach. Taki podział ról powinien mi ułatwić zadanie, ale nie na długo.

Szkoda, że nie miałem pistoletu, ale ten problem da się szybko rozwiązać.

Piet zatrzymał się przed jakimś starym browarem na południowych przedmieściach Amsterdamu, pod wypłowiałą tablicą informującą w języku holenderskim, że browar jest zamknięty na czas renowacji. Stała tam już inna nieoznakowana ciężarówka, a obok audi sedan. Serce zabiło mi żywiej.

To samo srebrne audi z Edwardem i Lucy w środku, za którym biegłem ulicami Londynu. Miało inne tablice rejestracyjne, ale rozpoznałem je po tylnym zderzaku zarysowanym w trakcie ucieczki zapchanymi ulicami.

Uprowadził moją żonę. Teraz byłem blisko. Czułem wzbierającą we mnie pierwotną wściekłość, dziki gniew

jaskiniowca. Ale nie wolno mi było dać mu się ponieść. Musiałem zachować zimną krew.

W oknach paliło się światło. Byli tam.

Pora postawić wszystko na jedną kartę.

Wyskoczyłem z ciężarówki.

– Daj mi kluczyki od furgonetki – zwróciłem się do podchodzącego Pieta.

– Po co ci?

– Zostawiłem tam fajki.

– Nie wiedziałem, że palisz.

– No to teraz wiesz – mruknąłem.

– Masz tu ciężarówkę pełną szlugów.

– Nie chce mi się rozpruwać kartonów.

– No dobra, trzymaj. Ale spręż się. – Wcisnął mi w dłoń kluczyki.

Podszedłem do furgonetki. Piet zniknął za ciężarówką, prawdopodobnie poszedł otworzyć tylne drzwi do rozładunku.

Teraz.

Mogłem się tylko domyślać, gdzie Eliane ukryła sprzęt. Pod fotelem kierowcy.

Udałem, że szukam papierosów w schowku na wypadek, gdyby Piet mnie obserwował.

Potem wsunąłem rękę pod fotel.

Pusto. Wychyliłem się, pomacałem pod fotelem pasażera. Nic. Nie, pod siedzeniami z tyłu Eliane by tego nie schowała. Rozejrzałem się bezradnie po wnętrzu.

I nagle poczułem na potylicy lufę pistoletu.

– Nie ze mną te numery – wysyczał Piet. – Głupia zagrywka.

– O czym ty, u diabła, mówisz?

– A pistoletach, telefonie i innych takich. Telefon zadzwonił. Ktoś z Amsterdamu próbował się z tobą połączyć. Po co ci te kłamoty?

Kiedy nie odpowiadałem, mocniej docisnął lufę do mojej głowy.

– Do obrony.

– Przede mną?

– Nie, przed nimi.

– Jakimi nimi?

Odwróciłem się powoli, żeby na niego spojrzeć; lufa pistoletu przesunęła mi się po policzku i zatrzymała między oczami.

– Przed Edwardem i jego ludźmi. Myślisz, że co z nami zrobią, kiedy dostawa dotrze już do miejsca przeznaczenia? Zabiją, stary. Nie będziemy im już do niczego potrzebni. Nas jest dwóch, a ich ilu, z tuzin?

– Nic nam z ich strony nie grozi.

– Edward nie jest zwyczajnym przemytnikiem, Piet. Wiem, co to za jedni. To oni dokonali zamachu na dworcu kolejowym.

Pobladł.

– Skąd wiesz? Kim ty jesteś?

– Peterem Samsonem, tak jak mówiłem. Znajomy z tawerny zaopatrzył mnie w tę wyprawkę – powiedziałem bez zmrużenia oka. Nie bałem się. Poczciwy Piet,

doprowadzając do tej konfrontacji na zewnątrz, za bardzo odkrył karty.

Jeśli ktoś idzie na spotkanie z groźnymi przestępcami i w ostatniej chwili zaczyna podejrzewać, że towarzysząca mu osoba jest wtyką, to raczej nie przyzna się przed tymi groźnymi przestępcami, że naraża ich na zdemaskowanie. Należało więc zakładać, że Piet słowem nie ostrzegł przede mną Edwarda.

Ledwie przemknęło mi to przez myśl, gdy uświadomiłem sobie, że ekipa Edwarda usłyszała zapewne podjeżdżającą ciężarówkę i lada moment wylegnie ze starego browaru.

Nie miałem już czasu na gadkę z Pietem.

– I co, zamierzasz mnie załatwić? – spytałem.

– Chcę wiedzieć, dla kogo pracujesz – wycedził. Od tej informacji zależało teraz jego życie. Tylko w ten sposób mógł się zrehabilitować przed Edwardem i jego ludźmi za swój błąd. – Mów, do cholery, bo cię rozwalę.

Milczałem.

– Kim jesteś? – warknął. I zaraz potem odjął pistolet od mojej głowy, bo przypomniało mu się, że ma skuteczniejsze środki nacisku.

Wyciągnął spod kurtki wakizashi.

Cofnął się, wziął zamach; chciał mnie nastraszyć, ale cofając się, zrobił mi miejsce do manewru. Głownia ze świstem przecięła powietrze. Odchyliłem się i zasłoniłem nogą. Ostrze jego melodramatycznej zabawki weszło do połowy w grubą podeszwę moich ciężkich roboczych

buciorów i utknęło w niej. Piet na moment stracił głowę.

Uchwyciłem się klamki drzwiczek furgonetki i podpierając się na niej, dokopałem mu z drugiej nogi. Trafiony w podbródek poleciał z rozciętą wargą do tyłu, plując po drodze wybitymi zębami.

Opadłem na asfalt jedną nogą, wyrwałem z podeszwy drugiego buta wakizashi i zbliżywszy się do niego, przyłożyłem mu czubek ostrza do krocza.

Stracił przednie zęby. Próbował odczołgać się chodnikiem.

– Nie, błagam.

Poderwałem go na równe nogi, napałem ostrzem na brzuch. Zaskamlał zdjęty grozą; myślał, że chcę go wypatroszyć.

I w tym momencie otworzyły się drzwi browaru. Zasłonięci przez furgonetkę nie byliśmy z nich widoczni. Wyrznąłem Pieta pięścią w krwawiące usta, oklapł.

Doskoczyłem do furgonetki i wpełzłem do niej na czworakach. Znalazłem swoją wyprawkę z tyłu, tam gdzie Piet ją odrzucił. Wyciągnąłem z woreczka dwa Glocki, jeden z dokręconym tłumikiem, ładunek wybuchowy, komórkę.

Usłyszałem kroki na chodniku. Nadchodziły co najmniej dwie osoby. Wolałbym, żeby było ich więcej.

– Piet?! – zawołał jakiś mężczyzna. – Weź się nie wygłupiaj. Edwarda zaraz szlag trafi, mamy opóźnienie.

Ujrzałem ich po chwili w blasku księżyca. Jeden zauważył leżącego na chodniku Pieta. Podbiegł do niego; drugi, sprytniejszy, zatrzymał się, rozejrzał, a zaraz potem przykucnął z pistoletem gotowym do strzału.

Przez uchylone drzwi furgonetki strzeliłem mu w kolano. Z rozdzierającym wyciem, trzymając się za nogę, przewrócił się na bok. A więc opowieści o bólu, jaki to wywołuje, nie były przesadzone. Temu, który pochylał się nad Pietem, strzeliłem w oba kolana. Opadł na klęczki, ale zanim zdążył krzyknąć, byłem przy nim. Zdzieliłem go pięścią w krtań, pozbawiając głosu. Kopnąłem pierwszego, i on też ucichł.

Dwaj załatwieni.

Wybiegłem zza furgonetki i dopadłem do drzwi. Były otwarte i zablokowane w tym położeniu, natomiast brama prowadząca na teren browaru pozostawała na głucho zamknięta. Dziwne – przecież słysząc podjeżdżającą

ciężarówkę, której się spodziewali, powinni ją otworzyć na oścież i powitać nas z otwartymi ramionami.

Nastawiłem ucha. Z głębi budynku dochodził stłumiony gwar rozmowy. Zaryzykowałem rzut oka w głąb korytarza. Fluorescencyjne oświetlenie. Betonowa posadzka, ceglane ściany, wysokie, zapyziałe okna. Czułem zapach pieczonych kiełbasek i pizzy.

Wśliznąłem się tam. Stare pomieszczenia biurowe, drzwi do nich pozamykane, jedne otwarte. Z pomieszczenia, do którego prowadziły, sączyła się blada poświata.

Słyszałem głosy. Rozmowa toczyła się po holendersku.

– Kantujesz – warknął ze złością jakiś młody mężczyzna.

– W grze komputerowej nie da się kantować – odpowiedział mu kobiecy głos.

– Znasz jakiś trik.

– Znajomość trików to nie kantowanie, marudo – zauważyła kobieta. Kilka osób się roześmiało.

Stałem w progu. Było ich pięcioro – czterech mężczyzn i kobieta. Siedzieli plecami do mnie z joystickami w dłoniach, na ekranie rozgrywała się jakaś fikcyjna krwawa jatka. Zabijali nazistów w wygenerowanych komputerowo gruzach Berlina. Pokój był nie tyle biurem, ile dużym pomieszczeniem magazynowym. W przeciwległej ścianie osadzone były wielkie, ciężkie metalowe drzwi.



– Hej, palanty – odezwałem się. – Gra skończona. – Mało dowcipne, ale nie byłem w nastroju do wymyślania błyskotliwych odzywek.

Drgnęli jak na komendę i zastygli w bezruchu. Najbliżej mnie siedziała kobieta. Rozpoznałem w niej Demi, tę z domu, w którym byłem z Pietem. Przyciągnąłem ją do siebie. Zesztywniała z przerażenia. Powypuszczali z dłoni joysticki i oddział SS-manów na ekranie za nimi momentalnie wybił do nogi graczy, którymi sterowali.

Przystawiłem pistolet do głowy Demi.

– Odłożyć broń... powoli.

Trzej mieli pistolety zatknięte za paski na plecach. Widziałem je, kiedy wstawali. Dwóch posłuchało. Trzeci, muskularny młodzieniec ze złym błyskiem w oczach, wyciągnął swój i zawahał się.

– Nie ujdzie ci to na sucho – warknął. Pamiętałem, że ma na imię Freddy.

– Chcesz umrzeć? Poważnie? Rzuć pistolet.

Nie zrobił tego, a więc żeby pokazać, że nie żartuję, jemu też przestrzeliłem kolano. Wrzasnął i upadł. W jednej chwili wyparowała z niego cała zuchowatość.

– No, dobra – powiedziałem spokojnie. – Przyszedłem po Jasmin i Edwarda. Gdzie ich znajdę?

Milczeli.

– Jeśli nie wiecie, to nic mi po was. – Wziąłem na cel następnego mężczyznę.

– Miniesz halę z kadziami – odezwała się

schrypniętym szeptem Demi – i zejdziesz schodami po lewej do starego skrzydła biurowego. Pilnują jej tam.

– Ilu was tam jeszcze jest?

Zacisnęła usta.

– Myślisz, że do ciebie nie strzelę, bo jesteś kobietą? No, rusz mózgowicę. Ilu?

– Pięcioro.

– Tuzin – wykrztusił w tym samym momencie Freddy – a następni są w drodze.

Uwierzyłem Demi. Boże, miałem nadzieję, że nie skłamała.

– Otwórz który tamte metalowe drzwi – powiedziałem.

Jeden z mężczyzn posłuchał.

– Nie pomagajcie mu! – wrzasnął Freddy.

– Chcesz jeszcze raz zatańczyć? – spytałem. – Morda w kubek. – Zamilkł.

Widziałem teraz wnętrze – to była chłodnia, coś w rodzaju gigantycznej lodówki.

– Telefony komórkowe na podłogę. Opróżnić kieszenie. – Posłuchali; pięć komórek upadło na podłogę.

Ruchem pistoletu dałem im do zrozumienia, że mają tam wejść. Kiedy to zrobili, zatrzęsnałem za nimi i zarygłowałem drzwi. Pozostało jeszcze pięcioro, a nie wiedziałem, czy jest wśród nich Edward.

Ruszyłem dalej korytarzem. Główna hala browaru pogrążona była w niemal całkowitych ciemnościach. Gdzieś z wysoka sączyła się tylko blada poświata, dzięki

której można było odróżnić pękate, ogromne bulwy sześciu zaśniedziałych miedzianych kadzi osadzonych w betonowej posadzce. Halę obiegał górą azurowy pomost łączący drzwi do jakichś pomieszczeń, które się tam znajdowały. Ściany wyłożone były białymi kafelkami.

Usłyszałem kroki. Ktoś nadchodził pomostem. Po chwili zobaczyłem go. Mężczyzna z karabinem przewieszonym przez pierś. Idąc azurowym pomostem, człowiek odruchowo spogląda w dół poprzez jego oka. Zauważył mnie.

Otworzył ogień. Skryłem się za dyniastą kadzią, brzęk pocisków bębniących o miedź przywodził na myśl uwerturę wygrywaną na cymbałach.

Przede mną, nieco poniżej poziomu posadzki, ciągnęła się ściana z osadzonym w niej metalowym prostokątem. Brama na rampę. Tam, za tą bramą, czekała pewnie reszta bandy mająca rozładowywać ciężarówkę. Jeśli dam się tutaj przyszpilić, dopadną mnie.

Wpełźłem do kadzi. Nisko, ciemno, brzęk pocisków odbijających się od powierzchni sprawiał, że poczułem się jak w gongu. Przez otwór w wierzchu kadzi widziałem róg hali i pomost skracający tam pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Czekałem.

Ten z karabinem przerwał ogień. Stracił mnie z oczu i oszczędzał amunicję. Myślał pewnie, że chowam się za którąś z kadzi. Wstrzymując oddech, wsłuchiwałem się w odgłos jego kroków. Szedł pomostem w kierunku narożnika. Kiedy pojawił się w polu mojego widzenia,

nacisnąłem spust. Chyba dostał, bo odrzuciło go na ścianę i osunął się po niej. Mało mnie obchodziło, czy żyje jeszcze, czy szlag go trafił. Najważniejsze, że przestał do mnie strzelać.

Wylazłem z kadzi, zeskoczyłem na betonową posadzkę, dopadłem do drzwi prowadzących na rampę i otworzyłem je. Rampą nadbiegał jakiś gość, dobywając pistoletu. Za nim pędziło jeszcze dwóch. Po prawej miałem stare palety z pustymi butelkami. Schowałem się za nimi. Na głowę posypały mi się śmierdzące zwietrzałym piwem odpryski szkła z roztrzaskiwanych pociskami szyjek butelek.

Trzech na jednego. Znieruchomiałem. Ścisnąłem w dłoniach dwa glocki, za paskiem spodni z tyłu miałem wakizashi Pieta, w kieszeni kurtki materiał wybuchowy.

Ogień ustał.

W hali zaległa dzwoniąca w uszach cisza, w powietrzu unosił się smród kordytu i zwietrzałego piwa.

– No, idź – syknął ktoś po holendersku.

– Nie, ty idź – odparł ktoś inny.

Nie mogli się zebrać na odwagę.

– Rzuć broń! – zawołał jeden po holendersku. – Jesteś otoczony.

Z glockami gotowymi do strzału wychyliłem się ostrożnie zza palet.

Nikogo nie widziałem.

Za moimi plecami, w drugim końcu ogromnej hali rozległ się stłumiony krzyk kobiety.

Jasmin.

Nie miałem czasu czekać, aż któryś z tych trzech tchórzem podszytych patafianów zdecyduje się na działanie. Stare palety stały pod ścianą przedsionka ustawione w pięć długich prostokątów. Do drzwi prowadzących na rampę miałem od nich jakieś dwanaście kroków. Dwa stosy palet od siebie słyszałem co najmniej dwa głosy.

Mój umysł wszedł na obroty, na jakich już dawno nie pracował. Przedśionek zalało nagle jarzeniowe światło. To włączyło się oświetlenie pod sufitem. Strzeliłem do jarzeniówki i przedśionek z powrotem pograżył się w półmroku.

Jasmin znowu krzyknęła.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu. Po mojej lewej coś się poruszyło. Niewiele myśląc, zerwałem się na równe nogi, strzeliłem w tamtym kierunku i ponownie przypadłem do posadzki. Zza palety doleciał bełkotliwy jęk.

Puściłem się biegiem przejściem między stertami palet. Po paru susach pod moimi butami zachrząściło potłuczone szkło.

I w tym samym momencie huknęły strzały. Strzelano do mnie z trzech stron. Od przodu, od tyłu, z prawej.

Byłem otoczony.

Skręciłem w lewo, w kierunku człowieka, którego przed chwilą trafiłem. Słyszałem wokół siebie gorączkową krzątaninę, dwóch zachodziło mnie od tyłu, odcinając drogę powrotną do głównej hali z kadziami.

Ale ja nie zamierzałem się tam wycofywać. Szukali mnie między paletami. Jeśli mnie tam nie znajdą, zyskam nad nimi chwilową przewagę.

Podskoczyłem, podciągnąłem się na rękach na wysoki na trzy metry stos palet i pobiegłem jego brzegiem. Jakieś poruszenie po prawej, kolejny facet wychylał się zza narożnika, zaglądając w przejście między paletami, w którym jeszcze przed dwudziestoma sekundami się kryłem. Strzeliłem do niego. Chybiłem. On też strzelił. Poczułem, jak pocisk rozrywa mi kurtkę i ociera się o skórę na plecach. Zapieкло mnie w barku, to pieczenie przeszło w rozdzierający ból.

Pękały butelki, stos palet zapadał się pode mną. Przemknęło mi przez myśl, że jeśli teraz spadnę na tę stłuczkę, to nie dość, że się pokaleczę, to jeszcze stanę się łatwym celem.

Przeskoczyłem na dach stojącego nieopodal podnośnika widłowego. Kryjący się za nim mężczyzna spojrział zaskoczony w górę. Wypaliłem do niego. Padł. Przeskoczyłem na sąsiedni stos palet. Bark rwał nieludzko. Czułem, jak po plecach spływa mi ciepły strumyczek krwi. Byłem ranny.

To niemożliwe. Niemożliwe. Zeskoczyłem ze stosu

palet na beton i znalazłem się niemal oko w oko z facetem z karabinem. Złożył się do strzału, ale spustu nie naciskał.

– Rzuć broń! – wrzasnął.

Wypuściłem z rąk oba glocki.

– Na ziemię!

Opadłem na klęczki, sięgając za siebie po wakizashi.

– Ręce tak, żebym je widział!

Zacisnąłem dłoń na rękojeści wakizashi. Przekręciłem miecz i ostrze przecięło cienki skórkowy pasek od spodni. Dzięki ci, Piet, że z nudów, kiedy czekaliśmy w deszczu pod tamtą fabryczką pod Paryżem na ciężarówkę z dostawą dla Lingów, tak pięknie go naostrzyłeś.

– Dostałem w bark – wyjęczałem. – Nie mogę unieść ręki.

Postąpił krok w moją stronę.

– Coś ty za jeden? Policjant?

– Weź się puknij w czoło – fuknąłem. – Widziałeś kiedy policjanta działającego w pojedynkę? Nie jestem z policji.

Usłyszałem za sobą chrzęst szkła. Ten, kto zachodził mnie od tyłu, zauważył zaraz wakizashi.

– Coś za jeden?! – wrzasnął znowu ten przede mną.

Dwa kolejne kroki za moimi plecami...

Przewróciłem się na wznak, przeturlałem w bok, kurtka chroniła mnie przed odpryskami szkła. Wakizashi wszedł jak w masło w nogę faceta za mną. Zawył z bólu i ten z karabinem przede mną zamarł. Wyrwałem miecz z rany tamtego za mną i ciąłem w udo tego przed sobą.

Odskoczył z okrzykiem, naciskając odruchowo spust. Pociski poszły w beton. Ja przestałem się liczyć jako cel. Zemdlał.

Zbliżał się ktoś jeszcze. Słyszałem jego kroki. Jezu, ilu ich tam jeszcze jest? Wyrwałem z kieszeni kurtki latarkę, zapaliłem ją i wepchnąłem pod pachę temu nieprzytomnemu, z karabinem.

Nie zważając na ból w barku, wycofałem się za stos palet.

Ktoś przyklęknął na zasłanej szklaną stłuczka posadzce, zaklął i zrobiło się jasno jak w dzień. Wybiegłem zza stosu palet i w gasnącym rozbłysku granatu świetlnego zobaczyłem zwijającego się z bólu, oślepionego i ogłuszonego mężczyznę. Podniosłem z posadzki pustą butelkę i przyłożyłem mu w łeb. Kiedy upadł, poprawiłem kopniakiem w twarz. Znieruchomiał.

Dwunasty. Dwunastu już załatwiłem. Ledwie trzymałem się na nogach. Został jeszcze jeden. Edward. Sprawdziłem swoje glocki. Puste. Jeden z mężczyzn miał pistolet z pełnym magazynkiem. Zabrałem mu go.

Wysunąłem się ostrożnie spomiędzy palet. Szkło z rozbitych butelek po piwie zdradzało każdy mój krok. Po wybuchu dzwoniło mi w uszach, krwawiłem. Cały byłem obolały.

Lucy. Pociecha. Jasmin, dziewczyna, którą miałem uwolnić.

Słyszałem tylko dobiegający gdzieś z oddali szloch tej młodej kobiety. Ten szloch przeszedł po chwili w



krzyk i rozszedł się echem po hali.

Wpadłem z gotowym do strzału pistoletem do krótkiego korytarza po drugiej stronie hali z kadziami.

Krzyk Jasmin się urwał. Zatrzymałem się z poślizgiem w kolistym pomieszczeniu o ścianach wyłożonych kamieniem. Pachniało tu drewnem, rozchlanym piwem i prochem. Szarogranatowy mrok rozjaśniała migotliwa poświata sącząca się z uchylonych, najdalszych z trojga drzwi. Dochodził stamtąd przyciszony męski głos, przesycony zniecierpliwieniem i nienawiścią. Wytężyłem słuch.

*Nie bój się. Rób tylko, co mówię, a wszystko będzie dobrze.*

*Mój ojciec nastął kogoś jeszcze...* Ten drżący głos należał do Jasmin. Błagam.

Zbliżyłem się do tych uchylonych drzwi.

*Zamilcz.* To mówił Edward, człowiek, który ukradł mi żonę, znałem ten głos z nagrania. On zaraz tu będzie.

A żebyś wiedział. Otworzyłem kopniakiem drzwi i zobaczyłem ich. Edward, odwrócony plecami do mnie, pochylał się nad przerażoną, siedzącą na łóżku Jasmin. W rękę trzymał pistolet.

Zaczynał go unosić.

Był mi potrzebny żywy.

– Rzuć broń!

Obejrzał się. Zalśniła blizna w kształcie znaku zapytania na jego skroni. Wypuścił z ręki pistolet. Nie

zauważyłem w jego oczach strachu. Widziałem w nich tylko czystą kalkulację.

– Kopnij go do mnie.

Posłuchał. Był z niego kawał chłopca, barczysty, umięśniony, na wideo nie wyglądał na takiego.

Przydepnąłem jego pistolet.

– Teraz na ziemię. Ręce na głowę.

Jasmin płakała, Edward klął pod nosem, ale stosował się do moich poleceń.

– Już dobrze, Jasmin. Ja od twojego taty. Zabieram cię stąd. Podejź.

Wstała powoli z łóżka. Przesunęła się nad klęczącym wciąż Edwardem. Patrzył na nią hipnotyzującym wzrokiem bazyliuszka. Ja przestałem się dla niego liczyć.

– Ja cię znam – wydusił z siebie Edward.

– Ja ciebie też.

– Londyn. – Jego głos był jak wąż pełznący po kamieniach. Lekko brytyjski akcent. Uśmiechnął się, sukinsyn. – Miło było popatrzeć, jak nawiewasz. Jak pajak z płonącej sieci. Nie wiadomo dokąd, na oślep.

– Gdzie moja żona?

Jasmin była już między nami, ocierała łzy.

– To cię najbardziej interesuje, co?

– Gdzie moja żona?

Roześmiał się.

– Widzę, że bardzo ci na niej zależy, że chcesz poznać miejsce jej wiecznego spoczynku. Chcesz wiedzieć, co przeszła, zanim umarła, jak cierpiała.

Ciarki przeszły mi po plecach. Tylko nie to.

– Mów, jeśli ci życie miłe.

– Darujesz mi je, nawet gdybym przyznał, że zabiłem Lucy? No, darujesz? – Znowu się roześmiał. Nie podobał mi się ten śmiech. Tak śmieją się ci, którzy są pewni swojej przewagi.

– Chodzi ci o tę Amerykankę? – Jasmin zatrzymała się przede mną. Ręce miała założone na piersi. Dygotała. W rzeczywistości jej głos był jakiś inny niż na nagraniu, wyższy. – Tę z dzieckiem? Lucy, tak?

Spojrzałem na nią.

– Gdzie ona jest?! – wrzasnąłem.

– Nie wiem, gdzie jest teraz... – Usiłowała zapanować nad własnym głosem. – Nie wiem...

– Chcesz wiedzieć, gdzie jest twoja żona? – odezwał się Edward. – Puść wolno mnie i Jasmin, to się dowiesz.

Usłyszałem za sobą kroki. A więc nie wszystkich załatwiłem.

Odwróciłem się na pięcie i strzeliłem.

Poraził mnie prąd elektryczny. Szok rozchodzący się po kościach, ścięgnach i krzyżu był tak silny, że chcąc nie chcąc, wypuściłem z ręki pistolet i opadłem na kolana wpatrzony w skórkowe buty osoby stojącej w progu.

Podniosłem wzrok.

Lucy. Z paralizatorem w dłoni. Najcichszy dźwięk rozbrzmiewał w mojej głowie rykiem wodospadu. To był jakiś koszmar. Spróbowałem wyrwać z ciała strzałki paralizatora, ale jej kciuk poruszył się jakby w

zwolnionym tempie i prąd znowu mnie poraził.  
Poprawiła kopniakiem w głowę.  
Ciemność.

## CZEŚĆ TRZECIA

**14–21 KWIETNIA**

„Systemy upadają, w ich miejsce powstają następne.  
Państwo istnieje tylko dlatego, że ludzie wierzą w  
sens  
jego istnienia – wierzą w systemy, jakie narzuca...  
I dlatego przestępczość, podważając tę wiarę,  
jest wielkim zagrożeniem dla współczesnego  
społeczeństwa”.

– Carolyn Nordstrom, *Global Outlaws*

Piet Tanaka uchylił zlepione krzepnącą krwią powieki i zamrugał. Odetchnął spazmatycznie. Prąd chłodnego powietrza w zetknięciu z połamanymi zębami wywołał piorunujący efekt. Pieta poderwało i byłby usiadł jak pchnięty sprężyną, gdyby nie leżało na nim coś ciężkiego. Człowiek. Jeden z bandziorów Edwarda, postrzelony, nieprzytomny.

Piet zepchnął go z siebie i pozbierał się z ziemi. Z browaru dochodziły odgłosy strzelaniny.

Pora się stąd zmywać. Wszystko wzięło w łeb. Mało go obchodziło, kto tam w środku bierze górę: ten gnojek, któremu tak dał się podejść, czy ludzie Edwarda.

W drzwiczkach furgonetki od strony kierowcy tkwiły kluczyki. Wsiadł, uruchomił silnik i pomknął w noc. I nagle uświadomił sobie, że nie ma swojego miecza, i ogarnęła go dzika wściekłość. Sam, ty skurwysynu.

Dwa kilometry dalej przyszedł mu do głowy genialny pomysł. Potrzebuje jakiegoś wyjścia awaryjnego. Sam dla kogoś pracuje. Świetnie. Jego mocodawcy są pewnie głodni rozmaitych informacji. Powinni go przygarnąć. Pora zmienić barwy klubowe.

Kierownik tamtego brukselskiego baru zaopatrzył Sama w sprzęt i pieniądze; kierownik innego baru w Amsterdamie, De Rode Prins, też go wspierał. Te bary musiały być ze sobą w jakiś sposób powiązane i tam należało szukać mocodawców Sama, żeby dobić z nimi

targu. Pomacał językiem pulsujące bólem dziąsła, gdzie jeszcze niedawno miał przednie zęby, skrzywił się z bólu i skręcił w stronę kanału Prinsengracht. Bar będzie już zamknięty, ale włamie się do niego i dowie, dla kogo pracuje Peter Samson.



Ból promieniujący od głowy poprzez barki, aż na plecy zmusił mnie do otwarcia oczu. Usiadłem powoli. Cały byłem obolały. Zakrzepła krew na głowie, na policzku, wargi zlepione śliną. Znajdowałem się w małym pomieszczeniu o kamiennych ścianach. Nie było tu łóżka; same szafki na akta. Koszulę i kurtkę miałem podciągnięte.

Naprzeciwko mnie siedziała Lucy.

Zamrugalem.

– Witaj, Sam.

– Obcięłaś włosy – wymamrotałem ochryple.

– Mam cię zabić – powiedziała.

Gdzieś w oddali słyszałem pracujący silnik ciężarówki. Szuranie przesuwanych skrzyń. Sens jej słów nie od razu do mnie dotarł.

– Lucy...

– Powiedziałam Edwardowi, że zrobię z tobą porządek, ale to można różnie rozumieć.

– Lucy... Gdzie dziecko? – Po głowie tłukły mi się tysiące pytań, ale to przebiło się pierwsze.

– Sam. Umrzesz, jeśli nie będziesz słuchał, co do ciebie mówię.

Patrzyłem na jej płaski brzuch, na wepchniętą w niebieskie dzinsy ciemną bluzkę.

– Gdzie nasz synek?

– Nie twoja sprawa, Sam.

- Owszem, moja.
- Zamknij się i słuchaj, małpoludzie. – Tak mnie kiedyś przeżywała. – Staram się ratować ci życie.
- Ty? – fuknąłem. – Daruj sobie.
- Chcesz zginąć?
- Coś ty zrobiła? Jak mogłaś?
- Jestem teraz mądrzejsza, silniejsza i bogatsza. Ty też możesz spróbować.

Kobieta, którą kochałem. Którą wydawało mi się, że kocham. Siedziała przede mną z twarzą i ciałem, które tak dobrze znałem, które uwielbiałem; mówiła głosem, który mruczał mi do ucha czułe słówka. Ale była mi obca. Nie znałem jej.

Tak, nie znałem.

Była jednym wielkim kłamstwem i skradła mi coś więcej niż tylko trzy lata życia. Skala tego kłamstwa zwałała z nóg. Okradła mnie z poczucia tożsamości, z tego, co wiedziałem o tym świecie. To małżeństwo już nie istniało i nie miałem nawet czasu, żeby nad tym boleć. Wszystko to przemknęło mi przez głowę w sekundę i nie czułem już do niej nic.

– Dobrze, mądra i bogata – warknąłem. – Gdzie nasze dziecko?

– Nie zapytasz, dlaczego to wszystko?

– Nie. Bo albo mnie okłamiesz, albo nic nie powiesz. Zrobiłaś, co zrobiłaś, koniec, kropka. Nie rozumiem tego, ale nie muszę. Muszę jedynie cię powstrzymać.

– To ci się nie uda – zapewniła mnie z uśmiechem.

– No, dobrze. Załatwmy to po twojemu. Powiedz mi dlaczego. Najwyraźniej bardzo chcesz mi to wyznać. Masz chyba jakiś powód, dla którego jeszcze mnie nie zabiłaś. Chcesz się przedtem nade mną popastwić?

– Nie jestem bez serca, Sam. W końcu... coś tam do ciebie czułam. Dobrze gotowałeś. Byłeś dobry w łóżku. Opiekuńczy. Dobry był z ciebie mąż.

– I dobry parawan – dorzuciłem.

– Na pewno wmawiałaś Firmie, że jestem niewinna. Założę się. Bardzo rycerska postawa.

– Naiwność.

– Nie, jestem bardzo dobra w zwodzeniu ludzi – przyznała.

Dźwignąłem się z trudem z posadzki, w głowie mi szumiało.

– Co tu się dzieje, Lucy? Kim są ci ludzie, co wy kombinujecie?

– Słodka tajemnica, Sam – powiedziała. – Mam z ciebie wydobyć, co wiesz, a potem cię zastrzelić. Ale nie mogę. Nie potrafię cię tak z zimną krwią... Chyba...

Postąpiłem krok w jej stronę, uniosła pistolet.

– To nie będzie z zimną krwią, jeśli mnie zaatakujesz. Chyba nie chcesz umrzeć?

Zatrzymałem się.

– Nie chcę.

– No to się cieszę, że nie zniszczyłam w tobie woli życia. – Nie potrafiłem odczytać emocji malującej się na jej twarzy. Wydawała mi się jakaś niespokojna, niepewna

siebie.

– Chcę wiedzieć, co z naszym synkiem.

– Nie powiesz policji ani Firmie, że żyję. A ja za mniej więcej tydzień skontaktuję się z tobą i powiem, jak odnaleźć to dziecko. Będziesz mógł je zabrać.

– Wszystko z nim w porządku?

– Jest bezpieczny, Sam. – Spojrzała na mnie. – To zdrowy, śliczny chłopczyk. Udał nam się. – Podniosła się i przełknęła ślinę. Na lufę pistoletu miała nakręcony tłumik. – No, na mnie już pora. A więc umawiamy się tak: ja teraz wychodzę i odjeżdżam z Edwardem. Ty siedzisz tu cicho jak mysz pod miotłą i czekasz na policję. O mnie nie wspominasz im słówkiem. Za jakiś czas dam ci znać, gdzie szukać dziecka. Jeśli o mnie komukolwiek powiesz, nigdy go nie zobaczysz.

– Dlaczego darowujesz mi życie?

– Trzy lata już ci z niego ukradłam. To rekompensata.  
– Głos jej zadrżał.

– To jeszcze nie powód. Mów, dlaczego? – Wyczuwałem, że kieruje nią coś jeszcze.

– Nie bądź niewdzięcznikiem – mruknęła Lucy. Pomyślałem o trzech latach naszego małżeństwa, tego wyreżyserowanego przez nią spektaklu.

– Czy ty mnie kiedykolwiek kochałaś? – zapytałem.

– Pewnie tak. Najlepszy na to dowód, że wciąż oddychasz.

Wyjrzała ponad moim ramieniem przez okno. Rozpętała się tam właśnie strzelanina. Lucy zatrzasnęła

drzwi i zaryglowała. Doskoczyłem do nich i spróbowałem wyważyć kopniakiem.

Strzelanina się urwała. Teraz i ja wyjrzałem przez okno. Na parkingu hamowała właśnie z piskiem opon jakaś furgonetka. Wskoczyło z niej trzech mężczyzn.

Jednym z nich był Howell.

Piet zaparkował furgonetkę w bocznej uliczce i pokuśtykał brzegiem Prinsengracht. Kiedy był dzieckiem, matka przed pójściem do pracy spacerowała z nim codziennie nad kanałami. Marzył o zamieszkaniu w którejś z tych uroczych kamieniczek z widokiem na połyskujący w porannym słońcu kanał. O zostaniu sławnym artystą i posiadaniu pracowni nad brzegiem Prinsengracht albo Herengracht. Z tych marzeń nic nie wyszło i już nie wyjdzie.

W większości okien było ciemno, ale w tych bezpośrednio nad Rode Prins paliło się światło.

Dokuśtykał do drzwi frontowych Rode Prins. Jak to nazywał się ten barman? Henrik. Zapyta o Henrika. Może to kierownik; może mieszka nad barem.

Grunt zdecydowanie palił mu się pod nogami. Może wkupi się informacjami o Edwardzie. Zadekowałyby się w jakimś spokojnym miejscu, na przykład w Panamie albo Hondurasie. Ciepło, błękitne niebo i niezbyt rygorystyczne prawo. No i mnóstwo dziewczyn, które można by ekspediować do burdeli w Stanach i Kanadzie. Zacznie od nowa.

Okna i drzwi frontowe zasłonięte były grubymi aksamitnymi kotarami. Zapukał. Pierwszy raz nieśmiało. Nie chciał zwracać uwagi policji. Nie zauważył małej kamery monitoringu nad drzwiami, obserwującej każdy jego ruch. Zapukał ponownie, trochę głośniej, i z

zaskoczeniem stwierdził, że kotara w drzwiach frontowych powoli się rozsuwa. Przez szybę w drzwiach patrzyła na niego kobieta. Dreszcz go przeszedł. Dziwne, noc nie była chłodna. Może to skutek utraty krwi?

– Samson mnie przysyła. Potrzebuje pomocy. Naprawdę.

Kobieta przyglądała mu się badawczo. Była ładna, drobna, miała ze trzydzieści lat. Blondynka. Apetyczna. Oceniał ją z nawyku. Tak, teraz ją sobie przypominał; widział ją w tym barze, kiedy wpadł tu na piwo z Samem.

– Nie wiem, o jakim Samsonie pan mówi, a bar jest już zamknięty. – Mówiła z tą osobliwą mieszaniną wschodnioeuropejskiego i brytyjskiego akcentu. Podobał mu się ten akcent. Polubił go, słuchając wykrzykiwanych w łamanej angielszczyźnie błagań obłaskawianych słowiańskich dziewcząt.

– Nie obchodzi mnie, że zamknięte. Chcę się zobaczyć z Henrikiem czy kim tam, kto prowadzi ten bar. Mam ciekawe informacje do sprzedania. – Przypomniało mu się nazwisko, którego Samson użył w Taverne Chevalier w Brukseli. – Roger Cadet. Z nim chcę się zobaczyć, albo z kimś, kto z nim współpracuje.

– Co to za informacje?

– Na temat człowieka, którego szuka Peter Samson.

– On nie nazywa się Peter Samson – powiedziała kobieta. Teraz jej ton Pietowi się nie spodobał. Był opryskliwy, zniecierpliwiony. Przydałaby się suce lekcja szacunku, pomyślał. – To po prostu Sam.

– Niech będzie, cholera, Sam. Współpracuje z wami, prawda? Z panią i ludźmi z podobnego baru w Brukseli? To dobijamy tego targu czy nie?

Uśmiechnęła się.

– Chyba tak.

Piet zniżył głos do szeptu.

– Wasz chłopak naporza się teraz z pewnymi zakapiorami. Potrzebuje pomocy.

– A ty ochrony przed tymi samymi zakapiorami? Znam ja takich jak ty.

Nie bardzo wiedział, jak to rozumieć. Ale mniejsza z tym.

– Mam coś wartościowego.

Przewierciła go wzrokiem.

– Jestem... zwierzchniczką Sama. Wchodź.

Otworzyła drzwi, wkuśtykał do środka. Zamknęła za nim drzwi i zasunęła kotary.

– O Jezu. Dzięki. Dostanę drinka?

Weszła bez słowa za bar i naląa mu szklaneczkę jenevera. Wdrapał się na stołek i wychylił ją do dna. Alkohol zaszczypał go w poharatane dziąsła.

– Sam wybił mi zęby – poskarżył się.

Naląa mu drugą porcję.

– Ale tu dotarłeś.

– Sam miał wsparcie. Nie wchodzi się ot tak sobie do baru i wychodzi uzbrojonym po zęby. – Wypił jednym haustem drugiego jenevera. Ciepło rozeszło mu się po kościach.



– Mam na imię Mila – powiedziała kobieta. – I nie proponuję nic w zamian. Powiedz mi po prostu, gdzie jest teraz Sam.

Piet splunął krwią na kontuar, czuł mdłości.

– Na tym świecie nie ma nic za darmo. – Tym razem sam napełnił sobie szklanę jeneverem i wypił go duszkiem.

– Ból jest. – Uniosła krótką, czarną pałeczkę, która w mgnieniu oka rozsunęła się teleskopowo na długość ramienia, i walnęła go w nos i usta. Wrzasnął rozpaczliwie, kiedy okruchy rozbitej szklanki po jeneverze wbiły mu się w twarz. Zamachnął się, ale nie zdążył wyprowadzić ciosu. Mila przeskoczyła przez bar i zaczęła okładać go pałką z precyzją godną chirurga, rozbijając na miazgę ścięgna, nerwy i naczynia krwionośne. Drugim uderzeniem złamała mu nos. Kiedy rzucił się na nią, wymachując na oślep pięściami, strzaskalała mu kolano. Powietrze uszło mu z płuc.

Chwyciła go wolną ręką za genitalia, ścisnęła i ból zaparł mu dech w piersiach. Wtedy rąbnęła czołem w złamany nos i padł jak ścięty.

Otworzył oczy. Pochylała się nad nim, dysząc ciężko. Na czoło opadał jej kosmyk blond włosów ochlapany jego krwią.

– Nie ruszaj się – wysapała. – Nie podnoś rąk. Oddychaj tylko i słuchaj.

Jęknął i zamienił się w słuch.

– Wiem, co robiłeś z tamtymi kobietami z magazynu

– wyszeptała. – Wiem. Wiem, co z ciebie za ziółko. W dawnych czasach, Piet, byłbyś kapitanem statku przewożącego niewolników. Albo nazistowskim komendantem obozu koncentracyjnego, który biczuje więźniów na śmierć. Jesteś ulepiony z tej samej gliny co oni. Znam takich jak ty. Znam was jak zły szeląg.

Zajęczał i skręcił się z bólu. Oż, to kolano. Zmroziła go myśl, że już do końca życia będzie kulał.

– Ten bar ma betonową posadzkę. Ściany są dźwiękoszczelne. To nie przypadek – ciągnęła. Dotknęła czubkiem pałki teleskopowej jego strzaskanego kolana. – Albo mi powiesz, co chcę wiedzieć, albo zgwałcę cię tą pałką.

Groza ścisnęła mu serce. Spojrzał na tę straszną kobietę i w cieniu, który przemknął przez jej twarz, zobaczył wszystkie dziewczyny, które do tej pory sprzedał. Nad jej ramieniem widział portret czerwonego księcia z twarzą zachlapaną farbą. Na postumencie baru rozpryski własnej krwi.

– Rozumiesz, co do ciebie mówię? – spytała Mila.

– T... tak.

– Gdzie jest Sam?

Wybełkotał adres browaru i wskazówki, jak tam dojechać. Przystawiła mu pałkę do krocza.

– Nie... błagam, nie...

– Zamknij się. Żadne błagam. Żadne prośby o zmiłowanie. To ludzkie uczucia, a ty jesteś istotą ludzką tylko z wyglądu. – Wstała.

Zaszlochał z bólu, trzymając się za kolano.

– Wstawaj – warknęła.

– Nie mogę, nie dam rady, suko jedna.

– To, czego się dopuszczałeś, w głowie się nie mieści. Jednej z dziewcząt z Mołdawii przestreliliś łydkę, bo ci się opierała – ciągnęła Mila. – Wiem, bo mi powiedziała. Ona dała radę wstać. Sprawdzam tylko, czy jesteś tak samo twardy jak te dziewczyny. Wstawaj, bo ta pałka pozbawi cię męskości. Dziesięć, dziewięć, osiem...

Kiedy doliczyła do dwóch stał, już niepewnie, dygocząc z bólu i wściekłości.

– Słuchaj – wykrztusił. – To nie tak jak myślisz, to tylko biznes... Musiałem z czegoś żyć. Moi rodzice są chorzy...

– Dość. Nazywasz się Piet Tanaka. Ojca nie znasz, a twoja matka była dziwką. Nie obchodzi mnie, że masz teraz o to żal do całego świata. Nikogo to nie obchodzi. Sam wybrałeś swój sposób na życie. Twoje skomlenia nie robią na mnie wrażenia.

Łzy popłynęły mu z oczu.

– Powiedziałem, że mam ważne informacje...

– Dziewczeta, które wysyłałeś do Izraela, do Wielkiej Brytanii, do Hiszpanii, do Afryki, nie mogły liczyć na litość. Nie mogły się targować. Były wykorzystywane, a potem zabijane. Gwałcone po kilkanaście razy na dzień.

– Błagam... – spróbował znowu Piet.

– Myślę, że powinieneś się przekonać, jak to jest. Znaleźć się w pomieszczeniu bez okien ze świadomością,

że jesteś tam tylko po to, żeby zostać wykorzystanym. Skrzywdzonym. Potraktowanym w nieludzki sposób.

Piet chwycił się mosiężnej rurki biegnącej przy podłodze wzdłuż baru.

Mila wyjęła z kieszeni telefon komórkowy i wybrała numer.

– Halo? Nadia?

Tak miała na imię jedna z dziewcząt. Pamiętał ją: ta ruda.

– Mam go tutaj. Ma złamaną nogę, złamany nos i w ogóle jest zmalretowany. Nie ucieknie wam. Nie jest w stanie zrobić wam krzywdy. Przyprować go? Możecie z nim zrobić, co chcecie. – Długa przerwa. – Jesteś pewna? Lepiej byście się poczuły. Nie? No, jak chcecie.

Przerwała połączenie.

– Te kobiety nie chcą cię więcej widzieć. Masz szczęście. – Mila wzruszyła ramionami i złożyła pałkę.

– Proszę... błagam.

– Za to ja jeszcze z tobą nie skończyłam. – Wyciągnęła zza pleców pistolet i strzeliła mu w krocze. Niewyobrażalny ból. Wrzeszczał, zwijał się, wył i pełzał po betonie.

Mila dalej naciskała spust, odliczając bez pośpiechu:

– Jedna, druga, trzecia.

Kiedy doszła do ósmej – po jednej kulce za każdą z kobiet, które przed nim ocaliła – posłała mu pocisk litości między oczy. Drgnął po raz ostatni i znieruchomiał.

Odwróciła wzrok, wyjęła znowu komórkę i

zadzwońała po Henrika. Odebrał po trzecim sygnale.

– Zejdź tu. Trzeba posprzątać. I wywieźć, wiesz, na to wysypisko za lotniskiem. Aha, i nie otwieraj już dzisiaj baru, dopóki się nie odezwę.

– Zrozumiałem – powiedział Henrik.

Mila otworzyła drzwi, zarygłowała je za sobą, wsiadła do samochodu i pognęła pustymi ulicami. Pięć minut za miastem zaczęła dygotać, przypominając sobie oczy tego umierającego mężczyzny. To spojrzenie błagające o litość, której nie potrafiła okazać.

*Myślisz, że na nim robiły wrażenie oczy tych kobiet?  
Ni gdy. Przenigdy. Odpuść sobie.*

Jechała dalej, zastanawiając się, czy Sam Capra żyje jeszcze, a jeśli tak, to czy kiedykolwiek powie mu, co zrobiła. Chyba nie.

Poczułem, jak zamek ustępuje. Pchnąłem drzwi. Plecy miałem złane potem.

Wbiegłem po schodach na górę. Słyszałem strzały. Mężczyźni leżeli tam, gdzie ich zostawiłem. Prócz jednego. Ten zdołał się jakoś doczołgać do ściany.

Wszyscy mieli dziurki po pociskach w czole.

Wbiegłem do hali z kadziami. Strażnik, którego ustrzeliłem na pomoście, leżał teraz u stóp schodów. Też z dziurką w czole.

Dokuśtykałem korytarzem do magazynku. Na posadzce leżała kolekcja telefonów komórkowych; gra wideo leciała dalej przez nikogo niekontrolowana, na ekranie wyświetlane było puste pole bitwy. Stalowe drzwi były uchylone; pchnąłem je. Piątka zapędzona przeze mnie do chłodni siedziała bez życia pod ścianą. Wszystkich zastrzelono z bliskiej odległości.

Zbaraniałem. Edward rozwalił całą swoją ekipę.

Dlaczego?

Wróciłem biegiem do przedsionka rampy przeładunkowej. Śmierdziało tam krwią i piwem.

Mogłem poddać się Howellowi, powiedzieć mu o Lucy.

I co, mieć nadzieję, że mi uwierzy? Jeśli Lucy już stąd odjechała, nie miałem żadnego dowodu. A Howell nie pozwoli mi ponownie zwiać.

A zatem?

Nie poddam się.

Musiałem się stąd jakoś niepostrzeżenie ewakuować. Otworzyły się z hukiem drzwi od zaplecza. Rzuciłem się do ucieczki. Na wpół biegłem, na wpół kuśtykałem przez rozległe pomieszczenia, omijając trupy. Okno w ceglanej ścianie wychodzące na otwarte pole i wałący się wiatrak. Pierwszy, jaki widziałem od znalezienia się w Holandii.

Wspiąłem się na parapet, otworzyłem zatrzask, pchnąłem ramę.

– Sam Capra! Stój! – dobiegł mnie ryk Howella.

Zatrzymałem się. Nie powinienem, ale się zatrzymałem. Obejrzałem się. Dwaj mężczyźni mierzyli do mnie z glocków.

– Zejdź z okna, Sam.

– Ona tu przed chwilą była – wykrztusiłem. – Lucy. Była tu.

– Zejdź z okna, to o tym pogadamy – rzucił Howell. Chciał mnie żywego.

– Wiem, nie wierzysz mi – powiedziałem. – Ale ona naprawdę tu była. Przyszedłem tu uwolnić zakładników, których wzięli, i była z nimi Lucy. Miałeś rację. To ja się myliłem.

– Pogadajmy o tym, Sam. – Głos Howella był jak z kamienia. – Powiedz mi, co wiesz, a znajdziemy ją.

Popatrzyłem na niego, na ten odprasowany, idealnie skrojony garnitur, okulary w drucianej oprawce. Nienawidziłem tego człowieka.

– Sam ją znajdę. Ona żyje. Straciła dziecko. – Nie

chciałem, żeby wypytywał mnie o synka.

– Złaź, Sam.

– Skąd wiedzieliście, gdzie jestem?

O mało nie parsknął śmiechem.

– Nasz informator z organizacji Lingów nie był zachwycony, kiedy podprowadziliście im dostawę. Zadzwoił do nas. Namierzyliśmy ciężarówkę dzięki GPS-owi, który Lingowie zainstalowali w szoferce. Domyślam się, od kogo się dowiedziałeś o Lingach. August wyszedł wczoraj wieczorem na długą przechadzkę, prawda? – Pokręcił głową. – Wstydź się, tak zrujnować koledze karierę. Złaź z tego okna, Sam, bo strzelę ci w plecy.

Rozważyłem możliwości. Dać się zastrzelić, wyskoczyć przez okno czy się poddać? Żadna mi nie odpowiadała. Ten facet nie da mi znowu zwiać. Złapią mnie, zwiążą i nie zaproponują już namiastki normalnego życia w Brooklynie. Trafie z powrotem do tamtego oficjalnie nieistniejącego więzienia, w łapy Howellowej grupy do zadań specjalnych.

Zsunąłem się z parapetu. Zatoczyłem się i uniosłem rękę. Cała trójka doskoczyła do mnie z pistoletami.



Skuli mi ręce i nogi w kostkach i powlekli do furgonetki. Wepchnęli mnie do środka; Howell usiadł naprzeciwko. Obejrzał pobieżnie moje rany; obmacał głowę, plecy, barki.

– Aleś się urządził, Sam – stwierdził i posłał dwóch swoich przydupasów, żeby zabezpieczyli miejsce przestępstwa. Drzwi furgonetki się zatrzasnęły. Zostaliśmy sami.

– Lekarz by mi się przydał – powiedziałem.

– Będiesz współpracował, będzie lekarz. Skąd wiedziałeś, że August jest w Holandii?

– Zobaczyłem go w tamtym magazynie – powiedziałem. – Już by nie żył, gdyby nie ja. Gdybym nie przeszkodził tym dwóm bliźniakom-psycholom, ty też byś tam zginął. – Czułem krew ściekającą po plecach, po ramieniu. Rany pozostawały nieopatrzone; a zostałem przecież potraktowany paralizatorem, potem skopany. Cały obolały.

– Augusta odesłaliśmy do kraju, bo był ranny. I dobrze się stało.

– Chciałbym porozmawiać z Langley. Ten Edward, ten, który uprowadził Lucy... zamierza przemycić do Stanów jakąś nielegalną broń.

– To on do nas strzelał, kiedy nadjeżdżaliśmy?

– Tak. Chociaż pewien nie jestem. Z ciężarówki?

– Nie widzieliśmy żadnej ciężarówki. Strzelał do nas

człowiek z audi.

– Z audi? To on. Proszę, traktuj mnie poważnie. Powiadom porty. – Ale jeśli się dobrze zastanowić, Edward nie skorzysta raczej z portu w Rotterdamie. Wywiezie swój gorący towar z Francji, Belgii albo Hiszpanii. – Mogę ci powiedzieć, co zawiera przesyłka Lingów. Możesz ją namierzyć i zatrzymać. Dzwon do Langley, poproś o upoważnienie. Ja z nimi porozmawiam...

– Może Langley nie chce z tobą rozmawiać, Sam. Może Langley chce, żebyś po prostu zniknął i przestał rozrabiać jak wesz na grzebieniu.

Przełknąłem.

– Lucy naprawdę tu była...

Uniósł rękę.

– Zaproponuję ci pewien układ, Sam. Rozważ dobrze tę propozycję, bo twoje życie spoczywa teraz w moich rękach. Jeśli nie spodobają mi się twoje odpowiedzi, wpakuję ci kulkę w łeb i będziemy kwita. Mam upoważnienie na przywołanie cię do porządku wedle własnego uznania.

– Firma chce na pewno wiedzieć, co ustaliłem, nie pozwoli, żebyś dokonał na mnie egzekucji. Interesują ją kontakty, które nawiązałem. Informacje, które zebrałem.

– Firma nie wie jeszcze, że cię przyskrzyliłem, Sam. Na razie sami piszemy swoją historię. Zostałeś aresztowany w budynku pełnym trupów.

– Kobieta i jeden z mężczyzn mają takie same tatuaże

jak facet, który próbował mnie zabić w Brooklynie. Novem Soles. Pytałeś mnie o to, no to teraz masz odpowiedź.

Patrzył na mnie, wodząc palcem po szczęce.

– I sam ich wszystkich zabiłeś?

– Nie! To Edward ich rozwalił, bo nie byli mu już potrzebni.

Howell założył ręce na piersi i spojrzał na mnie z miną, której nie widziałem na jego twarzy od czasu, kiedy przetrzymywano mnie w tajnym więzieniu w Polsce.

– A ja myślę, że jesteś w tej chwili jedynym ocalałym spośród tych, którzy pomagali ci dokonać zamachu na nasze biuro w Londynie, i że to oni pomagali ci zwać z Nowego Jorku. Ten gość z Brooklynu przywiózł ci pewnie pieniądze i dokumenty, a ty zabiłeś go, żeby zamknąć mu usta.

– Chciał mnie zabić. Ci ludzie nasłali go na mnie. – I w tym momencie przemknęło mi przez głowę pytanie: Edward czy Lucy? Nie, to na pewno Edward. Lucy już dwukrotnie darowała mi życie.

– No i niby gdzie jest ta nasza urocza pani Capra?

– Poraziła mnie paralizatorem i uciekła. Spójrz na moją klatkę piersiową. Mam tam ślady po strzałkach.

Zajrzał mi pod koszulę.

– Czyli ona współpracuje z tymi ludźmi. Boże drogi, a ty tyle miesięcy utrzymywałeś, że jest niewinna. – W jego tonie pobrzmiwał sarkazm.

– Byłem przykładnym mężem – powiedziałem. – A

taki nie zakłada z góry, że jego żona jest zdrajczynią albo przestępczynią. Widziałem, jak ten Edward ją uprowadza. Ocaliła mi życie. Dwa razy.

– A ja myślę, że oboje współpracowaliście z tą grupą, gangiem czy jak ich tam nazwać. Pewnie odwrócili najpierw ją, a potem ona ciebie. To proste, a ja lubię prostotę.

– Życie takie nie jest. Sam nie rozumiem, dlaczego Lucy to zrobiła.

– A co z waszym dzieckiem?

Spuściłem wzrok na swoje kolana. Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Nie chciałem, żeby wiedział, że zaproponowała mi dziecko za milczenie.

– Lucy poroniła – mruknąłem po chwili.

Przyglądał mi się długo.

– Gdzie ona jest?

– Nie wiem. Ale znajdę ją i wydobędę z niej całą prawdę.

– Słuchaj, Sam. Opowiedz mi, co się wydarzyło od czasu opuszczenia przez ciebie Nowego Jorku, a może będę w stanie pomóc ci ją odnaleźć. Kto zabrał cię ze statku? Kto cię finansował i zaopatrywał?

– Nie mogę.

– Pomagałeś uciec człowiekowi, który strzelał do mnie i moich ludzi.

– Ja do was nie strzelałem. A tych, którzy strzelali, zabiłem. Za takie coś dają medale.

Złapał mnie za przód koszuli i rąbnął moją głową o

ścianę. Zabolało.

– Chcę znać całą prawdę, Sam. Calutką.

– Dlaczego mi nie wierzysz? Dlaczego?! –  
wykrzyczałem mu w twarz. – Dlaczego nawet nie starasz  
się mi uwierzyć?

Odchylił się, bo ślina z moich ust pryskała mu w  
oczy.

– Dlaczego nie jesteśmy w bezpiecznym domu  
Firmy? – spytałem. – Dlaczego nie rejestrujesz tego, co  
mówię, w obecności świadków? Gdzie agenci  
holenderskiego wywiadu? To wbrew regułom.

– Przyganiał kocioł garnkowi – powiedział. – Nie  
będziesz mnie pouczał w kwestii reguł, Sam. Cała Firma  
dowie się wkrótce, że jesteś zdrajcą.

Te słowa podziały na mnie jak smagnięcie pejczem.

– Nie jestem.

– Chcesz, żebym ci uwierzył? To wyznaj mi  
wszystko jak na spowiedzi.

Odetchnąłem głęboko.

– Edward dokonał tego zamachu na Centraal Station,  
żeby zabić Cara Kasjera, w którego sprawie prowadziło  
śledztwo nasze londyńskie biuro. Domniemanego  
finansistę organizacji przestępczych, tych największych,  
powiązanych z rządami. Nie rozumiem, dlaczego Edward  
go zabił, ale zrobił to – dodałem. – Stara się  
przeszmuglować do Stanów coś bardzo trefnego. Może  
bombę, może jakiegoś wirusa, może ludzi. Nie wiem. A  
może bym się dowiedział, gdybyś się nie wtrącił.

– Załóżmy, Sam, że mówisz prawdę i jesteś niewinny. Jak odnalazłeś tych ludzi? Skąd się o nich dowiedziałeś? Skąd znasz te wszystkie szczegóły? Kto ci pomagał trafić do tego Edwarda, kto cię przemycił do Holandii?

Uświadomiłem sobie naraz, że pyta mnie nie o to, co w tej chwili najważniejsze.

– Nie interesuje cię, co za operację planuje ten Edward?

– Nie uwierzę w ani jedno twoje słowo, dopóki mi nie powiesz, kto ci pomagał.

Podsunał mi pod nos fotografię. Ja i Mila na stacji kolejowej w Rotterdamie. Podsunał mi drugą. Też my na stacji kolejowej w Amsterdamie.

– Kim jest ta kobieta?

Ściągnąłem brwi, udając, że się zastanawiam.

– Chyba jechała ze mną w tym samym wagonie. Nie znam jej.

– Znasz, znasz. Przesłuchaliśmy konduktora tego pociągu. Podróżowaliście razem. Siedzieliście w tym samym przedziale i rozmawialiście.

– Ach, rzeczywiście. Ładna buzia, ale nieświeży oddech. Poczęstowałem ją mentosem. I na tym się skończyło.

– Dajmy na to. Gdzie mieszkałeś po przybyciu do Amsterdamu?

– W hostelach. Są tanie, można płacić gotówką. Jestem na tyle młody, że brali mnie za studenta.

– W których hostelach?

– Postawmy sprawę jasno – fuknąłem. – Powiedziałem ci przed chwilą, że gość, który dokonał zamachu bombowego na nasze biuro w Londynie, stara się przesmuglować do Ameryki coś naprawdę niebezpiecznego, a ty mnie pytasz, w jakich hostelach nocowałem?

– Jak zrozumiałem z twoich wyjaśnień, pomagasz mi w tym.

Ktoś z łomotem odbił się od burty furgonetki. Krzyk.

Howell wyszarpnął pistolet i wycelował go w moją głowę.

– Jestem skuty – zauważyłem. – Nie stanowią zagrożenia.

Opuścił pistolet, a wtedy kopnąłem go z całych sił w szczękę. Miałem nadzieję, że mu ją złamałem, bo słuchanie go wychodziło mi już bokiem. Kiedy poleciał na burtę furgonetki, skoczyłem na niego. Ręce miałem skute na plecach, czyli bezużyteczne, ale miałem to gdzieś. Nie myślałem racjonalnie. Chciałem tylko, żeby się wreszcie zamknął i wysłuchał, co mam mu do powiedzenia.

Przywaliłem mu z byka. Zacharczał, krew poląła mu się z ust. Przywaliłem mu jeszcze raz i zsunął się z siedzenia. Straciłem równowagę i zwałem na niego.

Drzwi furgonetki się otworzyły. Myślałem, że to któryś z jego przydupasów.

Nie, to była Mila.

– No, nareszcie – wykrztusiłem.

Przeięła plastikowe paski, którymi mnie skrupowano, i pomogłem jej załadować do furgonetki dwóch facetów z Firmy; obaj byli nieprzytomni, ale poważniejszych obrażeń nie zauważyłem. Mila zatrzasnęła drzwiczki, zamknęła je, a kluczyki cisnęła na pole za browarem. Wsiedliśmy do jej samochodu i ruszyliśmy z piskiem opon w kierunku Amsterdamu. Dzień zapowiadał się pochmurny, szary; pasował do mojego nastroju.

– Dzięki – powiedziałem.

– Nie ma za co – odburknęła.

– Jak tu trafiłaś?

– Twój przyjaciel Piet dał mi namiary.

– On nie jest moim przyjacielem.

– Przyszedł do Rode Prins. Wystraszony. Myślał, że znajdzie tam schronienie za informację, gdzie cię szukać.

– I co?

– Powiedział, co wiedział.

– Zabiłaś go, tak? Zmieniła temat:

– Znalazłeś tego Edwarda? Znalazłeś Jasmin?

– Znalazłem swoją żonę.



Mila załatwiła mi lekarza; obudziłem się w łóżku, w pokoiku nad Rode Prins, pochylał się nade mną jakiś starszy mężczyzna. Łysy, z zatroskaną miną, z ust śmierdziało mu jajkiem na twardo.

– Doigrałeś się, młodzieńcze – powiedział.

– Nie da się ukryć – mruknąłem.

– Zszyłem i opatrzyłem ci ranę głowy. Oczyszczyłem ranę barku. Mięśnie będą bolały, nie nadwerężaj ich. Rana na plecach też wymagała paru szwów, była jak bruzda. Pij dużo płynów. Odpoczywaj. Zostawiam ci tu tabletki przeciwbólowe, ale z nimi nie przesadzaj. – Zwrócił się do Mili: – Niech go pani dogląda.

Mila kiwnęła głową. Lekarz spakował torbę i wyszedł, a ja zastanawiałem się, co dalej.

– Zjadłbyś coś? – spytała Mila. – Henrik ugotował kartoflanekę, palce lizać.

– Raczej bym się czegoś napił.

Podawała mi butelkę zimnej wody. Wydudliłem ją zachłannie, a kiedy zaspokoilem już pragnienie, rzeczywiście poczułem głód. Pochłonałem kartoflanekę doprawioną serem Gruyere, z kawałkami szynki. Pychota.

Mila obserwowała mnie w milczeniu, dopóki łyżka nie zaskrobała o dno miski.

– Przepraszam, Sam.

– Mhm.

– Możesz mi powiedzieć, co się wydarzyło?

Opowiedziałem jej. Słuchała, nie przerywając.

– Czyli Lucy jednak zdradziła – stwierdziła, kiedy skończyłem.

– Na to wychodzi – przyznałem. Na kanale za oknem było wyjątkowo spokojnie. Słyszałem bicie własnego głupiego serca. Okay. Zdradziła. Mnie, swój kraj. Okay. Trzeba się z tym pogodzić. Wmawiali mi to od miesięcy i Howell, i August, a ja im nie wierzyłem. Nie chciałem uwierzyć. Nie ma większego głupca nad zakochanego głupca.

Tak, byłem głupcem, bez dwóch zdań. Na jakimś zakręcie życia wszyscy w końcu nimi jesteśmy. Ale ja byłem taki przekonany, że ją znam.

*Dlaczego mnie nie zabiła? Dlaczego?*

To pytanie nie dawało mi spokoju. Mogła mi przecież wpakować kulkę w głowę i byłoby po krzyku. I dlaczego wywołała mnie z budynku przed tamtym zamachem w Londynie? Nie kochała mnie przecież. Całe nasze pożycie było jedną wielką farsą podszytą ciepłymi uśmiechami, zachłannymi pocałunkami i długimi namiętными nocami.

– Dlaczego pozostawiła cię przy życiu? – spytała Mila, zupełnie jakby czytała mi w myślach.

– Musiał być jakiś powód – burknąłem.

– A wasze dziecko?

– Gdzieś je ukryła. Obiecała, że jeśli nie wyjawię Firmie, że ona żyje, skontaktuje się ze mną i powie gdzie.

– Starąłem się kontrolować swój głos. – Ale podejrzewam, że ona już się do mnie nie odezwie. Mój

synek jest jej tarczą.

– O mnie, mam nadzieję, im nie mówiłeś?

– Nie.

Wstała.

– Twoje szczęście. Bo inaczej musiałabym cię zabić.

– No to farciarz ze mnie.

– Odpoczywaj teraz.

Zamknąłem oczy. Odnosiłem wrażenie, że umyka mi coś bardzo istotnego dla znalezienia odpowiedzi. Coś, co miało swój początek w Londynie. Edward dokonuje tam zamachu bombowego, żeby ochronić człowieka, którego potem sam morduje. Tu chyba tkwił klucz.

– Tak, odsapnę odrobinę. Ale potem jedziemy do Londynu.

– Dlaczego do Londynu?

– Chcę się zobaczyć z Zaidem. Zlecił nam to zadanie i od tamtego czasu nas unika, a podejrzewam, że wie więcej, niż nam powiedział. Teraz, kiedy ta tajemnicza przesyłka dotarła już do Edwarda, ten zwróci mu może Jasmin. A więc jedziemy do Zaida niezapowiedziani. Weźmiemy go z zaskoczenia.

– Będę się musiała skonsultować.

– A co, twoi mocodawcy mogą nie wyrazić na to zgody? Czy Zaid jest jednym z nich?

Podeszła do stołu i odstawiła szklanę.

– Nie. Ale jest z nimi powiązany.

– Dla kogo ja właściwie pracuję, Mila?

– Dla mnie.

– Wydaje mi się, że zasługuję na szczerą odpowiedź. Mogłem wydać cię Firmie. A nie zrobiłem tego. I nie zrobię.

– Nie wiadomo jeszcze, do czego byłbyś skłonny się posunąć, żeby odzyskać synka. – Uniosła rękę, zanim zdążyłem jej przerwać. – Pracujesz dla mnie, Sam. I na tym poprzestańmy.

Spojrzałem w okno.

– Co z tymi kobietami z magazynu?

– Są bezpieczne. Wkrótce odsyłamy je do domu.

– Ładnie z twojej strony, że się nimi zajęłaś, ale mogłaś to zostawić policji. Potrzebowałem twojej pomocy.

– Nie mogłam – odparła. – I nie pytaj dlaczego.

Wyszła, zamykając za sobą drzwi. Usiadłem na łóżku, połknąłem jedną z tabletek, które zostawił mi lekarz, i zasnąłem. Nic mi się nie śniło.

Poniedziałek w Londynie. Szary, ponury, dżdżysty. Cały byłem obolały, ale już nie aż tak jak poprzedniego dnia. Obudziłem się wczesnym rankiem, ubrałem w nowe rzeczy, które przyniosła mi Mila, i poleciliśmy do Londynu prywatnym samolotem. Pełen luksus. Bogaci mocodawcy Mili dali nam widocznie zielone światło na rozpracowanie Bahjata Zaida. Na parkingu przed lotniskiem czekał na nas podstawiony jaguar.

Dziwne było znaleźć się znowu na brytyjskiej ziemi. Tutaj byłem najszczęśliwszy, tutaj przeżyłem najgorszy dzień w swoim życiu.

Biuro firmy Militronics Zaida mieściło się w nowoczesnym wieżowcu, nieopodal Bank of England Museum. Byliśmy z Milą ubrani na sportowo: dżinsy, koszule, kurtki. Ja miałem na głowie czapkę skrywającą opatrunek. Sekretarka Zaida obdarzyła nas chłodnym uśmiechem.

– Pana Zaida nie ma – oznajmiła. – Załatwia na mieście sprawę pilnej dostawy.

Zerknąłem na Milę.

– Pilnej dostawy, powiada pani? – powtórzyła z ironią Mila.

Sekretarka ściągnęła brwi.

– Jeśli to coś ważnego, proszę zostawić wiadomość.

– Niech mu pani przekaze, że byli tu Sam i Mila z informacjami o jego córce. Wiemy, gdzie aktualnie

przebywa.

Mars na twarzy sekretarki jeszcze bardziej się pogłębił.

– On wyszedł właśnie na spotkanie z nią – wybąkała.  
– Ale wiadomość przekażę.

– Jak dawno wyszedł?

– Z dziesięć minut temu.

Opuściliśmy biuro i zatrzymaliśmy się na rogu ruchliwej ulicy.

– A więc Jasmin z nim się skontaktowała – powiedziałem.

– Albo finalizują teraz wymianę.

– Musimy ustalić, dokąd się udał. Bo jeśli zwracają mu Jasmin, to z pewnością są przy tym Lucy i Edward.

Wróciliśmy do jaguara.

– Ty prowadź – mruknęła Mila.

Wsiadłem za kółko, ona otworzyła schowek w desce rozdzielczej. Wyciągnęła z niego i otworzyła zmodyfikowany netbook podłączony do systemu satelitarnego auta.

– Londyn jest naszpikowany kamerami monitoringu – powiedziała, przebierając wprawnie palcami po małej klawiaturze. – Zarówno tymi od kontroli ruchu, jak i systemu bezpieczeństwa. Mamy pewien ograniczony dostęp do ich sieci. Może uda mi się ustalić, o której Bahjat faktycznie wyszedł z biura.

Po chwili na ekranie pojawił się zapis wideo sprzed budynku, w którym mieściło się biuro Zaida, oraz sam

wychodzący z niego Zaid. Przy krawężniku zatrzymał się mercedes, kierowca wysiadł, Zaid wsiadł i ruszył w kierunku Princes Street.

Mila otworzyła w netbooku kolejne okno. Zaid skręcał w Gresham Street i minawszy Museum of London, w St. Martin's Le Grand. Tam go na chwilę zgubiła, ale szybko odnalazła na Aldersgate Street. Kierował się na północ.

– Już wiem, dokąd jedzie. Na St. Pancras. Ruszaj, szybko!

– Co tam jest?

– Eurostar tam się zatrzymuje. Pociąg. Z Holandii i Belgii. Może Edward postanowił oddać Jasmin.

– To bez sensu. Nawet gdyby zdecydował się ją zwrócić, to o wiele bezpieczniej byłoby zażądać od Zaida, żeby sam pofatygował się po córkę do Holandii. Ryzykowałiby przewożenie ofiary porwania taki szmat drogi? Chyba że chcą od niego czegoś w zamian.

– Słuchaj, Sam – powiedziała. – Jeśli Lucy tu z nimi jest i dopadniemy ich, to mam ją zabić? Wiem, że tobie byłoby trudno.

Była to najdziwniejsza propozycja, jaką mi w życiu złożono.

– Nie, dziękuję. Sam się z nią policzę.

– No, nie wiem, czy to z twojej strony rozsądne. Mnie, w odróżnieniu od ciebie nic z tą zdziczałą suką nie łączy.

– Nie zawaham się, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Użycie zwrotu „jeśli zajdzie taka potrzeba” już zdradza wahanie. – Miała rację.

– Chcę z nią porozmawiać.

– Wiem, o dziecku. Wybacz, ale nawet nie wiesz, czy w ogóle je urodziła. Nie masz na to żadnego dowodu.

– Nie sądzę, żeby mnie okłamywała.

– Okłamywała cię przez całe trzy lata waszego małżeństwa. A ty nadal skłonny jesteś jej wierzyć? – Mila prychnęła pogardliwie. Przecięliśmy skrzyżowanie.

– Mogła mnie zabić. Nie zrobiła tego, żeby dalej mnie okłamywać?

– Powodów mogła mieć tysiące. Chciała, żeby cię nakryto żywego pośród tamtych trupów. Poza tym żywy odwracasz od niej uwagę Firmy. Przede wszystkim ciebie obwiniają i na tobie skupia się dochodzenie. Ta kobieta jest bezwzględna, a z ciebie zrobiła sobie zabawkę. Zostaw ją mnie.

– Nie waż się jej tknąć, Mila – wycodziłem. – Musi mi najpierw powiedzieć, gdzie jest moje dziecko.

I tu Mila powiedziała coś, co mną do głębi wstrząsnęło:

– Nawet jeśli je urodziła, to skąd u ciebie ta pewność, że jest twoje?

– Moje! – warknąłem.

– Może spotykała się tu, w Londynie, z tym Edwardem. Może byli kochankami.

– Dzięki za podsuniecie mi tematu do przemyśleń – wyrzuciłem z siebie. Dziwny człowiek był z tej Mili. To



zajęła się troskliwie tamtymi dziewczynami z Mołdawii zwabionymi do Amsterdamu, to znów wyłaziła z niej jakaś bezwzględność. Wolałem nie myśleć, jak obeszła się z Pietem. No i wcale niewykluczone, że miała rację. Lucy mogła ze mną pogrywać, licząc, że nadal coś do niej czuję. Mili o to nie posądzałem. Ciarki przeszły mi po krzyżu, kiedy spróbowałem sobie wyobrazić, co czekałoby Lucy, gdyby dostała się w jej ręce.

Z drugiej strony, napuszczenie Mili na Lucy mogłoby być najkrótszą drogą do odnalezienia mojego synka.

Mojego. Bez względu na to, co powiedziała przed chwilą Mili, nadal wierzyłem, że jest mój.

Skręciłem na parking pod dworcem kolejowym. Byliśmy na miejscu.

St. Pancras to ogromny podziemny węzeł kolejowy. W ostatnich latach przeszedł gruntowną, kosztowną modernizację: nad oryginalnymi ceglanyimi ścianami rozciągają się teraz masywne, jasnoniebieskie przęsła ze stali. Przeszklony sufit przydaje hali dworcowej atmosfery przestronności. Wzdłuż przejść podziemnych ciągną się witryny eleganckich butików i restauracyjek. Kłębią się tam tłumy przyjezdnych i odjeżdżających, ja szedłem przez St. Pancras sam, ze słuchawką wetkniętą w ucho.

Mila została z netbookiem w jaguarze. Obserwowała Bahjata Zaida za pośrednictwem kamer dworcowego systemu bezpieczeństwa, do którego się włamała. Bardzo ryzykowaliśmy. System mógł wykryć, że buszuje w nim haker, a wtedy błyskawicznie by nas zgarnęli. Na takich wielkich dworcach służby bezpieczeństwa działają sprawnie.

– Mam go – usłyszałem w słuchawce głos Mili. – Siedzi w barze szampańskim na górnym poziomie.

– Sam?

– Tak.

– Zauważyłaś, żeby ktoś go obserwował?

– Nie.

Wstąpiłem na schody prowadzące do robiącego niesamowite wrażenie, najdłuższego na świecie baru szampańskiego. Był wypełniony po brzegi pięknymi ludźmi i znużonymi podróżnymi. Ten bar zdaje się

ciągnąć w nieskończoność; są w nim miejsca dla samotnych pracoholików z laptopami, są czteroosobowe boksy dla osób bardziej towarzyskich. Jedyne okno z oprawną w stal szybą na samym jego końcu wychodzi na peron Eurostara, gdzie zatrzymują się i z którego odjeżdżają pociągi łączące Wielką Brytanię z kontynentem.

Przy nim, w garniturze od Armaniego i wyglancowanych na błysk lakierkach, siedział sam w boksie Zaid. Wyglądał jak z krzyża zdjęty. Wyparowała z niego cała ta pewność siebie, którą przed kilku dniami tryskał. Otarł pot z czoła, na podłodze, tuż przy jego nodze, stał nesoser. Usiadłem z lewej strony, blisko wejścia, gdzie nie rzucałem mu się w oczy i gdzie krążyli szykownie ubrani kelnerzy z kelnerską gracją zbierający zamówienia. Miałem nadzieję, że nawet jeśli spojrzy w moim kierunku, to nie rozpozna mnie w ciemnych okularach i czapce. Zamówiłem z menu kieliszek najtańszego szampana, ale go nie tykałem.

Zaid rozglądał się nerwowo, z wyczekiwaniem w oczach, po zatłoczonej sali. Zerkał co chwila w okno wychodzące na peron Eurostara.

– Masz go jeszcze na podglądzie? – szepnąłem do mikrofonu.

– Mam – odszepnęła mi w ucho Mila.

– Zdenerwowany jest. Wciąż się rozgląda. Gotów mnie zauważyć.

– To może od razu do niego podejść i porozmawiaj?

– Odpada. W każdej chwili może się tu zjawić Edward z Jasmin.

– Boisz się Edwarda?

– Boję się, że zabije Jasmin, jeśli mnie zobaczy – odparłem.

Mila nic nie odpowiedziała.

Poczułem puknięcie w ramię. Obejrzałem się. Stał za mną Bahjat Zaid: spocony, blady, roztrzęsiony.

– Wynocha stąd! – warknął. – Ale już!

– Edward ma tu przyprowadzić Jasmin?

– Wynocha, powiedziałem – syknął.

– Wiem, że przekazałeś Edwardowi jakiś rodzaj broni, żeby nie ujawniał wideo ze zbrodniami, których dopuściła się Jasmin. Wymieniasz tę elegancką walizeczkę na córkę?

Odniosłem wrażenie, że zaraz zwymiotuje mi na buty.

– Wyjdź.

– Odpowiedz, to może wyjdę, ale nie obiecuję.

– Tak, dam ci neseser, oni zwracają mi Jasmin i ten koszmar wreszcie się skończy.

– Co jest w neseserze?

– Pieniądze. Nic poza tym.

– Po tym wszystkim chcą tylko kupki szmalu? Co dostali od ciebie w Budapeszcie, Zaid? Co to było? Słyszałem, że jakaś eksperymentalna broń?

W jego oczach zatliła się czysta nienawiść.

– Twoje usługi nie są mi już potrzebne. Córka wraca

do mnie cała i zdrowa. Zaraz powinni tu być. Może już nas obserwują. Twoja obecność może kosztować Jasmin życie.

Widziałem, że najchętniej wyrzeszczałyby mi to wszystko w twarz i spuwentował fangą w nos. Ale nie mógł w pełnym ludzi lokalu.

– Okłamywałeś mnie i Milę. I zamiast nam pomagać w ratowaniu własnej córki, ukrywałeś się przed nami.

– Robiłem, co było trzeba. A teraz wyjdź.

Upiłem ostentacyjnie łyczek szampana na znak, że ani myślę usłuchać. Zdeprymowany przestąpił z nogi na nogę, zmienił ton.

– Powiedziano mi, że nie żyjesz.

– Skoro tak ci powiedziano, to mnie tu nie ma, bo przecież nie żyję. Wracaj na swoje miejsce, Zaid. Zamów sobie szampana i wznies toast za szczęśliwy powrót córki. Moje gratulacje.

– Wyjdź. Bo obaj zginiemy. Ten Edward, to... wyrachowany psychopata. Jest nieobliczalny. Błagam.

– Wracaj na swoje miejsce – powiedziałem chłodno, z naciskiem. – Bez gadania.

Wycofał się powoli, nie zwykł, żeby zwracano się do niego takim tonem. Usiadł w swoim boksie i udawał, że na mnie nie popatruje. Przeniosłem się do innego stolika, dalej od wejścia.

Jaką obstawę mogli tu mieć Edward z Lucy? Należało zakładać, że mają w Londynie jakieś kontakty. Jeśli jednak przyjeżdżają Eurostarem... to co, ciągnąc ze sobą

Jasmin? Nie. Ją raczej gdzieś zamelinowali i wskażą Zaidowi to miejsce dopiero wtedy, kiedy dostaną od niego neseser.

– Zaid dawał jakieś znaki komuś w tym lokalu? – rzuciłem do mikrofonu. Przecież on również mógł tu przyjść z obstawą.

– Jeśli nawet, to ja tego nie zauważyłam – odparła Mila.

Minęło dwadzieścia minut. Wielbiciele szampana wchodzili i wychodzili. Przyjaciele się witali, kochankowie wznosili toasty, biznesmeni ubijali interesy. Gwar rozmów w tle wesołej kanonady odkorkowywanych flaszek. Znudzona Mila podśpiewywała mi do ucha przeboje Coldplay, dopóki nie poprosiłem jej, żeby przestała. Zaid siedział jak na szpilkach, zerkał co chwila na zegarek i spoglądał na wejście.

Ale to ja pierwszy zobaczyłem Jasmin. Szła jakoś sztywno, zataczając się z lekka, sprawiała wrażenie naćpanej. Edward podtrzymywał ją pod rękę. Znad apaszki widać było tylko jej oczy.

Rozejrzałem się czujnie za ewentualną obstawą.

Za mną stała Lucy.

Przysiadła się, a mnie przemknęło przez myśl, że za moment pożegnam się z tym światem.

– Zły z ciebie ojciec – zagaiła. – Powiedziałam ci, żebyś odpuścił, jeśli chcesz odzyskać dziecko.

– Daruj sobie tę ironię – burknąłem. – Edward myśli, że nie żyję.

– Już nie. Widzi cię. Spróbuj mu przeszkodzić w dokonaniu tej wymiany, a nigdy nie zobaczysz Daniela.

– Daniela?

– Naszego synka. Nadałam mu imię po twoim bracie, tak jak zapowiedziałam.

Serce żywiej mi zabiło.

– Nie wtrącaj się – syknęła.

– Co daje wam Zaid za córkę?

Edward z Jasmin doszli już do boksu Zaida.

– Oddaje dorobek całego swojego życia. Bierz z niego przykład, Sam. Dla ratowania dziecka jest gotów na wszystko. Odpuść sobie, a Daniel będzie twój.

Jasmin zamrugwała.

Zaid podał Edwardowi walizeczkę. Edward powiedział coś cicho i Jasmin usiadła obok ojca. Edward odwrócił się i szybkim krokiem wyszedł z lokalu.

– Siedź, Sam – mruknęła Lucy – nie wtrącaj się, a powiem ci, gdzie znajdziesz Daniela.

Zaid przytulił otumanioną córkę. Wydawała się taka drobniutka w jego ramionach. Nie odwzajemniła uścisku.

– Cóż za uroczy widok – zauważyła Lucy, a ja mało jej nie powiedziałem, żeby się zamknęła. – Ty też odzyskasz wkrótce swojego synka. Tylko nie wstawaj. – Nachyliła się, wydłubała mi z ucha słuchawkę, rzuciła ją na podłogę i rozdeptała. – Z kim współpracujesz?

– Z jedną taką świruską. Mogę ją tak teraz nazwać, bo nas nie słyszy.

– Chodź ze mną, Sam. Daniel jest blisko. Teraz mogę ci go oddać. I będziemy kwita.

Zerknąłem przez ramię. Uszczęśliwiony Zaid nadal obejmował Jasmin, był w siódmym niebie.

Dolną połowę twarzy Jasmin wciąż osłaniała apaszka. Pewnie czekali, aż Edward oddali się na bezpieczną odległość. Zaid powiedział coś do niej, kiwnęła głową. Po jego policzkach popłynęły łzy.

– Mogę ci załatwić immunitet – powiedziałem do Lucy. – Dogadasz się jakoś z Firmą. Nie będą cię ścigali.

– Immunitet? Śmiech na sali. Ja już dokonałam wyboru, Sam, i nie ma od tego odwrotu.

Wydało mi się, że wychytuję w jej tonie cień żalu. Zaid, ściskając córkę za rękę, jednym nerwowym haustem wychylił do dna kieliszek szampana. Jasmin siedziała nieruchomo. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jaką będzie musiała przejść rekonwalescencję, żeby wyjść na prostą.

– Czemu to zrobiłaś, Lucy?

I w tym momencie zauważyłem na jej nadgarstku słońce wpisane w dziewiątkę. To samo co u zbirów w Holandii, co u mojego niedoszłego mordercy z



Brooklynu.

– Lucy, Boże, a to co? – Dźgnąłem palcem w tatuaż.

– Wstawaj – warknęła. – Wychodzimy.

Zobaczyłem Edwarda przebiegającego prawie przed statua mężczyzny w rozwianym płaszczu, spoglądającego w przeszklony sufit tak, jakby spodziewał się burzy. Po chwili zniknął mi z oczu w tłumie schodzących na dół ludzi. Miałem nadzieję, że Mila ma go na podglądzie; mną mogła się już nie przejmować. Jasmin była bezpieczna.

Wstając od stolika, zerknąłem jeszcze raz na Zaida. Odstawiał właśnie pusty kieliszek. Drgnął lekko. Odkasznął. Zakasłał znowu. Jasmin zerwała się i ruszyła biegiem w stronę wyjścia.

Znieruchomiałem. Jasmin minęła nas, nie zaszczycając nawet spojrzeniem. Na ojca też się nie obejrzała. Zbiegła po schodach za Edwardem.

Chciałem już ruszyć za nią, kiedy poczułem na plecach szturchnięcie lufą pistoletu.

– Tędy, Sam. Chcesz zobaczyć synka? Tędy.

Zaid nadal siedział w swoim boksie nieruchomo, ale teraz ze zwieszoną głową. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Z tej odległości trudno było stwierdzić, czy oddycha. Trucizna, przemknęło mi przez myśl.

– Nie żyje – wyrwało mi się. – Ona go otruła.

– Owszem – przyznała Lucy. Własna córka.

– Co ten Edward z nią zrobił? – Co za świat, na którym żony zdradzają mężów, dzieci trują rodziców.

Zrobiło mi się słabo.

– Podporządkował sobie. Lepiej, żebyś nie wiedział jak. Idziemy, Sam.

Przy Zaidzie, widząc, że coś z nim nie tak, zatrzymał się kelner. Przyklęknął, popatrzył i krzyknął.

– Synek, Sam – syknęła Lucy. – Twój synek.

Ruszyłem.

W holu na dole Edward czekał z walizeczką w ręku na Jasmin. Kiedy do niego dobiegła, chwycił ją za nadgarstek.

– Trzymaj się mnie – powiedziała Lucy, gdy schodziliśmy po schodach – a odzyskasz swoje dziecko.

– Niedoczekanie – warknąłem, odwracając się, chwytając za lufę pistoletu, którym mnie popychała, i przyginając ją do ziemi. Wokół nas zaroilo się od policjantów z dworcowego posterunku pędzących do szampańskiego baru.

– Jak mnie teraz zastrzelisz, to się nie wymigasz.

Ponad ramieniem Lucy widziałem, jak obserwujący nas z dołu Edward upuszcza neseser i wyciąga spod płaszcza wielką, nietypową spluwę. Była większa od rewolweru, miała dołączoną dziwną czarną sekcję z metalową siateczką, która z czymś mi się kojarzyła. Zalśniła przez moment w jasno oświetlonym holu.

Huknął strzał, pocisk przemknął ze świstem między mną a Lucy. Przykucnęliśmy instynktownie w połowie długości schodów, ale żadne z nas nie puściło pistoletu. W holu zaległa na chwilę martwa cisza, potem podniósł się jeden wielki wrzask i zapanował chaos.

Edward znowu strzelił. Pocisk zrykoszetował od zielonego stopnia tuż obok Lucy, a my, nadal wyrywając sobie pistolet, stoczyliśmy się ze schodów na sam dół.

Kiedy wstawaliśmy, Lucy rąbnęła mnie pięścią pod oko. Wciąż ściskałem lufę pistoletu.

– Puszczaj, bo nigdy nie zobaczysz Daniela! – wrzasnęła.

Nie puściłem.

– Może oddadzą mi go w zamian za ciebie – powiedziałem.

Uderzyła mnie znowu, a wtedy podstawiłem jej nogę i pchnąłem. Nikt ze spanikowanego tłumu nie zwracał na nas uwagi. Padając na wznak, kopnęła mnie w udo i przewróciłem się na nią. Przemknęło mi przez myśl, że leżąc tak na posadzce ogarniętego paniką holu St. Pancras,

zostaniemy za chwilę stratowani.

Poderwałem ją na nogi. Pistolet zniknął, zgubiliśmy go w całej tej szamotaninie, ale to chyba nie była jedyna sztuka broni, jaką przy sobie miała.

– Teraz ty słuchaj mnie – wysyczałem jej do ucha. – Nic już dla mnie nie znaczysz. Nic a nic. I dla swojego przyjaciela też nic, bo właśnie o mało cię nie zastrzelił, próbując zabić mnie. A więc sama widzisz, we mnie teraz jedyna twoja nadzieja.

– Pieprz się! – Gniew i strach wkradł się do jej tonu. Chciała mi się wyrwać, ale byłem silniejszy i jeszcze bardziej zdesperowany.

Wykręciłem jej rękę, tak że znalazła się między łopatkami. Tłum porwał nas ze sobą i wyniósł na ulicę.

Przyciągnąłem ją do siebie.

– Jak spróbujesz mi nawiać, skręcę ci kark.

Pokręciła głową.

– Wtedy nie odzyskasz dziecka.

– Nie, wtedy ty będziesz trupem. A dziecko i tak odzyskam. Nie ma na świecie takiej nory, w której mogłabyś się przede mną ukryć. Rozumiesz, Lucy? Ja nigdy nie odpuszczę. Przenigdy. Znajdę go. A ty będziesz wachać kwiatki od spodu.

Sięgnęła za plecy. Z tego wszystkiego nie zdążyłem jej jeszcze przeszukać. W jej dłoni błysnął nóż – krótki o zakrzywionym ostrzu. Uchyliłem się w porę, zarobiłem tylko draśnięcie w ucho.

– Przestań, Sam, proszę! Puść mnie!

Aha, a ty mnie zaraz potem zaciukasz! – pomyślałem. Zdzieliłem ją pięścią w żołądek. Zgięła się wpół, upuściła nóż, podniosłem go.

– Dlaczego chciał cię zabić? – spytałem.

Pochylona, zamroczona, z trudem łapała powietrze. Patrząc tak na nią, uświadomiłem sobie naraz ze zgrozą, że nadal ją kocham. Pomimo wszystko. Odpędziłem od siebie te myśli.

– Nie... wiem... – wystękała z trudem.

– Nie jesteś mu już potrzebna – stwierdziłem. – I śmieszne, i straszne. Rzucasz dla tego gościa wszystko i wszystkich, a teraz on rzuca ciebie. Dobrze.

– Ja dla niego nie pracuję.

– A dla kogo?

– Nie dla Edwarda. Mamy tylko tego samego szefa. – Zerknęła na mnie z ukosa.

Wyczułem, że zaczyna pękać.

– Kogo? Człowieka, który kazał ci zrobić ten tatuaż?

– Doszła już do siebie, przystawiłem jej więc nóż do pleców. Ruszyliśmy. Zobaczyłem w jej oczach łzy.

– Tylko mi się tu nie rozbecz – warknąłem. – To na mnie nie działa.

Skręciliśmy do podziemnego garażu.

– Dlaczego zwrócił się przeciwko tobie?

– Nie wiedziałam, że Jasmin ma zabić swojego ojca – powiedziała. – To miała być wymiana.

– Na co?

– Na jeszcze jedną część składową tej broni. Na

czyipy.

– Jakiej broni? Na jakie czyipy?

Nie odpowiedziała.

– No, ale Jasmin zamordowała tatusia. To by znaczyło, że ten okup i to porwanie były jednym wielkim szwindlem, który ukartowała z Edwardem. W jakim celu?

– Skąd mam wiedzieć?

– Stała się drugą Patty Hearst? Tą, co po praniu mózgu dołączyła do swoich porywaczy?

– Być może.

Zbliżaliśmy się już do jaguara. Stojąca przy nim Mila patrzyła na nas obojętnie.

– Masz ją – powiedziała. – Moje gratulacje. Cześć, Lucy. Dużo o tobie słyszałam.

Lucy spojrzała na nią.

– My się znamy.

– Nie, ale zaraz się poznamy. – Mila podeszła i skrępowwała jej ręce plastikowymi kajdankami. Wepchnąłem Lucy na tylne siedzenie i zająłem miejsce obok niej. Mila wsiadła za kierownicę i ruszyliśmy z kopyta. Opowiedziałem jej w wielkim skrócie, co się wydarzyło na St. Pancras.

– Nie mam pojęcia, dokąd się teraz kierują – przyznała, kiedy skończyłem. – Zgubiłam ich na podglądzie.

– Ja wiem – odezwała się cicho Lucy.

– Podejrzewam, że teraz, kiedy wiedzą, że zostałam zatrzymana, zmienią plany – powiedziałem.

– Nie słuchaj Sama – warknęła Mila. – Ja tu decyduję.

– Wypuście mnie, a za kilka godzin będziesz miał Daniela.

– Nie wierzę ci. Nie wiedziałaś, że natkniesz się na mnie na dworcu. Byłaś przekonana, że jestem w Holandii i leżę w szpitalu. Nie zabrałabyś tu ze sobą Daniela. Już widzę płatną zabójczynię wybierającą się na zakontraktowaną robotę z wózkiem. Ukryłaś go gdzieś, Lucy, i albo mi powiesz gdzie, albo przekażę cię Howellowi i Firmie jako morderczynię i zdrajczynię. Howell miał co do ciebie całkowitą rację.

– No to zabij mnie tu i teraz, bo niczego ci nie wyjawię. Musicie mnie wypuścić.

– Nie wyjawisz jemu – odezwała się Mila – ale wyjawisz mnie.

– Co za czarująca osóbką – prychnęła Lucy. – Rosjaneczka, prawda? Jak ci na imię?

– Możesz mi mówić Mila. A tak nawiasem mówiąc, zamierzam ci spuścić łomot, jakiego w życiu nikt ci jeszcze nie spuścił. I zrobię to z wielką rozkoszą.

– Będzie mówiła po dobroci – uspokoilem Milę.

– Co chcecie ze mną zrobić? – spytała Lucy.

– Po pierwsze powiesz nam, gdzie znajdziemy Edwarda i Jasmin – warknęła Mila. – A ty, Sam, siedź cicho i nie wtrącaj się. To rozkaz.

– Słyszysz, Sam, to rozkaz – prychnęła pogardliwie Lucy.

Mila dała ostro po hamulcach, odwróciła się i zadała Lucy dwa ciosy w nos i usta, po których ta zalała się krwią.

– Słuchaj no, pani Capra – wycedziła Mila. – Postawmy sprawę jasno. Dla mnie jesteś nikim. Nie odzywasz się do Sama bez mojego pozwolenia. I albo mówisz, co wiesz, albo zaraz cię rozwalę.

– Nie sędzę, żeby twoi przełożeni cię za to pochwalili – wybełkotała Lucy przez rozkwaszone, krwawiące wargi.  
– Mam dla nich ważne informacje.

– Ty chyba jeszcze się nie zorientowałaś, że my z Samem nie pracujemy ani dla rządu, ani dla żadnej z jego agencji. Moim jedynym obowiązkiem jest zwrócenie tego samochodu w nienaruszonym stanie. – Tu posłała Lucy znaczący uśmiezek. – Nie muszę świecić nikomu przykładem. Nie podobasz mi się. Nie podoba mi się numer, który wykręciłaś mojemu przyjacielowi Samowi. Nie lubię kobiet, które wykorzystują swoje dzieci w charakterze pionka w grze. Jesteś bardzo złą matką i jeszcze gorszym człowiekiem.

– Wiem, jaka jestem – wymamrotała Lucy. – I zgoda. Wskażę wam miejsce, gdzie moim zdaniem mogą przebywać Edward z Jasmin. Odpowiem na wasze pytania. Powiem, gdzie jest Daniel. Ale coś za coś.

– Czyli za co? – spytała Mila.

– Wypuście mnie. Kiedy zatrzymacie już Edwarda i przejmiecie jego towar, który, zapewniam, bardzo was zainteresuje. Zagwarantujcie to mi. Uwierzę, jeśli Sam to



zrobi.

Samochody trąbiły, Mila wrzuciła bieg i włączyła się z powrotem do ruchu.

– Nie masz powodu, żeby mi ufać – zauważyłem.

– Owszem, mam. Znam cię. Wiem, że nie rzucasz słów na wiatr. – Lucy spojrzała na mnie.

– Jeśli ją wypuścisz, nie zezna w Firmie, że jesteś niewinny – zauważyła Mila. – Nadal będą cię poszukiwali i w końcu dopadną. Dobrze się nad tym zastanów. Chcesz wieść ze swoim dzieckiem żywot wiecznego uciekiniera?

– Dobrze – zdecydowałem, spoglądając na Lucy po chwili namysłu. – Jeśli pójdziesz na współpracę, puścimy cię wolno.

Mila nie wygłosiła już żadnego komentarza.

– Gdzie się udali? – spytała krótko.

– Do Nowego Jorku – powiedziała Lucy. – Mieliliśmy się tam spotkać z moim szefem.

– W jakiej sprawie?

– Edward wam powie, jeśli go dostaniecie.

– Ten szef. Twój tatuaż. To Novem Soles – Dziewięć Słońc?

Lucy kiwnęła głową.

– Co to jest?

– Grupa, która za wszelką cenę chce się dorwać do władzy. Ale nie potrafię ci podać żadnego konkretnego nazwiska. Nie znam ich.

– To skąd ten tatuaż?

Wzruszyła ramionami.

– Zmuszają do zrobienia go sobie każdego, kogo zwerbują. Mnie też zmusili, tak jak zmuszali potem do wszystkiego, co robiłam.

– Jak to zmuszali? Nie robiłaś tego z własnej woli? Co przemyca Edward?

– To wiedzą tylko on i Zaid... No może jeszcze Jasmin. Ja nie wiem.

– Kłamiesz.

– Po co miałabym kłamać. Naprawdę nie wiem, co to jest.

– Kiedy mają wylecieć do Nowego Jorku?

– Myślę, że Jasmin pojedzie najpierw do domu – powiedziała Lucy. – Muszą tam z Edwardem coś dokończyć.

Londyński bar Adrenaline mieści się na terenie starej elektrowni na granicy pomiędzy Hoxton i Shoreditch; jest to duża otwarta hala o ceglanych ścianach, ze wspaniałym, długim stalowym barem, przestronnością bijąca na głowę swoich mniejszych braci Rode Prins i Taverne Chevalier, a barmani serwują prawdziwe, precyzyjnie odmierzone, przyrządzane ze świeżych składników koktajle. Można tu wypić prawidłowo zmieszane martini, byka z niedźwiedziem przyrządzanego z autentycznego bourbona Kentucky oraz podziwiać mistrzowskie odkorkowywanie butelki francuskiego bordeaux. Ławy są długie, niskie, z surowego drewna, bardziej w stylu wiejskiej gospody niż eleganckie, ale pasują do atmosfery wnętrza. Wbrew nazwie, Adrenaline to nie żadna rozjazgotana, błyskająca światłami tancbuda, lecz coś w rodzaju kameralnego klubu. Na ścianach wiszą prace lokalnych współczesnych artystów malarzy i fotografików, których wielu regularnie tu bywa. Wpadają również aktorzy.

Zakazane niegdyś Hoxton upodobało sobie i zasiedliło jakiś czas temu środowisko artystyczne, za nimi przyszli deweloperzy i dzielnica odżyła. Na patiu ozdobionym rzeźbami i powiększeniami fotografii znajdowała się scena, na której wieczorami koncertowały zespoły muzyczne. Teraz, wczesnym popołudniem, scena była pusta.

Podszedł do nas chudy, elegancko ubrany mężczyzna. Przystojny, po trzydziestce.

– Siemasz, Mila – powiedział z zachodnioafrykańskim akcentem. – Dawno cię u nas nie było.

– To Kenneth – przedstawiła go nam Mila.

– Pomóż mi, Kenneth – odezwała się Lucy. – Oni mnie porwali.

Kenneth puścił tę prośbę mimo uszu. Mila przedstawiła mnie po prostu jako Sama i Kenneth podał mi rękę.

– Zaopatrz Sama – powiedziała Mila.

Kiwnął głową i spojrzał na Lucy.

– Będę krzyczała – ostrzegła.

– Chyba nie chcesz mieć do czynienia z brytyjską policją? – spytał.

Lucy nabrała wody w usta.

Biuro na pięterku było o wiele większe niż te w barach w Amsterdamie czy Brukseli; stało tam kilka monitorów komputerowych. Mila zamknęła za nami drzwi i zasiadła do klawiatury. Posadziłem Lucy na krześle biurowym na kółkach, przykułem ją kajdankami do poręczy i zająłem miejsce naprzeciwko.

– Chcesz, żebyśmy dla zapewnienia ci bezpieczeństwa zgarnęli Edwarda? A więc mów.

– Jedźcie do ich domu. Domu Zaida. Tam ich zastaniecie. – Zwróciła się do Mili. – Napiałabym się szkockiej.

Mila wyłączyła komputer.

– Ona ma rację – powiedziała. – Musimy się pofatygować do domu Zaida. – Spojrzała na Lucy. – Chodźmy po tą szkocką dla twojej żony.

Wtoczyła krzesło z Lucy do małego, pustego pomieszczenia bez okien. Zatrzasnęła drzwi i przekręciła klucz w zamku.

– Co jest grane?

– Moi mocodawcy każą mi jechać do wiejskiego domu Zaida i usunąć wszelkie dowody na jego związki z nami.

– To znaczy? Wyczyścić jego komputer?

– Właśnie.

– Został przed chwilą zamordowany na dworcu kolejowym. W jego rezydencji zaroi się wkrótce od policji.

– I dlatego nie ma chwili do stracenia. Pamiętasz, jak mówił nam, że na terenie jego posiadłości znajdują się bunkry z okresu drugiej wojny światowej, w których miał się schronić rząd w razie inwazji? Podejrzewam, że tajemnica tego, co dał Edwardowi, znajduje się właśnie w nich. To najlepsza kryjówka.

Przeczesałem palcami włosy.

– Masz rację. Ten podziemny kompleks to wymarzone miejsce do ukrycia czegoś. Wiadomo, kto tam teraz zamieszkuje?

– Chyba tylko kilka osób opiekujących się jego stadniną koni.

– Kocham konie. – Westchnąłem.

Przez resztę dnia w wiadomościach aż huczało od doniesień o śmierci Zaida i strzelaninie na St. Pancras. Nikt nie odniósł poważniejszej rany, a sprawcy zbiegli. Policja była już w londyńskim domu Zaida w Belgravii i przeszukiwała rodzinę. Pokazano krótkie ujęcie żony Zaida wchodzącej do domu. Prowadziła ją pod rękę Jasmin, już z odsłoniętą twarzą, bez apaszki. Zaid zastosował się do instrukcji porywaczy i nie powiedział nikomu, nawet rodzinie, o uprowadzeniu Jasmin, a więc nikt o tym fakcie nie wiedział. Pani Zaid zeznała, że jej mąż pojechał na dworzec, żeby powitać ich córkę wracającą z podróży, i że Jasmin zatelefonowała do niej potem z informacją, iż się trochę spóźniła, a kiedy weszła do restauracji, w której umówiła się z ojcem, on już nie żył, najwyraźniej zmarł na zawał.

A więc zabiła go, wmieszała się w spanikowany tłum, a potem wróciła, z odsłoniętą już twarzą, na „spotkanie” z nim.

Truje z zimną krwią ojca, a teraz udaje przykładną, pogrążoną w żałobie córkę. Niedobrze mi się robiło. Jasmin będzie się musiała ulotnić, zanim w organizmie ojca zostanie wykryta trucizna. Mieliśmy niewiele czasu.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, przejeżdżałem już przed wiejską posiadłością Zaida w hrabstwie Kent, niedaleko Canterbury. Otaczał ją wysoki kamienny mur.

Wypatrywałem kamer albo monitorów ukrytych w koronach drzew bądź w samym murze. Kilka kilometrów za posiadłością zawróciłem i przejechałem tę trasę jeszcze raz. Chciałem zapoznać się z terenem, porównać go ze zdjęciami satelitarnymi i planem domu, który poprzedniego wieczoru zdobyła gdzieś Mila. Kompleks bunkrów zaczynał się pod okazałą rezydencją w gregoriańskim stylu i ciągnął aż po zachodni kraniec posiadłości, gdzie znajdowały się stajnie, prywatny pas startowy oraz przepływała zdająca się tryskać spod ziemi rzeczka i kilka mniejszych strumyków. Wszystko wskazywało na to, że jeden z tuneli kończył się nieopodal stajni. Od metalowej bramy w murze, jakieś dwieście metrów za stajniami, biegła prywatna droga. Przy bramie, przynajmniej w tej chwili, nie było żadnego strażnika, ale zauważyłem czytnik kart magnetycznych.

Przejechałem tamtędy jeszcze raz, a potem wróciłem do pobliskiej wioski.

Wybrałem numer komórki.

– Halo? – Kobięcy głos, a w nim ani śladu przybicia tragedią, jaka spotkała pracodawcę.

– Ze stajniami poproszę. – Miałem nadzieję, że to podziała. Pomimo śmierci Zaida o konie trzeba dbać. Ktoś musiał tam być.

– Chwileczkę.

Jeden sygnał.

– Czego? – Tym razem głos męski, zrzędlawy.



– Dzień dobry – zagailem grzecznie. – Chciałbym rozmawiać z kimś, kto zajmuje się zakupami dla stajni pana Zaida.

– A toś se wybrał porę, koleś. Mamy śmierć w rodzinie.

– Ojej, to przepraszam, nie wiedziałem. Bardzo przepraszam.

– No to spadaj...

– Proszę pana? Mógłby mi pan z łaski swojej powiedzieć, o kogo pytać, kiedy znowu w tej sprawie zadzwonię?

– O Gerry’ego, ale jego dzisiaj nie ma. A w ogóle to kto mówi?

– Mike Smith z tej strony, z Przyjaciela Konia. Jesteśmy nową firmą i myślę, że moglibyśmy zaoferować Gerry’emu nasze usługi po bardzo atrakcyjnych cenach.

– To już z nim.

– Rozumiem. A może mi pan jeszcze zdradzić, kto zaopatruje obecnie stadninę pana Zaida?

– A co bym nie mógł? Blue Lion Horse Supply. Mamy do nich najbliżej. Niecałe trzy kilometry.

– Solidna firma. Ale zapewniam pana, że my mamy korzystniejsze umowy z dostawcami.

– Oszczędź pan sobie tej gadki-szmatki dla Gerry’ego. Pod jaki numer ma dryndnąć?

– Nie, nie. Sam do niego zadzwonię w przyszłym tygodniu. Przepraszam, że zabrałem czas.

– No to co? Powodzenia. Cześć. – Mężczyzna

rozłączył się.

Znalazłem w mobilnym Internecie namiary na Blue Lion Horse Supply i pojechałem tam. Firma mieściła się w wolno stojącym budynku ze starego kamienia, z małym brukowanym parkingiem od frontu.

Wszedłem. Ściany obwieszone sprzętem jeździeckim, na półkach torby z paszą dla koni. Za ladą stał młody mężczyzna i wpatrzony w ekran monitora stukał w klawiaturę.

– Witam – zagaiłem. – Ja od Zaida. Gerry mnie przysyła.

Kiwnął głową.

– Wczoraj miała przyjść dostawa paszy i nie przyszła. Gerry kazał mi ją odebrać osobiście.

Facet ściągnął brwi.

– Przecież wysłaliśmy wam transport paszy dwa dni temu.

– Ale nie doszedł, a Gerry’ego dzisiaj nie ma i mnie wysłał do was z reklamacją.

– Chwileczkę. Dostawami do Zaidów zajmuje się mój brat. – Poderwał do ucha telefon. – Alec? Jest tu człowiek od Zaidów i mówi, że... – Urwał, kiedy z przepraszającym uśmiechem przyłożyłem mu do czoła glocka.

Skępowałem braci, zakneblowałem i zostawiłem na zapleczu. W witrynie wywiesiłem tabliczkę z napisem NIECZYNNE. Wróciłem na zaplecze i ściągnąłem z łysiejącej głowy Aleca wełnianą czapkę ze słowami BLUE LION.

– Panowie. – Ukląkłem przed nimi. Trzeba ich było trochę nastraszyć. – Przejrzałem wasze portfele. Wiem, gdzie mieszkacie. A więc siedźcie tu grzecznie i cicho, a gdyby ktoś was znalazł, zanim wrócę, powiedzcie mu, że jakiś zupełnie do mnie niepodobny palant zwędził wam pikapa. O Bahjadzie Zaidzie ani mru-mru. Mojego rysopisu też nie podawajcie. Bo nawet gdybyście to zrobili, to i tak mnie nie znajdą, a ja za jakiś czas – czy to za pięć dni, czy za pięć miesięcy, czy pięć lat – pofatyguję się do was, a wtedy marne wasze widoki. Kumacie, chłopaki?

Bracia pokiwali głowami.

– No. Pikapa wkrótce wam zwrócę. Trzymajta się.

Wsiadłem do stojącego na parkingu dostawczego wozu załadowanego już dostawą dla jakiegoś klienta – i dobrze, oszczędzi mi to czasu – i zadzwoniłem do Mili:

– Załatwione.

– No to wchodzę – powiedziała.

Mila weszła na teren posiadłości, okazując podrobioną legitymację inspektora Scotland Yardu. Ekip telewizyjnych, które poprzedniego wieczoru koczowały pod bramą, już nie było.

Do domu, mnąc w dłoni chusteczkę, wpuściła Milę gospodyni o ziemistej cerze i ściągniętej twarzy, pani Crosby. Zatrzymały się w sieni.

– Dwaj inspektorzy policji właśnie stąd wyszli...

Mila ukloniła się grzecznie.

– Przepraszam za to najście, ale jestem z sekcji informatycznej wydziału kryminalistycznego i chciałabym przejrzeć zawartość komputerów pana Zaida. Musimy sprawdzić, z kim utrzymywał kontakt, czy ktoś mu w jakiś sposób groził.

– Pan Zaid był bardzo porządnym człowiekiem – powiedziała pani Crosby. – Nie zasłużył sobie na to, co go spotkało.

– Od dawna pani u niego pracuje?

– O tak, jesteśmy tu z mężem od blisko trzydziestu lat i...

– Pani w jakiej sprawie? – dobiegło z głębi sieni. Pani Crosby urwała w pół słowa.

Mila obejrzała się. Z gabinetu wychodzili Edward z Jasmin. Mila nie dała po sobie poznać, że wie, kim są, ale ścisnęło ją w dołku.

– Witam – ciągnął Edward. – Moje nazwisko

Maxwell, Edward Maxwell. Jestem doradcą pana Zaida do spraw bezpieczeństwa. Mogę w czymś pomóc?

Gospodyni skręcała w dłoniach jedwabną chusteczkę w ciasny powrozek.

Ta kobieta się boi, pomyślała Mila. Jest śmiertelnie przerażona.

– Owszem – powiedziała – mam nadzieję. Inspektor Mila Smith, Scotland Yard – przedstawiła się.

– Pani wybaczy, ale pierwsze słyszę, żeby w Scotland Yardzie pracowała inspektor z rosyjskim akcentem.

– Jestem obywatelką naturalizowaną, wyszłam za mąż za najzagorzalszego na świecie kibica Manchesteru United. – Z uśmiechem podała Edwardowi rękę.

– Wszystko w porządku, pani Crosby – zwrócił się Edward do gospodyni. – Zajmę się panią inspektor. Nie rozumiem tylko, dlaczego policja tak się interesuje zawałem serca pana Zaida.

– Otóż nie jesteśmy wcale przekonani, czy rzeczywiście był to zawał serca, proszę pana – oznajmiła spokojnie Mila.

Edward nie zareagował; pani Crosby jęknęła cichutko.

– Chyba najlepiej będzie, pani Crosby, jeśli wróci już pani do siebie – powiedział Edward. – Chyba że pani inspektor chciałaby z panią porozmawiać.

– Nie – mruknęła Mila. – Nie mam takiego zamiaru. – Starła się nie zerkać na bliznę w kształcie znaku zapytania na jego skroni.

Pani Crosby kiwnęła głową i wyszła.

Stojąca z boku Jasmin przywodziła na myśl manekina; drewniana twarz, nie odezwała się jak dotąd, nie spojrzała nawet za wychodzącą kobietą.

Mila odczekała, aż za panią Crosby zamkną się drzwi.

– Proszę mnie zaprowadzić do komputera pana Zaida.

Do tonu Edwarda wkradł się chłód.

– Przykro mi, ale nie mogę pani dopuścić do systemów pana Zaida. Są tam poufne informacje dotyczące interesów prowadzonych przez firmę Militronics.

– Rozumiem, proszę pana, ale ja mam nakaz. – Mila sięgnęła do torebki.

\* \* \*

Naciągnąłem na głowę czapkę Aleca, skrzyłem pod bramę i wystawiając przez otwarte okno rękę, przytknąłem kartę magnetyczną do czytnika.

Brama nie otworzyła się, ale zatrzeszczał głośniczek nad czytnikiem:

– Tak, kto tam?

– Ja od Aleca z Blue Lion. Przywiozłem paszę dla koni pana Zaida.

Starałem się nie patrzeć w oko kamery; udawałem, że studiuje szczegóły dostawy na fakturze przypiętej do podkładki.

Przez dziesięć sekund cisza. Strażnik pewnie mnie

lustrował; i co widział? Firmowa czapka na głowie, logo i nazwa BLUE LION na drzwiczkach pikapu, prawidłowe imię dostawcy...

– Podjedź pod stajnie i czekaj. Ktoś tam do ciebie wyjdzie.

– Ale długo to chyba nie zajmie? Bo mam tu jeszcze w rozpisce parę miejsc do obskoczenia.

– Już tam idę.

– Dzięki. – Podniosłem szybę.

Brama otworzyła się i wjechałem na teren posiadłości.

Mila zacisnęła dłoń na kolbie pistoletu, zanim go jednak wydobyła, Edward mierzył już do niej z własnego.

– Ty nie jesteś ze Scotland Yardu – warknął. – Rzuć tę torebkę. Coś takiego, nie mogli już wynaleźć do tej roli jakiejś brytyjskiej laseczki.

– Nie.

– Edward... – odezwała się Jasmin.

– Chwileczkę, kochanie – rzucił do niej. Wzrokiem przewiercał Milę. – Kto cię tu przysłał? Paczka Sama Capry?

– Tak. – Z wielką ostrożnością nacisnęła guziczek małego urządzenia leżącego w torebce obok pistoletu i zaczęła odliczać powoli w myślach.

– A kim w ogóle oni są?

– Pracujemy dla pana Zaida.

– Aha. Wyjmij rękę z torebki i rzuć ją na podłogę. Mila z udawanym ociąganiem, nie odrywając wzroku od Edwarda, zsunęła torebkę z ramienia. Zastanawiała się, jak go załatwi: gardło, oczy, nasada nosa, gdzie, jeśli odpowiednio uderzyć, odłamki pękającej kości wbiją się w mózg...

– Jasmin, wezwij przez radio ochroniarzy.

Jasmin ruszyła chwiejnym krokiem w kierunku korytarza.

– Powiedziałem, rzuć torebkę, suko – warknął Edward do Mili.



Torebka spadła na podłogę. Edward schylił się i mierząc wciąż z pistoletu do Mili, zaczął przyciągać torebkę do siebie. Pięć sekund później otwarta torebka eksplodowała rozblaskiem oślepiającego światła.

\* \* \*

Przy stajni, kiedy pod nią podjechałem, nikt na mnie nie czekał. Ani żywego ducha.

Chwyciłem torbę, wyskoczyłem z szoferki, opuściłem klapę skrzyni ładunkowej, ściągnąłem z niej jeden worek z paszą, drugi przyciągnąłem do opuszczonej klapy i tam zostawiłem. Odgrywałem dostawcę, któremu bardzo się śpieszy, bo ma jeszcze „do obskoczenia” paru klientów. Zarzuciłem worek na jedno ramię, przez drugie przewiesiłem torbę i tak obciążony wszedłem do stajni. Worek rzuciłem na klepisko i czekałem. Piękne konie Zaida rżały cicho, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę. Może spodziewały się, że wyprowadzę je na powietrze i dam pobiegać. Miałem wyrzuty sumienia, że sprawiam im zawód.

Po trzech minutach zobaczyłem na szczycie pagórka nadjeżdżającą półciązarówkę z trzema mężczyznami. Mnóstwo ludzi, jak na jeden worek paszy. Albo Mila wpadła, albo woleli zachować ostrożność.

Trzech na mnie jednego i to już zdrowo poobijanego. Pobiegłem wzdłuż boksów, otwierając po drodze każdy, potem tylną bramą wyprowadziłem araby ze stajni do

korrala. Ależ były piękne. Przypomniało mi się, jak któregoś parnego lata w Wirginii tato uczył mnie i mojego brata jeździć, i jak rozkosznie było czuć na twarzy prąd powietrza, a pod sobą siłę wierzchowca.

Wróciłem do stajni i czekałem. Ochroniarze zauważyli chyba konie kłusujące po korralu, bo półciężarówka zatrzymała się, nie dojeżdżając do budynku, i jeden, rudy, wyskoczył z szoferki, chyba żeby je połapać. Dwaj pozostali ruszyli dalej w kierunku stajni. Półciężarówka zatrzymała się przy pikapie Blue Lion. Wysiedli, ale nie wyciągali pistoletów z kabur. Sprawiali wrażenie zawodowców i przemknęło mi przez myśl, że może nie są to pracownicy jakiejś wynajętej firmy ochroniarskiej, lecz ludzie z organizacji Edwarda. Nie chciałem zabijać Bogu ducha winnych ochroniarzy amatorów, którzy tylko w ramach obowiązków służbowych patrolują spokojną angielską posiadłość.

No nic, okaże się w praniu.

Kiedy wchodzili do stajni, przywaliłem jednemu w twarz swoją ciężką torbą. Nakrył się nogami, a tymczasem ja kopniakiem w obojczyk posłałem za próg drugiego.

Ten pierwszy – świński blondyn o byczym karku – zerwał się z klepiska i z pochwy przy pasku wyciągnął mały nóż. Nie, nie, to nie był pospolity ochroniarz. To mi upraszczało sprawę. Kiedy zamierzał się na mnie nożem, chwyciłem go za nadgarstki i z całych sił rąbnąłem nimi o górną deskę furtki najbliższego końskiego boksu. Zwiśły złamane. Wrzasnął i patrząc na nie niedowierzająco,

zatonął się w tył.

Drugi mężczyzna, krępy Afrykanin, rzucił się na mnie, dobywając pistoletu. Krztusząc się krwią, charczał, żebym się poddał. Puściłem to wezwanie mimo uszu i kantem dłoni wytrąciłem mu pistolet z ręki. Ale odskoczyć już nie zdążyłem. Afrykanin wyprowadził trzy szybkie proste w moją klatkę piersiową. Obtłuczone w Holandii żebra miałem jeszcze obolałe, a więc efekt był piorunujący – dosłownie. Uświadomiłem sobie, że długo już nie wytrzymam.

Uchyliłem się przed prawym sierpowym Afrykanina i przylutowałem mu z dyńki, a kiedy opadł na klęczki, poprawiłem kopnięciem w jaja. NO! Afrykaniec z potępieńczym skowytym zwinął się kłębek. Rzucił mi z poziomu podłogi spojrzenie człowieka żegnającego się z życiem, groza wysadzała mu oczy z orbit.

Wyrwałem mu słuchawkę z ucha. Mieli łączność z centralą, a więc wkrótce mogły tu nadciągnąć posiłki. Facet z połamanymi nadgarstkami gapił się na mnie z rozdziawioną gębą. Kopniakiem w głowę posłałem go z powrotem pod furtkę końskiego boksu. Odjechał.

Sięgnąłem po pistolet.

– Gdzie wejście do podziemi? – spytałem.

Afrykaniec pokazał mi środkowy palec. Ho, ho, twardziel, pomyślałem. Przykląknę i wykręciłem mu ten wystawiony palec tak, że jeszcze trochę i złamałby się jak sucha gałązka. Afrykaniec zawył.

– Tak dobrze was oplacają? – spytałem.

– Tam... tam... za kuchnią.

Poderwałem go na nogi i zaciągnąłem do kuchni.

– W spiżarni – powiedział jakby pewniejszym już tonem. Wracała mu ochota na odstawianie twardzioszka. Ale był mi jeszcze potrzebny.

Kuchenka była mała, w głębi znajdowały się drzwi do spiżarni. Trzymając Afrykańca na muszce, otworzyłem je. A tam, za wąskimi półkami, kolejne drzwi. Nowe, ze zbrojonej stali. Pchnąłem, zamknięte.

– Otwieraj – powiedziałem.

– Tylko od środka można je otworzyć.

Chyba nie ściemniał. Nie miały klamki ani niczego w tym rodzaju.

– Dobra.

Dwie fangi w nos odrzuciły go w tył, walnął potylicą o półki spiżarni i nieprzytomny osunął się po nich na ziemię. Wyjrzałem przez okienko; ani śladu uganiającego się za końmi rudzielca. Ale tylko patrzeć, jak wróci albo będzie się próbował skontaktować przez radio z kolesiami, którzy weszli do stajni, i zastanowi go, dlaczego nie odpowiadają.

Otworzyłem torbę, wygrzebałem z niej paski materiału wybuchowego i przewody i zacząłem upychać plastik w szparach między framugą a drzwiami, przygotowując je do wysadzenia.

W eksplozji więcej było błysku i huku niż siły rażenia, kiedy więc Edward odskakiwał z wrzaskiem, Mila wyciągnęła z za pleców pałkę teleskopową. Pierwsze uderzenie obtarło Edwardowi szczękę, skóra podeszła krwią. Mila smagnęła jeszcze raz, mierząc w klatkę piersiową. Ale złapał ją za rękę i wykręcił. Wyrzucił ją go nasadą drugiej dłoni w twarz. W tym samym momencie dostała pięścią w gardło i opadła na klęczki; to Jasmin rzuciła się na nią, boksując i kopiąc. Edward chwycił Milę za włosy, splunął jej w twarz, dwukrotnie walnął jej ręką w stół i wyrwał pałkę z dłoni.

Jasmin sapnęła, potem z przeraźliwym piskiem uderzyła Milę pałką w głowę. Mila osunęła się na perski dywan.

– Zraniła mnie – stwierdził Edward. Krew skapywała mu ze szczęki na koszulę.

Mila spojrzała w górę i zobaczyła Jasmin Zaid mierzącą do niej z pistoletu. Ręka jej drżała, oczy miała pozbawione wszelkich uczuć. Dawna osobowość tej kobiety, jakakolwiek była, została skasowana, wymazana do czysta i zastąpiona pustką. Mili żołądek podszedł do gardła.

– Wstawaj – warknęła Jasmin.

Mila powoli pozbierała się z dywanu.

– Gdzie Sam Capra? – spytał Edward.

– Nie wiem. Uganiam się za tą swoją żonką.

– Uciekła mu? I ja mam w to uwierzyć? A ty przyszedłaś tu sama się z nami policzyć? Proszę. Czy ja wyglądam na debila?

– Na rozgarniętego na pewno nie – burknęła Mila.

– Czy Sam Capra gdzieś tu jest? – spytał Edward.

– Nie. Przyszłam sama.

– Dla kogo ty pracujesz? Jesteś z CIA? Z MI5? No?

– Chciałbyś – powiedziała Mila. – My jesteśmy gorsi. Nigdy nie odpuszczamy. Z nami nie masz szans.

Edward trzasnął ją na odlew w twarz. Utrzymała się na nogach, jej siła doprowadzała go do szału.

– Jestem nietłukąca, ty żałosny pajacu – powiedziała Mila schrypniętym szeptem.

– Zobaczymy. Jasmin, zabieramy ją. Gdzie ochrona?

– Pojechali do stajni odebrać jakąś dostawę.

Edward zamarł.

– I nie wrócili?

– Nie.

– Wywołaj ich przez radio. A ty ze mną. – Przyciągnął Milę do siebie, przystawił jej pistolet do szyi i popchnął ją w stronę korytarza.

– Twój przyjaciel Piet, kiedy go już zatłukłam, kiedy wyzionął wreszcie ducha, przypominał porzuconą na podłodze kupkę starych szmat – powiedziała Mila.

– Wyświadczyłaś mi przysługę – warknął Edward.

– Ach, rzeczywiście – prychnęła Mila. – Rozwaliłeś w browarze wszystkich swoich ludzi.

Edward przyparł ją do ściany i rąbnął pięścią w

brzuch.

– Nie próbuj grać na zwłokę, bo to nic nie da.

– Wiem, co z ciebie za człowiek – powiedziała Mila.

– Współpracowałeś z handlarzem żywym towarem. Jesteś nie lepszy od niego.

– Nie podoba ci się zajęcie Pieta? – Edward roześmiał się. – Kiedy już z tobą skończę, kiedy wyśpiewasz mi już każdą tajemnicę tych, dla których pracujesz, sprzedam twoją dupę znajomemu. Nie jesteś jeszcze taka stara, możesz zadebiutować w branży.

– Ona nam do niczego niepotrzebna – powiedziała Jasmin, doganiając ich. Przystawiła pistolet do głowy Mili.

– Żal mi ciebie – rzekła Mila i ręka Jasmin zadrżała. – Cokolwiek z ciebie zrobił, będzie to można z czasem odkręcić. Znam ludzi, którzy przeszli przez gorsze piekło, a wrócili do siebie.

– On mnie wyzwolił.

– Jeśli tylko po tym praniu mózgu pozostał w tobie choć strzępek dawnej Jasmin Zaid, dobrze wiesz, że to nieprawda.

– Mam teraz to, czego zawsze pragnęłam – uwolniłam się od ojca – powiedziała Jasmin. Ale jej wargi drżały, ręka lekko się trzęsła.

– Nie oszukujmy się. Zamieniłaś tylko jednego despotę na innego – powiedziała Mila.

– Zbastuj – warknął Edward do Jasmin. – Chcę z nią porozmawiać. Ochroniarze zgłaszają jakiś problem?

– Kilka koni uciekło ze stajni – powiedziała. –  
Wyłapują je teraz.

Ściągnął brwi.

– Nie podoba mi się to.

Jasmin przyłożyła Mili pistolet do karku i pchnęła ją w stronę draperii na ścianie. Edward odsunął ją, wduśił palcem przycisk blokady i drzwi otworzyły się na skąpo oświetlone, prowadzące w dół schody.

– Churchill zamierzał uczynić z tej posiadłości bazę ruchu oporu, gdyby zaszła taka potrzeba – wyjaśnił Edward. – No i baza tu jest, owszem. Tylko nie takiego ruchu oporu, o jakim on myślał.

Wepchnął Milę za próg.

Materiał wybuchowy był miękki, plastyczny, ugniatany palcami przywodził na myśl glinę, w której w dzieciństwie taplaliśmy się z moim bratem Dannym nad rzeką w Tajlandii.

Usłyszałem za sobą kroki.

– Mam w ręku silny materiał wybuchowy – ostrzegłem, nie oglądając się. – Nie radzę używać broni palnej.

Strzał nie padł. Moje ostrzeżenie odniosło skutek. Zaryzykowałem rzut oka przez ramię. Z pistoletu mierzył do mnie rudzielec.

– Odłóż ten materiał – powiedział z serbskim akcentem.

– No, takiego cwaniury to jeszcze w życiu nie



spotkałem.

– Że co?

– Schowaj tego gnata, bo działa mi na nerwy. Chyba nie chcesz, żebym się do reszty rozkleił. Ty możesz zabić tylko mnie, ja mogę nas obu.

– Odłóż to coś i wstań. Ręce na głowę.

To coś było już tam, gdzie powinno, a detonator wsuwałem sobie właśnie w rękaw.

– No już! – wydarł się rudzielec, patrząc na mnie jak na nagrodę w konkursie, jak na bonus, który zapewni mu awans. Jeszcze nie teraz.

Wstałem powoli, odwróciłem się, spłotłem palce na czubku głowy.

– Odsuń się od tych drzwi.

Posłuchałem, cofnąłem się kilka kroków.

– Gdzie detonator? – zapytał rudzielec.

– W torbie. – Miałem go w rękawie, czułem pod nadgarstkiem jego chłód. Cofnąłem się jeszcze o krok. Facet robił dokładnie to, czego nie powinien, ale ani myślałem mu tego wytykać. Nie moja sprawa.

Z pewną nerwowością, jaką większość ludzi objawia w pobliżu materiału wybuchowego, ukląkł nad torbą.

– To taki srebrny cylinderek – powiedziałem zgodnie z prawdą. Ale tym razem gość nie postąpił tak, jakbym sobie tego życzył; zamiast zabrać się do grzebania w zawartości, podniósł torbę za uszy i wykonał znaczący gest pistoletem.

– Wychodzimy.

– Nie potrząsaj nią tak. – Wytrzeszczyłem oczy w teatralnym przerażeniu. – Nieś z czuciem. To bardzo wrażliwy przycisk, coś go tam jeszcze przygniecie i będziemy mieli wielkie bum.

Rudzielec stanął jak wryty, a ja odwróciłem się i udając, że potykam się o wyciągnięte ramię nieprzytomnego Afrykanina, opuściłem rękę. Detonator wysunął mi się z rękawa w dłoń.

– Sam go z niej wyjmij. Na mnie nie licz. Ja się do niego nie dotknę.

– Dobra – powiedziałem, zatkałem dłońmi uszy i padłem na podłogę, naciskając guzik detonatora.

Wybuch wstrząsnął drzwiami i wyrwał je z zawiasów. Poderwałem się jak na sprężynie i zdzieliłem ogłuszonego, zdezorientowanego rudzielca pięścią w nos. Padł.

Wpadłem poprzez tuman pyłu w wywalone drzwi i zbiegłem kamiennymi schodkami do zaciemnionego tunelu.

Plan podziemi, który pokazała mi Mila, dobrze utrwalilem sobie w pamięci. Kawałek od wejścia do tunelu od strony domu był ostry zakręt, za którym rozciągał się stary kompleks, gdzie Zaid miał zapewne swoje tajne biuro konstrukcyjne i gdzie kryła się prawda o broni, nad którą pracował.

Biegłem ile sił w nogach. W skąpo oświetlonym tunelu czuć było wilgocia. Z oddali dobiegał szum płynącej wody. Ten szum z początku narastał, potem, w miarę jak zapuszczałem się coraz głębiej pod ziemię, zaczął cichnąć. Korytarz zaprowadził mnie do wielkiej otwartej sali wykutej w skale. Posadzkę stanowiły tu poszarzałe ze starości betonowe bloki, było chłodno. Lampy nisko zwisały. Stał metalowy stół, a na nim bateria komputerów oraz fotografie Bahjara Zaida i jego rodziny; na przykład Jasmin jako dziewczynki stojącej w słońcu obok ojca.

Zatrzasnąłem za sobą drzwi, zaryglowałem je i usiadłem przed komputerem pośrodku stołu. Sprzęt podłączony do maszyn przypominał zewnętrzne twarde dyski. Każdy miał wąską szczelinę, za małą, żeby zmieściła się w niej płytka CD, wyglądająca bardziej na złącze flashdrive'u, ale jeszcze węższą. Każdy był opatrzony logo Militronics.

Poruszyłem myszą. Monitor komputera ożył. Ktoś tu był, i to niedawno. Na ekranie pojawiło się coś

przypominającego powiększony kod kreskowy pełen zakodowanych danych, które nic mi nie mówiły.

Spojrzałem na nazwę pliku: DNA 017. Czyżby analiza czyjegoś DNA? Oprogramowanie wyposażone było w opcję Otwórz Ostatnio Używane Pliki.

Pod strzałką widniała lista plików: od DNA 001 do DNA 015. Kliknąłem na opcję Więcej pod ostatnią pozycją. Pojawił się dalszy ciąg listy ponumerowanych kolejno plików, ostatni nosił nazwę DNA 050. Pięćdziesiąt plików, pięćdziesiąt DNA.

Przy każdym pliku znajdowała się fotografia. Ta przy DNA 050 przedstawiała mniej więcej dwunastoletnią dziewczynkę.

Analizowali profile genetyczne dzieci? Po co?

Zacząłem przeglądać pliki. Większość poświęcona była dzieciom, reszta mężczyznom i kobietom w wieku czterdziestu, pięćdziesięciu lat. Wyglądali na zwyczajnych, przeciętnych ludzi. Nie znałem żadnej z tych osób, a pliki nie zawierały nazwisk.

Kim byli?

Spojrzałem na napędy twarde dysków. Może na nich znajdę odpowiedź. Kliknąłem na ikonę Wsuń.

Ale z napędu nic się nie wysunęło, wyskoczył za to mały czip. Wziąłem go w dwa palce. Miał płaską, lśniącą powierzchnię, wygrawerowana na niej siateczka przypominała tę, którą widziałem na osobliwym pistolecie Edwarda oraz na odłamkach bomby z amsterdamskiego dworca. Na stole leżało plastikowe pudełeczko na ten

czip. Wsunąłem czip do pudełeczka, a pudełeczko do buta.

Kiedy siadałem z powrotem do komputera, ktoś odryglował od zewnątrz drzwi i te się otworzyły.

W progu stali Edward i Jasmin z pistoletem przystawionym do głowy Mili. Tym samym niezwykłym pistoletem, z którego Edward strzelał na St. Pancras.

– Ręce do góry, Sam – powiedział Edward.

Posłuchałem.

– No, nareszcie. Oko w oko. – Uśmiechnął się. – Dobry jesteś.

Milczałem. Przypomniało mi się, jak uderzył Lucy w samochodzie. Przypomniało mi się, jak odjeżdżał, a moi koledzy płonęli żywcem i ginęli.

– Nie mam do ciebie pretensji, że próbowałeś – podjął. – Jesteś twardszy, niż myślałem. Braliśmy cię raczej za fachowca od przygotowywania prezentacji na PowerPointcie. Myliliśmy się. Muszę przyznać, że mnie zadziwiłeś.

Mój pistolet leżał na stole, miałem go na wyciągnięcie ręki. Nie mogłem pozwolić im stąd odejść, nawet za cenę życia własnego i Mili. Cokolwiek knuli przeciwko niewinnym ludziom, dzieciom...

– Jeśli się ruszysz albo zaczniesz stawiać opór – ciągnął Edward – twoje dziecko zginie. Wystarczy jeden telefon.

Wiedział, gdzie jest moje dziecko.

– Nie ruszaj się – powiedział Edward. – Jasmin,

zabierz mu broń.

Wykonała polecenie. Odniosła mu mój pistolet i nóż, który przy mnie znalazła.

– Co to wszystko ma znaczyć? – spytałem. – Dlaczego moja żona? Dlaczego zabiłeś w Holandii wszystkich swoich ludzi?

– A dlaczego miałbym ci to tłumaczyć? Dla mnie możesz umierać nieświadomy. Przeszukaj go, Jasmin.

Wróciła i obmacała mnie drżącymi dłońmi. O zjrzeniu do butów nie pomyślała...

– Dla kogo pracujesz, Sam?

Wskazałem ruchem głowy Milę. Mila milczała.

– A dla kogo ona pracuje?

– Ona mi tego nie zdradzi.

– Gdzie twoja niesforna Lucy?

– Nie żyje – wtrąciła się Mila. – I tak nie powiedziała by Samowi, co się stało z ich synkiem.

– Ja ci to mogę powiedzieć, Sam. – Edward uśmiechnął się. – Sprzedałem go.

Jakby mnie ktoś obuchem w głowę zdzielił. Nogi się pode mną ugięły.

– Sprzedałem jednej przemytniczce. Jest teraz z nią, a ona go zabije, jeśli ty albo Lucy sprawicie kłopoty.

Brak mi słów na opisanie grozy i wściekłości, jakie mnie ogarnęły.

– Zabiję cię – wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

Edward roześmiał się.

– Nie, nie zabijesz.

Dał mi gestem do zrozumienia, że mam się odsunąć od komputera. Cofnąłem się. A wtedy zrobił coś dziwnego. Wysunął czip komputerowy z bocznej ścianki pistoletu, z sekcji pokrytej osobliwą siateczką, i wsunął na jego miejsce nowy, który wyjął z kieszonki koszuli. Czip był dokładnie taki sam jak ten, który schowałem do buta. Pistolet był trochę większy od standardowego glocka, ciężki, lśniący i bardzo niebezpieczny.

– Zamierzasz mu zademonstrować? – odezwała się Jasmin. – Masz jego...

– Nieważne – przerwał jej Edward. – Zabieramy ich do szybu.

Nie podobało mi się to. Mila była skuta. Jasmin chwyciła mnie za ramię, przystawiła pistolet do szyi i wyprowadziła z laboratorium. Szliśmy wąskim korytarzem – ja z Jasmin przodem, Edward z Milą za nami. Nie było tu miejsca na wszczęcie walki. A zresztą gdybym ją nawet rozpoczął, on zabije mojego synka.

– Ojciec chciał cię ratować – odezwałem się do Jasmin. – Za twój bezpieczny powrót do domu gotów był oddać wszystko.

– Ojciec chciał mieć nade mną pełną kontrolę.

– Ktoś tutaj ma nad tobą kontrolę większą niż kiedykolwiek twój ojciec – zauważyłem.

– Zamknij się.

Zamierzałem trochę go wkurzyć. Może wtedy popełni jakiś błąd.

– Analiza DNA dzieci i dorosłych? O co tu chodzi?

– Niedługo będziesz wolny od wszelkich trosk – powiedział Edward. – Nie zaprzataj sobie tym głowy.

A więc moje życie dobiegało kresu. Żadnego wyjścia, żadnych szans. Weszliśmy do jakiegoś ciemnego pomieszczenia. Czulem ziemisty zapach wody artezyjskiej.

– Zabijmy ich – powiedziała Jasmin. Głos jej drżał. Wiedzieliśmy, co jej zrobiono, a ona nie chciała, żeby tacy jak my pozostali przy życiu. Należeliśmy do jej dawnego świata, byliśmy spoza kokonu, w którym uwięził ją Edward.

Odnoga korytarza prowadziła do wąskiego przedsionka, na którego końcu znajdowały się grube stalowe drzwi. Weszliśmy przez nie do kolistego pomieszczenia o ścianach wyłożonych kamieniem. W posadzce ziała dziura o średnicy dobrych dwóch metrów. Z głębi dochodził szum wody. Przypomniało mi się, że na planie posiadłości widziałem początek rzeczki. To musiał być podziemny odcinek jej biegu.

– Podprowadź go do krawędzi, Jasmin – powiedział Edward.

Wykonała polecenie. Edward przystawiał jeden pistolet do szyi Mili, z drugiego mierzył do mnie.

– Byłeś grzeczny, dzięki czemu twój synek żyje – oznajmił Edward. – Dobry z ciebie ojciec.

– Nie musisz krzywdzić mojego dziecka. Nic ci nie zawiniło. – A więc umrę za syna, którego nawet nie widziałem. Trudno. Tak się złożyło. A tak chciałem go



zobaczyć, przytulić...

Edwardowi drgnęły wargi.

– Jestem przekonany, że ułoży mu się w życiu.

Nie miałem dokąd uciekać, nie miałem miejsca do walki i w swoich ostatnich chwilach zdecydowałem, że najlepszym wyjściem będzie zachować godność.

– Przepraszam, Mila – powiedziałem.

Kiwnęła głową.

Edward uniósł dziwny, ciężki pistolet, do którego wcześniej załadował czip z komputera, i wymierzył lufę w moją pierś. Stał dwa kroki ode mnie. Ciekaw byłem, czy umrę, zanim wpadnę do wody, czy utonę. Nie chciałem się utopić. Pomyślałem o ojcu i matce, i cudacznym życiu, jakie zafundowali mnie i mojemu bratu. Pomyślałem o Danielu. Byłem do niego bardzo przywiązany.

Edward pociągnął za spust.

Stałem nadal jak dureń i patrzyłem na swoją klatkę piersiową, w której powinna ziać krwawa dziura. Mój T-shirt był nienaruszony.

Za to stojąca krok ode mnie Jasmin zatoczyła się zdumiona. Krew buchała jej z piersi.

Jak to możliwe? Przecież celował do mnie. Nie, niemożliwe. Ona stała na lewo ode mnie, w odległości metra, a Edward przecież nie skierował pistoletu na nią.

Edward roześmiał się. Mili opadła szczeka. Chwyciłem chwiejącą się na krawędzi szybu Jasmin i poczułem, jak uchodzi z niej życie.

– Dla jednego nauka – powiedział Edward – dla

innego czary.

– Co to... co...? – wydukałem. Ona nie mogła zginąć. Pistolet był przecież wymierzony we mnie.

– Nie była mi już potrzebna. – Ponownie uniósł pistolet. – Kiedy już zdechniesz w ciemnościach, zabiję twojego bachora – wysyczał. – Zrobię to, bo mogę.

Dwa razy strzelił. Trzymając Jasmin, próbowałem z nią odskoczyć, ale nie było gdzie. Pociski weszły w nią, odrzuciły nas w tył i poleciliśmy w czarną otchłań. Z Jasmin w ramionach wpadłem do ciemnej wody.

Pozostałem pod wodą. Gdybym się wynurzył, zastrzeliliby mnie, a tak może uzna, że nie żyję. Woda była piekielnie zimna i szara w rozproszonej, mdłej poświacie spływającej na nią z góry kamiennym szybem.

O mało nie rozerwało mi płuc. Z góry doleciał stłumiony krzyk, chyba Mili. Ale niewykluczone też, że Edwarda. Mili nie należała do tych krzykliwych, Edward owszem, byłem tego pewien. Miałem tuż przed sobą twarz Jasmin z przymkniętymi do połowy powiekami. Dotknąłem jej szyi. Nie wyczułem pulsu. Między nami unosił się w wodzie mały drewniany gołąbek przyczepiony do jej naszyjnika.

Zgasło światło. Usłyszałem stłumiony zgrzyt metalu o beton – ktoś zamykał stalowe drzwi. Kompletna ciemność. Moje płuca pozbawione dopływu tlenu płonęły żywym ogniem. Wynurzyłem się, żeby zaczerpnąć tchu. Starąłem zrobić to jak najciszej. Nic z tego. Rzęzenie moich spazmatycznych wdechów odbijało się zwielokrotnionymi echem od kamienia.

Ale strzał nie padł. Edwarda już na górze nie było, a ja tkwiłem w strasznej, duszącej ciemności.

Obmaciałem ścianę kamiennego szybu. Nie był to gładki cement. To musiała być jakaś stara studnia ocembrowana ciosanymi kamieniami. Może dam radę się po nich wdrapać.

Ciężko poturbowany raczej nie byłem. Bolał mnie tylko kontuzjowany wcześniej bark.

Za pierwszym podejściem udało mi się wspiąć na jakieś półtora metra ponad powierzchnię wody i stamtąd zsunąłem się z powrotem w jej objęcia. Bezzwłocznie podjąłem drugą próbę.

Tym razem pokonałem trzy metry ściany. Tak mi się przynajmniej wydawało. W smolistych ciemnościach trudno to było dokładnie oszacować. Potem palce, które wcisnąłem w kolejną szparę, ześliznęły mi się po wilgotnym kamieniu i zawisłem na chwilę na jednej ręce, waląc brodą o ścianę. Z rozcięcia popłynęła krew i zaczęła skapywać ciepłymi kroplami na pierś, chyba straciłem na chwilę przytomność.

Ocuciła mnie zimna woda. Znowu podjąłem wspinaczkę. I znowu odpadłem od ściany. Zaatakowałem ją po raz czwarty, ale teraz rozpoznawałem już po omacku kształt poszczególnych kamieni. Piąłem się tą samą trasą i po półgodzinie morderczego wysiłku wyczułem pod dłonią gładką krawędź szczytu szybu.

Podciągnąłem się i ległem na posadzce wykończony, obolały i dygoczący z zimna. Po chwili wstałem, namacałem ścianę i po niej trafiłem do metalowych drzwi.

Były zaryglowane, zamknięte na klucz, a nad zamkiem wymacałem gładką metalową płytkę. Łączyła się z czymś po drugiej stronie. Nie miałem czym jej podważyć ani czym sobie przyświecić. Jasmin zabrała mi podczas rewizji latarkę.

*Zwykły grobowiec.*

To skojarzenie prawie mnie sparaliżowało. Ktoś tu w końcu przyjdzie. Ale kiedy? Za parę dni? A jak nie przyjdzie? Czy komuś w ogóle wiadomo o istnieniu tego kompleksu?

Doczołgałem się do krawędzi szybu. Dochodził z niego szum płynącej wody. Ta rzeka musiała wypływać gdzieś na powierzchnię. Ale nie wiadomo, jak wije się pod powierzchnią, jakie przeszkody pokonuje.

Na ile minut można wstrzymać oddech? Na jak długo?

– Na wystarczająco długo – powiedziałem głośno ciemności. – Wystarczająco.

Usiadłem, zwiesiłem nogi poza krawędź. Tak trudnej decyzji nie było mi jeszcze dane podejmować. Nie uśmiechało mi się spadać z powrotem w przerażający, atramentowy mrok. Tyle wysiłku kosztowało mnie wydostanie się stamtąd. Może się z tym wstrzymać? Posiedzieć tutaj i poczekać, aż ktoś mnie znajdzie?

Pomyślałem o moim małym Danielku.

*Jestem mu potrzebny, chociaż on o tym nie wie.*

I z tą myślą skoczyłem w czerń.

Wpadłem do wody i od razu poszedłem na dno. Trupa Jasmin już tam nie było, uniósł go prąd.

Ciemna woda była paralizująco zimna. Odnosiłem wrażenie, że to śmierć bierze mnie w swe objęcia. Trzymałem się blisko stropu pieczary, z którą graniczył szyb; był gładki, wyszlifowany przez wodę. Niesiony przez nurt, obijałem się głową i ramionami o podwodne głązy.

Dziesiąta sekunda w głębinie.

Nie odczuwając bólu, nie czując strachu, prulem jak torpeda. Ciemność była absolutna, z taką się jeszcze nie spotkałem. Przebierałem nogami, wyciągniętymi przed siebie rękoma próbowałem wyczuwać zawczasu czyhające na drodze, w smolistej czerni przeszkody, wmawiałem sobie, że mam cały czas świata.

Pięćdziesiąta sekunda. Coś koło tego. Rozsadzało mi już płuca, zaczynała rodzić się panika.

Po lewej zamajaczyła jaśniejsza plama i skręciłem w jej stronę. Kopałem zawzięcie nogami, płynąc teraz w poprzek znoszącego mnie nurtu. Plama jaśniała. Zobaczyłem przed sobą kamienny krąg oświetlony słabo padającym z góry światłem, coś jakby szyb, od którego płynąłem, tyle że węższy.

Wynurzyłem się.

Długimi, zachłannymi haustami łapałem powietrze. Pół metra nad głową miałem zardzewiałą kratę.

Spróbowałem ją wypchnąć. Nic z tego. Była zabezpieczona grubymi metalowymi bolcami.

Nie miałem ochoty opuszczać tej enklawy światła i życiodajnego powietrza, ale nie było rady. Byłem potrzebny swojemu dziecku; byłem potrzebny Mili. Czy Edward ją zabił? Chyba jeszcze nie; chciał z niej najpierw wyciągnąć, dla kogo pracuje.

Musiałem wrócić w ciemność.

Kilkoma powolnymi, głębokimi oddechami nasyciłem organizm tlenem i znowu zanurkowałem w czern.

Poniósł mnie dalej prąd zimnej podziemnej rzeki. Nagle wyczułem grzbietem, że sklepienie zaczyna opadać pod kątem, oddalając się od powierzchni. Zwalczyłem pokusę zawrócenia do szybu. Tylko nie panikuj. Cokolwiek to oznacza, nie panikuj.

Wyczuwałem teraz kamienie nie tylko nad, ale i pod sobą. Tunel się zwężał. Teraz panika naprawdę mnie dopadła, ale na zawrócenie nie było już szans.

Przeciskałem się między kamieniami, zaraz między nim utknę. Ojciec, matka. Brat patrzący w obiektyw kamery, błagający oczami o darowanie życia. Za chwilę spotkam się z Dannym. Moje dziecko. Lucy...

Zaraz, nie ma już kamieni. Nie ma skały nade mną. Tysiące kilometrów w górze jasność nad jasnościami. Ostatkiem sił skręciłem ku niej i wynurzyłem się w raju. Krztusiłem się, dyszałem ciężko, zwymiotowałem do wody. Był jasny słoneczny dzień, a ja w rzece, żywy.

Usłyszałem wizg silników odrzutowych. Samolot.  
Przypomni  mi si  pas startowy zaznaczony na planie.  
Spojrzałem z zimnej, szarej rzeki w g r .

Edward odlatywa  learjetem Zaida.



Leżałem jakiś czas na brzegu, dochodząc do siebie. Potem wstałem i powlokłem się do stajni. Ochroniarzy już tam nie było. Albo odwieziono ich do szpitala, albo zabrano do głównego domu. Wróciłem do podziemnego kompleksu.

Sprawdziłem wszystkie komputery; zniknęły zewnętrzne napędy twardych dysków i dziwne napędy na czipy, a z nimi, rzecz jasna, same czipy.

Sprawdziłem swój but. Czip, który do niego wsunąłem, wciąż tam tkwił.

Edward, zanim zastrzelił Jasmin, załadował taki do pistoletu. Czyli czipy współpracowały jakoś z bronią palną. Z tego osobliwego pistoletu Edward zastrzelił Jasmin, chociaż celował do mnie. Pistolet miał taką samą dziwną siateczkę jak bomba, która zabiła Cara Kasjera w Amsterdamie.

Wsiadłem do dostawczego pikapu i podjechałem pod pusty hangar dla samolotu. Ani śladu Mili.

Zabrał ją ze sobą, żeby z niej wydobyć, kto depta mu po piętach.

Pojechałem nad rzeczkę. Minąłem miejsce, w którym wygramoliłem się z niej na brzeg i jakieś osiemset metrów dalej znalazłem ciało Jasmin. Wszedłem do wody i wyciągnąłem zwłoki z gęstwy sitowia, w którym się zaplątały. Wziąłem ją na ręce i zaniósłem do pikapu. Nie uśmiechało mi się wracać do Londynu, bez prawa jazdy

na swoje nazwisko, skradzioną półciężarówką, z trupem na pace. Ale nie mogłem zostawić jej ciała.

Pistolet, z którego zabito Jasmin, był czymś niebywałym. Chciałem obejrzeć pociski.

Adrenaline rozbrzmiewał muzyką. Gitary akompaniujące przygrywały wokalistom obojga płci. Większość klienteli wyległa na placyk przed budynkiem i słuchała występu bardzo ostatnio popularnego zespołu. Zaparkowałem wóz na tyłach baru na miejscu zarezerwowanym dla właściciela. Zarzuciłem sobie trupa Jasmin na ramię, wystukałem na klawiaturze przy drzwiach kod, który podała mi Mila, i wszedłem. Nikt mnie nie widział. Lucy siedziała wciąż zamknięta w pomieszczeniu bez okien. Nie zajrzałem do niej. Gdybym ją teraz zobaczył, chyba bym zabił.

W szafce ze sprzętem medycznym, takiej samej jak w Amsterdamie, znalazłem skalpel. Rozpostarłem na podłodze plastikową płachtę i ostrożnie naciąłem rany postrzałowe Jasmin. W jednej znalazłem pocisk, wydłubałem go z ciała, wytarłem do czysta i podszedłem z nim do stołu.

Był dłuższy i bardziej wysmukły niż standardowe. Siła uderzenia, kiedy wchodził w ciało Jasmin, trochę go odkształciła. Na czubku miał siateczkę, taką samą jak te na odłamkach bomby i na korpusie pistoletu. Ściągnąłem ją. Wnętrze wypełniał jakiś skomplikowany, zminiaturyzowany układ elektroniczny.

Obfotografowałem rozmontowany pocisk i załadowałem zdjęcia do stojącego na biurku komputera.

Potem wziąłem jeden z telefonów leżących na półce,

obejrzałem go i wstukałem numer do Nowego Jorku.

– Howell, słucham – usłyszałem po trzecim sygnale.

– Sam Capra z tej strony.

– Sam?

– Mam moją żonę.

– Co masz?

– Żonę. Dopadłem ją.

Długa chwila milczenia.

– Miałaś rację, Howell. Zdradziła mnie, zdradziła Firmę. Mam dowód.

– Wyluzuj.

– Przechwyciliście ten transport papierosów?

– Nie. Celnicy z Rotterdamu go nie namierzyli.

– Słuchaj. Lucy związała się z grupą – tą twoją Novem Soles – która wykradła prototyp jakiegoś pistoletu nowej generacji. Prześlę ci fotografie samego pocisku. Trzeba je przeanalizować.

– Nie, Sam. Wracaj tutaj. Wszystko w swoim czasie.

– Nie. Prześlę ci te zdjęcia mailem. Podejrzewam, że tymi pistoletami dokonują selekcji dzieci.

– Dzieci?

– Widziałem listę pięćdziesięciu osób, które są być może na ich celowniku. W większości to dzieci, dorosłych jest na niej tylko kilkoro. Podaj mi adres mailowy, pod jaki mam ci to wysłać.

– Przywieź ten dowód osobiście. Natychmiast, Sam.

– Howell zniżył głos. – Jeśli naprawdę masz Lucy, wszystko zostanie ci darowane.

Ale gdybym miał mu powiedzieć wszystko, to musiałbym również powiedzieć o Mili. A na to nie byłem jeszcze gotowy.

– Podaj mi ten adres mailowy. Tylko w ten sposób możemy to w tej chwili załatwić.

Z ociąganiem, ale podał. Rozłączyłem się. Wróciłem do komputera i przesłałem mu zdjęcia za pośrednictwem południowoafrykańskiego serwera, na którym kiedyś, kiedy pracowałem jeszcze pod przykrywką Petera Samsona, miałem anonimowe konto, przez które kontaktowałem się z Firmą. Dałem Howellowi parę godzin na ich analizę.

Przebrałem się w suche rzeczy, które znalazłem w szafie, i zajrzałem do Lucy. Siedziała na podłodze przykuta do ściany.

Patrzyłem na nią jak na obcą.

Lucy podsunęła się pod ścianę.

– Wyglądasz tragicznie.

– Edward ma taki niesamowity pistolet. Celujesz do kogoś, a trafiasz kogoś innego. Opowiedz mi o nim.

Pokręciła głową.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Ładuje się do niego czipy komputerowe.

– Nie wiem, Sam.

– Ma listę dzieci, którymi zamierza się chyba zająć.

Dzieci, Lucy.

– Naprawdę nic mi o tym nie wiadomo.

– Powiedział mi, że każe zabić naszego synka. Tylko dlatego, że może to zrobić.

Miała już na ustach kolejne „nie wiem”, ale ugryzła się w język. Czekalem, co powie.

– Powiedział, że sprzedał naszego synka, Lucy. Czy to prawda?

Spróbowała się podnieść.

– Musisz mnie wysłuchać, Sam, musisz...

– Pomagałaś mu w sprzedaży naszego dziecka?! – wrzasnąłem.

Pokręciła głową. Potem nią pokiwała. Potem znowu pokręciła.

Krew mnie zalała. Chwyciłem ją za gardło, ścisnąłem. Nie bronila się, patrzyła mi tylko w oczy.

Odepchnąłem ją od siebie.

Opuściła powieki.

– Edward ma Daniela, więc z nim współpracuję.

– Gdzie on jest?

– Nie wiem. Zabrał mi go zaraz po porodzie... Tylko raz miałam go w ramionach. Tylko raz. Pocałowałam go wtedy i nadałam mu imię... Nie mogłam się im przeciwstawić. Poród był trudny, Sam. Nie czułam się na siłach.

Ukląknęłam przy niej.

– I co?

– Właśnie, i co? Powiedział, że oddał go handlarce dziećmi. I że jeśli nie będę mu posłuszna, sprzeda go jakiejś bezdzietnej parze ze Stanów i nigdy go nie odzyskam.

Odwróciła wzrok. Wzięłam ją pod brodę i zmusiłam, żeby znowu na mnie spojrzała.

– Nie wierzę, że jesteś niewinną ofiarą, Lucy. Ocaliłaś mi życie, bo może dręczyły cię wyrzuty sumienia. Ale trzymałaś dalej z tymi ludźmi...

– Bo mieli Daniela! Edward potrafi grać na lękach człowieka, wykorzystywać je do swoich celów.

– Podłożyłaś bombę w naszym biurze – powiedziałem. – Korzystałaś z konta, które Firma uważała za zamknięte. Nie jesteś niewinną ofiarą porwania. Wtedy nie mieli jeszcze na ciebie haka.

– Nie wiedziałam, że to była bomba. Nawet do głowy mi to nie przyszło. Powiedzieli mi, że to napęd, na który skopiuje się zawartość twardych dysków. Edwardowi

zależało na zdobyciu danych zebranych przez biuro.

– W tym na informacjach o śledztwie, które ja prowadziłem?

Kiwnęła głową.

– Edward w ostatniej chwili powiedział mi, że to bomba. Byłam wtedy w jego samochodzie. Wiedziałam, że tam jesteś. Zdalny detonator nie zadziałał i Edward wysiadł, żeby podejść bliżej budynku. Opóźnienie było nastawione na dwadzieścia sekund. Kiedy wrócił, zorientował się, że do ciebie zadzwoniłam. Zaraz potem wszystko wyleciało w powietrze. Ocaliłam ci życie, Sam.

– A na całą resztę machnęłaś ręką.

– Musiałam dokonać trudnego wyboru – powiedziała.

– Wiesz, jak to jest.

Odetchnąłem głęboko.

– Jeśli chcesz mi pomóc, powiedz mi wszystko, co wiesz. Co to za broń? Działa na czipy. Mam jeden taki. Był w napędzie podłączonym do komputera z profilami DNA. Ładuje się go do pistoletu, a on kojarzy w jakiś sposób DNA danej osoby z pociskiem.

Kiwnęła powoli głową.

– Tak to sobie przynajmniej wyobrażam – dodałem.

Podciągnęła kolana pod brodę.

– Edward jest Brytyjczykiem, ale pracuje w Europie Wschodniej dla jednej z tych międzynarodowych organizacji przestępczych, które rozpracowywaliśmy. Dowiedział się skądś o prowadzonych na Węgrzech pracach nad tymi naprowadzanymi DNA pistoletami.



Porwał Jasmin, żeby mieć kartę przetargową w negocjacjach z jej ojcem. Okupem miały być pistolety. Ale Zaid dał mu same pistolety, bez czipów, które nimi sterują.

Lucy podniosła na mnie wzrok.

– Tak, próbował w ten sposób przechytrzyć Edwarda.

– Podejrzewam, że cała ta operacja sponsorowana była przez Cara Kasjera. Edward chciał mieć tę broń tylko dla siebie, postanowił więc pozbyć się współnika, a przy okazji zrobić w to morderstwo Jasmin i zapewnić sobie milczenie jej taty.

Ale nikt z amsterdamskiego gangu nie wiedział o Carze Kasjerze. Wiedział o nim tylko Edward. Myśleli, że to zwyczajna pokazówka. I kiedy przestali mu już być potrzebni, zabił wszystkich.

Uniosłem palcem brodę Lucy.

– Novem Soles. Dziewięć Słońc. Co to jest? Edward?

– To oni zmusili mnie, żebym do nich przystąpiła.

– Zmusili? Nie miałaś jeszcze dziecka. Nie mieli cię czym zaszantażować.

– Ale miałam ciebie.

Pokręciłem głową.

– Nie uwierzę, że poświęciłaś się dla mnie.

– Pamiętaj, że wywołałam cię z budynku.

Zacisnąłem pięść.

– A ta bomba w Amsterdamie? Policja nie może dojść, jak została zdetonowana. Ale miała taką samą siateczkę jak pistolet, jak pocisk. Wybucho, kiedy zbliży

się do niej osoba o zaprogramowanym DNA?

Kiwnęła głową.

– Zamachu na nasze biuro nie dokonano z powodu Cara Kasjera. Groźniejszy był ktoś, kto nas na niego naprowadził – naukowiec zajmujący się badaniami nad DNA i nanotechnologią. Wzięli nas na celownik, bo zwietrzyliśmy ten trop. Czy ten naukowiec współpracował z Jasmin?

Kiwnęła głową.

– Te pistolety, te pociski, ta bomba, wszystko to nanotechnologia wiążąca broń z DNA określonej osoby, tak?

– Tak.

– Car Kasjer płaci Edwardowi za dokonanie zamachu bombowego w Londynie, żeby zatrzeć wyniki prowadzonego przeze mnie śledztwa. Edward wykorzystuje te pieniądze na zorganizowanie grupy w Amsterdamie. Płaci Pietowi i Nicowi za przerzut pistoletów od Zaida do Stanów Zjednoczonych.

Lucy otarła twarz.

– Tak. Pocisk zaprogramowany kodem DNA nie chybi. Snajper może strzelać w tłum na oślep, a kulka i tak dosięgnie tego, dla kogo jest przeznaczona.

– Rozumiem. A te pięćdziesiąt osób z listy? Te dzieci? Co to za jedni?

– Naprawdę nie wiem. Nie wiem, co on planuje. Chciał mnie zabić. Zapomniałeś? Mogę ci pomóc, Sam... Mogę.

Pakt z diabłem, pomyślałem, odsłona druga.

Przez chmury nad Brooklynem prześwitywała blado poświata księżycyca.

Czasu było mało. Włamywacz zakładał, że w pustym mieszkaniu są kamery, że będzie miał tylko parę minut na znalezienie tego, po co przyszedł.

Pierwsze kroki skierował do łazienki. Grzebień, szczotka i szczoteczka do zębów leżały na półce pod lustrem. Obejrzał szczotkę do włosów. Sam Capra był ciemnym blondynem. Kilka pasemek takich włosów zaplątało się w jej szczecinie.

Szczotka powędrowała do plastikowego woreczka, razem z nią grzebień i szczoteczka do zębów. Załatwione.

Teraz na korytarz, schodami w dół, z powrotem w noc. Włamywacz ściągnął z głowy kominiarkę i oddalił się w ciemność z plastikowym woreczkiem, w którym szeleścił klucz do ostatecznego rozprawienia się z Samem Caprą.

Po trzech godzinach zadzwoniłem znowu do Howella.

– No i co?

W jego głosie nie było entuzjazmu.

– To zdjęcia prototypowego rodzaju broni, nad którym pracuje Firma.

Firma? Boże.

– Opracowywanego dla was przez Bahjata Zaida.

Bóg, natura czy biologiczny przypadek sprezentował nam mózg, i oto jaki robimy z niego użytek. Wymyślamy coraz skuteczniejsze sposoby zabijania.

Te pistolety mogły zmieniać bieg historii. Zabić prezydenta, premiera, papieża, zabić dobrego człowieka czy szubrawca ze stuprocentową pewnością, że pocisk dosięgnie celu.

– Wiesz, co tu jest grane, Sam? – spytał Howell. – Po co temu człowiekowi te pistolety? Co on kombinuje?

– Chce zarobić. Pewnie sprzedaje je komuś, kto zamierza zrobić z nich użytek. Ma DNA pięćdziesięciu osób. Jeden z moich kontaktów, Piet, powiedział, że Edward chce przeschmuglować pięćdziesiąt paczek. Pięćdziesiąt. To pięćdziesiąt coś znaczy, ale te pięćdziesiąt osób to żadni celebryci.

– Rozpoznałbyś je?

– Może. Nie wiem. – W głowie mi huczało.

Te pistolety stanowiły mój bilet powrotny do

normalnego życia. Jeśli Firma mi daruje, będę mógł odzyskać synka i wychowywać go bez oglądania się przez resztę życia za siebie.

– On szmugluje te pistolety do Nowego Jorku – dorzuciłem.

– Po co? Dla kogo?

– Tego nie wiem.

Chwila milczenia.

– Posłuchaj. Jeśli znowu wpuszczasz mnie w maliny, to gorzko tego pożałujesz.

– Ja ciebie? Trochę wiary w człowieka, Howell.

– Sam...

– Oddzwonię, jak dowiem się czegoś więcej.

– Jesteś wciąż człowiekiem Firmy.

– Nie, już nie jestem.

– Jesteś i wzywam cię do zameldowania się w centrali.

Rozłączyłem się. Zszedłem na dół i znalazłem Kennetha, kierownika Adrenaline. Wróciliśmy razem do biura. Zrobił wielkie oczy na widok ciała Jasmin.

– Nie ja ją zabiłem – powiedziałem.

– W porządku. – Kenneth chrząknął.

Wyjaśniłem mu, co się stało, nie zdradzając specyficznych właściwości pistoletu. Kiedy powiedziałem, że Mila została uprowadzona, mruknął:

– Jak mogę pomóc?

– Kto tym wszystkim kręci, Kenneth? Dla kogo pracujesz?

– Dla Mili.

– A Milla dla kogo? Ta technologia, te środki, jakimi dysponujecie... to nie byle co.

– Zapytaj Mili – bąknął Kenneth.

– Nie wiem, czy ona jeszcze żyje.

Usiadł.

– Pracuję dla Okrągłego Stołu.

– Okrągłego Stołu? Tego arturiańskiego?

– Nie, to tylko zbieżność nazw. To grupa wpływowych i bogatych ludzi, którzy od lat łączą siły. Tyle wiem. Mogę do nich dzwonić i załatwiać środki dla Mili albo jej współpracowników.

– No nie, kto by pomyślał, pracuję dla samego króla Artura. – Prawie się roześmiałem. – I ten Okrągły Stół jest właścicielem tych wszystkich barów? Adrenaline, De Rode Prins w Amsterdamie?

Kiwnął głową.

– Dlaczego dla nich pracujesz? Co cię do tego skłoniło?

Przyglądał mi się przez chwilę.

– Dziesięć lat temu zostałem oskarżony o zamordowanie swojej byłej dziewczyny. Nie zrobiłem tego, ale skazano mnie i trafiłem za kratki. Mocodawcy Mili wyciągnęli mnie stamtąd i znaleźli rzeczywistego zabójcę. Wiele im zawdzięczam.

– Z Milą było podobnie? Niesłusznie oskarżona, a potem wybroniona przez Okrągły Stół?

– Nie powiem, bo nie wiem. Ale jakie to ma teraz

znaczenie? Musimy pomóc Mili.

– Fakt. Muszę się dostać do Stanów Zjednoczonych. Z więźniem, który znajduje się w tamtym pokoiku. Nie mogę wprowadzić jej skutej do samolotu. Potrafisz załatwić nam jakiś transport?

– Tak. Prywatnym samolotem. – Kenneth podniósł słuchawkę telefonu, ale zawahał się. – Myślisz, że Milla jeszcze żyje?

– Mam taką nadzieję i spróbuję ją uwolnić.

Wszedłem do Lucy.

– Wkrótce odlatujemy. Jeśli spróbujesz mi się urwać albo urządzisz jakąś scenę, zastrzelę cię. Zrozumiałaś, kotku?

– Tak, małpoludzie. – Lucy pokazała mi skute nadgarstki. – W całej rozciągłości.



Kabina była urządzona skromnie, ale funkcjonalnie. Tylko ja, Lucy w kajdankach, pilot i drugi pilot. Ci ostatni nie zadawali żadnych pytań.

– Powiedziano im, że to więzień CIA – wyjaśnił Kenneth.

– Dziękuję.

Lucy zjadła kanapkę, którą ją poczęstowałem, i popiła wodą z butelki.

Samolot wystartował, zostawił za sobą Anglię i już byliśmy nad szarym jak stal Atlantykiem.

– Mam do ciebie pytanie. Jak konkretnie te czipy wyłapują DNA?

– Zanudziłabym cię naukowym wywodem, ale mówiąc w skrócie, wystarczy położyć na czipie włos albo próbkę krwi celu, a on koduje pociski DNA i załatwione. Zakodowany w ten sposób pocisk staje się pociskiem samonaprowadzającym.

– Ale on do ciebie strzelił i nie trafił.

– Nie miał czipa z moim DNA. Bez kodu DNA pistolet działa jak zwyczajny pistolet.

– A ma w ogóle czip z twoim DNA?

Zawahała się.

– Może mieć, a ty o tym nie wiesz?

– Otóż to.

– Zachodzę w głowę, dlaczego zdradziłaś, jak ktoś taki jak Edward, klasyczny psychopata, mógł cię do tego

nakłonić?

– Cóż, podczas gdy ty rozpracowywałeś te przestępcze organizacje, ja patrzyłam w liczby. Oni obracają miliardami. Dwadzieścia procent światowej gospodarki to teraz nielegalne interesy. To łatwe pieniądze. Wystarczy pozbyć się skrupułów. Przemytnczy, zawodowi zabójcy, hakerzy. Złapiesz kontakt i... – Spojrzała na mnie chłodno. – Jestem kobietą zapobiegliwą. Zaproponowali mi pewną sumę. Wiedziałam, że mogę ją wyczyścić poprzez konto Firmy, tak żeby zniknęła. A przynajmniej tak mi się wydawało. Przekazanie im tych plików nikomu by nie zaszkodziło.

– Co wiesz o Novem Soles?

– Jestem z nimi w kontakcie. Płacą mi, ale nigdy się z nikim od nich nie spotkałam. – Skończyła kanapkę. – Nie wiem nawet, skąd ta nazwa. Ale znalazłam w Internecie starą legendę o dziewięciu słońcach. Chińską. Według niej słońce było kiedyś dziesięć, ale nie wschodziły pojedynczo, lecz wszystkie naraz, a wtedy żar robił się nie do wytrzymania. – Mówiła to bardzo cicho. – Cesarz poprosił ojca dziesięciu słońc, Di Juna, żeby ten poprosił słońca, aby wschodziły po jednym i nie wypalały ziemi. Ale słońca nie posłuchały. A więc Di Jun wysłał łucznika imieniem Yi z czarodziejskim łukiem i strzałami, żeby postraszył słońca i zmusił je do posłuchu. Lecz Yi zestrzelił dziewięć słońc i zostało tylko jedno. – Uśmiechnęła się. – Bo dziewięć słońc, powracając, zniszczyłoby świat i każdego, kto spróbowałby je

ujarzmieć. Nie wiem, czy ta historia ma coś wspólnego z Dziewięcioma Słońcami ani dlaczego używają łacińskiej nazwy, skoro legenda jest chińska. Dziewięciu ludzi, którzy mogą przebudować świat, za takich się uważają.

– Czy Edward jest jednym z tej dziewiątki? Czy tylko im się wysługuje?

– Nie wiem.

– A te pięćdziesiąt osób? Co w nich takiego szczególnego?

– Powiedziałam, że nie wiem.

– Kłamiesz.

– Nie. – Lucy podciągnęła kolana pod brodę i spojrzała na mnie. – Kiedy poprosiłeś mnie o rękę, w pierwszej chwili chciałam odmówić. Nie dlatego, że nie chciałam za ciebie wyjść. Chciałam. Ale czułam, że nie spełnisz moich oczekiwań. Wiele od życia chciałam. Pieniędzy. Prestiżu. Marzyło mi się popracować ciężko dziesięć lat i zarobić przez ten czas tyle, żeby starczyło na resztę życia. A wiedziałam, że tobie na tym nie zależy.

Nie skomentowałem tego. Przez następne czterdzieści minut milczała i myślałem, że zasnęła. Potem nagle się odezwała:

– Wiesz, powiem ci jednak trochę o tych, dla których pracuję.

– Skąd ta zmiana?

– Ponieważ ty chyba naprawdę wierzysz, że Firma z powrotem cię przyjmie. Że ci darują. Ale nic z tego. Oni ci już nie ufają. A zaufanie to w tym fachu podstawa.

– Mam to rozumieć jako propozycję pracy?

Rozprostowała nogę.

– Już bardziej koło ratunkowe. Firma, kiedy już uzna, że nie jesteśmy jej przydatni, zabije nas. Oboje.

– Bzdura.

– No, przecież nie oficjalnie. Załatwi nas jakaś banda oprychów, którą mają na swoich usługach.

Popatrzyłem na nią z uwagą. Czyżbym przez tak długi czas się mylił?

– Nie spełniałem twoich oczekiwań? – spytałem, wciąż wstrząśnięty tym, co mi przed blisko godziną powiedziała. – Małżeństwo ze mną...

– Wyszłam za ciebie... wyszłam, bo wyszłam. Bo cię kochałam.

– Nie wierzę ci.

Uniosła rękę, podciągnęła rękaw i pokazała mi trzy okrągłe sińce na ramieniu.

– To cena telefonu, którym wywołałam cię z biura. Edward myślał, że go zdradziłam.

– Dlaczego nie spełniałem twoich oczekiwań? Byłem złym mężem?

– Ciebie nie obchodzi moje zdanie.

Chciałem zaprotestować, ale uniosła rękę.

– Nie, nie obchodzę cię. Wyczuwam to. Chodzi ci tylko o dziecko. – Uśmiechnęła się, ale ten uśmiech szybko zgasł. – To moja karta przetargowa.

– Nie mów w ten sposób o Danielu.

– Wiem. To mały człowieczek. Który rósł we mnie

przez dziewięć miesięcy. – Otarła dłonią usta. –  
Pamiętasz, jak się zorientowaliśmy, że jestem w ciąży?

Też pytanie! Powiedziała mi to pewnego dnia po kolacji.

– Pamiętam.

– Tak myślałam. Nie będę już pracowała dla Novem Soles. Odejdę. Zatrę za sobą ślady, zniknę.

– Mogłaś dawno nam powiedzieć, że masz kłopoty. Pójść na współpracę. Wykorzystałaś mnie, wykorzystałaś nasze dziecko.

– Po tym zamachu bombowym nie było to już możliwe. Nie zniosłabym więzienia.

– Są gorsze rzeczy niż więzienie.

– To groźba? Ty mnie nie skrzywdzisz. Nie jesteś taki.

– Powiedz, gdzie jest nasze dziecko. Jesteś mi to winna.

– Nic ci nie jestem winna. Ocaliłam ci życie. Jesteśmy kwita.

– W Maine, pod Damariscota jest lotnisko Firmy. Poproszę pilotów, żeby tam wylądowali.

– Myślałam, że lecimy do Nowego Jorku.

– Nie. Doszedłem do wniosku, że powinienem przekazać cię Firmie.

– Nie tak się umawialiśmy. Wystawiłam ci Edwarda i nasze drogi się rozchodzą.

– Ale nie chcesz mi powiedzieć, gdzie on teraz jest. Firmie powiesz. Założę się, że to z ciebie wydobędą.

– Ale te pistolety...

– Mój syn ma pierwszeństwo. Może ci ludzie nie wytypowali jeszcze swoich celów. Może na tych pięćdziesięciu osobach sprawdzali tylko, czy potrafią kodować czipy; może one wcale nie są celami, a tylko przypadkowo wybranymi dostarczycielami próbek DNA.

– Założyłem ręce na piersi. – Nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę, jak Howell bierze cię w obroty. Ja byłem dla niego tylko rozgrzewką, kotku. Głównym daniem będziesz ty. A z nim nie przelewki. Wkurwiony biurokrata to gorsze niż męki piekielne.

– On ciebie też zabije.

– Nie, będzie miał w garści swoją zdrajczynię, to mi odpuści.

– Firma nie pozwoli ci lądować na swoim lotnisku. Wstałem.

– Za pięć minut mogę rozmawiać z Howellem. Da mi zezwolenie.

– Nie zawsze byłeś taki uparty.

– Gdzie rodziłaś? Powiedz mi i lecimy do Nowego Jorku.

Złamała się.

– W Strasburgu. W prywatnej klinice Les Saintes. Dziesiątego stycznia. Nadałam mu imiona Julien Daniel Besson.

– Kto go zabrał?

– Jedna kobieta.

– Do kogo podobny jest Daniel?

– Wszystkie noworodki wyglądają z początku jak Winston Churchill. Ale ma twoje oczy, Sam.

– Jak nazywa się ta kobieta?

– Edward mi nie powiedział. Nie wiem.

– Zapłacili ci za mojego syna?

– Naszego...

– Straciłaś do niego wszelkie prawa, Lucy. Nigdy więcej nie nazywaj go naszym synem.

– Nie mów tak.

– Pozwoliłaś go sobie zabrać i sprzedać. Jezu. Spojrzała na mnie i już wiedziała, że układ, jaki zawarliśmy, już nie obowiązuje, że nie dam jej odejść, dopóki nie odda mi dziecka.

– Co ze mną będzie? – spytała.

– Powiesz mi wszystko, a potem powtórzysz to Firmie. Chcę, żeby moje imię zostało oczyszczone.

– Twoje imię nigdy nie zostanie oczyszczone, Sam. Zawsze znajdzie się ktoś wysoko postawiony, kto uzna, że coś tam wiedziałeś. Że może sam nic złego nie zrobiłeś, ale wiedziałeś, czym ja się zajmuję, i milczałeś. Z nadzieją, że albo przestanę, albo nigdy mnie na tym nie nakryją. Dobry z ciebie mąż, ale przez to kiepski agent.

– Gdzie Edward dostarcza te czipy do pistoletów? Komuś z Nowego Jorku?

Nie odpowiedziała od razu. Przez kilka długich sekund słychać było tylko wizg silników.

– Na nowy stadion Jankesów.

– Kiedy?

– Dziś wieczorem o ósmej. Na początku meczu.  
Właśnie zaczyna się nowy sezon.

Patrzyłem na nią bez słowa, wspominając nasz ostatni wspólny poranek.

– Pamiętasz, jak kiedyś spytałam cię, co byś powiedział, gdybyś wiedział, że to nasz ostatni dzień razem? – podjęła.

Pamiętałem.

– Że na pewno nie powiedziałbym „żegnaj”.

Dostrzegłem w jej oczach lśnienie i nie wiedziałem, czy to łzy, czy odblask przytłumionego światła kabiny.

– A ja chyba ci to teraz powiem, Sam.



Wysiedliśmy z Lucy z samolotu i przeszliśmy bez problemów przez kontrolę paszportową. Dzięki, Kenneth, dzięki załogo. Granice. Czy one w ogóle jeszcze coś znaczą?

Przy terminalu czekał na nas samochód. Wepchnąłem Lucy na tylne siedzenie i zająłem miejsce obok niej. Wcześniej zadzwoniłem.

– Witam – powiedział siedzący za kierownicą August Holdwine.

– Pan Przyjemniaczek się znalazł – burknęła Lucy, kiedy ruszaliśmy. – Popełniłeś właśnie zawodowe samobójstwo.

– Twoje doświadczenie na polu kształtowania kariery zawodowej są bezcenne – oznajmił. – Co u ciebie, Lucy?

– Powinnam wyjść za ciebie. Nie za niego.

– Bądź dla Augusta miła – powiedziałem. – Odwiezie cię do Firmy i zarobi za to pochwałę.

– A ty z nami nie jedziesz? – Lucy spojrzała na mnie zdumiona.

– Nie. Ja wybieram się po nasze dziecko. Jeszcze raz dziękuję, August.

August zerknął w lusterko wsteczne na Lucy.

– Nigdy ci nie ufałem. I niestety miałem rację.

– Ty też sprzeniewierzyłeś się Firmie, pomagając Samowi – odparła.

– Masz ograniczoną wyobraźnię, Lucy. Są w Firmie

ludzie, którzy w pełni popierają moje działania. Byle tylko dorwać ciebie.

Lucy zatkało.

– Chcesz przez to powiedzieć, że mamy sojuszników?  
– spytałem.

– Nie. Masz tylko mnie – odparł August.

Nie była z nas raczej para supermenów. Ja poobijany, August ranny w ramię.

Lucy przysłuchiwała się z uwagą naszej wymianie zdań.

– Gdzie Howell? – spytałem.

– Wezwali go do Langley. Zrobiła się wielka chryja w związku z tą innowacyjną technologią, którą u tych gości wykryłeś.

– Spotkanie jest za godzinę – wtrąciła Lucy. – Jeśli tak ci zależy na zostaniu bohaterem, przyśpiesz nieco...

– Musi być jakiś powód, dla którego umówili się właśnie na stadionie Jankesów – zauważył August.

– Jakaś demonstracja – mruknąłem. – Chcesz udowodnić, że pocisk trafi bez pudła w pojedynczy cel pośród tysięcy? Tłum jest do tego najlepszy. Tylko kto stanowi ten cel?

– Któryś z czołowych graczy – podsunął August. – No i zapowiadano, że pierwszą piłkę ma rzucić gubernator. Nie wiem, czy to prawda.

Spojrzałem na Lucy, mając przed oczami dzieciaki z komputera Zaida.

– Te dzieci. Zamierzają je pozabijać na tym meczu?

– Już ci powiedziałam, że nic mi nie wiadomo o żadnej demonstracji – odburknęła Lucy. – Edward załatwiał tę transakcję osobiście, bezpośrednio z nabywcą.

– Macie jakiegoś łącznika z ochroną stadionu Jankesów albo z policją zabezpieczającą mecz? – spytałem Augusta.

– Mamy, ale jak mu powiem, o co biega, będzie chciał wiedzieć, skąd dostałem ten cynk. A ja jestem na urlopie.

– I on o tym wie?

– Raczej nie.

– To mu powiedz, że miałeś anonimowy telefon. August zadzwonił do swojej wtyki.

– To ja, poruczniku Garcia, August Holdwine z manhattańskiego biura CIA. – Pauza. – Tak, dzięki, u mnie wszystko w porządku. Mam tu coś na tapecie. Ale pomyślałem, że zamiast tracić niepotrzebnie czas, zadzwonię do pana. Czy na dzisiejszy mecz przychodzi jakaś zorganizowana grupa dzieci? Przechwyciliśmy podejrzaną rozmowę, w której było o czymś takim. – Słuchał przez chwilę. – No nie, niczego konkretnego nie umiem powiedzieć. Wiadomo ci coś na ten temat?

– Jeśli Edward wyczuje, że depcesz mu po piętach, nasz synek zginie – powiedziała Lucy. – Weź to pod uwagę.

– Chyba że wcześniej zostanie zgarnięty.

– Ja bym nie ryzykowała.

Poczułem się jak wyrodny ojciec.

August rozłączył się.

– Ma tam dzisiaj być dwudziestosiedmioosobowa grupa dzieci z przykościelnego sierocińca w Queens. Obejmą je dodatkową ochroną. Ale Garcia chce wiedzieć coś więcej.

– Sami więcej nie wiemy.

August obejrzał się na mnie zza kierownicy.

– Podejrzewam, że policja będzie chciała ze mną porozmawiać o ocenie zagrożenia, jak tylko podjedziemy pod stadion. A gadając z Garcia, nie będę ci mógł pomóc.

Uniosłem rękę.

– Rozumiem.

– Tak jakby gliniarz był w stanie zatrzymać pocisk, kiedy ten zostanie już wystrzelony – mruknęła Lucy.

– Dorwiemy go, zanim zdąży nacisnąć na spust – powiedziałem.

– Ryzykujesz życie własnego dziecka, ratując je obcemu, Sam – rzuciła Lucy. – Powinnam cię tam w Amsterdamie zabić.

– Podejrzewam, że będzie sam – powiedział do telefonu Edward. – Masz na wszelki wypadek jego próbkę?

– Mam. Ostrożności nigdy za wiele. Niebawem się zobaczymy, Edwardzie. Bardzo jestem ciekaw tej demonstracji.

– Myślę, że cały świat będzie pod wrażeniem – odparł Edward. Dzień był piękny, nad Nowym Jorkiem rozpościerało się idealnie błękitne niebo. Edward czuł się szczęśliwy. Był już bardzo blisko celu. Ale, co dziwne, brakowało mu Jasmin. Ukształtował ją, uformował w osobę bardzo mu przydatną. Może zbyt pochopnie się jej pozbył. Nic to. Wkrótce będzie na tyle bogaty, żeby poznać inną, którą o wiele łatwiej sobie podporządkuje.

Cudowny dzień na udowodnienie, że strach czyni cuda.

Było przepiękne popołudnie. Słońce uśmiechało się do Nowego Jorku z nieba jak święty. August miał już dla nas bilety, przepychaliśmy się przez tłum.

Zadzwoiła komórka Augusta. Odebrał i słuchał przez chwilę.

– Niestety, nic więcej nie potrafię ci powiedzieć, Garcia. Wiem tylko tyle, że chodzi o jakieś dzieciaki. Czy to wiarygodna informacja, trudno powiedzieć. Ale lepiej dmuchać na zimne... tak. Że co? Co? Aha, no trudno.

Rozłączył się.

– Garcia ma teraz co innego na głowie – organizację ochrony gubernatora.

– Mówiłeś...

– Gubernator będzie tu jednak dzisiaj, żeby rzucić tę pierwszą piłkę – ciągnął August. – Podobno syn go uprosił.

Gubernatorem stanu Nowy Jork był mężczyzna pod pięćdziesiątkę nazwiskiem Hapscomb, człowiek popularny, ale bez aspiracji do wyższych urzędów.

– To by było to – powiedziałem. – Jeśli chce się zaprezentować skuteczność jakiejś nowej broni, bierze się na celownik kogoś prominentnego.

Ale gubernator? To mimo wszystko nie ten efekt, co zabójstwo prezydenta albo jakiegoś przywódcy religijnego. Za niski próg dla ambicji Edwarda, zwłaszcza przy tak potężnej broni. A na zdjęciach nie było żadnego

polityka, przynajmniej ja nikogo takiego na nich nie rozpoznałem.

Obserwowaliśmy tysiące ludzi zajmujących swoje miejsca. Do rozpoczęcia meczu pozostało jeszcze kilka minut. Przesunąłem wzrokiem po koronie stadionu, wypatrując miejsca, z którego snajper mógłby oddać strzał. Ale ochrona pewnie miała już takie na oku.

Lucy pokręciła głową.

– Edward nie musi wybierać dogodnej pozycji strzeleckiej – powiedziała – wystarczy, że będzie w zasięgu i naciśnie spust. Pocisk sam znajdzie drogę do celu, byle mu jej coś nie zastawiło.

– Ale nie będzie chyba strzelał z tłumu – zauważyłem. Lucy szła między mną a Augustem.

Pięćdziesiąt pistoletów. Pięćdziesiąt pocisków. Pięćdziesiąt stanów. Pięćdziesięciu gubernatorów? Ale żadna osoba z fotografii nie była gubernatorem.

– Ten pistolet to egzemplarz demonstracyjny, prawda? – spytałem. – Jeśli spełni wymagania nabywcy, ten zakupi większą partię i będzie wybierał kolejne cele.

– Umknęło ci, że tu liczy się czas, Sam – odparła. – Boże, miałam cię za inteligentniejszego.

Faktycznie, zabójstwa może dokonać każdy głupi. Głupcy czynią to od wieków. Ale teraz...

– Mając pięćdziesiąt takich pistoletów, można załatwić jednocześnie wiele celów – wyrzuciłem z siebie.

– Masowy mord. Zabijasz jednego gubernatora, i ochrona pozostałych postawiona zostaje w stan najwyższej

gotowości. Zabijasz wszystkich naraz i...

– I co się dzieje? – podchwyciła Lucy. – To dla kraju prawdziwe trzęsienie ziemi. Jak walczyć z taką bronią? I jaki efekt psychologiczny? Za jednym zamachem giną wszyscy gubernatorzy. Po miesiącu giną ich zastępcy. Nikt nie chce już kandydować na to stanowisko, zgadzasz się? To niewyobrażalny wstrząs dla systemu politycznego, jeśli nie potrafi się zagwarantować bezpieczeństwa przedstawicielom najwyższych władz. Co czeka Amerykę, jeśli grono jej przywódców gwałtownie się kurczy, jeśli nikt nie garnie się do władzy, bo to pewna śmierć? Cały świat zaczyna się walić. Organizacje przestępcze rozwijają wreszcie skrzydła. Hulaj dusza, piekła nie ma. Może nawet przejmują władzę. – Uśmiechnęła się. – Przecież wiesz, jakie zbiry sprawują teraz rządy w Kolumbii, Mołdawii, Pakistanie. A dlaczego nie mieliby tutaj? Dlaczego nie na Zachodzie?

– Kto jest nabywcą?

August już nie słuchał. Zbiegał schodami w kierunku murawy boiska. Do ochrony gubernatora Hapscomba.

Rozejrzałem się po stadionie.

– Puść mnie wolno, a powiem ci, gdzie on jest – powiedziała Lucy.

– Daniel?

– Nie, Edward. Możesz chwycić dwie sroki za ogon, Sam.

Cholera jasna, ona wiedziała. Wiedziała, gdzie ma dojść do spotkania Edwarda z klientem.



– Mów! – Chwyciłem ją za ramiona i potrząsałem. – Lucy, na miłość boską, opamiętaj się. Mów!

– Te, koleś – usłyszałem za sobą. Obejrzałem się przez ramię. Patrzyło na mnie trzech osiłków ostrzyżonych na zapałkę, jeden w drugiego sto parędziesiąt kilo żywej wagi. – Kultury trochę, bo w ryło i do widzenia.

– Ja ją aresztuję – skłamałem.

– Srały muszki, będzie wiosna. Puść kobitę, bo w mordę.

Lucy zaczęła pojękiwać, że niby sprawiam jej ból.

Facet doskoczył i odepchnął mnie od niej. Spodziewałem się czegoś takiego, ale mimo wszystko mnie zaskoczył. Kiedy padałem, Lucy kopnęła mnie w obojczyk i rzuciła się do ucieczki.

Biegła w stronę łoży dla VIP-ów.

To mogło być idealne miejsce. Wysoko. Ludzi mało. Opuścić okno, oddać strzał, ulotnić się w chaosie, jaki niechybnie powstanie.

Mnie przytrzymał mięśniak.

– Już po tobie, gnoju!

W naszą stronę biegło dwóch policjantów, jeden gruby, drugi chudy.

– Ratunku! Pomocy! – wrzasnąłem, odgrywając ofiarę napaści.

Tego rodzaju drobiazgi pomagają. Ten zmienił nieco nastawienie gliniarzy; i chociaż próbowali obezwładnić nas obu, to instynktownie brali za agresora szarpiącego się

ze mną faceta.

Przygrzałem chudemu glinie w szczękę. Osunął się na klęczki. Poprawiłem kantem dłoni w kark, wyrwałem mu pistolet z kabury i unosząc go nad głowę, wbiegłem w tłum. Drugi policjant zupełnie zbaraniał.

Zobaczyłem Lucy. I w tym momencie tłum ryknął.

Zerknąłem na boisko. Wpadał na nie właśnie August, gubernator stał na pozycji miotacza z jakimś nastolatkiem, prawdopodobnie synem u boku, gotowy rzucić pierwszą w tym sezonie piłkę.

I nagle zrozumiałem.

Syn. Tu wcale nie chodziło o gubernatora, tylko o jego syna. Celami nie będą gubernatorzy.

Tylko ich dzieci. Ich bliscy.

Bar przy stadionowej łoży dla VIP-ów był w remoncie. Na żadnym stadionie nie ma bardziej wyludnionego miejsca niż nieczynny bar.

– No to zaczynajmy – powiedział nabywca, spoglądając z góry na boisko.

Pora zacząć ten nadzwyczajny pokaz, pomyślał z podnieceniem Edward, jeszcze chwila i stanie się zupełnie kimś innym. Opuścił nieco okno zamkniętego baru i wysunął przez szparę lufę pistoletu.

Pistolet nie miał muszki; nie była potrzebna. Ale nie chciał ryzykować, że demonstracja nie wyjdzie jak trzeba, skierował więc lufę na gubernatora stojącego na pozycji miotacza. I zobaczył barczystego blondyna wpadającego na boisko, którego próbuje zatrzymać zaskoczony policjant.

Zasłoni? Nie. Edward bez wahania pociągnął za spust.

Gubernator Hapscomb zobaczył mężczyznę wbiegającego na murawę i przedzierającego się przez kordon ochrony z okrzykiem, że jest agentem CIA. Na trybunach podniosła się wrzawa, a on był tu sam i patrzył bezradnie na napastnika. Ale nie, nie był sam, przy nim stał przecież jego trzynastoletni syn Bryant i myśl, że coś może mu się stać, była nie do zniesienia. Przyciągnął go więc do siebie na wypadek, gdyby ten wariat w garniturze miał broń, a wtedy sterowany nanosensorami pocisk wystrzelony znad głów tysięcy kibiców pomknął do zaprogramowanego celu.

Kilka rzędów wyżej zobaczyłem rozbłysk w oknie łoży dla VIP-ów, do której biegła Lucy.

Dogoniłem ją, wcisnąłem jej pod zebra lufę pistoletu, który skonfiskowałem policjantowi, i spojrzałem na stanowisko miotacza. Na trybunach wrzało, gubernator z synem leżeli na stanowisku miotacza, nie ruszali się. Augusta nie było widać spod sterty leżących na nim policjantów.

– Puszczaj! – krzyknęła Lucy. – Puść, to powiem, gdzie jest dziecko!

– Mów teraz! – Nie udało mi się powstrzymać Edwarda przed wystrzeleniem pocisku.

Dałem plamę.

Przywalila mi pięścią w szczękę. Nie puściłem jej,

polecieliśmy oboje na barierkę.

– Sam Capra – wycedził nabywca. – Tam.

Edward oderwał wzrok od boiska. Trudno było stwierdzić, czy syna Hapscomba dosięgła przeznaczona mu kulka. Pot pociekł mu po krzyżu. Wysunął jeden czip, wsunął na jego miejsce drugi. Pistolet zaszumiał, dopasowując nowe dane, tchnąc w pocisk nową duszę. Zakończenie kodowania zasygnalizuje zielona lampka.

Ale nie było czasu, żeby czekać, aż się zapali. Edward nacisnął spust.

– Mów! – krzyknąłem, przyciągając ją do siebie. Obróciliśmy się, szamocząc.

– Daniel jest w... – Zesztywniała w moich ramionach. Usłyszałem głucho plaśnięcie pocisku wchodzącego w ciało.

– Nie! – wrzasnąłem. – Nie!

– Nie wszystko poszło, jak trzeba. – Edward starał się panować nad głosem. – W momencie, kiedy strzelałem, gubernator zasłonił syna własnym ciałem i to chyba on oberwał. To nie jest normalna sytuacja, bo zwykle strzelamy bez ostrzeżenia...

Odwrócił się do nabywcy. Błysnął nóż i Edward zatoczył się z poderżniętym gardłem. Starał się zatamować dłonią buchającą z rany krew. Bezskutecznie. Oparł się o ścianę i pomyślał: Ależ to boli, boję się, boję...

Nabywca cofnął się i spojrzął za okno. Na trybunach narastała panika. I ani śladu Lucy. Ani śladu Sama Capry.

Podniósł z podłogi walizeczkę z czipami DNA. Tę technologię zawsze można udoskonalić. Poprzeczka dla dzisiejszej demonstracji była chyba zbyt wysoko podniesiona. Ale nic. Ma czas. Ma środki. Na świecie nie brakuje zdeprawowanych programistów, hakerów, naukowców, płatnych zabójców, którzy chętnie mu pomogą dopracować prototyp Bahjata Zaida.

Czipy już ma, przesyłka z resztą pistoletów będzie tu za parę dni. A nawet jeśli nie dotrze, to ma przecież egzemplarz, który przywiózł ze sobą Edward. Na jego podstawie będzie można odtworzyć konstrukcję. A funduszy jeszcze nie przelał. Złożył pistolet i schował go do walizeczki.

Bywało gorzej.

Wyszedł i wmieszał się w spanikowany, skłębiony tłum. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Policja usiłowała zaprowadzić jaki taki porządek.

Był już przy bramie, kiedy nagle usłyszał za sobą:

– Witaj, Howell.

Howell tulił do piersi walizeczkę. Po jego minie widać było, że czuje pod żebrami lufę mojego pistoletu.

– Jeden fałszywy ruch, a strzelam – wycedziłem.

– Pograżysz się.

– Nie podskakuj. To ty jesteś nabywcą.

Howell wziął głęboki oddech.

– Zabijając mnie, wydasz wyrok śmierci na Milę.

– Ona by to nazwała dobrym interesem – zauważyłem.

Szedł dalej, ja za nim, ukrywając pistolet pod połą kurtki.

– Zostawiłeś umierającą żonę? – spytał.

– Lucy nie jest już moją żoną.

– Coś takiego!

– Kim ty właściwie jesteś?

– Howell, do usług.

– Tyle wiem. Dla kogo pracujesz?

– Dla Firmy.

– Gówno prawda. Przecież skonstruowanie tych pistoletów zleciła Zaidowi Firma. Mógłbyś je mieć bez kumania się z takimi kreaturami jak Edward i uciekania się do rabunku.

– Na pół etatu – przyznał. – Drugie pół mam gdzie indziej. Ty też byłbyś tam mile widziany.

– Pytałeś mnie, czy słyszałem o Novem Soles, bo chciałeś się upewnić, czy aby Lucy mi o nich nie

powiedziała. Ty nie tropiłeś Novem Soles, ty ich ochraniałeś.

– Sam, zawrzyjmy układ...

Boże, wszyscy chcieli zawierać ze mną układy. Niedobrze mi się od tego robiło.

– Nie. Gdzie Mila? – Byliśmy już za bramą i kierowaliśmy się w stronę parkingu.

– Jest przesłuchiwana. Wy chcecie się dowiedzieć o nas, my o was.

– To ty odwróciłeś Lucy. Pracowała dla ciebie. – Wykorzystał ją. Dostawała rozkazy od kogoś z Firmy. Teraz jej uwierzyłem. Nie wiedziała, że to, co podłożyła w londyńskim biurze Firmy, to bomba. Zorientowała się dopiero w ostatniej chwili, kiedy Edward wysiadł z samochodu, żeby zdetonować ładunek, i zadzwoniła do mnie...

Howell wzruszył ramionami.

– Gdzie mój synek?

– Nie wiem.

– Nie kłam. Mów!

– Naprawdę nie wiem. Twoja żona go komuś oddała.

– Ona mówiła coś innego.

– I ty jej uwierzyłeś? – Howell odchrząknął. – To mój samochód.

Wsiedliśmy; on na fotel pasażera, ja, wciąż trzymając go na muszce, z tyłu.

– Tak, teraz jej wierzę. Dupek z ciebie, Howell. Istny król dupków.



– Mogę wyciągnąć cię z kłopotów, Sam. Oczyszczyć twoje nazwisko. Mogę zmienić się z twojego prześladowcy w twojego mistrza. My pozbędziemy się Mili. Ty zapomnisz o pistoletach. Firmie powiem, że infiltrowałeś pewną niebezpieczną grupę w Holandii. Że wykonywałeś tajne zadanie, a zdrajczynią jest, to znaczy była, twoja żona. – Obejrzał się na mnie. – Mogę ci nawet pomóc w odnalezieniu dziecka.

– Innymi słowy będziemy udawali, że to wszystko nigdy się nie wydarzyło. – Jego ulubiona fraza z dalekiego więzienia, w którym byłem jedynym osadzonym.

Kiwnął głową.

– Tak.

– Nie – powiedziałem i nacisnąłem spust. Drgnął konwulsyjnie, kiedy pocisk przeszywał mu serce. Pistolet nie miał tłumika, ale obok samochodu nikt akurat nie przechodził. Zaraz potem przebiegł zastęp skautów. Kilku spojrzęła w przelocie na mnie i Howella w samochodzie. Howell siedział prosto, ze zwieszoną głową, tak jakby drzemał. Wysiadłem i wmieszałem się w tłum.

Kiedy na parkingu pod stadionem baseballowym, na którym chwilę wcześniej zamordowany został wysokiej rangi urzędnik państwowy, ginie funkcjonariusz Firmy, śledztwo od policji przejmuje Firma. Firmę najbardziej zainteresowały nanopociski i pistolet oraz manifest przesyłki dołączony do kontenera z papierosami.

Pięćdziesięcioro ludzi, których listę widziałem na komputerze Zaida, to były dzieci albo współmałżonkowie amerykańskich gubernatorów. Nikt już nie dybie na ich życie, mogą spać spokojnie w akademikach, w swoich domach, w kołyskach. Włącznie z Bryantem Hapscombem, którego ojciec osłonił własnym ciałem; pocisk nie zdążył zmienić toru. W pogrzebie gubernatora brały udział tysiące. Oddał życie za swoje dziecko, chociaż świat sądził, że to on był celem.

Kilka dni po strzelaniu na stadionie siedziałem w nowojorskim barze Bluecut, popijałem wodę mineralną i czekałem na Mile. Bar znajdował się na skraju Bryant Park, niedaleko Times Square, i był przepiękny. Afroamerykanka z szopą farbowanych na blond włosów grała na fortepianie znane jazzowe tematy palcami tak wysmukłymi, że mogłyby zainspirować Monka albo Mozarta. Niezmiernie mi się tu podobało.

Zamówiłem glenfiddicha dla Mili i czekałem. Przetrzymano ją w wynajętym biurze w pobliżu portu; została tam znaleziona przez pracownika salwadorskiej

ekipy sprzątającej. Howell przesłuchiwał ją, nie przebierając w środkach.

Na stołek obok mnie wspiął się August.

– Mogę? – Wskazał na drinka dla Mili.

– To dla mojej przyjaciółki Mili, ale jeśli ci nie przeszkadza, że nie ma jeszcze jedenastej, to się nie krępuj.

– Jeśli ona gustuje w glenfiddichu, to jest również moją przyjaciółką.

Uznałem, że lepiej mu nie mówić, iż to właśnie Milla postrzeliła go w Amsterdamie. Augustowi widocznie nie przeszkadzało, że nie ma jeszcze jedenastej, bo bez wahania sięgnął po szklaneczkę.

– Policja cię zidentyfikowała – powiedział. – Kamera monitoringu zarejestrowała moment, kiedy Lucy dostaje postrzał. Wiedzą, że to nie ty strzelałeś.

– Domyślałem się. Nie czepiają się mnie.

– Masz szczęście, że śledztwo przejęła Firma. Policja zazwyczaj nie odpuszcza, kiedy jej funkcjonariuszom zabierana jest broń.

Upiłem łyczek wody.

– Znaczy, Firma mnie teraz osłania?

– Oni... znaczy my... a, diabła tam. Nie oszukujmy się. Kiedy mnie przygniatał do ziemi kwiat nowojorskich pakerów, ty z zimną krwią zabijałeś Howella.

– Jeśli nawet, to nic w tej sprawie nie robią. On był największą wpadką Firmy od czasu...

– Od czasu Lucy. Co tu kryć.

– Oficjalnie nic na mnie nie mają.

August odchrząknął, uniósł szklaneczkę i upił łyk.

– Firma upoważniła mnie do zaproponowania ci powrotu do pracy.

– Dlaczego akurat ciebie?

– Uznali, że tylko ze mną będziesz chciał rozmawiać.

– I tu się nie mylili – przyznałem. – Uważam cię za prawdziwego przyjaciela. Ale ja muszę szukać swojego dziecka. A Firma zbyt szybko uznała mnie za zdrajcę. Ani krzty zaufania.

– Sam, musisz zrozumieć...

– Rozumiem. Nie chcę do nich wracać. Oni we mnie nie wierzą.

August upił kolejny łyżeczek.

– Mam nadzieję, że masz już na widoku jakąś inną posadę.

– Na razie o tym nie myślę. Muszę odnaleźć dziecko.

– Jak? Edward nie żyje, Howell nie żyje, Lucy być może nigdy się nie obudzi.

Lucy postrzelona przez Edwarda leżała w śpiączce i nie wiedziałem, co o tym myśleć. Lekarze ze szpitala CIA nie dawali mi wielkich nadziei na to, że się kiedykolwiek wybudzi, ale podtrzymywali ją mimo wszystko przy życiu. Stanowiła potencjalne źródło informacji o tajemniczej Novem Soles. Leżała więc podłączona do aparatury. Może śniła o pieniądzach, których tak pożałowała, może o mnie i naszym dziecku.

– Znajdę je jakoś. Znam w Europie ludzi, którzy

mogą mi w tym pomóc.

– Firma nie pozwoli ci ot tak odejść. – August zniżył głos. – Będą cię obserwowali. Będą za tobą chodzili. Są wstrząśnięciu numerem, jaki wykręcił im Howell, i teraz są bardzo na tym punkcie wyczuleni. Będą cię obserwowali, sprawdzali, z kim się zadajesz.

– A nich sobie sprawdzają, byle nie wchodzili mi w drogę. Trzymasz z nimi jeszcze?

– Tak, z czegoś żyć trzeba. – August spojrział na mnie z ukosa. – Ale na pewno jeszcze się zobaczymy.

– Na pewno.

Wstał i wyjął portfel.

– Ja zapłacę – powiedziałem. – Na tyle mnie jeszcze stać.

– Być może, ale ja mam pracę – odparł.

– Nie, Auguście, dziękuję, ale ja stawiam.

– Znajdziesz swojego synka, Sam. Wiem, że znajdziesz.

– Jestem tego pewien. – Odprowadzałem wzrokiem wychodzącego Augusta ciekaw, czy go nie śledzą. Z opróżnionej przez niego szklaneczki doleciał mnie zapach whisky. Zamówiłem sobie drugą.

Podnosiłem ją właśnie do ust, kiedy na stołek obok mnie wspięła się Mila.

– Cześć, Sam.

– Cześć, Mila.

– Obiecałam, że kiedy będzie już po wszystkim, oblejemy to wspólnie.

Sińce na jej twarzy już się goiły, ale w oczach dawną stal zastąpił smutek. Skinąłem na barmana. Bez pytania przyniósł jej glenfiddicha.

– Tym się nie popija środków przeciwbólowych – zauważyłem.

– Amerykanie mają obsesję na punkcie interakcji leków. Nie lubią ryzykować.

– Tak tu sympatycznie, a ty przychodziłaś na drinka do Olliego. Dlaczego?

– Mówił ci przecież, że chciałam odkupić od niego tamten bar. Nie chciał sprzedać.

– Dwa bary w jednym mieście?

– Brooklyn i Manhattan to dwa różne światy. – Rozejrzała się. – Tak, lubię bary. A tu rzeczywiście jest cudownie.

– Ja też je lubię.

– I mówisz, że ten ci się podoba?

Zerknąłem na nią.

– Bardzo.

– A chciałbyś być jego właścicielem? Właścicielem Bluecut, jak również wszystkich barów, jakie posiadamy? The Adrenaline w Londynie, Rode Prins w Amsterdamie,

Taverne Chevalier w Brukseli? Mamy ich o wiele więcej: w Las Vegas, Sydney, Miami, Paryżu, Moskwie, na całym świecie. W sumie ze trzydzieści.

Roześmiałem się, bo myślałem, że żartuje.

– No pewnie. I do każdego moglibyśmy wpadać na drinka. Kiedy już odnajdę synka.

– Sam, moi mocodawcy są zainteresowani pozyskaniem ciebie. Odwaliłeś dla nas kawał dobrej roboty.

– Czy Bahjat Zaid wchodził w skład Okrągłego Stołu? Był jednym z jego bogatych i wpływowych członków?

Nie okazała zaskoczenia, że znam nazwę Okrągły Stół.

– Tak, był. Zaopatrywał nas kiedyś.

– Nie zrobił na mnie wrażenia przyjemniaczka.

– Był zdesperowany, starał się ratować córkę. W takich okolicznościach człowiek przestaje być sobą.

Chciałem już pokręcić z powątpiewaniem głową, ale się zreflektowałem. Nie chciałem urazić Mili, nie zasługiwała na to.

– Nie wiem nawet, kim jesteście. – I przypomniałem sobie, co opowiadałem w Londynie garniturkom o współczesnych organizacjach, które łączą się tylko w celu wykonania danego zadania, a potem rozdzielają, przepoczwarzają, a niektóre stają się tak potężne i bogate, że infiltrują rządy państw. Miałem wtedy na myśli organizacje przestępcze; może Okrągły Stół też był taką

nieformalną organizacją, tyle że nastawioną na czynienie dobra. Novem Soles zaś jego przeciwieństwem, ciemną stroną mocy.

– Wspólnymi siłami powstrzymaliśmy Edwarda. Powstrzymaliśmy Howella. Chyba nie masz wątpliwości, po której stronie stoimy?

– Dostyc już mam tych tajemnic. Mam do rozwikłania własną. Muszę odnaleźć syna.

– Ufasz mi, Sam?

– Tak – odparłem bez chwili zastanowienia. Ufałem Mili. Była trochę szalona i nieprzewidywalna, ale z gruntu uczciwa.

– Istnieje jakiś powód, dla którego pewni ludzie z Firmy nie chcą, żebyś odnalazł swoje dziecko – powiedziała cicho.

– Że co?

Podawała mi karteczkę. Przebiegłem wzrokiem widniejący na niej tekst: AGENTA CAPRĘ MOŻNA KONTROLOWAĆ, WYKORZYSTUJĄC JEGO OBSESJĘ NA PUNKCIE ODNALEZIENIA WŁASNEGO DZIECKA. WSZYSTKIE AKTA DOTYCZĄCE CAPRY ZOSTAŁY UTAJNIONE, PONIEWAŻ... i dalej długie wiersze zaczerpnięte mazakiem cenzora.

– To z akt opatrzonych klauzulą ścisłej tajności. Ktokolwiek zabrał twoje dziecko, władze pragną utrzymać jego tożsamość w tajemnicy. Żeby móc cię kontrolować.



Wbiłem w nią wzrok.

– Nie wierzę.

– Myślę, że Firma byłaby ci nawet skłonna pomóc. Bynajmniej nie oskarżam tutaj CIA jako takiej. Ale w jej ramach rozgrywana jest jakaś tajemnicza szarada, z którą związki miał chyba Howell; może był jedynie narzędziem. Ci ludzie będą ci rzucali kłody pod nogi. Jeśli zgodzisz się z nimi współpracować, nigdy nie odnajdziesz Daniela. – Pociągnęła potężny łyk whisky. – Przykro mi to mówić, ale wszystko na to wskazuje.

– Dlaczego to tylko przypuszczenia? – Czyżby zjawisko przenikania organizacji przestępczych do sfer rządowych rozpowszechnione już w Europie przeniosło się na nasz grunt?

– Bo nie znamy jeszcze wszystkich ich tajemnic, Sam. Tajemnic Howella i Lucy. Może nawet twoich.

– Ja żadnych nie mam.

– Czasami człowiek sam nie wie... czego nie wie – odparła.

– Nie rozumiem.

– Ty chcesz odnaleźć synka. Nam od czasu do czasu potrzebne będą twoje talenty. Potrzebujesz przykrywki. A zatem proponuję ci, co następuje: oficjalnie będziesz właścicielem barów. Wszystkich. Prowadź je, staraj się, żeby przynosiły zyski. – Uśmiechnęła się. – Jako restaurator będziesz miał pretekst, żeby podróżować po świecie czy to w ramach poszukiwań dziecka, czy zleceń, które będziesz od nas otrzymywał. Takiej przykrywki

Firma nie ma prawa zakwestionować. Mimo wszystko praca w barze to dla ciebie nie pierwszozna, a z czegoś musisz żyć. Zlecenia od nas będziesz otrzymywał, kiedy uznamy, że do ich realizacji niezbędne są twoje umiejętności, sprawność i doświadczenie.

Piękny komplement, nie ma co.

– CIA nadal będzie coś podejrzewała. A z tego, co mówisz, wynika, że będę pracował przeciwko nim.

– Nie. Przeciwko komuś – może to być kilka osób – kogo Agencja ma w swoich szeregach i kto nie jest lojalny wobec niej, wobec rządu albo nawet w ogóle wobec całej ludzkości. Nie pomyślałeś nigdy, że Howell ma chyba kogoś nad sobą? – zapytała. – Był na posyłki dla tych z Novem Soles. Chociaż wysoki rangą, był dla nich niczym, zwyczajnym pionkiem. Myślę, że najgorsze mamy jeszcze przed sobą.

Oglądałem dno pustej szklaneczki po whisky.

– Pomożemy ci, Sam. Przysięgam. Zgódź się, proszę. Masz. – Podała mi płytę DVD. – To nagranie z kamer monitoringu kliniki, w której rodziła Lucy. Zobaczysz na nim wysoką, ciemnoskórą kobietę wychodzącą z pokoju Lucy z noworodkiem na rękach nazajutrz po rozwiązaniu.

Wstrzymałem oddech.

– Pomożemy ci zidentyfikować tę kobietę. Podjąć trop.

Złapać rytm, pomyślałem, jak w parkourze. Złapać rytm.

Co mi szkodzi prowadzić przez jakiś czas to tajemne

życie, jeśli ma mi to pomóc w odnalezieniu synka. Poczulem znajomy przypływ adrenaliny; pięła się po kręgosłupie, wpływała do mózgu.

Zsunąłem się ze stołka, zwróciłem twarzą do garstki klientów Bluecut i wskoczyłem na niego z powrotem, ale już nogami. Stałem prosto na wyściełanym siedzisku, odchrząknąłem znacząco. Pianistka przestała grać. Konsumenci gapili się na mnie zdumieni.

Uśmiechnąłem się do nich i wzniosłem w toaście pustą szklaneczkę po whisky:

– Panie i panowie, nabyłem właśnie ten bar. Kolejka dla wszystkich na koszt firmy.

## Podziękowania

Oto lista wspaniałych osób, którym pragnę podziękować za pomoc w pracy nad tą powieścią:

Mitch Hoffman, Jamie Raab, David Shelley, Ursula Mackenzie, Thalia Proctor, Daniel Mallory, Kim Hoffman, Nathalie Morse. Kati Nicholl, Richard Collins, Sean Garrehy, Sarah Jones, Shirley Stewart, Peter Grinsberg, Nathan Bransford, Dave Barbor, Holly Frederick, Sarah LaPolla, Carolyn Nordstrom, Steve Basile, Kevin Casey, Dan Edwardes, James Whitaker, Georgina Tripp, Tracy Edmonson, Wesley Skow, Jurgen Snoeren, Marc van Biezen, Judith van Doorn, Johnny Zhao, Janice Gable Bashman, Sam Bashman, JT Ellison oraz, jak zawsze, William, Charles i Leslie.